

J.A. Redmerski

Na
krawędzi
nigdy

Dla zakochanych i marzycieli,

a także dla tych,

którzy nigdy prawdziwie

nie doświadczyli

ani jednego, ani drugiego.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Natalie zaczyna mnie irytować. Siedzi naprzeciwko mnie przy okrągłym stoliku, wspierając się na łokciach i od dziesięciu minut jedną dłonią podpira brodę, a palcem drugiej zawija pasmo czekoladowych włosów. Kręcąc głową z niezadowolenia, sięgam po kubek i zaczynam sączyć przez słomkę mrożoną latte.

– Jest naprawdę boski – mówi, wpatrując się w mężczyznę, który stanął w kolejce. – Na litość boską, Cam, mogłabyś chociaż na niego spojrzeć?

Przewracam oczami i biorę kolejny łyk kawy.

– Nat – zaczynam, odstawiając kubek – przecież masz chłopaka... Ciągle ci muszę o tym przypominać?

– A ty co, jesteś moją matką? – Spogląda na mnie z figlarnym uśmiechem, ale po chwili znów skupia wzrok na ucieleśnieniu seksu zamawiającym kawę i drożdżówki. – A poza tym Damona nie obchodzi, czy patrzę... Przynajmniej dopóki co noc się dla niego wypinam.

Prycham i czuję, że się rumienię.

– Ha, ha! Widzisz, rozbawiłam cię. – Sięga po małą fioletową torebkę. – Muszę to zapisać. – Chwyta telefon i otwiera notatnik. – „Sobota, 15 czerwca” – śmiga palcami po ekranie – „godzina 13.54, Camryn Bennett śmiała się z jednego z moich seksualnych żarcików”. – Wrzuca telefon do torebki i spogląda na mnie jednym z tych zamyślonych spojrzeń, jakich używa, gdy chce mi doradzić. – Przynajmniej rzuć okiem. – W jej głosie nie ma już śladu rozbawienia.

Odwracam dyskretnie głowę, aby szybko otaksować faceta. Właśnie odchodził od kasy i przesunął na skraj lady kawę. Wysoki, z idealnie wyrzeźbionymi kośćmi policzkowymi. Hipnotyzujące zielone oczy modela i potargane brązowe włosy.

– Jest atrakcyjny – przyznaję, spoglądając znów na Natalie. – I co z tego?

Natalie nie spuszcza wzroku z faceta, który już wychodzi przez szklane drzwi, i gapi się na niego przez szybę jeszcze przez chwilę. Gdy odwraca się do mnie, w szeroko otwartych oczach maluje się niedowierzanie i zachwyt.

– O. Mój. Boże.

– Nat, to tylko facet. – Ponownie zaczynam sączyć kawę przez słomkę. – A ty na widok spodni zaczynasz świrować.

– Jaja sobie robisz? – Jest szczerze zdumiona. – Camryn, masz poważny problem. Wiesz o tym, prawda? – Opiera się wygodnie. – Musisz brać leki. Poważnie.

– Przestałam w kwietniu.

– Co?! Dlaczego?

– Bo to niedorzeczne – mówię rzeczowo. – Nie mam myśli samobójczych, więc nie widzę powodu, by się faszerować lekami.

Nat kręci głową i krzyżuje ramiona na piersiach.

– Myślisz, że zalecają je tylko samobójcom? Nie. Wcale nie. – Przez chwilę grozi mi palcem. – Chodzi o nierównowagę chemiczną czy jakieś inne gówno.

Uśmiecham się.

– Och, doprawdy? A od kiedy jesteś specjalistką od zdrowia psychicznego i leków? – Unoszę lekko brwi, tylko na tyle, by mogła dostrzec, że doskonale wiem, iż mówi o czymś, o czym nie ma zielonego pojęcia. Kiedy zamiast odpowiedzieć, marszczy nos, mówię: – Wyzdrowieję po swoim i niepotrzebne mi do tego tabletki. – Miało to zabrzmieć lekko, ale nim skończyłam, usłyszałam w swoich słowach gorzycz.

Natalie wzdycha i poważnieje.

– Przepraszam. – Robi mi się głupio, że na nią warknęłam. – To prawda. Mam pewne emocjonalne problemy i czasami potrafię być francą...

– Czasami? – Nat burczy pod nosem, ale ponownie zaczyna się uśmiechać, co znaczy, że już mi wybaczyła.

Uśmiecham się do niej półgębkiem.

– Zrozum, po prostu chcę znaleźć własne odpowiedzi.

– Jakie odpowiedzi? – droczy się ze mną. – Cam – przechyliła głowę, przybierając zamyśloną pozę – przykro mi to mówić, ale czasem życie naprawdę bywa do dupy. Po prostu musisz sobie z tym wreszcie poradzić. Zajmij się czymś, co lubisz. To najlepszy sposób na wydostanie się z tego gówna.

OK, może mimo wszystko Nat nie jest taka beznadziejna w udzielaniu porad.

– Wiem, że masz rację, ale...

Natalie unosi brew, czekając.

– Co? No dalej, wyrzuc to z siebie!

Myślę przez chwilę, wpatrując się w ścianę. Często tak siadam i rozmyślam o życiu, i zastanawiam się nad wszystkimi jego aspektami. Próbuję zrozumieć, co ja, do diabła, robię. Choćby w tej chwili. W tej kawiarni, z tą dziewczyną, którą znam praktycznie całe życie.

Wczoraj próbowałam dociec, jaka siła skłania mnie do wstania z łóżka dokładnie o tej samej porze, co dzień wcześniej i dlaczego chcę robić dokładnie to samo, co poprzedniego dnia. Dlaczego tak się dzieje? Co nas zmusza do robienia tego, co robimy, chociaż w głębi duszy pragniemy się uwolnić od tego wszystkiego?

Przenoszę wzrok ze ściany na najlepszą przyjaciółkę.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, jakby to było spakować plecak i ruszyć w świat? – wyrzucam z siebie, choć wiem, że mnie nie zrozumie.

Uśmiech zamiera jej na ustach.

– Hmm, nie. Nie bardzo – mówi. – To może być... do bani.

– Cóż, pomyśl o tym przez chwilę. – Opieram dłonie na stole, próbując skupić na sobie jej uwagę. – Tylko ty i plecak z kilkoma rzeczami. Bez rachunków. Bez wstawania codziennie o tej samej porze do pracy, której i tak nienawidzisz. Jedynie ty i świat przed tobą. Nie wiesz, co przyniesie jutro, kogo poznasz, co będziesz jeść na obiad albo gdzie będziesz spać. – Uświadamiam sobie, że pogrążyłam się w marzeniach i że może wydawać się, iż mam na tym punkcie obsesję.

– Zaczynasz mnie przerażać. – Natalie spogląda na mnie niepewnie. Uniesione w zdziwieniu brwi powoli opadają. – Przecież to całe wędrowanie po świecie jest niebezpieczne. Ktoś cię może zgwałcić, zamordować, a ciało porzucić gdzieś na autostradzie. No i chodzenie... – Najwyraźniej sądzi, że jestem na granicy szaleństwa. – Zresztą, nieważne. Dlaczego o czymś takim myślisz? – pyta, upijając łyk kawy. – Mówisz, jakby cię dopadł kryzys wieku średniego... a masz dopiero dwadzieścia lat. – Wskazuje palcem, podkreślając, że ma rację, i dodaje: – I w życiu nie płaciłaś żadnych rachunków. – Bierze kolejny łyk, siorbiąc głośno.

– Ale zacznę – mruczę pod nosem – gdy przeprowadzę się do ciebie.

– Prawda – mówi, stukając palcami w kubek. – Wszystko dzielimy po połowie... Czekaj, ty chyba nie chcesz zrezygnować? – Zamiera, patrząc na mnie nieufnie.

– Nie. W przyszłym tygodniu wynoszę się od mamy i przeprowadzam się do zdziry.

– Ty suko! – Śmieje się.

Uśmiecham się półgębkiem i wracam do swoich myśli, do spraw, które dla Nat są nieistotne, ale i tak naiwnie liczę, że mnie zrozumie. Nawet przed śmiercią Iana byłam outsiderką. Zamiast siedzieć i marzyć o nowych pozycjach seksualnych, tak jak Natalie często fantazjuje o Damonie, z którym jest od pięciu lat, ja rozmyślam o rzeczach, które są naprawdę ważne. Przynajmniej dla mnie. Na przykład o zapachu unoszącym się w powietrzu w dalekich krajach albo o woni oceanu, albo o zapierającym dech w piersi szumie deszczu. „Laska, jesteś głęboka” – kilkakrotnie słyszałam to od Damona.

– Rany! Jesteś pieprzonym smutasem, wiesz o tym, prawda? – Natalie kręci głową,

trzymając w ustach słomkę. – No chodź – mówi, nagle wstając od stołu – mam dość tego filozoficznego bełkotu, a takie urokliwe miejsca najwyraźniej cię przygnębiają... Wieczorem idziemy do Undergroundu.

– Co? Nie! Nie pójdę tam.

– Właśnie. Że. Pójdiesz. – Wrzuca kubek po kawie do śmietnika stojącego kilka metrów dalej i łapie mnie za nadgarstek. – Tym razem pójdiesz, ponieważ jesteś moją najlepszą przyjaciółką i kolejny raz nie przyjmuję odmowy. – Na lekko opalonej twarzy pojawia się promienny uśmiech.

Wiem, że nie żartuje. W jej oczach widzę podniecenie i determinację. Lepiej się poddać i iść z nią ten jeden raz, bo nie odpuści. To zło konieczne, jeśli się ma taką natrętą przyjaciółkę.

Wstaję i zarzucam torebkę na ramię.

– Jest dopiero druga. – Dopijam latte i wrzucam kubek do tego samego śmietnika.

– Tak, ale musimy ci coś kupić.

– Zapomnij. Mam w co się ubrać – protestuję, ale ona już wlecze mnie przez szklane drzwi, wpychając w rozgrzane letnie powietrze. – A pójście z tobą do Undergroundu jest już wystarczająco dobrym uczynkiem.

Idziemy chodnikiem wzdłuż parkometrów. Natalie bierze mnie pod ramię.

– Dobra. Żadnych zakupów. Ale przynajmniej pozwolisz, że wybiorę dla ciebie coś z mojej szafy.

– A co jest nie tak z moimi ciuchami?

Nat wydyma wargi i wysuwa podbródek, obruszona, że zadałam tak niedorzeczne pytanie.

– To jest Underground – odpowiada, uznając to wyjaśnienie za wystarczające.

Punkt dla niej, bo wprawdzie jesteśmy najlepszymi kumpelami, ale na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. Ona jest rockowa i ma świra na punkcie Jareda Leto, od kiedy zobaczyła go w *Podziemnym kręgu*. Mój styl nie jest tak wyzywający i rzadko noszę ciemne kolory. No, chyba że idę na pogrzeb. To nie znaczy, że Natalie uznaje jedynie czern i fryzurę à la emo, ale na pewno niczego ode mnie nie pożyczy, bo – jej zdaniem – ubieram się beznadziejnie. Niech myśli, co chce. Jej sprawa. Wiem, że nie ma racji. Kiedy jeszcze zależało mi na zainteresowaniu facetów, doskonale wiedziałam, co wciągnąć na tyłek, by nie mogli oderwać od niego wzroku.

Ale Underground jest dla takich ludzi jak Natalie, więc tej nocy będę musiała wyglądać jak ona. Chociaż nie lubię nikogo naśladować i nigdy nie lubiłam, przez kilka godzin stanę się

kimś innym, niż jestem, by zniknąć w tłumie, zamiast przyciągać spojrzenia i zwracać uwagę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Docieramy do Undergroundu zaraz po zmroku. Po drodze zatrzymujemy się przy kilku domach. Damon parkuje półciężarówkę na podjeździe, wchodzi do domu, wraca po trzech, czterech minutach, nie tłumacząc, po co tam poszedł albo z kim rozmawiał – jakiegokolwiek zwyczajne wyjaśnienie uzasadniające te wizyty. Ale prawie nic, co dotyczy Damona, nie jest zwyczajne czy normalne. Znam go prawie tak długo jak Natalie, ale nigdy nie zaakceptowałam tego, co robi. W piwnicy hoduje sporo trawy, ale jej nie pali. Nikt oprócz mnie i kilkorga najbliższych przyjaciół nie podejrzewa, że taki przystojniak jak Damon Winters mógłby mieć cokolwiek wspólnego z uprawą marihuany, ponieważ większość tych, którzy palą, wygląda jak kolesie, którzy utknęli między latami siedemdziesiątymi a dziewięćdziesiątymi. A Damon mógłby uchodzić za młodszego brata Alexa Pettyfera. Mówi, że trawka go nie kręci. On woli kokainę, a trawkę hoduje i sprzedaje, by mieć pieniądze na kokę.

Natalie udaje, że to, co robi Damon, jest nieszkodliwe. Wytłumaczyła sobie, że trawka nie jest taka zła, a skoro ludzie chcą zapalić, by się zrelaksować, nie ma niczego złego w tym, że Damon im pomaga.

I trudno jej przyjąć do wiadomości, że więcej czasu i energii poświęcił kokainie niż jej.

– OK, będziesz się dobrze bawić, prawda? – Gdy wysiadam, Natalie popycha tyłkiem i zamyka za mną tylne drzwi, patrząc na mnie z desperacją. – Po prostu wyluzuj i spróbuj się dobrze bawić.

Przewracam oczami.

– Nat, nie nastawiam się negatywnie – mówię. – Chcę się dobrze bawić.

Damon obchodzi auto i obejmuje nas obie w talii.

– Mam zamiar wejść do środka, obejmując dwie laseczki.

Natalie wali go łokciem w bok z udawanym obruszeniem.

– Zamknij się, kochanie. Zaczynam być zazdrosna. – Ale już uśmiecha się do niego szelmowsko.

Damon przesuwa rękę na jej tyłek i zaciska dłoń na pośladku. Nat wydaje z siebie przyprawiający o mdłości jęk i staje na palcach, by go pocałować. Mam ochotę powiedzieć im, by poszukali pokoju, ale szkoda zawracać sobie tym głowę.

Underground jest najgorętszym miejscem na obrzeżach miasta Raleigh w Karolinie Północnej, ale nie znajdziecie go w książce telefonicznej. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że istnieje. Dwa lata temu facet o imieniu Rob wynajął opuszczony magazyn i wydał z milion swojego bogatego tatusia, by przekształcić to miejsce w tajemniczy klub nocny. Underground stał się popularny; lokalni idole mogą tu śnić rock'n'rollowy sen ze swoimi fanami i wrzeszczącymi groupies. Ale nie jest podłą tancbudą. Z zewnątrz może i wygląda jak

opuszczony budynek w wymarłej części miasta, ale w środku jest urządzone jak każdy rockowy klub nocny, z nieprzerwanie błyskającymi kolorowymi światłami stroboskopowymi, zdirowatymi kelnerkami i wielką sceną, na której mogą grać równocześnie dwa zespoły.

Aby utrzymać Underground w tajemnicy, klienci muszą parkować auta w mieście i przychodzić tutaj na piechotę, ponieważ ulica przy „opuszczonym” magazynie zastawiona samochodami rzucałaby się w oczy.

Parkujemy na tyłach najbliższego McDonalda i idziemy około dziesięciu minut przez upiorne miasto.

Natalie wciska się między mnie i Damona, bo tylko tak może mnie urabiać, zanim wejdziemy do środka.

– Dobra – mówi, jakby odhaczała kolejne pozycje na liście, co mam robić, a czego nie. – Jeśli ktoś zapyta, jesteś sama, tak? – Macha na mnie ręką. – Byle nie to, co nawijałaś do tego faceta, który uderzał do ciebie w Office Depot.

– Co zrobiła w Office Depot? – zainteresował się Damon.

– Damon, ten facet dosłownie ślinił się na jej widok – mówi Natalie, kompletnie mnie ignorując. – Gdyby tylko zatrzepotała rzesami, natychmiast kupiłby jej samochód... A wiesz, co mu powiedziała?

Przewracam oczami i wrywam rękę z jej uścisku.

– Nat, jesteś głupia. To nie było tak.

– Tak, kochanie – mówi Damon. – Jeśli facet pracuje w Office Depot, to na pewno nikomu nie kupi samochodu.

Natalie żartobliwie klepie go w ramię.

– Nie mówiłam, że tam pracował... chodzi o to, że wyglądał jak skrzyżowanie Adama Levine’a i... – kręci palcem nad głową, by odtworzyć w pamięci kolejne znane nazwisko – ...i Jensena Acklesa, a Panna Pruderyjna powiedziała mu, że jest lesbijką, kiedy poprosił o jej numer telefonu.

– Och, zamknij się, Nat! – mówię zirytowana jej nadmierną przesadą. – Wcale tak nie wyglądał. Był zwyczajnym gościem.

Macha na mnie lekceważąco i odwraca się do Damona.

– Wszystko jedno. Chodzi o to, że będzie kłamać, by trzymać facetów na dystans. Gotowa jest im wciskać, że ma chłamydię i wszy łonowe.

Damon się śmieje.

Przystaję na ciemnym chodniku i krzyżuję ręce na piersi, przygryzając dolną wargę.

Natalie zdaje sobie sprawę, że nie idę obok niej, więc podbiega do mnie.

– Dobrze, dobrze! Słuchaj, po prostu nie chcę, żebyś popsowała sobie zabawę, to wszystko. Mam tylko małą prośbę. Jeśli będzie do ciebie uderzał ktoś, kto nie jest totalnym trollem, to żebyś go nie odpychała. Nie ma niczego złego w rozmawianiu i poznawaniu się. Nie proszę cię przecież, żebyś szła z nim do domu.

Zaczynam jej nienawidzić. Przecież przysięgała!

Damon staje za nią, owija ramiona wokół jej talii i przesuwając ustami po jej szyi.

– Może powinnaś pozwolić jej robić, co chce, kochanie? Nie bądź taka nachalna.

– Dziękuję, Damon – mówię z szybkim kiwnięciem głowy, a on odpowiada porozumiewawczym mrugnięciem.

Natalie wydyma wargi.

– Masz rację – mówi i kładzie dłonie na ustach. – Nie powiem już ani słowa. Obiecuję.

Taaak, kiedyś to już słyszałam...

– To dobrze – odpowiadam i ponownie ruszamy. Czuję, że buty obtarły mi już stopy.

Przy wejściu kontroluje nas ochroniarz wyglądający jak wielki ogr. W końcu wyciąga rękę.

Natalie wykrzywia się do niego obrażona.

– Co? Teraz Rob każe płacić za wejście?

Damon wyciąga portfel z tylnej kieszeni i zaczyna przeglądać banknoty.

– Dwadzieścia dolców od łebka – rzuca ogr z warknięciem.

– Dwadzieścia? Jaja sobie robisz – mówi piskliwym głosem Natalie.

Damon delikatnie odsuwa ją na bok i podaje trzy dwudziestki ogrowi, który chowa je do kieszeni i pozwala nam wejść. Idę pierwsza, Damon kładzie dłoń na biodrach Natalie i prowadzi ją przed sobą.

Nat, mijając ogra, rzuca szyderczo:

– Pewnie zatrzyma tę kasę dla siebie. Zapytam o to Roba.

– No chodź – mówi Damon, po czym przechodzimy przez drzwi i idziemy ponurym, długim korytarzem oświetlonym fluorescencyjnymi światłami do przemysłowej windy.

Zamykające się metalowe drzwi windy niemiłosiernie skrzypią. Winda rusza, zjeżdżamy w dół, do piwnicy parę metrów poniżej. To tylko jedno piętro, ale winda tak hałasuje, iż mam wrażenie, że w każdej sekundzie może się urwać i porwać nas ku pewnej śmierci. Po piwnicznej podłodze niosą się grzmiące dźwięki basów, przekrzykiwania pijanych studentów oraz dźwięki odstawianego szkła. Kiedy zjeżdżamy windą do Undergroundu, z każdą chwilą robi się coraz głośniejsze. Winda ze zgrzytem zatrzymuje się i kolejny ogr otwiera metalową klatkę, by nas wypuścić.

Natalie popycha mnie.

– Rusz tyłek! – mówi, dając mi sójkę w bok. – To chyba gra Four Collision! – Przekrzykuje muzykę, gdy kierujemy się do głównej sali.

Natalie łapie Damona za rękę i próbuje złapać mnie. Wiem, co zamierza, ale nie chcę w tych butach przeciskać się przez morze spoconych, podskakujących ciał.

– Och, daj spokój! – nalega, praktycznie błaga. A potem marszczy nos, kiedy warczy, łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą. – Nie bądź dzieckiem! Jeśli ktokolwiek cię popchnie, skopię mu tyłek, jasne?

Damon z boku uśmiecha się do mnie.

– Dobra! – mówię i idę za nimi. Natalie nieomal wrywa mi palce ze stawów.

Na parkiecie przez chwilę Natalie postępuje jak najlepsza przyjaciółka, czyli tańczy blisko, bym czuła się dobrze. Potem zapomina o mnie i skupia się na Damonie. Równie dobrze mogłaby się z nim kochać na oczach tych wszystkich ludzi, a i tak nikogo by to nie wzruszyło. Tylko ja zwracam na to uwagę, prawdopodobnie dlatego, że jestem jedyną singielką w tym tłumie. Pozostali zachowują się podobnie jak Natalie i Damon. Korzystam z okazji, schodzę z parkietu i idę do baru.

– Co podać? – pyta wysoki blondyn zza baru, kiedy stoję na palcach i zajmuję pusty, wysoki stółek.

– Rum z colą.

– Fanka mocnego alkoholu – zagaduje, napełniając szklanek lodem. – Pokażesz mi dowód? – Uśmiecha się.

Wydymam usta.

– Jasne, jeśli ty pokażesz mi licencję na sprzedaż alkoholu. – Uśmiecham się do niego w odpowiedzi, a on nie przestaje się szczerzyć. Kończy nalewać drinka i przesuwam w moją stronę

szklankę po barze, podając mi. – A tak w ogóle to nie piję za wiele – mówię i upijam łyżeczek przez słomkę.

– Za wiele?

– Cóż, zazwyczaj, ale dzisiaj chłpnę sobie troszkę. – Odstawiam szklankę i wodzę palcem po limonce na jej brzegu.

– Dlaczego? – pyta, wycierając blat papierowym ręcznikiem.

– Chwileczkę. – Wystawiam palec w górę. – Zanim przyjdzie ci do głowy jakiś głupi pomysł, chcę ci powiedzieć, że nie przyszłam tu po to, by się wyplakiwać barmanowi. – Zniosę tylko wyżalenie się Natalie.

Śmieje się i wyrzuca papierowy ręcznik pod bar.

– Dobrze wiedzieć, bo nie jestem typem, który lubi słuchać żalów.

Upijam kolejny łyżeczek, ale tym razem zamiast podnieść szklankę, pochylam się nad barem. Włosy opadają mi na twarz. Odgarniam je i z jednej strony zakładam za ucho. Nie cierpię rozpuszczonych włosów, więcej z nimi problemów, niż to warte.

– Cóż, jeśli musisz wiedzieć – mówię, patrząc mu w oczy – jestem tu jedynie dlatego, że gdybym tego nie zrobiła, moja przyjaciółka prawdopodobnie wycięłaby mi jakiś obrzydliwy numer podczas snu, a potem to sfotografowała.

– Och, jedna z tych. – Oparł przedramiona na blacie i złożył razem dłonie. – Miałem takiego przyjaciela. Pół roku po tym, gdy rzuciła mnie narzeczona, wyciągnął mnie do nocnego klubu na obrzeżach Baltimore. To była ostatnia rzecz, na jaką miałem wtedy ochotę. Wołałem siedzieć w domu i nurzać się we własnym nieszczęściu, ale okazało się, że wyjście z domu tamtego wieczoru było dokładnie tym, czego potrzebowałem.

Och, świetnie. Ten facet najwyraźniej myśli, że zna mnie lub przynajmniej moją „sytuację”. Ale oczywiście bardzo się myli. Być może ma złe doświadczenia z byłą, bo wszyscy jakieś mamy, ale nie wie na przykład o rozwodzie moich rodziców, odsiadce starszego brata, Cole’a, śmierci mojego ukochanego... Nie zamierzam opowiadać temu koleśowi o tym wszystkim. W chwili, gdy zaczynasz się zwierzać komuś obcemu, stajesz się mazgajem. Prawda jest taka, że wszyscy mamy problemy; wszyscy zmagamy się z bólem, a mojego cierpienia nie można porównywać z piekłem, przez jakie przechodzi wielu ludzi, więc nie mam prawa się skarżyć na los.

– Myślałam, że nie jesteś tu na etacie psychologa. – Uśmiecham się słodko.

– Nie jestem. – Pochyla się nad barem. – Ale jeśli cokolwiek wyciągniesz z mojej historii, to bądź wdzięczna.

Uśmiecham się i znów piję drinka. Nie chcę się upić, zwłaszcza że pewnie znów będę

musiała odwiedzić nas do domu.

Udając, że niewiele mnie jego opowieść interesuje, kładę łokieć na barze, opieram brodę na dłoni i pytam:

– Zatem co się stało tamtej nocy?

Unosi lewy kącik ust w uśmiechu i potrząsa blond czupryną.

– Spałem z kimś po raz pierwszy od czasu, kiedy dziewczyna mnie opuściła, i przypomniałem sobie, jak dobrze nie być z nikim związanym.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Większość facetów, których znałam, skłamałaby na temat związkowej fobii, zwłaszcza jeśli lecieliby na mnie. Zaczyna mi się podobać ten gość. Oczywiście bez przesady; jakby to ujęła Natalie – nie chcę się dla niego wypinać.

– Rozumiem – mówię, starając się powściągnąć uśmiech. – Cóż, przynajmniej jesteś szczery.

– Nie lubię inaczej. – Sięga po pustą szklankę i nalewa sobie rumu z colą. – Odkryłem, że w dzisiejszych czasach taka sama liczba dziewczyn, jak i facetów, boi się zobowiązań. A jeśli jesteś od początku szczery, o wiele lepiej wyjdiesz na jednonocnych przygodach.

Kiwam głową, bawiąc się słomką. Nie ma mowy, żebym powiedziała to głośno, ale całkowicie się z nim zgadzam, a nawet uważam jego poglądy za nieco śmiałe. Nigdy wcześniej poważnie się nad tym nie zastanawiałam, ale chociaż nie chcę się pakować w żaden związek, to nie pogardziłabym jednonocną przygodą.

Tylko po prostu nie z nim. Ani z nikim z tego miejsca. Być może tchórzę przed przygodą na jedną noc, a drink zaczyna uderzać mi do głowy. Prawdą jest, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam i nawet sama myśl o tym jest ekscytująca, ale i tak mnie przeraża. W życiu byłam tylko z dwoma facetami: z moją pierwszą miłością, Ianem Walshem, który zginął w wypadku samochodowym trzy miesiące po tym, gdy oddałam mu cnotę, a potem z Christianem Deeringiem, pocieszycielem po Ianie i kretynem, który mnie zdradził z jakąś rudą zdziwą. Cieszę się, że nigdy nie powiedziałam mu tych dwóch żenujących słów „kocham cię”, ponieważ miałam wrażenie, że kiedy on mi je mówił, tak naprawdę nie wiedział, o czym gada. Albo i wiedział, i dlatego po pięciu miesiącach umawiania się ze mną zaczął kręcić z inną; bo nie odwzajemniłam się tymi dwoma słowami.

Patrzę na barmana, który uśmiecha się, czekając cierpliwie, aż coś powiem. Jest dobry w tym, co robi, albo to naprawdę typ koleżeński. Ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i ciepłe, brązowe oczy, które zaczynają się uśmiechać wcześniej niż usta. Jest naprawdę przystojny. Obcisły podkoszulek podkreśla doskonale umięśnione ramiona i klatkę piersiową. I jest opalony; z pewnością większość życia spędził w pobliżu oceanu.

Przestaję mu się przyglądać, kiedy zdaję sobie sprawę, że zaczynam się zastanawiać, jak wygląda w samych szortach.

– Jestem Blake – mówi. – Brat Roba.

Rob? Och, właściciel Undergroundu.

Wyciągam dłoń, a on delikatnie ją ściska.

– Camryn.

Słyszę Natalie przekrzykującą muzykę, zanim jeszcze zauważam ją w tłumie. Idzie do mnie, przepychając się przez grupę ludzi stojących przy parkiecie. Natychmiast dostrzega Blake'a, jej oczy zaczynają błyszczeć, rozpalając się razem z szerokim, płomiennym uśmiechem. Damon podąża za nią, nadal trzymając ją za rękę, też zauważa faceta, ale w jego oczach nie ma emocji. Przez moment mam jakieś dziwne przeczucie, ale szybko o nim zapominam, kiedy Natalie przyciska ramię do mojego.

– Co tu robisz? – pyta z wyraźnym wyrzutem. Kilka razy przenosi spojrzenie to na Blake'a, to na mnie i dopiero po chwili skupia uwagę na mnie.

– Piję drinka – odpowiadam. – Też przyszłaś się napić, czy raczej sprawdzasz, co się ze mną stało?

– Jedno i drugie! – odrywa się od Damona, stuka palcami o bar i uśmiecha do Blake'a. – Cokolwiek z wódką.

Blake przytakuje i spogląda na Damona.

– Dla mnie rum z colą.

Natalie przyciska usta do mojego policzka i czuję ciepło jej oddechu, kiedy szepcze mi do ucha:

– Cholera, Cam! Wiesz, kto to jest?

Widzę, jak wargi Blake'a delikatnie drgają; chyba ją usłyszał. Czuję, że twarz zaczyna mi płonąć ze wstydu:

– Tak, wiem, ma na imię Blake.

– To brat Roba! – syczy i znów zaczyna go lustrować wzrokiem.

Patrzę na Damona z nadzieją, że coś zaradzi i odciągnie ją, ale tym razem on udaje, że nie rozumie. Gdzie się podział Damon, którego znałam? Ten, który umiał mnie kryć, jeśli chodziło o Natalie?

Oho, najwyraźniej znów jest na nią wkurzony. Tak zachowuje się wyłącznie wtedy, gdy Natalie otwiera swoją niewyparzoną gębę albo gdy robi coś, co Damonowi się nie podoba. Ale

przecież jesteśmy tu dopiero od trzydziestu minut. Co mogła wywinąć w tak krótkim czasie? A wtedy uzmysławiam sobie, że to przecież Natalie; jeśli ktokolwiek umie wkurzyć chłopaka w mniej niż godzinę, nawet o tym nie wiedząc, to z pewnością ona.

Zsuwam się ze stołka i odciągam ją za rękę od baru. Damon zostaje z tyłu wraz z Blakiem, prawdopodobnie domyślając się, co zamierzam zrobić.

Muzyka wydaje się coraz głośniejsza, kiedy zespół grający na żywo kończy jedną piosenkę i zaczyna następną.

– Co zrobiłaś? – Odwracam ją twarzą do siebie.

– Co masz na myśli? – Ledwo zwraca na mnie uwagę, jej ciało buja się w rytm muzyki.

– Nat, mówię poważnie.

W końcu przestaje się ruszać i patrzy na mnie, szukając na mojej twarzy odpowiedzi.

– Czym wkurzyłaś Damona? – pytam. – Wszystko było w porządku, kiedy wchodziliśmy.

Przez chwilę patrzy na swojego chłopaka popijającego drinka przy barze, a potem skonsternowana spogląda na mnie.

– Nic nie zrobiłam... przynajmniej tak myślę. – Patrzy w górę, jakby chciała sobie przypomnieć, co mogła powiedzieć lub zrobić. W końcu opiera rękę na biodrach. – Dlaczego sądzisz, że on jest wkurzony?

– Widać to po nim – mówię, spoglądając na niego oraz Blake'a. – A ja nienawidzę, gdy się kłócicie, zwłaszcza że utknęłam z wami na noc i będę musiała wysłuchiwać dąsów, jak przy tym głównie rok temu.

Wyraz zdezorientowania na twarzy Natalie zmienia się w szelmowski uśmiech.

– Cóż, myślę, że masz paranoję albo próbujesz zmienić temat, żeby nie mówić, o co chodzi z tobą i Blakiem. – Jej spojrzenie staje się coraz bardziej figlarne i coraz mniej mi się to podoba.

– O nic, tylko rozmawialiśmy.

– Rozmowa jest pierwszym krokiem. Uśmiechałaś się do niego, bo właśnie to zobaczyłam, kiedy do ciebie podeszłam, a to jest już drugi krok. – Krzyżuje ramiona i wygina biodro. – Mogę się założyć, że zdążył cię już wypytać, a ty udzieliłaś kilku odpowiedzi, cholera, przecież znasz już jego imię.

– Jak na kogoś, kto chciał, żebyśmy się dobrze bawiła i poznała faceta, naprawdę nie wiesz, kiedy się zamknąć, gdy rzeczy zaczynają iść po twojej myśli.

Natalie ponownie daje się porwać muzyce, unosząc ręce i poruszając uwodzicielsko biodrami. Ja po prostu stoję.

– Nic nie zaszło – mówię poważnie. – Masz, co chciałaś, rozmawiałam z kimś bez intencji informowania go, że mam chłamydię, więc proszę, nie rób scen.

Nat poddaje się z głośnym westchnieniem i przestaje tańczyć na tyle długo, by powiedzieć:

– Chyba masz rację. Zostawiam cię jemu, ale jeśli porwie cię na piéterko Roba, chcę poznać szczegóły. – Wskazuje na mnie, jakby strzelała z palca, mruży oko i zaciska usta.

– Dobra – oznajmiam tylko po to, by ze mnie zeszła – ale nie napalaj się tak, bo to się nigdy nie wydarzy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Godzinę i dwa drinki później jestem z Blakiem na „pięterku Roba”. Lekko szumi mi w głowie. Widzę wszystko wyraźnie i chodzę prosto, dlatego wiem, że nie jestem pijana. Ale jestem nazbyt szczęśliwa i trochę mnie to denerwuje. Kiedy Blake zasugerował „chwilową ucieczkę od hałasu”, moje syreny alarmowe zawyły, powodując chaos w umyśle. *Nie rób tego w dyskotecze po wypiciu kilku drinków z facetem, którego nie znasz. Nie rób tego, Cam. Nie jesteś głupią dziewczyną, więc nie pozwól, by alkohol uaktywnił głupotę.*

Te myśli gorączkowo tłukły mi się po głowie. I skupiałam się na nich, dopóki szczery uśmiech Blake’a nie sprawił, że poczułam się swobodnie. Uspokoił mój wewnętrzny głosik i wyciszył syrenę alarmową na tyle, że już jej nie słyszałam.

– To jest właśnie to, co zwą „pięterkiem Roba”? – pytam, oglądając panoramę miasta, ponieważ znajdujemy się na dachu magazynu. Wszystkie budynki w mieście oświetlone są na biało, niebiesko albo zielono, a ulice toną w pomarańczowej poświacie setek lamp ulicznych.

– A czego się spodziewałaś? – mówi i bierze mnie za rękę. Denerwuję się, ale na zewnątrz pozostaję spokojna. – Puchatego pokoiku do seksu z lustrami na suficie?

Czekajcie... to jest dokładnie to, czego się spodziewałam – no, może nie dosłownie – w takim razie dlaczego, do diabła, zgodziłam się tu przyjść?

Dobra, chyba zaczynam panikować.

A może mimo wszystko jestem pijana, przecież normalnie myślałabym inaczej. To mnie tak przeraża, że prawie całkowicie trzeźwieję, bo do tej pory byłam święcie przekonana, że będę się trzymać z dala od „pokoików do seksu”, nawet w stanie upojenia. Czy to naprawdę alkohol powoduje, że głupieję, czy może jest coś we mnie, do czego istnienia nie chcę się przyznać?

Patrzę na metalowe drzwi w ceglany murze i zauważam światło przesączające się wzdłuż nich. Zostawił je niezamknięte; to dobry znak.

Blake prowadzi mnie do drewnianego stolika piknikowego. Spięta siadam na blacie obok niego. Wiatr rozwiewa mi włosy, przyklejając kilka pasm do warg. Odgarniam je palcami.

– Dobrze, że to ja – mówi, patrząc na miasto z rękami opartymi na kolanach. Nogi postawił na ławce.

Siadam po turecku, łokcie kładę na nogach. Patrzę na niego pytająco.

– Dobrze, że to ja cię tutaj zabrałem – wyjaśnia. – Tak piękna dziewczyna jak ty mogła tu trafić z różnymi facetami. – Odwraca głowę i spogląda na mnie. Brązowe oczy błyszczą w ciemności. – Gdybym był kimś innym, mogłabyś skończyć jako ofiara gwałtu jak w filmie z kanału Lifetime.

Natychmiast trzeźwieję. Tak po prostu. W ciągu dwóch sekund wyparowuje ze mnie

alkohol. Plecy prostują się i sztywnieją. Biorę głęboki, nerwowy oddech.

Co ja sobie, kurwa, myślałam?!

– Wszystko w porządku – uśmiecha się leciutko i obraca otwarte dłonie wnętrzem w górę.
– Nigdy nie zmuszam dziewczyny do niczego, czego by nie chciała, nawet takiej, która wypija za dużo i wydaje się jej, że wie, czego chce.

Ufff, uniknęłam śmiercionośnej kuli.

Lekko rozluźniam ramiona i czuję, że znów mogę oddychać. Oczywiście może mnie karmić bzdurami, żebym mu zaufała, ale instynkt mi podpowiada, że jest nieszkodliwy. Nadal jestem czujna, ale przynajmniej mogę nieco wyluzować. Gdyby chciał mnie wykorzystać, nie mówiłby o tym.

Śmieję się pod nosem.

– Co cię tak śmieszy?

– To, że wspomniałeś o Lifetime – odpowiadam nieco zażenowana. – Oglądasz takie filmy?

On również jest zmieszany.

– Nie. To było tylko porównanie.

– Naprawdę? – kpię. – Trudno uwierzyć. Jesteś pierwszym znanym mi facetem, któremu przyszło do głowy porównanie z Lifetime.

Rumieni się, a ja daję sobie mentalnego kopa za to, że mi się podoba.

– Ale nikomu o tym nie powiesz, dobrze?

Uśmiecham się do niego, a potem skupiam uwagę na światłach miasta, by rozwiać nadzieje i oczekiwania, jakie mogła w nim wzbudzić nasza krótka i zabawna wymiana zdań. Nie obchodzi mnie, że jest miły, czarujący, seksowny – nie jestem zainteresowana. Nie jestem gotowa na nic ponad tę niewinną, przyjacielską rozmowę, bez seksualnych podtekstów czy nacisku na związek. Cholernie trudno to wytłumaczyć większości facetów, ponieważ myślą, że zwykły uśmiech oznacza coś więcej.

– Zatem powiedz mi – prosi – dlaczego jesteś tu sama?

– Och, nie... – Kręcę głową i macham palcem. – Nie idziemy w tę stronę.

– Daj spokój, rzuć mi jakąś kość. To tylko rozmowa. – Odwraca się do mnie, podwija nogę i opiera na stole. – Naprawdę chcę wiedzieć. To nie jest podstęp.

– Podstęp?

– Tak, na przykład szukanie twoich słabych punktów, problemów, aby znaleźć coś, by móc udawać troskę i dzięki temu łatwiej się dostać do twoich majtek. Jeśli chciałbym się tam dostać, to bym ci powiedział.

– Och, więc nie chcesz się dostać do moich majtek? – Patrzę na niego z krzywym uśmiechem.

– W końcu tak. Byłoby popieprzone, gdybym nie miał na to ochoty, ale jeśli to było wszystko, czego bym od ciebie chciał, i gdybym przyprowadził cię tu tylko po to, żeby się z tobą przespać, powiedziałbym ci o tym, zanim zgodziłaś się przyjść.

Doceniam szczerość i na pewno mam do niego większy szacunek, ale mój uśmiech nieco gaśnie, gdy mówi, że to nie wszystko, czego ode mnie chce. No bo czego innego może ode mnie chcieć? Randek, które doprowadzą do tego, że zaczniemy być parą? Hmm, nie.

– Słuchaj – mówię chłodno i staram się, by zauważył zmianę mojej postawy – ja też tego nie szukam, teraz już wiesz.

– Też nie szukasz czego? – I sekundę później wymyśla „czego”. Kręci głową. – W porządku. Też tak mam, naprawdę przyprowadziłem cię tu, by porozmawiać, jakkolwiek trudno w to uwierzyć.

Coś mi podpowiada, że jeśli chciałabym czegoś więcej, seksu albo randek, albo jednego i drugiego, Blake dałby mi to, jednak płynnie się wycofuje, nie wyglądając na odrzuconego.

– Odpowiadając na twoje pytanie – oznajmiam, litując się nad nim – jestem singlem, ponieważ miałam kilka okropnych doświadczeń, a teraz po prostu nie szukam żadnych zobowiązań.

Blake przytakuje.

– Już mówiłaś. – Patrzy gdzieś w dal i wiatr targa mu włosy, porywając mu grzywkę z czoła. – Zobowiązania generalnie są do dupy, przynajmniej na początku. Uczenie się siebie nawzajem jest koszmarem. – Patrzy na mnie. – Ale pozostając z kimś długo, przyzwyczajasz się, wiesz? To jest komfortowe. Kiedy już zadomowimy się w komforcie, a później próbujemy się z niego wydostać, nawet jeśli to piekielnie trudne i niezdrowe, to jest tak, jak byśmy starali się wywalić wielką kanapę z salonu, żeby mieć więcej przestrzeni życiowej. – Być może zdając sobie sprawę, że zbyt wcześnie zagłębił się w te rozważania, Blake poprawia nastrój: – Dopiero po trzech miesiącach mieszkania z Jen udało mi się w spokoju wysrać, gdy ona była w domu.

Cichoczę, a kiedy wreszcie mam odwagę, by na niego spojrzeć, dostrzegam, że też się uśmiecha.

Mam wrażenie, że nie jest do końca pogodzony z odejściem narzeczonej, choć bardzo stara się w to wierzyć. Próbuję zatem zrobić mu przysługę i zaczynam swój bolesny temat, zanim

sobie uświadomi, że się oszukuje, i jego świat ponownie zacznie się rozpadać.

– Mój chłopak zginął – wyrzucam z siebie głównie ze względu na niego. – W wypadku samochodowym.

Blake'a smutnieje i patrzy na mnie, w jego oczach widzę skruchę.

– Przepraszam, nie chciałem...

Podnoszę dłoń.

– Nie, wszystko w porządku, nie zrobiłeś nic złego. – Kiwa głową subtelnie i czeka, aż powiem coś więcej, więc kontynuuję: – To było tydzień przed maturą.

Kładzie mi rękę na kolanie, ale wiem, że to tylko pocieszenie.

Zbieram się, by mu wszystko opowiedzieć, gdy nagle słyszę głośne klaśnięcie. Blake spada ze stolika i rozpląszcza się na dachu. To stało się tak szybko, że nie zauważyłam Damona pędzącego z boku ani nie słyszałam otwieranych metalowych drzwi, znajdujących się kilka metrów dalej.

– Damon! – wrzeszczę w chwili, gdy dopada Blake'a nadal leżącego na ziemi i zaczyna okładać go pięściami. – PRZESTAŃ! DAMON! O MÓJ BOŻE!

Kolejna seria ciosów spada na Blake'a, zanim otrząsam się z szoku i podbiegam do Damona, żeby go odciągnąć. Wskakuję mu na plecy, próbuję złapać za nadgarstki, ale Damon jest tak skupiony na biciu Blake'a, że czuję się, jakbym siedziała na grzbiecie mechanicznego byka. W końcu zostaję zrzucona i ciężko ląduję na betonie, kończąc na tyłku i podpierając się dłońmi.

Solidny cios w twarz Damona wystarczy, by Blake w końcu mógł się podnieść.

– O co ci, kurwa, chodzi, koleś?! – pyta. Jedną ręką rozciera szczękę, jakby próbował wpasować ją na miejsce. Z nosa cieknie mu krew, a górna warga zaczyna szybko puchnąć. Cała ta krew w ciemności wygląda na czarną.

– Wiesz, o co mi, kurwa, chodzi! – ryczy Damon i pędzi, by ponownie zaatakować, ale staję między nimi i robię, co mogę, aby nie dopuścić do bójki. Przykładam dłonie do twardej jak skała piersi Damona.

– Przestań! Tylko rozmawialiśmy! Co ci, do diabła, strzeliło do głowy? – krzyczę. Odwracam się, nie odrywając rąk od klatki Damona, i patrzę na Blake'a. – Przepraszam, Blake, ja... ja...

– Nie przejmuj się tym – mówi ostrym głosem. – Spadam stąd.

Odwraca się i zmierza do drzwi. Głośny stuk metalu unosi się w powietrzu, kiedy

zatrząskuje je za sobą. Odwracam się do Damona i najmocniej, jak mogę, walę go w pierś.

– Ty dupku! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! – krzyczę kilka centymetrów od jego twarzy.

Warga Damona drży, kiedy ciężko oddycha po walce. Ciemne oczy są rozszerzone, wyglądają jak dzikie. Jakaś część mnie nie ufa mu, ale ta, która zna go od dwunastu lat, zagłusza wszelakie podejrzenia.

– A ty co tutaj robisz sama z kolesiem, którego dopiero, kurwa, poznałaś? Myślałem, że jesteś mądrzejsza, Cam, nawet pijana!

Odsuwam się i gniewnie krzyżuję ramiona.

– Nazywasz mnie głupią? Tylko rozmawialiśmy! – krzyczę, a włosy rozsypują się mi wokół twarzy. – Doskonale umiem odróżnić dupka od porządnego faceta, a właśnie teraz przed sobą widzę totalnego, pieprzonego dupka!

Wydaje się, że za mocno zaciśniętymi ustami zgrzyta zębami.

– Nazywaj mnie, jak chcesz, ale starałem się ciebie chronić – mówi zaskakująco spokojnie.

– Przed czym?! – krzyczę. – Przed kulawą rozmową? Przed facetem, który chciał tylko pogadać?

Damon uśmiecha się.

– Żaden facet nie chce tylko pogadać – mówi jak ekspert. – Żaden chłopak nie prowadzi dziewczyny wyglądającej jak ty na dach pieprzonego magazynu tylko po to, by w samotności pogadać. Jeszcze dziesięć minut i ściągnąłby twój śliczny, mały tyłeczek z tego stołu i zaczął się do ciebie dobierać. Nikt nie usłyszałby twojego krzyku, Cam.

Przełykam gulę, która urosła mi w gardle, ale na jej miejscu tworzy się nowa. Może Damon ma rację? Może dałam się nabrać na pozorną szczerość Blake'a i niepotrzebnie rozczulałam się nad tym, jak został skrzywdzony, poległam kompletnie pod wpływem taktyki, której do tej pory nie znałam. Jasne, że przewidywałam różne scenariusze, kilka wariantów rozwoju sytuacji znałam z telewizji, ale być może Blake próbował czegoś zupełnie innego... Nie, nie wierzę w to. Gdybym o to poprosiła, rozciągnąłby mnie na piknikowym stole, ale serce podpowiada mi, że w innym wypadku by tego nie zrobił.

Odwracam się plecami do Damona, nie chcąc, żeby wyczytał z mojej twarzy, że przez sekundę mu wierzyłam. Jestem na maksa wkurwiona, że w ten sposób to rozegrał, ale nie mogę się gniewać na niego w nieskończoność, ponieważ rzeczywiście się o mnie martwił. Bez wątplenia zachował się jak napędzany testosteronem samiec alfa, ale mimo wszystko tylko martwił się o mnie.

– Cam, spójrz na mnie, proszę.

Odczekuję jeszcze kilka sekund i odwracam się z nadal skrzyżowanymi ramionami.

Damon patrzy na mnie cieplej niż wcześniej.

– Przepraszam, ja tylko... – wzdycha i ucieka spojrzeniem w bok, jakby nie mógł jednocześnie mówić i patrzeć na mnie. – Camryn, nie mogę znieść myśli o tobie z innym facetem.

Teraz czuję, jakby ktoś walnął mnie w brzuch. Z przerażeniem w oczach nerwowo spoglądam na metalowe drzwi, a potem na niego.

– Gdzie Natalie? – Koniecznie muszę zmienić temat. Co on, do cholery, powiedział? Nie, nie mógł mieć na myśli tego, co zrozumiałam. Musiałam źle usłyszeć.

Tak, znów szumi mi w głowie i nie myślę jasno.

Damon podchodzi i łapie mnie za łokcie. Czuję, że muszę się odsunąć, ale jestem jak sparaliżowana, mogę poruszać jedynie oczami.

– Mówiłem poważnie – ścisza głos do szeptu. – Podobasz mi się od siódmej klasy.

I znowu cios w brzuch.

W końcu udaje mi się odsunąć od niego.

– Nie, nie. – Kręcę i potrząsam głową, próbując to zrozumieć. – Damon, jesteś pijany? Brałeś coś? Coś jest z tobą nie tak. – Rozkładam ramiona i podnoszę ręce. – Musimy znaleźć Natalie. Nie powtórzę jej tego, co mi powiedziałaś, bo i tak rano nie będziesz pamiętał, ale teraz naprawdę musimy już iść. Natychmiast.

Kieruję się do teraz na pewno zamkniętych metalowych drzwi, ale Damon zaciska dłoń wokół mojego ramienia. Odwraca mnie. Zamieram i nagle z pełną mocą powraca to dziwne uczucie niepewności, jakie miałam wcześniej, całkowicie wymazując lata, gdy mu ufałam. Patrzy na mnie jeszcze dzikszym wzrokiem niż poprzednio, ale nadal w jego oczach dostrzegam niesamowitą miękkość.

– Nie jestem pijany i od zeszłego tygodnia nie brałem koki.

To, że w ogóle bierze narkotyki, jest aż nadto wystarczającym powodem, bym nigdy się nim nie zainteresowała, ale zawsze był przyjacielem, więc przymykałam oczy na jego ćpanie. Jednak teraz mówi mi prawdę, a wiem to, ponieważ znam go bardzo długo.

Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie jest napruty, bo jutro nie pamiętałby o całej sprawie.

Patrzę na jego palce zaciśnięte wokół mojego ramienia i w końcu zaczynam czuć, jak mocno mnie trzyma. I to zaczyna mnie przerażać.

– Puść mnie, Damon, proszę.

Zamiast mnie puścić, zaciska palce jeszcze mocniej, więc próbuję się wyszarpnąć. Przyciąga mnie i zanim potrafię zareagować, zamyka mi usta swoimi. Drugą rękę owija wokół mojego karku, unieruchamiając głowę. Stara się wepchnąć mi język w usta, ale udaje mi się odchylić głowę na tyle, by walnąć go czołem. To go ogłusza – i mnie przy okazji – ale instynktownie mnie puszcza.

– Cam! Czekaj! – Słyszę, jak krzyczy za mną, gdy rzucam się, by otworzyć metalowe drzwi. Słyszę jego pośpieszne kroki na stalowych schodach, ale gubię go, kiedy wsiadam do starej windy, zatrzasnę kratę i nerwowo uderzam kilka razy w przycisk.

Mijam w drzwiach tego samego ogra, który wpuszczał nas do klubu, muszę się obok niego przepchnąć, żeby wydostać się na zewnątrz.

– Spokojnie, mała! – krzyczy za mną, kiedy biegnę chodnikiem, byle dalej od magazynu.

Biegnę aż do stacji paliwowej Shell, a potem dzwonię po taksówkę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rano budzi mnie komórka. Słyszę, jak wibruje na szafce nocnej, tuż obok mojej głowy. NATALIE – wyświetla się napis na ekranie, poniżej roześmiana twarz. Całkowicie mnie to rozbudza, zrywam się, trzymam w ręce telefon, pozwalając mu przez parę sekund wibrować, aż w końcu zbieram się na odwagę i wciskam zielony przycisk.

– Gdzie byłaś? – krzyczy mi do ucha. – Mój Boże, Cam, zniknęłaś, a ja zaczęłam wariować i Damona nie było przez chwilę, a potem się pojawił, i widziałam Blake’a całego zakrwawionego, i wtedy dopiero uświadomiłam sobie, co mówiłaś o tym, że Damon był wkurzony... – W końcu bierze oddech. – I zaczęłam go pytać, czy coś powiedziałam, czy zrobiłam, czy może chodziło o to w restauracji w tamtym tygodniu, ale on mnie zignorował i powiedział, że już czas, by iść, a ja...

– Natalie – przerywam jej, moja głowa nie nadąża za potokiem jej słów – uspokój się na chwilę, dobrze?

Zrzucam kołdrę i z telefonem nadal przyciśniętym do ucha wychodzę z łóżka. Wiem, że muszę to zrobić, powiedzieć jej, co zrobił Damon. Po prostu muszę. Nie tylko dlatego, że ona nie wybaczyłaby mi nigdy, gdyby w końcu się dowiedziała, ale sama sobie też nigdy bym nie wybaczyła. Gdyby role się odwróciły, chciałabym, żeby mi powiedziała.

Ale nie przez telefon. To musi być rozmowa twarzą w twarz.

– Możemy się spotkać za godzinę na kawie?

Cisza.

– Uhm, jasne. Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Martwiłam się. Myślałam, że zostałaś porwana czy coś.

– Natalie, tak, ze mną wszystko... – *Ze mną totalnie NIE w porządku!* – ...wszystko dobrze. Po prostu spotkaj się ze mną za godzinę i proszę, przyjdź sama.

– Damon odleciał – mówi i wyczuwam uśmiech w jej głosie. – Dziewczyno, ostatniej nocy robił mi niewyobrażalne rzeczy.

Drzę, gdy słyszę te słowa. Ranią mnie jak ostrze noża, ale udaję, że to nic wielkiego.

– To znaczy, nie mogłam nawet myśleć o seksie, dopóki nie upewniłam się, że z tobą wszystko OK. Nie odbierałaś komórki, więc zadzwoniłam do twojej mamy około trzeciej, a ona powiedziała, że śpisz we własnym łóżku. Ale nadal się martwiłam, bo tak nagle zniknęłaś i...

– Za godzinę – przerywam, zanim znów zdąży się rozpędzić.

Rozłączam się i pierwsze, co robię, to sprawdzam listę nieodebranych połączeń. Sześć jest od Natalie, ale pozostałe dziewięć od Damona. Jedyną wiadomość głosową nagrała Natalie.

Podejrzewam, że Damon nie chciał zostawiać żadnych obciążających go dowodów.

Nie to, żebym potrzebowała dowodów. Natalie i ja przyjaźnimy się, odkąd ta suka ukradła moją ulubioną lalkę Barbie, gdy byłyśmy na pizama-party.

Do czasu gdy zjawia się Natalie, wiercę się i wypijam pół latte. Pojawia się i opada na krzesło. Szkoda, że tak szeroko się uśmiecha, to tylko pogarsza sprawę.

– Wyglądasz okropnie, Cam.

– Wiem.

Mruga zaskoczona.

– Co? Żadnego sarkastycznego „dziękuję” zakończonego słynnym przewracaniem oczami?

Proszę, przestań się uśmiechać, Nat. Proszę, chociaż raz weź przykład ze mnie i bądź poważna.

Oczywiście tego nie robi.

– Słuchaj, mam zamiar po prostu to powiedzieć, dobrze?

No i proszę, uśmiech w końcu zaczyna znikać.

Przełykam i biorę głęboki oddech. Boże, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje! Jeśli chodziłoby o jakiegoś przypadkowego faceta, z którym spotykała się podczas krótkich rozstań z Damonem, nie byłoby to takie trudne. Ale to przecież Damon. Jest z nim od pięciu lat, w jego ramiona wraca zaraz po tym, gdy się z nim pokłóci. Jest jedynym mężczyzną, w którym była szczerze zakochana.

– Cam, co się dzieje? – Zaczyna czuć, że chce jej powiedzieć coś ważnego, i widzę w jej brązowych oczach, że kombinuje, jak poradzić sobie z czymś, czego nie będzie chciała słuchać. Chyba domyśla się, iż ma to związek z Damonem.

Przełyka nerwowo ślinę.

– Poprzedniej nocy poszłam z Blakiem na dach...

Na zaniepokojonej twarzy nagle pojawia się uśmiech. Dostrzega możliwość obrócenia w żart poważnej sytuacji. Ale przerywam jej, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

– Po prostu posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze? – W końcu mam, czego chciałam. Na jej twarzy nie ma już zwykłego figlarnego wyrazu. – Damon pomyślał, że Blake zabrał mnie na dach, żeby się do mnie dostać. Wbiegł i rzucił się na niego, sprzął go na miazgę. Blake się wkurwił i sobie poszedł, więc zostaliśmy sami z Damonem. Sam na sam.

Oczy Natalie już zdradzają jej obawy. Tak jakby wiedziała, co zamierzam powiedzieć, i zaczynała mnie za to nienawidzić.

– Damon siłą mnie przytulił, Nat. – Jej oczy stają się coraz większe. – Pocałował mnie i starał się wmówić, że czuje coś do mnie od siódmej klasy. – Po jej płytkim oddechu, wnioskuję, że jest zdenerwowana. – Chciałam ci powiedzieć...

– Ty kłamliwa zdiro.

Ponownie czuję uderzenie w brzuch, tyle że tym razem tracę oddech.

Natalie podrywa się z krzesła, zarzuca torebkę na ramię i gapi się na mnie ciemnymi oczami, otoczonymi równie ciemnymi włosami.

Nadal nie mogę się ruszyć, oszołomiona tym, co powiedziała.

– Chciałaś Damona dla siebie od chwili, gdy zaczęłam się z nim spotykać – syczy. – Myślisz, że przez te wszystkie lata nie widziałam, jak na niego patrzysz? – Jej usta zaciskają się w wąską linię. – Cholera, Camryn, zawsze opieprzasz mnie, że z nim jestem, gdy zaczynam sobie żartować na temat innych facetów. – Zaczyna mnie przedrzeźniać, energicznie gestykulując i przesadnie modulując głos: – Masz chłopaka, Nat... Nie zapominaj o Damonie, Nat... Powinnaś myśleć o Damonie, Nat. – Uderza dłońmi o blat, sprawiając, że stół przez chwilę się kołysze. Nawet nie próbuję złapać kubka, nim kawa się rozleje, jednak się nie przewraca. – Odwal się ode mnie i od Damona – rzuca mi w twarz. – Albo knę się na Boga, że nakopię ci do dupy.

Idzie wprost do szklanych drzwi, a kiedy je zamyka, dźwięk dzwoneczka zawieszono nad nimi rozchodzi się w powietrzu. Gdy w końcu dochodzę do siebie, zauważam trzech gapiących się na mnie klientów. Nawet sprzedawczyni stojąca za ladą odwraca wzrok, kiedy krzyżuję z nią spojrzenie. Spuszczam oczy i niewidzącym wzrokiem śledzę słoje drewna na blacie stolika. Ukrywam twarz w dłoniach i siedzę nieruchomo przez bardzo długą chwilę.

Dwa razy mam ochotę do niej zadzwonić, ale zmuszam się, by tego nie robić, i odkładam komórkę na stół.

Jak to się mogło stać? Lata, kiedy byłyśmy jak papużki nierozłączki – na Boga, sprzątałam po tym, gdy rzygała – a ona wyrzuca mnie jak spleśniałe resztki? Staram się sobie wmówić, że jest po prostu zraniona. *Jest teraz na etapie zaprzeczenia i muszę dać jej czas, aby dotarła do niej prawda. W końcu to zrozumie, rzuci tego dupka, przeprosi mnie i zaciągnie do Undergroundu, żeby znaleźć nam nowych chłopaków.* Ale tak naprawdę nie wierzę w to albo raczej moja mniej racjonalna, zraniona część nie pozwala mi widzieć świata przez czerwień gniewu.

Jakiś klient, starszy pan w wymiętym garniturze, przechodzi obok mnie i rzuca ukradkowe spojrzenie, zanim przechodzi przez szklane drzwi. Jestem upokorzona. Spoglądam w górę i krzyżuję spojrzenie ze sprzedawczynią, tylko tym razem ja odwracam wzrok. Czuję, że mnie żalują. A ja nienawidzę, kiedy ktoś się nade mną lituje.

Łapię torebkę, która leży na podłodze, wciskam ją na ramię i wychodzę prawie tak samo oburzona jak Natalie.

Mija tydzień, a ja nie słyszałam od Natalie nawet słówka. Właściwie to się przełamalam i kilka razy próbowałam do niej zadzwonić, ale zawsze włączała się poczta. A ostatnim razem, kiedy dzwoniłam, usłyszałam, że zmieniała powitanie na sekretarce. Teraz brzmiało tak: „Hej, tu Nat. Jeśli jesteś przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, to zostaw wiadomość, a oddzwonię. W innym wypadku nie będę sobie zawracać tym głowy”.

Gdybym mogła, to bym ją udusiła, ale zamiast tego rzuciłam komórką przez pokój. Na szczęście, razem z telefonem kupiłam ochronny futerał, ponieważ gdyby nie on, maszerowałabym już do sklepu Apple'a wydać kilka stówek.

Przełamalam się nawet na tyle, że próbowałam zadzwonić do Damona. Był ostatnią osobą na świecie, z którą chciałam rozmawiać, ale to on dzierżył klucz do mojej przyjaźni z Natalie. Niefortunne, ale najwidoczniej prawdziwe. I nie wiem, co sobie myślałam: że pójdzie do Natalie i wyzna jej prawdę? Akurat, zero szans.

Przestałam więc dzwonić. Celowo unikałam naszej ulubionej kawiarni i skazałam się na głównianą kawę z najbliższego sklepu spożywczego, nawet pojechałam okrężną drogą na rozmowę kwalifikacyjną do Dillard's, tylko po to, żeby nie przejeżdżać obok mieszkania Natalie.

Dostałam pracę. Stanowisko asystentki kierownika – mama szepnęła słówko, bo pani Phillips, która mnie zatrudniała, była jej koleżanką – ale byłam podekscytowana pracą w domu towarowym tak samo jak piciem tej lurowatej kawy co rano.

I dotarło to do mnie, kiedy siedziałam przy kuchennym stole i obserwowałam, jak mama o utlenionych na blond włosach przegląda lodówkę: nie mam już planów na samodzielne życie i wyprowadzkę do przyjaciółki. Albo wynajmę mieszkanie, albo będę tu tkwiła z matką i czekała, aż Natalie pójdzie po rozum do głowy. Co może oznaczać – nigdy. Albo może trwać tak długo, że stanę się zrzędliva i każę się jej odpieprzyć, gdy w końcu to zrobi.

Czuję, jakby pomieszczenie zaczęło się kołysać.

– Wychodzę wieczorem z Rogerem – oznajmia mama zza drzwi lodówki. Spogląda na mnie, a ja dostrzegam, że na powiekach ma zbyt dużo cienia. – Poznałaś Rogera, prawda?

– Tak, poznałam. – Być może tak, a może nie, ale jego imię może mi się mieszać z imionami pięciu ostatnich facetów, z jakimi umawiała się mama w poprzednim miesiącu. Ostatnio zapisała się na program szybkich randek. I szybko kończyła z poznanymi tam facetami, więc myślę, że nazewnictwo jest odpowiednie.

– Jest fajny, idę z nim na trzecią randkę.

Staram się uśmiechnąć. Chcę, by mama była szczęśliwa, nawet jeśli to oznacza, że znów wyjdzie za męża, co mnie śmiertelnie przeraża. Kocham ojca – jestem córeczką tatusia – ale to, co

zrobił mamie, jest niewybaczalne.

Odkąd rozwiedli się cztery miesiące temu, mama się zmieniła. Tylko czasami rozpoznaję w niej kobietę, którą znałam. Jakby otworzyła szufladę, która była zamknięta przez trzydzieści lat, i wyciągnęła z niej osobowość z czasów, kiedy chodziła na randki z tatą, zanim wyszła za niego za mąż i urodziła Cole'a i mnie. Tylko że już na nią nie pasuje, ale ona próbuje się w to wcisnąć na siłę.

– Mówił, że zamierza zabrać mnie w rejs. – Jej twarz rozjaśnia się, kiedy tylko o tym myśli.

Zamykam laptop.

– Nie uważasz, że trzecia randka to za wcześnie na rejs?

Zaciska wargi i macha ręką.

– Nie, kochanie, jest w porządku. On ma mnóstwo pieniędzy, więc dla niego to nic niezwykłego, jakby zapraszał mnie na kolację.

Patrzę w dal i skubię kanapkę, którą sobie przygotowałam, chociaż nie byłam głodna. Mama kręci się po kuchni, udając, że sprząta. Zazwyczaj w środy przychodzi gospodyni, ale kiedy spodziewa się wizyty mężczyzny, mama stara się uporządkować naczynia i spryskuje dom odświeżaczem powietrza.

– Pamiętaj o sobocie – mówi, wkładając naczynia do zmywarki, co jest niespodzianką.

– Wiem, mamó – wzdycham i kręcę głową. – Pomyślałam tylko, że tym razem się wymigam.

Szybko prostuje się i patrzy na mnie.

– Kochanie, obiecałaś pójść – mówi rozpaczliwie, nerwowo stukając paznokciami o blat.
– Wiesz, że nie lubię sama wchodzić do tego więzienia.

– To więzienie, mamó. – Od niechcenia skubię skórę od chleba i wrzucam ją na talerz. – I nie mogą cię dorwać, oni wszyscy są zamknięci, tak samo jak Cole. Siedzą za swoje cholerne sprawy. – Mama pochyla głowę i ogromna gęsia skórka w moim zaciskającym się żołądku. Wzdycham głęboko. – Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Dokładnie to miałam na myśli, tylko nie powinnam mówić tego głośno, ponieważ ją za każdym razem rani, gdy mówię o starszym bracie i jego pięcioletnim wyroku za zabicie człowieka podczas jazdy po pijanemu. To stało się zaledwie pół roku po tym, gdy Ian zginął w wypadku samochodowym. Czuję, jakbym wszystkimi straciła...

Wstaję od stołu i podchodzę do zlewu, mama wraca do ładowania zmywarki.

– Pójdę z tobą, OK?

Obdarowuje mnie uśmiechem, nadal pokrytym cieniutką warstwą bólu, a potem przytakuje.

– Dziękuję, kochanie.

Żał mi jej. Pęka mi serce z powodu zdrady ojca po dwudziestu dwóch latach małżeństwa. Ale wszyscy się tego spodziewaliśmy.

I pomyśleć, że starali się odsunąć mnie od Iana, kiedy w wieku szesnastu lat zwierzyłam się mamie, że jesteśmy zakochani. Rodzice mają to dziwne przekonanie, że ktoś młodszy niż dwudziestolatek nie ma pojęcia, czym jest miłość, jakby wiek, w którym można się zakochać, był tak ustalony jak prawo do kupowania alkoholu. Uważają, że „rozwijający się emocjonalnie” umysł nastolatka nie jest w stanie ogarnąć miłości ani rozpoznać, czy jest prawdziwa.

To kompletna głupota.

Prawda jest taka, że dorośli kochają w inny sposób, a nie w jedyny. Kochałam Iana w terażniejszości, za to, jak patrzył na mnie, jak sprawił, że motyle w brzuchu podrywały się do lotu, za to, że trzymał mi włosy, gdy rzygałam po zjedzeniu nieświeżej enchilady.

To jest miłość.

Uwielbiam rodziców, ale długo przed ich rozwodem, kiedy mama ostatni raz była chora, tata tylko przygotował jej lekarstwo i wychodząc, spytał, gdzie jest pilot. Ale nieważne. Myślę, że moi rodzice coś spieprzyli w moim wychowaniu, ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo są dla mnie dobrzy, ile dla mnie zrobili i jak bardzo ich kocham, i tak dorastałam przerażona, że skończę jak oni. Nieszczęśliwa i tylko udająca wspaniałe życie z dwójką dzieci, psem i białym płotkiem. Ale w rzeczywistości wiem, że w łóżku spali odwróceniem do siebie plecami. Wiem też, że mama często zastanawiała się, jakie byłoby jej życie, gdyby dała kolejną szansę chłopcu, którego w tajemnicy „kochala” w liceum (czytałam jej stary pamiętnik, wiem o nim wszystko). Wiem też, że tata długo przed tym, zanim zdradził z nią mamę, wiele rozmyślał o Rosannie Hartman, jego partnerce ze studniówki (i pierwszej miłości), która nadal mieszka na Wiltshire.

Jeśli ktokolwiek ma urojenia na temat tego, jak działa miłość i czym jest prawdziwe uczucie, to przede wszystkim dorośli.

Ian i ja nie uprawialiśmy seksu tej nocy, kiedy oddałam mu swoje dziewictwo; kochaliśmy się. I do tamtej chwili myślałam, że nigdy nie wypowiem słów „kochać się”, ponieważ to brzmiało banalnie, jakby było przeznaczone tylko dla dorosłych. Krzywiłam się, kiedy ktoś tak mówił albo gdy słyszałam w samochodowym radio taty piosenkę „Feel Like Makin’ Love”, którą każdego ranka puszczała stacja z klasykami.

Ale teraz mogę tak mówić, bo to jest dokładnie to, co robiliśmy.

I było magiczne, cudowne, niesamowite, i nic nigdy nie będzie się z tym równać. Nigdy.

W sobotę poszłam z mamą odwiedzić Cole'a w więzieniu. Ale jak zwykle niewiele mówiłam, a Cole i tak mnie ignorował. Nie, żeby mnie nie lubił, ale bał się odezwać, bo wie, że nadal jestem wkurzona, zraniona i rozczarowana tym, co zrobił. To nie była głupota, którą można zwalić na „nieszczęśliwy wypadek”. Cole stał się alkoholikiem, nim skończył osiemnaście lat. To on jest czarną owcą w rodzinie. Był małym łobuzem, który dorastając, sprawiał, że rodzice zamartwiali się na śmierć, gdy znikał od czasu do czasu na tydzień i robił, co chciał. Zawsze myślał tylko o sobie.

W następny poniedziałek zaczęłam pracę jako asystentka kierownika. Byłam wdzięczna, że ją dostałam, bo nie chciałam żyć za pieniądze ojca przez resztę życia, ale kiedy stawiałam się tam ubrana w eleganckie czarne spodnie, białą zapinaną bluzkę i szpilki, poczułam się całkowicie nie na miejscu. Niekoniecznie z powodu ubrania, ale... Ja tam po prostu nie pasowałam. Nic nie mogłam poradzić, że zarówno w poniedziałek, jak i w pozostałe dni tygodnia, gdy wstawałam, ubierałam się i szłam do sklepu, czułam jakiś cichy głos gdzieś w środku. Nie słyszałam dokładnie słów, ale było to coś jak: *To twoje życie, Camryn Bennett. Takie właśnie jest twoje życie.*

I patrzyłam na wchodzących i wychodzących klientów, i wszystko, co widziałam, było negatywne: snobistycznie zadarte nosy kobiet noszących drogie torebki, a w nich niepotrzebne, drogie produkty.

To wtedy uzmysłowiłam sobie, że wszystko, co robię, sprowadza się do jednego: To twoje życie, Camryn Bennett. Takie właśnie jest twoje życie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wczoraj wszystko się zmieniło.

Ten cichy głos w środku zmusił mnie, bym wstała. I tak zrobiłam. Kazał mi nałożyć buty, spakować plecak z kilkoma drobiazgami i wziąć torebkę. To też zrobiłam.

Nie było w tym żadnej logiki czy określonego celu, z wyjątkiem silnego przekonania, że muszę zrobić coś innego niż zwykle, bo inaczej mogę nie przetrwać. Albo mogę skończyć jak rodzice.

Zawsze myślałam, że depresja jest przereklamowana, że mają ją ludzie szafujący słowem na „m” (podobnie jak słowo na „k”, którego nie wypowiem do żadnego faceta, jak długo żyję). Kiedy byłam w liceum, dziewczyny często mówiły, że mają depresję i że matki zabierały je do psychiatry, który przepisywał im leki, a potem te dziewczyny wymieniały się pigułkami w ramach wypróbowania ich. Dla mnie depresja definiowana jest trzema słowami: smutek, smutek i jeszcze raz smutek. Widywałam głupie reklamy z postaciami z kreskówek, nad których głowami unosiły się ciemne chmury, a deszcz padał im na twarz, i myślałam, jak bardzo ludzie w rzeczywistości okłamują samych siebie, jeśli chodzi o depresję. Współczuję ludziom. Zawsze współczułam. Nie lubiłam patrzeć, jak ktoś cierpi, ale zawsze, gdy słyszałam, że ktoś gra kartą depresji, przewracałam oczami i wracałam do swoich spraw.

Nie rozumiałam wtedy, że depresja jest poważną chorobą.

Te dziewczyny w liceum tak naprawdę nie wiedziały, co to znaczy mieć depresję.

I nie chodzi tylko o smutek. Chociaż smutek ma z tym wiele wspólnego. Depresja jest bólem w najczystszej formie i zrobiłabym dosłownie wszystko, by znów poczuć emocje. Jakąkolwiek emocję. Ból rani, ale jest tak silny, że nie możecie czuć niczego więcej i to właśnie wtedy zaczynacie zdawać sobie sprawę, że wariujecie.

Martwi mnie to ogromnie, kiedy uświadamiam sobie, że ostatni raz płakałam, gdy dowiedziałam się, że Ian zginął w wypadku. To w Damona ramionach płakałam. Spośród wszystkich ludzi właśnie jego.

Ale to był ostatni raz, kiedy roniłam łzy, a było to ponad rok temu.

Później już nie mogłam płakać. Ani gdy rodzice dostali rozwód, ani gdy skazano Cole'a, ani gdy Damon pokazał swoje prawdziwe oblicze, ani gdy Natalie wbiła mi nóż w plecy. Ciągle myślę, że lada dzień pęknę i wypłaczę sobie oczy. Albo że od płaczu będę wymiotować.

Jednak to nigdy się nie dzieje i nadal czuję pustkę. Oprócz tej potrzeby uwolnienia się od tego wszystkiego. Tego głosu w środku, choć cichego i niewyraźnego, to i tak zmuszającego mnie do działania. Nie wiem, dlaczego, nie umiem tego wyjaśnić, ale jest tam i nie potrafię się zmusić, by go nie słuchać.

Większość nocy spędziłam na dworcu autobusowym, siedząc i czekając, aż głos powie

mi, co mam robić.

A potem podeszłam do kasy.

– W czym mogę pomóc? – zapytała obojętnie kobieta.

Pomyślałam przez chwilę:

– Jadę do siostry do Idaho, ponieważ urodziła dziecko.

Spojrzała na mnie dziwnie i muszę przyznać, że poczułam się niezręcznie. Nie miałam siostry i nigdy nie byłam w Idaho, ale to było pierwsze kłamstwo, jakie przyszło mi do głowy. Ponieważ kobieta jadła pieczone ziemniaki. Stały za ladą w plastikowej misce oblane śmietaną. Dlatego Idaho było pierwszym stanem, jaki mi przyszedł na myśl. Tak naprawdę kierunek nie miał znaczenia, było mi to obojętne.

Pomyślałam, że gdy dotrę do Idaho, kupię bilet w inne miejsce. Może do Kalifornii. Albo Waszyngtonu. Albo pojadę na południe, by zobaczyć Teksas. Zawsze wyobrażałam sobie, że tam jest piach po horyzont, z przydrożnymi barami, w których przesiadują kowbojskie kapelusze. I że ludzie z Teksasu są twardzi. Być może wykopią to gównem ze mnie kowbojskimi butami.

I tak tego nie poczuję. Ja już nic nie czuję, pamiętacie?

To było wczoraj. Postanowiłam wstać i ruszyć w drogę, uwolnić się od wszystkiego. Zawsze chciałam to zrobić, to znaczy uwolnić się, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że stanie się to w taki sposób. Zanim umarł Ian, planowaliśmy, że nasze życie będzie niekonwencjonalne. Chcieliśmy omijać wszystko, co przewidywalne, nie chcieliśmy być klonami tych mas ludzi, którzy wstają codziennie o tej samej porze i mechanicznie powtarzają poprzedni dzień. Chcieliśmy z plecakiem zwiedzać świat – dlatego rozmawiałam o tym z Natalie w kawiarni. Może miałam nadzieję, że podzieli pasję moją i Iana i pojedzie ze mną, ale oczywiście jak zwykle stało się inaczej, niż się spodziewałam.

Tennessee przesuwa się za oknem nieco rozmyte. Zapada noc i w końcu zasypiam. Nie mam żadnych snów; od śmierci Iana nie miałam ani jednego, ale tak jest prawdopodobnie lepiej. Sny mogłyby wywołać emocje, a ja skończyłam z emocjami. Zaczynam się przyzwyczajać do tego uczucia niedbania o nic. Oprócz kilku podejrzanych typów z dworca autobusowego tak naprawdę nie boję się już niczego. Jeśli ci nie zależy, strach chyba może się pocałować w dupsko.

Nigdy też tyle nie przeklinałam.

Wszystko wygląda tak samo. Wydaje się, że pomiędzy domem a Missouri zmieniały się tylko tablice rejestracyjne. W każdym stanie mijaliśmy rozbity samochód na poboczu drogi. Byli także autostopowicze i facet w podkoszulku na ramiączkach idący z kanistrem do najbliższego zjazdu, gdzie działały stacje benzynowe i restauracje serwujące fast food. I zawsze, zawsze na skraju drogi leżał but. O co chodzi z tymi butami?

Jazda autobusem przypomina podróż do innego świata.

Wie to każdy, kto tego spróbuje i spędzi w tej podróży trochę czasu. Dużo czasu. Autobusy są przepełnione. Ludzie zazwyczaj są tak bardzo stłoczeni, że można wyczuć poszczególne rodzaje wody kolońskiej czy dezodorantu oraz detergenty, których używają. Niestety można też poczuć osobę, która nie używa wody kolońskiej czy dezodorantu i której ubrania nie były prane prawdopodobnie od dłuższego czasu.

Dwie godziny opóźnienia wlecze się w nieskończoność i kiedy mój autobus w końcu wjeżdża na dworzec, jestem w pierwszej grupce ludzi czekających w kolejce. Przynajmniej siedzenia w autobusie są miękkie i znów będę mogła siedzieć wygodnie.

Kierowca sięga po mój bilet i odrywa część, oddając mi resztę. Wkładam go na dno plecaka, by był bezpieczny, i wsiadam, po czym rozglądam się po rzędach siedzeń, szukając tego jedyne. Zajmuję miejsce bardziej z tyłu, przy oknie i natychmiast czuję się lepiej, kiedy zapadam się w miękki fotel. Wzdycham i trzymam blisko siebie plecak, krzyżując na nim ramiona. Około dziesięciu minut zajmuje kierowcy upewnienie się, czy wszyscy pasażerowie wsiedli. Zamyka drzwi, po czym ponownie cofa dźwignię i drzwi znów otwierają się z piskiem. Do środka wpada facet z czarnym workiem marynarskim na ramieniu. Jest wysoki, ma krótkie ciemnobrązowe włosy, obcisłą, granatową koszulkę i wyraz twarzy, który mógłby uchodzić za przyjazny lub oznaczać pewność siebie.

– Dzięki – mówi beztrosko do kierowcy.

Chociaż do wyboru ma wiele pustych siedzeń, wpadam na pomysł, by na miejsce obok mnie położyć plecak, tylko na wszelki wypadek, gdyby zdecydował się je zająć. Wiem, że to raczej mało prawdopodobne, ale jestem „dziewczyną na wszelki wypadek”. Drzwi znów zamykają się z piskiem, a facet podchodzi coraz bliżej mnie. Spuszczam oczy na czasopismo, które zabrałam z dworca, i zaczynam czytać artykuł o Brangelinie.

Wzdycham z ulgą, kiedy mnie mijają i zajmują miejsce za mną.

Po godzinie gapienia się w okno w końcu zasypiam.

Przytłumiony dźwięk muzyki dochodzący ze słuchawek za mną budzi mnie po zmroku.

Z początku po prostu siedzę z nadzieją, że on zauważy kołyszący się czubek głowy, która nie śpi, i zdecyduje się wyłączyć muzykę.

Ale tego nie robi.

Opieram się i próbuję rozmasować zeszytniały kark, a potem odwracam się i patrzę na niego. Czy on śpi? Jak ktoś może spać z muzyką walącą prosto w bębenki? W autobusie jest ciemno z wyjątkiem kilku punktowych światełek, których używają ludzie do czytania, oraz kilku niebieskich i zielonych światełek na desce rozdzielczej. Gość siedzący za mną jest skąpany w mroku, ale mogę dostrzec jedną stronę jego twarzy, bo rozjaśnia ją światło księżyca.

Kontempluję ją przez chwilę, po czym klękam na siedzeniu i wychylam się przez oparcie, sięgam i szturcham go w nogę.

Nie rusza się. Szturcham mocniej. Tym razem porusza się i powoli otwiera oczy, patrzy na mnie wiszącą na oparciu siedzenia.

Wyjmuje z uszu słuchawki, pozwalając muzyce płynąć z maleńkich głośniczków.

– Mógłbyś trochę ściszyć?

– Słyszałaś to? – pyta.

Unoszę brwi i mówię:

– Uhm, tak, jest dość głośno.

Wzrusza ramionami, wciska przycisk głośności w swojej mp3 i muzyka zamiera.

– Dzięki. – Zsuwam się z powrotem na fotel.

Tym razem nie kładę się w pozycji embrionalnej na dwóch siedzeniach, tylko siadam wyprostowana i przyciskam się do okna. Krzyżuję ramiona i zamykam oczy.

– Hej.

Otwieram oczy, ale nie odwracam głowy.

– Śpisz już?

Podnoszę głowę z okna i widzę, że stoi nade mną.

– Dosłownie przed chwilą zamknęłam oczy – mówię. – Jak mogłabym już spać?

– No nie wiem – szepcze. – Mój dziadek potrafił zasnąć w dwie sekundy, kiedy tylko zamykał powieki.

– Twój dziadek cierpiał na narkolepsję?

Następuje chwila milczenia.

– Z tego, co wiem, to nie.

Ups, trochę to niezręczne.

– Czego chcesz? – pytam równie cicho jak on.

– Niczego – mówi, uśmiechając się do mnie. – Chciałem tylko wiedzieć, czy już śpisz.

– Dlaczego?

– Żebym mógł z powrotem włączyć muzykę.

Myślę o tym przez chwilę, rozprostowuję ręce, podnoszę się i obracam, żeby mogła go zobaczyć.

– Chcesz czekać, aż zasnę, żeby włączyć muzykę, żeby ponownie mnie obudzić? – Chyba mam trudności ze zrozumieniem tego, co mówi.

Uśmiecha się do mnie krzywo.

– Spałaś trzy godziny i to cię nie obudziło – stwierdza. – Myślę więc, że nie dokonała tego moja muzyka, musiało być to coś innego.

Marszczę brwi.

– Hmm, nie. Jestem pewna, że obudziła mnie muzyka.

– Dobra – mówi i ginie z zasięgu mojego wzroku.

Zanim zamykam oczy, czekam jeszcze kilka sekund, czy nie zrobi się jeszcze dziwniej, a kiedy się nie robi, dryfuję do Krainy Bez Snów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka budzi mnie słońce świecące przez szybę autobusu. Podnoszę się, żeby mieć lepszy widok, zastanawiając się, czy krajobraz cokolwiek się zmienił, ale niestety tak nie jest. I wtedy moja uwaga skupia się na muzyce dudniącej w słuchawkach za mną. Wypełzam nad siedzenie, spodziewając się zobaczyć, że facet słucha jej podczas snu, ale on patrzy na mnie z uśmiechem w stylu „a nie mówiłem”.

Przewracam oczami i ponownie siadam, kładę plecak na kolanach i gmeram w nim. Zaczynam żałować, że nie zabrałam niczego, czym mogłabym się zająć. Książki. Krzyżówki. Cokolwiek. Wzdycham ciężko i zaczynam kręcić kciukami. Zastanawiam się, gdzie jesteśmy, czy jeszcze w Kansas. Po chwili stwierdzam, że tak, ponieważ każdy mijający nas samochód ma tablice rejestracyjne z Kansas.

Kiedy nie mogę znaleźć nic interesującego w widoku za oknem, zwracam większą uwagę na muzykę.

Czy to jest...? To chyba jakiś żart.

Ze słuchawek dobiega mnie *Feel Like Makin' Love*, mogę to stwierdzić po charakterystycznym dźwięku gitary w solówce, który pozna każdy, nawet jeśli nie słucha Bad Company. Nie to, że nie lubię klasycznego rocka, ale wolę bardziej nowoczesne rzeczy. Dajcie mi Muse, Pink albo The Civil Wars, a będę szczęśliwa.

Słuchawki zawisają na oparciu mojego fotela, prawie na moim ramieniu, co wytrąca mnie z równowagi. Ciało sztywnieje i wrywa się w górę, ręce wyciągają się, żeby je strącić, jak robaka, który na mnie usiadł.

– Co, do diabła? – Spoglądam na faceta, który znów nade mną zwisa.

– Wyglądasz na znudzoną – mówi. – Możesz je pożyczyć, jeśli chcesz. Być może to nie jest typ muzyki, jaką lubisz, ale spodoba ci się. Obiecuję.

Patrzę na niego z niesmakiem. Czy ten gość jest poważny?

– Dzięki, ale nie. – Odwracam się.

– Dlaczego nie?

– Cóż, po pierwsze – zaczynam – miałeś te słuchawki w uszach przez ostatnie kilka godzin. Ohyda.

– I?

– Co masz na myśli, mówiąc „i”? – Myślę, że twarz wykrzywia mi się jeszcze bardziej. – To nie wystarczy?

Ma znużony uśmiech i w świetle dnia zauważam dwa dołeczki blisko kącików ust.

– No cóż – stwierdza, zabierając słuchawki – powiedziałaś „po pierwsze”, dlatego pomyślałem, że będzie kolejny powód.

– Wow – mówię – jesteś niemożliwy.

– Dzięki. – Uśmiecha się, pokazując równiutkie, białe zęby.

Zdecydowanie nie miałam na myśli komplementu, ale coś mi podpowiada, że on to wie.

Wracam do przekopywania plecaka, z góry wiedząc, że nie znajdę tam nic oprócz ubrań, ale to lepsze, niż mieć do czynienia z dziwakiem.

Facet wskakuje na puste miejsce obok mnie, tuż przed tym, kiedy inny pasażer mija go w drodze do toalety.

Zastygam z ręką w plecaku. I powinnam patrzeć wprost na niego, ale najpierw muszę ochłoniąć, zanim zdecyduję, jaką gadkę mu palnąć.

On sięga do swojej torby i wyciąga paczkę chusteczek antybakteryjnych, odrywa wierzch opakowania i rozkłada chusteczkę. Wyciera dokładnie słuchawki i wyciąga je w moim kierunku.

– Jak nowe – mówi, czekając, aż je wezmę.

Chyba że próbuje być miły, więc nieco opuszczam gardę.

– Naprawdę nie trzeba. Ale dziękuję. – Zaskakuje mnie, jak szybko przeszłam do porządku dziennego z tym, że usiadł obok mnie.

– Prawdopodobnie i tak by ci się nie spodobało – mówi, wkładając mp3 do swojej torby.
– Nie słucham Justina Biebera i tej szalonej suki, która nosi mięso, więc zgaduję, że będziesz musiała sobie poradzić bez muzyki.

Oho, garda wraca. Jedziemy dalej.

Warczę na niego, krzyżując ramiona.

– Po pierwsze, ja też nie słucham Justina Biebera. Po drugie, Lady Gaga nie jest zła. Być może przesadza z prowokacjami, ale muszę przyznać, że lubię kilka jej kawałków.

– To główniana muzyka i ty to wiesz – odpowiada i kręci głową.

Kilka razy mrugam, bo jestem w rozterce i nie wiem, co powiedzieć.

Facet kładzie swoją torbę na podłodze i odchyła oparcie siedzenia w tył, opierając kolano na stoliku przed nim, ale nogi ma tak długie, że prawdopodobnie nie jest mu wygodnie. Ma na

nogach te wysokie ciężkie buty, wydaje mi się, że Dr. Martensa. Cholera. Ian też takie nosił. Odwracam wzrok i patrzę na krajobraz za oknem, nie chcąc kontynuować tej dziwnej rozmowy z ekscentrycznym nieznajomym.

Patrzy na mnie z głową wciśniętą w zagłówek.

– Klasyczny rock to jest to – mówi rzeczowo i patrzy przed siebie. – Led Zeppelin, Stonesi, Journey, Foreigner. – Przechyliła głowę w bok i znów mnie obserwuje. – Coś ci to mówi?

Prycham i przewracam oczami.

– Nie jestem głupia – mówię, ale potem zamieram, bo uświadamiam sobie, że znam niewiele nazw zespołów rockowych i nie chcę wyjść na jeszcze większą idiotkę, upierając się, że nią nie jestem. – Lubię... Bad Company.

Uśmiezek wykrzywia jedną stronę jego ust.

– Wymień tytuł choćby jednej piosenki Bad Company i dam ci spokój.

Teraz dopiero się denerwuję, myśląc o jakiejś innej piosence Bad Company oprócz tej, której słuchał. Nie mam zamiaru spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: *I Feel Like Makin' Love*.

Czeka cierpliwie.

– *Ready For Love* – mówię, bo to jedyna piosenka, jaka przychodzi mi do głowy.

– A jesteś? – pyta.

– Co?

Ma coraz szerszy uśmiech.

– Nic – rzuca, patrząc w dal.

Rumienię się. Nie wiem, dlaczego, i nawet nie chcę wiedzieć.

– Słuchaj – zaczynam – mógłbyś się przesiąść? Lubię się rozkładać na dwóch siedzeniach.

Kolejny uśmiech, ale tym razem nie sięga oczu.

– Jasne – mówi, wstając. – Ale jeśli będziesz chciała pożyczyć mp3, wiesz, gdzie się zgłosić.

Ulżyło mi, że bez walki zamierza wrócić na swoje miejsce.

– Dzięki – mówię, mimo wszystko doceniając gest.

Zanim jednak odchodzi, pochyla się, trzymając ręce na zewnętrznych siedzeniach, i pyta:

– A tak w ogóle dokąd jedziesz?

– Do Idaho.

Kiedy się uśmiecha, w lśniących zielonych oczach pojawiają się iskierki.

– Cóż, ja jadę do Wyoming, wygląda na to, że będziemy dzielić z sobą kilka autobusów. – A potem jego twarz znika gdzieś za mną.

Jest atrakcyjny. Krótka potargana fryzura, rzeźbione ramiona i kości policzkowe, dołeczki i popieprzony zawadiacki uśmieszek, to wszystko sprawia, że patrzę na niego z większym zainteresowaniem, niż bym chciała. Ale nie jestem nim lub kimkolwiek innym zainteresowana – on jest tylko przypadkowym nieznanym spotkanym w autobusie donikąd. Nie ma mowy, żebym zaczęła się bawić w jakieś cholerne podchody. A nawet gdyby nie był tylko nieznanym, gdybym znała go z pół roku, to i tak nie byłabym zainteresowana. Ani teraz, ani nigdy. Nigdy więcej.

Niekończąca się jazda przez Kansas trwa dłużej, niż powinna. Chyba nigdy nie myślałam o tym, jak duże są Stany Zjednoczone. Patrzysz na mapę i widzisz tylko kawałek papieru, z dziwnie ukształtowanymi liniami oznaczającymi granice. Nawet Teksas wydaje się mały, a podróżowanie samolotem napawa cię złudnym odczuciem, że jeden stan od drugiego jest tylko o godzinę drogi.

Kolejne półtorej godziny jazdy i sztywnieją mi plecy i tyłek, zmieniając się w twarde kawałki mięsa. Nieustannie wiercę się na siedzeniu, mając nadzieję na znalezienie idealnej pozy, w której przestanie boleć, ale kończy się na tym, że boli mnie inna część ciała.

Zaczynam tego wszystkiego żałować, ponieważ jazda autobusem jest do bani.

Wtedy słyszę pisk interkomu i głos kierowcy:

– Za pięć minut zatrzymujemy się na przerwę. Będziecie mieć piętnaście minut, by wrzucić coś na ząb, zanim powrócimy na drogę. Piętnaście minut. Nie będę czekał dłużej, więc jeśli nie wrócicie na czas, autobus odjedzie bez was. – I wtedy głośnik cichnie.

Komunikat sprawia, że pasażerowie prostują fotele i grzebią w torbach – nie ma to jak rozprostować nogi po wielu godzinach jazdy.

Zatrzymujemy się na przestronnym parkingu, stoi już kilka autobusów, są także sklep spożywczy, myjnia samochodowa i fast food. Zanim nasz autobus się zatrzymuje, pasażerowie już stoją w przejściu. Ja też ustawiam się do wyjścia. Plecy nam obolałe.

Wychodzimy jeden po drugim i gdy nadchodzi moja kolej, czuję beton pod stopami i chłodny wietrzyk na twarzy. Nie obchodzi mnie, że to miejsce jest na odludziu, że dystrybutory

paliwa mają chyba sto lat, a toalety na pewno będą ohydne; jestem po prostu zadowolona, że mogę wysiąść z ciasnego autobusu. Przemykam (jak ranna gazela) przez cały parking w kierunku restauracji. Najpierw idę do ubikacji i kiedy wracam, w kolejce po jedzenie stoi już kilka osób. Gapię się na menu, starając się zdecydować, czy wybrać duże frytki czy może koktajl waniliowy – nie lubię takiego jedzenia. I w końcu, gdy wychodzę z restauracji z koktajlem waniliowym, dostrzegam faceta z autobusu. Siedzi po turecku na trawniku oddzielającym parkingi i zajada hamburgera. Nie patrzę na niego, przechodząc obok, ale najwyraźniej to nie wystarcza, by powstrzymać go od zwrócenia na mnie uwagi.

– Masz jeszcze osiem minut, zanim będziesz musiała wczołgać się z powrotem do tej puszki – mówi. – Naprawdę zamierzasz spędzić ten czas właśnie tam?

Staję obok drzewka przywiązanego różową wstążką do podtrzymującego je kijka.

– To tylko osiem minut – mówię. – Nie robi wielkiej różnicy.

Bierze wielki gryz kanapki, żuje i połyka.

– Jakby pochowano cię żywcem – mówi, popijając napój – te minuty byłyby bardzo ważne. Gdyby ratownicy odkopali cię osiem minut wcześniej, do diabła, nawet minutę wcześniej, nadal byś żyła.

– Dobra, łapię – odpowiadam.

– No chodź, nie zarazisz się. – Bierze kolejny gryz.

Może rzeczywiście zachowałam się jak suka. W pewnym sensie sam sobie zasłużył, ale naprawdę nie jest niemiły, więc nie ma powodu aż tak się jeżyć. Nie chcę sobie narobić w tej podróży wrogów, jeśli nie muszę.

– Niech będzie – mówię i siadam na trawie kilka stóp od niego.

– Zatem dlaczego Idaho? – pyta, chociaż częściej patrzy na jedzenie i na wszystko, co nas otacza, niż na mnie.

– Jadę do siostry – kłamię. – Właśnie urodziła.

Kiwa głową i przeryka.

– Dlaczego Wyoming? – pytam, mając nadzieję na odwrócenie uwagi ode mnie.

– Jadę odwiedzić tatę – mówi. – Jest umierający. Nieoperacyjny guz mózgu. – Kolejny gryz. Nie wydaje się, żeby to, co mi przed chwilą powiedział, bardzo go martwiło.

– Och...

– Nie przejmuj się tym – mówi, tym razem przez krótką chwilę patrząc na mnie. –

Wszyscy kiedyś umrzemy. Mój stary nie gnębi się tym i mówi, żebyśmy też się nie martwili. – Uśmiecha się i znów na mnie patrzy. – Właściwie powiedział, że jeśli będziemy odwalać szopki z rozpaczą, wydziedziczy nas.

Pociągam długi łyk koktajlu, głównie dlatego, żeby nie palnąć czegoś niestosownego. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym wymyślić sensowną odpowiedź.

On również pije.

– Jak masz na imię? – pyta, odkładając napój na trawę.

Zastanawiam się chwilkę, czy powinnam mu podać prawdziwe imię.

– Cam – odpowiadam, decydując się na zdrobnienie.

– A to skrót od czego?

Tego się nie spodziewałam.

Waham się przez chwilę.

– Camryn – ostatecznie przyznaję. Myślę, że w końcu pogubię się w kłamstwach, więc równie dobrze mogę powiedzieć prawdę. O tyle mniej będę musiała pamiętać, by nie dać się przyłapać na łgarstwie.

– Ja jestem Andrew. Andrew Parrish.

Przytakuję i uśmiecham się, wcale nie mam zamiaru podać mu mojego nazwiska – Bennett. Będzie mu musiało wystarczyć tylko imię.

Kiedy kończy hamburgera i pozostaje mu zaledwie kilka frytek, zerkam na niego, gdy nie patrzy, i przyglądam się tatuażom na rękach wystającym spod rękawków koszulki. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, a i w to wątpię.

– Ile masz lat? – pytam, choć uważam, że to zbyt osobiste pytanie. Mam nadzieję, że nie wyczyta nic między wierszami.

– Dwadzieścia pięć – odpowiada. – A ty?

– Dwadzieścia.

Patrzy na mnie ze zrozumieniem, po czym odwraca wzrok i wydymając wargi, mówi:

– Cóż, miło mi cię poznać, dwudziestoletnia Cam skrót od Camryn, podróżująca do Idaho, do siostry, która właśnie urodziła.

Moje usta się śmieją, ale oczy nie. Musi upłynąć trochę czasu, żeby na mojej twarzy

zaczęły się malować szczerze uczucia. Prawdziwy uśmiech nieraz może powodować mylne wrażenie. Przynajmniej w taki sposób mogę być cywilizowana i uprzejma, ale nie na tyle miła, by po kilku uśmiechach skończyć w jakiejś ciężarówce z podejrzanym gardłem.

– Jesteś z Wyoming? – Siorbię kolejny łyżeczek.

Kiwa głową.

– Tak, urodziłem się tam, ale moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałem sześć lat, i przeprowadziliśmy się do Teksasu.

Teksas. To zabawne. Być może ściągnęłam go tymi rozmyślaniami o kowbojach, ich butach i reputacji. I wcale nie wygląda jak gość z Teksasu, przynajmniej nie tak, jak zdaniem większości ludzie powinni wyglądać Teksaszczyki.

– Tam wrócę, kiedy odwiedzę ojca... A co z tobą?

Dobra, kłamać czy nie kłamać? Och, pieprzyć to, przecież on nie jest prywatnym detektywem wysłanym przez ojca, by mnie przesłuchiwał. Jeśli będę omijać, po pierwsze... moje nazwisko, po drugie... jakiegokolwiek adresy czy numery telefonów, które mogłyby doprowadzić go do mojego domu, to może, kiedy już tam wrócę, nie skończę z podejrzanym gardłem w jego bagażniku.

Myślę, że powiedzenie prawdy będzie o wiele łatwiejsze niż wymyślanie kłamstw w odpowiedzi na każde pytanie, ponieważ nie będę musiała ich wszystkich pamiętać. W końcu to ma być bardzo długa podróż i, jak powiedział, czeka nas kilka wspólnych autobusów, zanim nasze drogi się rozejdą.

– Karolina Północna – odpowiadam.

Patrzy na mnie.

– Cóż, nie wyglądasz jak ktoś z Karoliny Północnej.

Co? Dobra, to było naprawdę dziwaczne.

– A jak według ciebie powinna wyglądać dziewczyna z Karoliny Północnej?

– Jesteś bardzo dosłowna – mówi z uśmiechem.

– A ty kręcisz.

– Nie, jestem szczerzy i nieraz ludzie nie potrafią sobie z tym poradzić. Jeśli zapytasz tamtego gościa, czy twój tyłek wygląda grubo w jeansach, on ci kurtuazyjnie powie, że nie. A jeśli mnie zapytasz, powiem ci prawdę – wszystko, czego ludzie się nie spodziewają, wytrąca ich z równowagi.

– Doprawdy? – Zdaję sobie sprawę, że nadal nic nie wiem o tym facecie. Znam tylko jego imię. Ale to, co mówi, jest zajefajne.

– Naprawdę – odpowiada rzeczowo.

Czekam, aż rozwinie tę kwestię, ale tego nie robi.

– Jesteś bardzo dziwny – mówię.

– Nie zapytasz?

– Zapytam o co?

Śmieje się.

– Czy myślę, że twój tyłek wygląda grubo w jeansach.

– Ja raczej nie... ja... uch... – To też pieprzyć. Jeśli ma zamiar grać w gierki, nie pozwolę mu wygrać. Uśmiecham się do niego: – Wiem, że mój tyłek nie wygląda grubo, więc nie potrzebuję twojej opinii.

Diabelnie pociągający uśmiech pojawia się w kąciakach ust. Upija kolejny łyk, po czym wstaje, podając mi dłoń.

– Wygląda na to, że nasze osiem minut dobiegło końca.

Może dlatego, że nadal jestem zdezorientowana tą wymianą zdań, podaję mu rękę i wstaję.

– Widzisz – mówi, spoglądając na mnie, kiedy zabieram rękę. – Ile się o sobie dowiedzieliśmy przez osiem minut, Camryn.

Idę obok niego, ale zachowuję odstęp. Jeszcze nie wiem, czy jego zagadywanie i pewność siebie mnie denerwują, czy mi się podobają.

Wszyscy wracają na dotychczasowe miejsca. Ja na swoim zostawiłam czasopismo zabrane z dworca, licząc na to, że nikt go nie zabierze i nie zajmie mi miejsca. Andrew też siada tam, gdzie poprzednio, czyli za mną. Cieszę się, że nie uznał naszej pogawędki za zachętę do tego, by się przesiąść obok mnie.

Godziny mijają, a my nie rozmawiamy. Dużo myślę o Natalie i Ianie.

– Dobranoc, Camryn. – Słyszę z siedzenia za mną. – Może jutro powiesz mi, kim jest Nat.

Szybko wstaję i przechylam się przez oparcie.

– O czym ty mówisz?

– Uspokój się, dziewczyno – odpowiada, podnosząc głowę z worka, który mu służy za poduszkę. – Gadasz przez sen. – Śmieje się cicho. – Ostatniej nocy słyszałem, jak wyzywasz kogoś o imieniu Nat, coś o silikonie czy jakoś tak. – Zauważam, że wzruszył ramionami, mimo że leży z nogami wyciągniętymi na wolnym siedzeniu i ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Świetnie. Gadam we śnie. Zajebicie. Zastanawiam się, dlaczego matka nigdy mi o tym nie powiedziała.

Zastanawiam się, co mogłam powiedzieć, i zdaję sobie sprawę, że jednak śnię, tylko niczego nie pamiętam.

– Dobranoc, Andrew – mówię i siadam. Chwilę myślę o Andrew, który wyglądał, jakby mu było wygodnie, i próbuję się ułożyć podobnie. Parę razy zamierzałam spać w takiej pozycji, ale myślałam, że będzie niegrzecznie tarasować stopami przejście. Ale teraz wydaje mi się, że nikogo to nie obchodzi, więc biorę plecak i upycham pod oknem, kładę na nim głowę, a nogi wyciągam jak Andrew. Wygodnie mi. Żałuję, że wcześniej tego nie zrobiłam.

Następnego ranka budzi mnie zapowiedź kierowcy, że za dziesięć minut będziemy w Garden City.

– Pamiętajcie, żeby zabrać wszystkie rzeczy – mówi kierowca przez interkom – i nie zostawiajcie śmieci na siedzeniach. Dziękuję za podróżowanie z nami przez wspaniały stan Kansas i mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Brzmiało to, jakby czytał ze śmiertelną powagą, ale uświadamiam sobie, że zapewne też bym tak mówiła, gdybym musiała powtarzać tę kwestię codziennie.

Biorę plecak z siedzenia i otwieram go, żeby znaleźć bilet. Pomięty leży między jeansami a koszulką w Smerfy. Prostuję go i sprawdzam kolejny przystanek. Denver jest mniej więcej sześć i pół godziny drogi stąd, z dwoma przerwami. Cholera, dlaczego wybrałam Idaho? Spośród wszystkich miejsc na mapie wybrałam kierunek docelowy na podstawie pieczonych ziemniaków. Pokonuję tę całą drogę, a nie mam pojęcia, co robić, gdy już tam dotrę. Poza samą jazdą. Do diabła, może użyję karty kredytowej, by kupić bilet lotniczy do domu? Nie, nie jestem jeszcze na to gotowa. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że nie mogę jeszcze wrócić.

Po prostu nie mogę.

Zaskoczona, że Andrew jest taki cichy, próbuję przekonać się, czy zobaczę go przez niewielką szczelinę łączącą siedzenia, ale nic nie widzę.

– Nie śpisz już? – pytam, unosząc brodę i zastanawiając się, czy mnie usłyszał.

Nie odpowiada, więc podnoszę się, by zobaczyć. Oczywiście słucha muzyki. Jestem nieco zszokowana, że tym razem nic nie słyszę.

Andrew zauważa mnie i uśmiecha się, podnosząc dłoń i kiwając palcem, jakby mówił

„dzień dobry”. Tak samo kiwam do niego i wskazuję przód autobusu, sygnalizując, że zaraz koniec trasy. Wyciąga z uszu słuchawki i czeka, aż ubiorę ten gest w słowa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ANDREW

Kilka dni wcześniej...

Dzisiaj zadzwonił do mnie brat z Wyoming. Powiedział, że staruszek długo już nie pociągnie. I tak ostatnie pół roku spędził, wychodząc ze szpitala i wracając do szpitala.

– Jeśli chcesz go zobaczyć – powiedział Aidan po drugiej stronie słuchawki – lepiej od razu przyjeźdź.

Słyszałem, co mówił Aidan. Naprawdę. Ale zrozumiałem z tej rozmowy jedynie to, że tata zaraz, kurwa, umrze. „Nigdy nie ważcie się po mnie płakać” – powiedział do moich braci i do mnie rok temu, kiedy potwierdzono diagnozę rzadkiego rodzaju raka mózgu. „Wydiedzicę was, jeśli któryś to zrobi”.

Nienawidziłem go za to, za powiedzenie mi w tyłu słowach, że jeśli będę po nim płakał, rozpaczal po jedynym człowieku, za którego byłem gotów oddać życie, to uzna mnie za cipę. Nie dbam o to, co po nim dostanę. Cokolwiek mi zostawi, będę miał to gdzieś. Może oddam mamie.

Tata zawsze miał ciężką rękę, jeśli chodzi o wychowanie. Wybijał nam gównem z głów, ale lubię myśleć, że robił to dla naszego dobra (i prawdopodobnie taki był jego plan). Najstarszy z nas, Aidan, jest właścicielem dobrze prosperującego baru i restauracji w Chicago i ożenił się z panią doktor pediatrii. Najmłodszy, Asher, jest na studiach i marzy o karierze w Google.

Ja? Wstyd się przyznać. W sekrecie wziąłem udział w kilku sesjach zdjęciowych dla liczących się agencji modelingu, ale tylko dlatego, że ostatni rok był dla mnie ciężki. Zaraz po tym, kiedy dowiedziałem się o ojcu. Nie mogłem płakać, więc wyżyłem się na swoim chevrolecie camaro z 1969 roku. Rozwaliłem go kijem baseballowym. Wcześniej razem z tatą zrekonstruowaliśmy to auto od podstaw. Wtedy, tuż przed maturą, to była sprawa typu ojciec i syn. Pomyślałem, że jeżeli taty już nie będzie, samochodu też nie powinno być.

W taki sposób zająłem się modelingiem.

I, do diabła, nigdy nie szukałem takiej pracy. Takie gówniane zajęcia nigdy mnie nie interesowały. Po prostu, kiedy w barze Aidana próbowałem się najebać, znalazła mnie para łowców talentów. Nie miało znaczenia, że byłem... no cóż, najebany, kiedy podsunęli mi wizytówkę, oferując górę forsy za to, że pojawię się w ich firmie w Nowym Jorku. Po trzech tygodniach patrzenia na camaro i ubolewania nad tym, co mu zrobiłem, postanowiłem zaryzykować, no bo co miałem do stracenia? Nawet jeden czek za pozowanie mógł pokryć większość kosztów naprawy karoserii, więc się pokazałem. Na kilku reklamach zarobiłem trochę pieniędzy i wszystko wpakowałem w naprawę auta, ale odrzuciłem wart 50 tysięcy dolarów kontrakt z LL Elite, ponieważ, jak już mówiłem, paradowanie w gaciach nie jest tym, co chciałem robić. Cholera, i tak czułem się koszmarnie jako model. Zrobiłem więc to, co każdy

jedzący czerwone mięso i pijący piwo facet zrobić powinien – próbowałem wyglądać bardziej męsko, a mniej ciotowato, więc zrobiłem sobie kilka tatuaży, po czym zacząłem pracować jako mechanik.

Nie była to przyszłość, jakiej chciałby dla mnie mój stary, ale, w przeciwieństwie do braci, dawno temu nauczyłem się, że to moja przyszłość i moje życie, i nie mogę zmusić się, by żyć życiem, jakiego chciałby dla mnie ktoś inny. Rzuciłem studia, kiedy zdałem sobie sprawę, że uczę się o czymś, co mam głęboko w dupie.

Co jest z tą skłonnością ludzi do naśladowania?

To nie dla mnie. Ja chcę czegoś innego od życia. Nie pieniędzy, sławy czy powiększonego za pomocą Photoshopa kutasa na billboardach na Times Square, albo nawet studiów, które mogą, albo i nie, w przyszłości przynieść profity. Tak naprawdę sam nie wiem, czego chcę. Ale mam nadzieję, że będę wiedział, jeśli to zobaczę.

– Autobusem? – mówi Aidan, niedowierzając.

– Tak – odpowiadam. – Przyjadę autobusem. Muszę pomyśleć.

– Andrew, tata może tego nie doczekać – mówi i słyszę powściągliwość w jego głosie. – Poważnie, bracie.

– Będę, kiedy dotrę.

Przesunąłem kciukiem ikonkę kończącą rozmowę.

Myślę, że mała cząstka mnie miała nadzieję, że on umrze, zanim dojadę. Ponieważ wiem, że się rozkleję, gdy tam będę, a on umrze. To mój ojciec, człowiek, który mnie wychował i którego podziwiam. A on zabronił mi rozpaczać. Zawsze robiłem, co mi kazał, i jak dobry syn przełknę łyżę, ponieważ tak chce. Ale wiem też, że robiąc to, przejdę na ciemną stronę, zacznę niszczyć siebie.

Nie chcę skończyć jak mój samochód.

Spakowałem do czarnego worka czyste ciuchy na zmianę, szczoteczkę do zębów, komórkę i mp3 z ulubionymi piosenkami klasycznego rocka, kolejną rzecz, którą mam od taty: „To rzępolenie, którego słucha teraz młodzież, to gówno, synu” – powtarzał przynajmniej raz w roku. „Włączaj Led’zów, chłopcze!”. Jednak muszę przyznać, że nie unikam nowoczesnej muzyki tylko dlatego, że tata tak robi. Mam własny cholerny umysł, pamiętacie? Ale dorastałem, dostając porządną dawkę starego, dobrego rocka i jestem z tego dumny.

– Mamo, nie potrzebuję ich.

Mama zapakowała mi kilkanaście paczuszek chusteczek przeciwbakteryjnych. Zawsze była przewrażliwiona.

Żyłem między Teksasem a Wyoming, odkąd skończyłem sześć lat. Ostatecznie stwierdziłem, że lepiej pasuję do Teksasu, ponieważ lubię zatokę i ciepło. Od czterech lat mam własne mieszkanie w Galveston, ale ostatniej nocy matka nalegała, bym został u niej. Wiedziała, jak się czuję i że bywam porywczy, kiedy cierpię albo jestem wkurwiony. W zeszłym roku spędziłem noc w areszcie za pobicie sukinsyna Darrena Ebbsa za to, że w mojej obecności uderzył swoją dziewczynę. A kiedy musiałem uspić swojego najlepszego przyjaciela, psa Maximusa, z powodu niewydolności serca, zmasakrowałem sobie ręce, waląc o pień drzewa rosnącego nieopodal mojego mieszkania. Na co dzień nie jestem jednak skory do przemocy.

– Autobusy są paskudne – mówi, wkładając chusteczki do worka. – Zanim poznałam twojego ojca, jechałam takim i odchorowywałam tę podróż przez tydzień.

Nie spieram się z nią, to byłoby bezcelowe.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie chcesz lecieć. Mógłbyś tam być w naprawdę krótkim czasie.

– Mamo – całuję ją w policzek – to jest coś, co po prostu muszę zrobić, jak przeznaczenie. – Nie wierzę w to, co mówię, ale pomyślałem, że taki argument poprawi jej humor, nawet jeśli mi nie uwierzy. Otwieram kuchenną szafkę, biorę brązowy cukier i dwa opakowania cynamonowych herbatników i wrzucam do torby. – Samolot mógłby się rozbić.

– To nie jest zabawne, Andrew. – Matka spogląda na mnie surowo.

Uśmiecham się i ściskam ją.

– Nic mi nie będzie i dotrę na czas, zanim tata... – Gardło mi się ścisza.

Mama przytula mnie nawet mocniej niż ja ją.

Zanim docieram do Kansas, zaczynam się zastanawiać, czy matka nie miała racji. Miałem nadzieję, że długa jazda będzie dobrą okazją do przemyślenia tego i owego, i może w końcu wymyślę, co robię i co zrobię, kiedy umrze tata. Bo wszystko się zmieni. Zawsze wszystko się zmienia, jeśli umiera ktoś, kogo kochamy. Po prostu nie można się przygotować na te zmiany, nieważne, z jakim wyprzedzeniem wie się o nich.

Można się jedynie zastanawiać, kto będzie następny.

Wiem, że nigdy nie będę w stanie spojrzeć tak samo na mamę...

Teraz uważam, że pomysł, aby jechać autobusem, żeby mieć czas na przemyślenia, był niewypałem. Powiniennem wiedzieć, że takie zastanawianie się nad sobą jest chore. Przecież już i tak doszedłem do tego, że większość mojego życia jest stracona. Teraz pochłaniają mnie egzystencjalne brednie. Po co tu jestem? Jaki mam cel? Co ja tutaj, do diabła, robię? Jestem cholernie pewny, że nie będę miał objawienia ani dramatycznego momentu, gdy będę tępo gapił się przez szybę autobusu, i nagle życie stanie się dla mnie klarowne. Czy jedyną muzyką, jaka gra w tle mojego filmu, jest „Would” Alice In Chains? Bo to nie jest szczególnie dobra nuta dla

objawienia.

Kierowca zamyka drzwi autobusu, kiedy biegnę do niego, ale mnie zauważa.

Dzięki Bogu autobus ma dużo miejsca do spania, wiele siedzeń jest wolnych.

Zmierzam na tyły, mam zamiar zająć dwa wolne fotele tuż za fajną blondyną, która według mnie jest nieletnia. Mam radar ustawiony na podlotki, szczególnie po tym, gdy spotkałem jedną taką w Dairy Queen. Mówiła, że ma dziewiętnaście, ale potem dowiedziałem się, że miała szesnaście, a jej ojciec dotarł na basen, gdzie byliśmy, by sprać mnie na kwaśne jabłko.

Raz tata dobrze mi poradził: „W dzisiejszych czasach można wziąć dwunastkę za dwudziestkę, synu. To musi być coś, co rząd dodaje do wody, bądź ostrożny, jeśli już musisz coś puknąć”.

Kiedy ją mijam, dziewczyna kładzie plecak na siedzeniu obok siebie, jakby nie chciała, żebym tam usiadł.

To śmieszne. To znaczy jest fajna, ale jest przecież dziesięć innych wolnych miejsc, co oznacza, że mam zamiar zająć dla siebie aż dwa, żeby mi tyłek nie zdrętwiał i żebym mógł wyprostować nogi.

Nie wszystko idzie dobrze i parę godzin później, po zmroku, nadal nie mogę zasnąć. Gapię się w okno odgradzony od świata murem muzyki w słuchawkach. Dziewczyna przede mną odplynęła godzinę temu i miałem dość słuchania, jak gada przez sen, chociaż nie mogłem zrozumieć nic z tego, co powiedziała, a może tak naprawdę nie chciałem wiedzieć. To jak szpiegowanie, kiedy słyszy się czyjeś myśli, podczas gdy ten ktoś nie ma pojęcia, co się dzieje. Woląłem słuchać piosenek.

Kiedy w końcu zasypiam, czuję, że ktoś mnie trąca, więc otwieram oczy. Wow, jest piękna, nawet jeśli ma włosy przyklejone do policzka, a reszta tonie w mroku. To podlotek, Andrew. Nie muszę sobie przypominać, że ona jest prawdopodobnie nieletnia, by powstrzymać się od zrobienia czegoś, czego nie powinienem robić, upominam się dlatego, że nie chcę być rozczarowany, jeśli się okaże, że mam rację.

Po krótkiej wymianie spostrzeżeń na temat tego, czy moja muzyka mogła ją obudzić, wyłączam mp3, a ona osuwa się na swój fotel.

Kiedy pochylałam się nad jej siedzeniem, by na nią popatrzeć, zastanawiam się, co mnie podkusiło, żeby to zrobić. Ale zawsze podejmowałem wyzwania, a jej zadziorna postawa podczas rozmowy, trwającej nie dłużej niż czterdzieści pięć sekund, wystarczyła, bym przyklepał ten metaforyczny zakład.

Nigdy nie pozwalałem, by ktoś mi dmuchał w kaszę.

Następnego ranka zaoferowałem jej pożyczanie mp3, ale najwyraźniej jest tak samo przewrażliwiona, jeśli chodzi o zarazki, jak moja matka.

Trzy miejsca przed dziewczyną, po drugiej stronie autobusu, siedzi mężczyzna, prawdopodobnie po czterdziestce. Kiedy wchodziłem, dostrzegłem, w jaki sposób przygląda się jej. Ale ona nie ma pojęcia, że jest obserwowana, a mnie irytuje myśl, jak długo on to robił, zanim wsiadłem, albo co ona sobie myślała, siadając samotnie w ciemności.

Od tamtej pory nie spuszczam go z oka. Jest tak w nią wpatrzony, iż wątpię, by zauważył, że mu się przyglądam.

Jego oczy co rusz przesuwają się po niej i po kabinie toalety. Niemal mogę usłyszeć trybiki kręcące się w jego głowie.

Zastanawiam się, kiedy zamierza uderzyć.

Kiedy to następuje, ja również wstaję.

Wślizguję się na wolne siedzenie obok niej. Robię to jak gdyby nigdy nic. Czuję, że dziewczyna patrzy na mnie, zastanawiając się, co ja sobie, kurwa, myślę.

Mężczyzna przechodzi, ale nie pozwalam mu dostrzec moich oczu, ponieważ to mogłoby mu zasugerować, że się czailem na niego. Teraz prawdopodobnie myśli, że gram we własną grę z tą dziewczyną, że wykonałem swój ruch, i na razie da sobie spokój, ale pewnie w innym czasie spróbuje ponownie.

Wtedy moja pięść spotka się z jego twarzą.

Sięgam do worka i wyjmuję paczkę antybakteryjnych chusteczek od mamy. Wyciągam jedną, pucuję słuchawki i wyciągam w jej kierunku.

– Jak nowe – mówię, czekając, aż je weźmie, ale i tak wiem, że tego nie zrobi.

– Naprawdę nie trzeba. Ale dziękuję.

– Prawdopodobnie i tak by ci się nie spodobało – mówię, odkładając mp3 do worka. – Nie słucham Justina Biebera i tej szalonej suki, co nosi mięso, więc zgaduję, że będziesz musiała sobie poradzić bez muzyki.

Sądząc po rozdrażnieniu na jej twarzy, dość mocno ją wkurzyłem. Śmieję się w duchu i odwracam, żeby nie przyłapała mnie rozweselonego.

– Po pierwsze, ja też nie słucham Justina Biebera. – Dzięki Bogu. – Po drugie, Gaga nie jest taka zła. Być może zbyt przesadza z prowokacjami, ale muszę przyznać, że lubię niektóre jej kawałki.

– To główniana muzyka i ty to wiesz. – Kręcąc głową, cytuję ojca.

Odkładam worek na podłogę i rozkładam oparcie fotela, po czym opieram kolana

o siedzenie przede mną. Zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie kazała mi spadać. I to również mnie martwi. Czy dla tamtego faceta również byłaby taka miła i nie kazałaby mu odejść, gdyby usiadł przede mną? Niemożliwe, żeby ktoś taki jak ona był zainteresowany kimś takim jak on, ale powiedzmy sobie szczerze, niektóre dziewczyny są po prostu zbyt miłe. I te kilka sekund wystarczy.

Ponownie na nią zerkam, obracając przyciśniętą głowę do zagłówek.

– Klasyczny rock to jest to – mówię. – Led Zeppelin, Stonesi, Journey, Foreigner. – Pochyla głowę i patrzy na mnie spode łba. – Dzwoni ci jakiś dzwonek?

Przewraca oczami.

– Nie jestem głupia – odpowiada i uśmiech unosi jeden kącik jej ust, ponieważ jej postawa znów jest zadziorna.

– Wymień tytuł choćby jednej piosenki Bad Company i dam ci z tym spokój – wyzywam ją.

Po delikatnym przygryzaniu dolnej wargi poznaję, że jest zdenerwowana. Prawdopodobnie nie wie, że tak reaguje, podobnie jak nie zdaje sobie sprawy z tego, że gada przez sen i że jest obserwowana.

Czekam cierpliwie, nie mogąc przestać się uśmiechać, ponieważ zabawnie jest widzieć, jak się skręca, starając się przypomnieć wszystkie te razy, gdy jechała gdzieś ze starymi i słuchała ich muzyki, jak przeszukuje wspomnienia za czymś, co pomoże jej w tej krytycznej chwili.

– „Ready For Love” – odpowiada w końcu, a ja jestem pod wrażeniem.

– A jesteś? – pytam i coś dociera do mnie w tej chwili. Nie wiem, czym jest to „coś”, do diabła. To podobne uczucie do tego, kiedy wiesz, że ktoś cię obserwuje, ale nikogo nie zauważasz.

– Co? – pyta wytrącona z równowagi moim pytaniem, dokładnie tak, jak ja poczułem się przed chwilą.

Kąciki jej ust powoli się unoszą.

– Nic – mówię, patrząc przed siebie.

Zboczeniec wraca po cichu z toalety i siada w mroku, bez wątpienia wkurwiony, że siedzę na miejscu, które chciałby zająć. Cieszę się, że dziewczyna poczekała, aż przeszedł, i dopiero potem kazała mi iść, bo chciała mieć dla siebie oba miejsca.

Opieram łokcie o zewnętrzne siedzenia i pytam:

– A tak w ogóle to dokąd jedziesz?

Mówi, że do Idaho, ale myślę, że pod tą odpowiedzią kryje się o wiele więcej. Nie dam za to głowy, ale mam wrażenie, że albo kłamie, co jest rozsądne, bo jestem dla niej zupełnie obcy, albo ukrywa coś jeszcze.

Odpuszczam i mówię, gdzie może mnie znaleźć, po czym nurkuję na swoje siedzenie.

Ten facet znów się na nią gapi. Jestem gotów zrobić mu papkę z łba za to kurewskie patrzenie.

Kilka godzin później autobus wjeżdża na parking i kierowca daje nam piętnaście minut na rozprostowanie nóg lub zjedzenie czegoś. Stojąc pierwszy w kolejce w restauracji, widzę, jak dziewczyna idzie do łazienki. Biorę jedzenie i wychodzę na zewnątrz, siadam na trawie między parkingami. Zbok przechodzi obok mnie i wsiada do autobusu.

Udaje mi się zagadać dziewczynę, która w końcu siada koło mnie. Na początku się waha i jest niezdecydowana, ale najwyraźniej mam wiele uroku. Mama zawsze mi powtarzała, że jestem jej najbardziej uroczym, średnim synem. Chyba miała rację.

Ze dwie minuty gadamy o tym, dlaczego jadę do Wyoming i dlaczego ona jedzie do Idaho. Nadal próbuję ją rozgryźć, kombinując, co mi się nie zgadza i równocześnie przekonuję sam siebie, że nie robi na mnie wrażenia, ponieważ jestem przekonany, że za moment powie, że jest nieletnia albo skłamie na ten temat.

Jednak wygląda, że jest w moim wieku, może troszkę młodsza, ale nie bardzo.

Niech to szlag! Dlaczego przychodzi mi do głowy, że mógłbym być nią zainteresowany? Tata umiera, a ja siedzę na trawce i gaworzę. Nie powinienem myśleć tylko o ojcu i o tym, co mu powiem, jeśli zdążę do Wyoming, zanim odejdzie.

– Jak masz na imię? – pytam, odkładając napój na trawę i próbując wymazać z umysłu myśli o śmierci taty.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, prawdopodobnie dlatego, że kombinuje, czy powinna skłamać, czy powiedzieć prawdę.

– Cam – mówi w końcu.

– A to zdrobnienie od?

– Camryn.

– Ja jestem Andrew. Andrew Parrish.

Wydaje się trochę onieśmielona.

– Ile masz lat? – pyta i to mnie całkowicie zaskakuje. Mimo wszystko może nie jest podlotkiem, ponieważ dziewczyny kłamiące na temat swojego wieku zazwyczaj unikają tego tematu.

Teraz mam nadzieję, że jest pełnoletnia. Tak, naprawdę chciałbym, żeby była...

– Dwadzieścia pięć – odpowiadam. – A ty? – Jestem tak spięty, że nie mogę oddychać.

– Dwadzieścia – mówi.

Wydymając wargi, analizuję przez chwilę jej odpowiedź. Nadal nie mam pewności, czy nie kłamie, ale może po dłuższej wspólnej podróży w końcu dowiem się prawdy.

– Cóż, miło mi cię poznać, dwudziestoletnia Cam zdrobnienie od Camryn, podróżująca do Idaho, do siostry, która właśnie urodziła.

Uśmiecham się. Rozmawiamy jeszcze kilka minut, osiem minut, jeśli mam być dokładny, o tym i o owym, i trochę mieszam jej w głowie, ponieważ zasługuje na to przez tę swoją zادیorność.

Podoba się jej to, jak ją traktuję. Jest między nami przyciąganie. Choć małe, czuję je. I nie mogę się nadziwić dlaczego, ponieważ nie najlepiej wyglądam – do diabła, pewnie wali mi z ust i nie kąpałem się dzisiaj – ale gdyby chodziło o mój wygląd, to ona, w przeciwieństwie do innych dziewczyn, już mnie odrzuciła. Najwyraźniej nie chciała, żebym siedział obok niej. Nie wstydziła się powiedzieć mi suchym tonem, bym przyciszył muzykę. Wkurzyła się, kiedy jej zarzuciłem, że ma Bieber Fiver (wkurwia mnie, że nawet wiem, co to znaczy – winię społeczeństwo za takie cholerstwa) i prawdopodobnie nie miałyby problemu, żeby mnie kopnąć w jaja, jeśli spróbowałbym jej dotknąć w niewłaściwy sposób. Nie to, żebym chciał. Do diabła, nie. Ale dobrze wiedzieć, że tak by zareagowała.

Do diabła, lubię tę dziewczynę.

Wsiadamy do autobusu, wlokę się na swoje miejsce i wyciągam się wygodnie poprzez przejście na miejsca naprzeciwko, po czym widzę jej białe tenisówki wystające zza siedzenia i cieszę się, że jest na tyle bystra, by podkraść mój pomysł. Dwadzieścia minut później sprawdzam, co u niej, i tak jak myślałem – już śpi.

Wkładam słuchawki i słucham muzyki, aż też zasypiam i następnego ranka budzę się o wiele wcześniej niż ona.

Jej głowa pojawia się nad oparciem, więc uśmiecham się i macham palcem.

W świetle dnia jest jeszcze ładniejsza.

ROZDZIAŁ ÓSMY

CAMRYN

– Dziesięć minut – mówię – i będziemy musieli wysiąść z tej puszki.

Andrew uśmiecha się, odrywa plecy od oparcia i sięga po worek, by schować mp3.

Nie wiem dokładnie dlaczego, ale czuję potrzebę rozmawiania z nim.

– Lepiej ci się spało? – pyta, zapinając torbę.

– Tak, właściwie tak – odpowiadam, sięgając do karku, w którym nie czuję ścierpniętych mięśni. – Dzięki za pomysł.

– Bardzo proszę. Denver? – pyta, patrząc na mnie.

Zakładam, że pyta, czy też się tam przesiadam.

– Tak, jeszcze prawie siedem godzin.

Andrew kręci głową równie niezadowolony jak ja, że zajmie to tyle czasu.

Dziesięć minut później autobus zatrzymuje się na dworcu w Garden City. Jest tu trzy razy więcej ludzi, niż było na poprzednim, i trochę mnie to martwi. Idę przez halę dworcową i zajmuję pierwsze wolne miejsce, ponieważ autobus szybko wypełnia się podróżującymi. Andrew idzie do automatu i wraca z butelką mountain dew i paczką chipsów.

Siada obok mnie i otwiera napój.

– Co? – pyta, patrząc na mnie.

Nie zorientowałam się, że obserwowałam go, zdegowana, jak pije.

– Nic. Po prostu uważam, że to ohydne.

Słyszę, że śmieje się pod nosem, po czym otwiera paczkę chipsów.

– Wydaje mi się, że wiele rzeczy jest dla ciebie ohydnych.

Ponownie patrzę na niego, kładę plecak na kolanach.

– Kiedy ostatnio jadłeś coś mniej... przyprawiającego o atak serca?

Chrupie kolejny chips, przelżyka i mówi:

– Jem, co chcę. A ty co, jesteś jedną z tych zarozumiałych wegetarianek, narzekających na to, że fast food tuczy społeczeństwo?

– Nie jestem jedną z nich – mówię – ale myślę, że te zarozumiałe wegetarianki mogą mieć trochę racji.

Wrzuca do ust kilka chipsów i popija to łykiem napoju.

– Fast food nie tuczy społeczeństwa – mówi i dalej żuje. – Ludzie dokonują własnych wyborów. Fast foody są tylko wodą na młyn głupoty Amerykanów, którzy sami decydują, aby tam jadać.

– Nazywasz samego siebie głupim amerykańcem? – Uśmiecham się do niego.

Wzrusza ramionami.

– Tak, kiedy moje wybory są ograniczone do automatów z żarciem i barów z burgerami.

Przewracam oczami.

– Och, nie wmawiaj mi, że wybrałbyś coś lepszego, gdybyś mógł. Nie kupuję twojej gadki.

Moje riposty są coraz lepsze.

Śmieje się ze mnie.

– Do diabła, pewnie, że wybrałbym coś lepszego. Wybrałbym porządny stek zamiast tych śmieciowych plasterków albo starej kanapki i piwo zamiast tego napoju.

Kręcę głową, ale nadal jestem rozbawiona.

– A ty, co normalnie jadasz? – pyta. – Sałatki czy tofu?

– Blee. – Marszczę nos. – Nie ma na ziemi siły, która by mnie zmusiła do zjedzenia tofu, a sałatki są po prostu niskokalorycznymi zachciankami. – Przerywam i uśmiecham się. – Szczerze?

– No tak, wyrzuc to z siebie – mówi.

Patrzy na mnie jak na coś zabawnego i słodkiego, co musi zostać zbadane.

– Uwielbiam spaghetti z klopsikami i sushi.

– Czekał, zmieszane razem? – Teraz on wygląda na zde gustowanego.

Zajmuje mi kilka sekund, by się połapać.

– Och, nie. – Kręcę głową. – A przy okazji, to byłoby ohydne.

Uśmiecha się z ulgą.

– Nie jestem fanką steków – ciągnę – ale chyba zjadłabym, gdyby mi ktoś zaproponował.

– Aha, więc sugerujesz, że powinienem cię zaprosić na randkę? – Uśmiecha się coraz szerzej.

Opada mi szczęka.

– Nie! – gwałtownie zaprzeczam, rumieniąc się. – Ja tylko chciałam powiedzieć, że...

Andrew śmieje się głośno i pije kolejny łyk.

– Wiem, wiem – mówi – nie martw się. Nigdy nie zaproszę cię na randkę.

Moje oczy są coraz większe, a policzki coraz bardziej gorące.

Śmieje się jeszcze głośniej.

– Cholera, dziewczyno, nie jesteś z tych bystrych, co? Coś ci powiem – dodaje nieco bardziej poważnie – jeśli będziemy mieć szczęście i znajdziemy bar na którymś z kolejnych przystanków i jeśli zrobią nam stek w ciągu piętnastu minut, bo inaczej autobus odjedzie bez nas, to go dla ciebie kupię i pozwolę zdecydować, czy to, że zjemy steki obok siebie w autobusie, będzie randką czy nie.

– Cóż, już teraz mogę ci powiedzieć, że to nie będzie randka.

Uśmiecha się krzywo.

– Zatem nie będzie – wtrącam. – Mogę z tym żyć.

Myślę, że skończyliśmy rozmowę na ten temat, ale nagle dodaje:

– Ale wtedy co to będzie, jeśli nie randka?

– Co masz na myśli? – pytam. – To będzie przyjacielskie spotkanie. No wiesz, dwoje ludzi, którym zdarzyło się jeść wspólnie posiłek.

– Och – mówi z błyskiem w oku – więc teraz jesteśmy przyjaciółmi?

Dopada mnie, gdy jestem bezbronna. Dobry jest. Zagryzam wargę.

– Jasne – mówię. – Myślę, że jesteśmy przyjaciółmi, przynajmniej do Wyoming.

Wyciąga do mnie dłoń. Niechętnie ją ściskam. Jego uścisk jest delikatny, ale stanowczy, a uśmiech szczerzy i miły.

– W takim razie niech będzie, przyjaciele do Wyoming – mówi, potrząsając raz moją dłońią i puszczając ją.

Nie wiem, co się stało, ale nie czuję, jakbym miała tego żałować. Chyba nie ma nic złego w posiadaniu „przyjaciela” w podróży. Myślę o setkach osób, na jakie mogłam trafić, i Andrew nie wydaje mi się zły. Jest nieszkodliwy i dobrze mi się z nim rozmawia. Na pewno nie jest starszą panią, która opowiada historie, jak to było, gdy była w moim wieku, ani podtatusiałym facetem, który nadal uważa się za przystojniaka, jakim był, gdy miał siedemnaście lat, i myśli, że cudem uda mi się zobaczyć go takim. Nie. Andrew jest w sam raz. Jasne, że z wielu powodów byłoby lepiej, gdyby był dziewczyną, ale w ostatecznym rozrachunku jest moim rówieśnikiem i nie jest brzydki. Nie, Andrew Parrish na pewno nie jest brzydalem. Prawdę mówiąc, bliżej mu do ciacha i myślę, że to jedyna rzecz, która mi przeszkadza w tej sytuacji.

Cholernie dobrze wiesz, że tak naprawdę nie ma znaczenia to, co dzieje się w twoim życiu, kogo właśnie straciłeś, jak bardzo nienawidzisz świata lub jak niewłaściwe jest to, że uważasz kogoś za atrakcyjnego, zanim faza depresji nie przejdzie w fazę akceptacji. Nadal jesteś człowiekiem i gdy zauważasz kogoś atrakcyjnego, nic nie możesz poradzić, że zwracasz na niego uwagę. Taka jest ludzka natura.

Ale podejmowanie decyzji pod wpływem czyjejś atrakcyjności to już zupełnie inna historia i gdzieś trzeba narysować linię graniczną.

Nie zainteresuję się tym gościem, bez względu na wszystko.

Ale niepokoi mnie, że jest przystojny, bo to oznacza, że będę musiała bardzo uważać, by nie powiedzieć i nie zrobić nic, co mogłoby go zmylić. Tacy chłopcy dobrze wiedzą, że są bardzo apetyczni, nawet jeśli nie dają tego do zrozumienia. Z góry też zakładają, że niewinny uśmiech czy niezobowiązująca rozmowa świadczą o zainteresowaniu nimi.

Zatem ta „przyjaźń” będzie wymagała ode mnie wiele pracy. Chcę być miła, ale nie zbyt miła. Uśmiechać się, jeśli to konieczne, ale muszę być ostrożna i uważnie dozować uśmiech. Chcę się śmiać, jeśli powie coś zabawnego, ale nie chcę, żeby myślał, że to oznaka zainteresowania.

Tak, z pewnością będzie sporo roboty. Może mimo wszystko starsza pani byłaby lepsza...

Zanim podjeżdża nasz autobus, czekamy z Andrew na dworcu prawie godzinę. I jak podejrzewałam, zanoszą się na to, że tym razem nie będziemy mieli dla siebie dwóch siedzeń. Kolejka do autobusu jest tak długa, iż wydaje się, że nie dla wszystkich wystarczy miejsc. Dylemat. Kurde. Andrew i ja jesteśmy tymczasowymi przyjaciółmi, ale nie mogę się zmusić, by zapytać go, czy ze mną usiądzie. Mógłby to źle zrozumieć. Zatem kiedy kolejka przesuwa się, a Andrew trzyma się blisko mnie, mam nadzieję, że sam wpadnie na to, by usiąść obok. Wolę jego niż kogoś nowego, z kim nie będę rozmawiać.

Mniej więcej w środku autobusu zauważam dwa wolne miejsca i siadam na fotelu przy oknie.

Andrew siada przy mnie i czuję ulgę.

– Ponieważ jesteś dziewczyną – mówi i kładzie worek na podłodze między stopami – pozwolę ci zająć miejsce przy oknie. – Śmieje się.

W końcu autobus jest pełny, zaczyna robić się duszno, drzwi zamykają się z piskiem i kierowca uruchamia silnik.

Podróż nie wydaje się tak długa i nużąca, kiedy mam z kim porozmawiać. Około godziny zajmuje nam rozmowa o wszystkim, poczynając od tego, jakie są jego ulubione zespoły rockowe, kończąc na tym, dlaczego lubię Pink i dlaczego jej kawałki są o wiele lepsze niż Boston i Foreigner, które dla mnie brzmią tak samo. Spieramy się o to że dwadzieścia minut – on jest naprawdę uparty i mówi to samo o mnie, więc może oboje jesteśmy siebie wari. I mówię mu, kim jest Nat, chociaż nie ujawniam paskudnych szczegółów naszej przyjaźni.

Do zmroku uświadamiam sobie, że odkąd wsiedliśmy do autobusu i postanowiliśmy razem usiąść, nie było między nami ani minuty krępującej ciszy.

– Jak długo zamierzasz zostać w Idaho?

– Kilka dni.

– A potem wracasz autobusem? – O dziwo, Andrew poważnieje.

– Tak – mówię, nie chcąc się rozwodzić na ten temat, ponieważ z wyprzedzeniem nie znam odpowiedzi.

Wzdycha.

– To nie moja sprawa – mówi, patrząc na mnie i przestrzeń między nami się kurczy, bo siedzi tak blisko – ale nie powinnaś podróżować sama w taki sposób.

Nie patrzę na niego.

– Cóż, nie mam innego wyjścia.

– Dlaczego? – pyta. – Nie próbuję cię podrywać, ale młoda, diabelnie ładna dziewczyna, podróżująca autobusem i przesiadająca się na dworcach, nie jest bezpieczna.

Próbuje ukryć uśmiech zadowolenia. Patrę na Andrew.

– Nie uderzasz do mnie – mówię – mimo to nazywasz mnie „diabelnie ładną” i w tym samym zdaniu używasz tekstu „co dziewczyna taka jak ty robi w miejscu takim jak to”.

Jest nieco obrażony.

– Mówię poważnie, Camryn. – I mój dobry humor wyparowuje. – Naprawdę może stać ci się krzywda.

Staram się załagodzić sytuację:

– Nie martw się o mnie. Jeśli ktoś mnie zaatakuje, będę głośno krzyczeć.

Kręci głową, bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze, poddając się.

– Opowiedz mi o tacie – proszę.

Przestaje na mnie patrzeć, a jego twarz smutnieje. Celowo poruszyłam ten temat. Jestem przekonana, że coś ukrywa. Kiedy w Kansas wspomniał o umierającym ojcu, wydawało się, że to go nie rusza. Ale przecież jedzie, by zobaczyć rodzica, zanim ten umrze, więc musi go kochać. Nie wyobrażam sobie, aby można było zachować spokój, gdy umiera ktoś, kogo kochasz.

Brzmi to dziwnie w ustach kogoś, kto już nie potrafi płakać.

– On jest dobrym człowiekiem – mówi Andrew, wciąż patrząc przed siebie. Mam wrażenie, że przypomina sobie tatę, i nie widzi nic prócz wspomnień.

Ale po chwili znów patrzy na mnie i się uśmiecha, lecz nie jest to uśmiech mający zamaskować ból. Raczej uśmiech do dobrych czasów, jakie ma w pamięci.

– Zamiast na zawody baseballowe ojciec zabierał mnie na walki bokserskie.

– Och. – Odwzajemniam uśmiech. – Opowiesz?

Znów patrzy przed siebie z tym samym ciepłym wyrazem twarzy.

– Tata chciał, żebyśmy byli wojownikami... – Zerka na mnie. – Nie bokserami, tylko prawdziwymi wojownikami, chociaż zapewne gdybyśmy zostali pięściarzami, też by mu to nie przeszkadzało. Ale mam na myśli tak ogólnie wojownikami, no wiesz, w życiu. Tak metaforycznie.

Kiwam głową, żeby wiedział, iż rozumiem.

– Miałem osiem lat, siedziałem na widowni i jak zahipnotyzowany patrzyłem na tych dwóch mężczyzn okładających się nawzajem. Tata przekrzykiwał tłum, mówiąc do mnie: „Oni niczego się nie boją, synu. I wszystkie ich ruchy są zaplanowane. Wykonują ruch, który jest skuteczny albo nie, ale za każdym razem wyciągają wnioski, uczą się poprzez każdą decyzję”. – Nasz wzrok na chwilę się krzyżuje. Andrew jest poważny. – Powiedział mi, że prawdziwi wojownicy nigdy nie płaczą i nie dopuszczają, by którykolwiek cios ich powalił. Oprócz tego ostatecznego uderzenia, tego nieuniknionego, ale nawet wtedy padają jak mężczyźni.

Ja też się już nie uśmiecham. Nie wiem, co dokładnie dzieje się w głowie Andrew, ale dzielimy ten sam nastrój. Mam ochotę zapytać go, czy wszystko w porządku, bo najwyraźniej nie jest, ale nie wypada. Czuję się niezręcznie, bo nie znamy się na tyle długo, bym mogła drażnić jego emocje.

Dlatego milczę.

– Musisz mieć mnie za kutasa – rzuca.

Mrugam zaskoczona.

– Nie – odpowiadam. – Dlaczego tak sądzisz?

Natychmiast się wycofuje i bagatelizuje to pytanie. Na jego twarzy pojawia się znów szelmowski uśmieszek.

– Jadę, żeby go zobaczyć, zanim kopnie w kalendarz – mówi, a dobór słów lekko mnie szokuje – ponieważ to powinienem zrobić, prawda? To jest zwyczajna rzecz, jak powiedzieć „na zdrowie”, kiedy ktoś kicha, czy zapytać, jak mu minął weekend, chociaż gównu cię to obchodzi.

Cholera, skąd mu to się wszystko bierze?

– Trzeba żyć terażniejszością – mówi, a ja słucham oszołomiona. – Nie uważasz? – Odwraca głowę i znów patrzy na mnie.

Chwilę zajmuje mi poukładanie sobie tego, ale i tak nie wiem, co powiedzieć.

– Życie terażniejszością, co? – pytam, cytując jego słowa, jednak myślę o własnych przekonaniach na temat kochania w terażniejszości. – Chyba masz rację. – Ale nadal zastanawiam się, w co on wierzy.

Prostuję się na siedzeniu i unoszę głowę, by móc mu się dokładniej przyjrzeć. Nagle zapragnęłam dowiedzieć się o nim wszystkiego – w co wierzy, co jest dla niego ważne, czego nienawidzi.

– A co dla ciebie znaczy życie terażniejszością? – pytam.

Unosi brew, zaskoczony powagą mojego pytania albo moim zainteresowaniem. A może jednym i drugim.

Też się prostuje i podnosi głowę.

– Tyle że rozpamiętywanie i planowanie jest gówniecznie – stwierdza. – Rozpamiętujesz przeszłość i nie możesz ruszyć do przodu. A gdy spędzasz zbyt wiele czasu na planowaniu, cofasz się albo zatrzymujesz i trwasz w tym samym miejscu swojego życia. – Patrzy mi w oczy. – Żyjąc chwilą – mówi, jakby dawał mi poważną radę – w której wszystko jest w porządku, nie

spiesząc się i blokując złe wspomnienia, uda ci się dobrać do celu szybciej i z dużo mniejszymi obrażeniami.

Cisza między nami wskazuje na to, że nasze umysły przetwarzają to, co powiedział. Zastanawiam się, czy jego myśli są takie same jak moje. I zastanawiam się nad tym, choć bardzo nie chcę tego przyznać, że jego słowa powodują, iż kiedy patrzę na niego, czuję, jakbym patrzyła w lustro.

Autobus sunie autostradą, jest głośno i trzęsie. Ale po tak długim czasie łatwo zapomnieć, jak niewygodna jest jazda autobusem w porównaniu z luksusem jazdy samochodem. A kiedy myślisz o pozytywach jazdy autobusem, łatwiej nie pamiętać o negatywach. Przecież obok mnie siedzi gość o ślicznych zielonych oczach, ładnych rysach twarzy i o ładnych poglądach na życie. Nie ma czegoś takiego jak zła jazda autobusem, jeśli obok siebie masz tyle piękna.

Nie powinnam tu być...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ANDREW

Nie mogę uwierzyć, że zapytała o tatę. Nie, że mnie to wkurza, ale jestem zaskoczony, bo wydaje się, że naprawdę jest zainteresowana. Nawet zapamiętała. Nie pyta, czym się w życiu zajmuję, i nie kalkuluje, ile mogę zarabiać, ani nie chichocze i nie rumieni się, próbując dotykać moich tatuaży, używając ich jako wymówki, by mnie pomacać. Cholernie mnie to wkurza. To znaczy tak, nie wkurza mnie, gdy chcę się z kimś przespać, wtedy to wszystko ułatwia, ale jakimś cudem uszczęśliwia mnie to, że Camryn tego nie robi.

Kim, do diabła, jest ta dziewczyna?

I dlaczego w ogóle myślę o tych rzeczach?

Zasypia z głową opartą na szybie. Opieram się pokusie, by na nią nie patrzeć, zauważam, jak miękko i niewinnie wygląda, co budzi we mnie coś pierwotnego, coś opiekuńczego.

Wydaje się, że zboczeniec dał sobie z nią spokój, kiedy zauważył, iż siedzieliśmy razem na ostatnim dworcu. W oczach ludzi prawdopodobnie ona jest moim „terytorium”, moją własnością. A to dobrze, ponieważ prawdopodobnie da jej spokój, przynajmniej dopóki jestem w pobliżu. Prawda jest jednak taka, że będziemy razem tylko do Wyoming i to mnie cholernie martwi. Mam nadzieję, że on się przesiądzie do innego autobusu, zanim będę musiał się rozstać z Camryn. Zostały jeszcze dwa przystanki do Denver – mam cholerną nadzieję, że ten facet jedzie do Denver, a jeśli nie, to i tak będę jej pilnował aż do Wyoming.

Nie ma mowy, żeby jechał do Idaho. Wcześniej zabiję skurwysyna.

Patrzę na ciemność w autobusie. Mężczyzna śpi na zewnętrznym siedzeniu z odchyłoną głową. Obok niego, na fotelu przy oknie, siedzi kobieta, ale jest za stara, by zwracał na nią uwagę. On lubi młode, prawdopodobnie bardzo młode. To mnie naprawdę podkurwia, jeśli pomyślę o tym, co do tej pory mógł zrobić jakiejś dziewczynie.

Chociaż autobus jest dość głośny, bo wiatr świszczy na metalowej karoserii, gumowe opony szumią na asfalcie, duży silnik mruczy, ciągnąc całą tę budę, to i tak jest cicho. Prawie spokojnie. To znaczy tak cicho, jak tylko może być w autobusie.

Sięgam po słuchawki i włączam losowe wybieranie. Co to będzie? Co to będzie? Zawsze pierwsza piosenka wpływa na mój nastrój. Mam tu ponad trzy setki piosenek. Trzysta nastrojów do wyboru. Myślę, że moja mp3 jest stronicza, ponieważ za każdy razem w tej podróży pierwszą piosenką jest coś pomiędzy „Dust in the Wind” Led Zeppelin a „Going to California” The Eagles.

Czekam, nie patrząc na wyświetlacz, jakbym grał w grę i nie chciał przy tym oszukiwać. Och, dobry wybór, „Dream On” Aerosmith. Opieram głowę o fotel i zamykam oczy,

podświadomie ścisząc muzykę płynącą mi w uszach, ponieważ nie chcę budzić Camryn.

Otwieram oczy i patrzę na nią. Ścisza bagaż, jakby nadal była świadoma, nawet w głębokim śnie. Zastanawiam się, co może mieć w plecaku i czy cokolwiek z tego mogłoby mi coś o niej powiedzieć. I czy coś z tego mogłoby powiedzieć prawdę.

Ale to nie ma znaczenia. Po Wyoming i tak nie będę jej znał, a ona prawdopodobnie nawet nie zapamięta mojego imienia. Ale wiem, że tak jest lepiej. Mam zbyt wiele bagażu i nawet jako przyjaciel nie chcę jej tym obarczać. Nikomu bym tego nie życzył.

Ciche, melodyjne brzmienie głosu Stevena Tylera kołysze mnie do snu. Może z wyjątkiem tego piskliwego krzyku, czekam, aż skończy, a potem odpływam.

– Koleś, poważnie? – Słyszę jakiś głos.

Coś naciska na moje ramię. Budzę się i widzę, jak Camryn swoimi małymi rączkami odpycha mnie od siebie. To naprawdę zabawne, ten jej poranny wyraz twarzy i to, że choć mocno pcha, nie może mnie odsunąć, bo jestem zbyt ciężki.

– Sorry – mówię, nadal próbując się obudzić. Przesuwam się zdezorientowany i czuję zdrętwiały kark. Nie chciałem spać z głową na jej ramieniu, ale nie jestem tym przerażony, tak jak ona udaje, że jest. Jestem pewny, że udaje. Naprawdę bardzo się stara, żeby się nie śmiać.

Pozwólcie, że jej w tym nieco pomogę.

Uśmiecham się do niej szeroko.

– Myślisz, że to zabawne? – pyta, jej usta są lekko otwarte, a brwi powędrowały na słiczne czołko.

– Właściwie całkiem zabawne. – Mój uśmiech staje się jeszcze szerszy i w końcu ona się łamie i też się śmieje. – Ale przepraszam. Naprawdę. – I właśnie to mam na myśli.

Mruży oczy i patrzy na mnie podejrzliwie, sprawdzając, czy jestem szczerzy, co jest słodkie.

Podnoszę ręce, żeby się przeciągnąć, i ziewam.

– Ohyda – mówi i to słowo wcale mnie nie dziwi. – Twój oddech śmierdzi jak tyłek.

Nie mogę się powstrzymać i mówię:

– Cholera, dziewczyno, skąd ty wiesz, jak śmierdzi tyłek?

To ją ucisza. Śmieję się, sięgam po worek i wrzucam do niego mp3. Wyciągam pastę do zębów i wyciskam trochę na koniec języka, rozprowadzam ją w ustach i przełykam. Oczywiście Camryn jest oburzona, ale o to mi właśnie chodziło.

Wydaje się, że reszta ludzi w autobusie obudziła się przede mną. Jestem zdumiony, że spałem tak długo i bez budzenia się przynajmniej trzy razy, by znaleźć wygodniejszą pozycję, która i tak zawsze jest niefajna.

Zegarek mówi, że jest dziewiąta dwie.

– Gdzie jesteśmy? – pytam, gapiąc się w okno i szukając znaków przy autostradzie.

– Cztery godziny przed Denver – odpowiada. – Kierowca właśnie ogłosił, że za dziesięć minut będzie przerwa.

– To dobrze – mówię, wyciągając nogę na przejście – bo muszę trochę pochodzić. Jestem sztywny jak diabli.

Widzę jej uśmiezek, ale odwraca się do okna. Sztywny jak diabli. Dobra, to znaczy, że ona też lubi świntuszyć. Wprawia mnie to w dobry nastrój.

Następne miejsce, w którym się zatrzymujemy, niewiele różni się od kilku poprzednich, ma stację benzynową, sklep i dwa bary fast food. Nie mogę uwierzyć, że pod wpływem tej dziewczyny zaczynam się zastanawiać, czy mam wejść do baru, co, gdybym jej nie poznał, zrobiłbym bez zastanowienia. Po prostu nie umiem powiedzieć, czy chcę jej udowodnić, że potrafię wybrać lepsze jedzenie, czy dlatego, że wiem, iż ona będzie na mnie fukać.

Czekajcie chwilę. Kto, do cholery, kontroluje tę sytuację?

Najwyraźniej ona. W dupę jeża.

Wychodzimy z autobusu, Camryn idzie przede mną i kiedy jest już na zewnątrz, obraca się do mnie, krzyżuje ręce na piersi i zaciska wargi.

– Cóż, jeśli jesteś taka mądra – mówię jak trzecioklasista, ale tak właśnie chcę brzmieć – to znajdziesz tu coś zdrowego do jedzenia, co jednocześnie nie będzie smakować jak guma opanierowana w gówno.

– Dobra – przyjmuje wyzwanie.

Idę za nią do sklepu spożywczego, gdzie najpierw podchodzi do lodówek z napojami. Jak ta blond laska z telewizyjnego show (nie podam nazwy, bo nie oglądam takich programów, ale wszyscy wiedzą, o jaką blondynę mi chodzi) Camryn prezentuje dłońmi lodówkę, jakby soki i woda mineralna były dla mnie nowością.

– Jak na pewno zauważyłeś, zaczniemy od soku – mówi głosem telewizyjnej prezenterki.
– Wszystko, co się tu znajduje, jest lepsze niż słodzone napoje. Możesz wybrać smak.

– Nie cierpię soku.

– Nie bądź dzieckiem. Masz duży wybór, jestem pewna, że twój żołądek przyjmie coś z tego.

Cofa się dwa kroki, umożliwiając mi przyjrzenie się dziesiątkom butelek w lodówce.

– A tam jest woda – mówi – ale nie umiem sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak ty pił wodę z tych fantastycznych butelek.

– Nie, to by było zbyt obciachowe. – W rzeczywistości nie mam problemu z piciem wody mineralnej, ale podoba mi się ta gra.

Uśmiecha się, choć stara się zachować powagę.

Marszczę nos, wydymam wargi i patrzę na nią, a potem na lodówkę z sokami.

Wzdycham ciężko i podchodzę krok bliżej, przeszukując marki i smaki, i zastanawiam się, dlaczego tak dużo jest truskawki i kiwi, osobno albo zmieszanych razem. Nie cierpię tych owoców.

W końcu otwieram szklane drzwiczki i sięgam po sok pomarańczowy.

Krzywi się.

– Co? – pytam, trzymając otwarte drzwi.

– Sok pomarańczowy nie jest dobry do posiłku.

Wypuszczam powoli powietrze i patrzę na nią bez mrugania.

– Wybieram coś, a ty mi mówisz, że to nie jest wystarczająco dobre. – Chce mi się śmiać, ale próbuję wywołać w niej poczucie winy.

I to działa.

Camryn marszczy brwi.

– Cóż, jest tylko... dobrze, ma naprawdę dużo witaminy C. Ale sprawi, że będzie ci się chciało pić jeszcze bardziej.

Naprawdę wygląda, jakby się martwiła, że mnie obraziła, a mnie zaskakuje, że jej reakcja sprawia mi przyjemność. Śmieję się tylko po to, by ponownie zobaczyć jej uśmiech.

Szczerzy się do mnie jak diabliska.

Och, jest dobra...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CAMRYN

W końcu mijamy Denver i jesteśmy coraz bliżej końcowego przystanku Andrew w Wyoming. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mi to nie przeszkadza. Andrew miał rację, mówiąc, że samotna podróż może być niebezpieczna. Po prostu staram się zrozumieć, dlaczego ten fakt nie niepokoił mnie, zanim poznałam tego chłopaka. Być może czuję się przy nim bezpieczna, ponieważ wygląda, jakby mógł bez uronienia kropli potu złamać kilka szczęk. Cholera, może w ogóle nie powinnam z nim rozmawiać; zdecydowanie nie powinnam mu pozwolić tu siedzieć, ponieważ chyba się do niego przyzwyczałam. Kiedy już będziemy w Wyoming i nasze drogi się rozejdą, wrócę do oglądania krajobrazu migającego przed oczami i niewiedzy, gdzie znajduje się mój cel.

– Hej, masz dziewczynę? – pytam, by zainicjować rozmowę, żebym nie musiała myśleć o tym, że już za kilka godzin będę sama.

Na policzkach Andrew pojawiają się dołeczki.

– A dlaczego chcesz to wiedzieć?

Przewracam oczami.

– Nie pochlebiaj sobie, to tylko pytanie. Jeśli nie masz...

– Nie – odpowiada. – Jestem szczęśliwym singlem.

Teraz zwyczajnie na mnie patrzy, uśmiecha się i czeka. I zajmuje mi kilka sekund, zanim orientuję się, na co on czeka.

Zaczynam się denerwować i żałować, że nie wymyśliłam mniej osobistego pytania.

– Ja? Nie, już nie. – Czując się pewniej, dodaje: – Ja też jestem szczęśliwym singlem i chciałabym, żeby tak pozostało. Przez... zawsze. – Powinnam skończyć po „szczęśliwym singlem”, a nie dodawać tego, co oczywiste.

Naturalnie Andrew od razu to zauważa. Mam wrażenie, że jest typem, który nigdy nie daruje, jeśli coś się komuś wymknie. Tylko na to czyha.

– Będę o tym pamiętał – mówi z uśmiechem.

Na szczęście nie draży tematu.

Opiera głowę o zagłówek i bezwiednie uderza palcami w udo. Zerkam z ukosa na jego umięśnione, opalone ramię i próbuję przyjrzeć się tatuażom, które zazwyczaj są ukryte pod

rękawami podkoszulka. Odrobinę tego na prawej ręce widziałam wcześniej, gdy wiązał but. Myślę, że przedstawia jakieś drzewo. Lewe ramię jest teraz częściowo zakryte, więc niewiele dostrzegam, ale cokolwiek to jest, ma pióra. I wszystkie jego tatuaże, jakie widziałam do tej pory, są bezbarwne.

– Ciekawa? – pyta, a ja się wzdrygam. Nie sądziłam, że wie, iż mu się przyglądam.

– Chyba.

Tak, właściwie to bardzo.

Andrew podnosi się na fotelu i unosi rękaw na lewej ręce, odsłaniając feniksa z pięknym, długim ogonem, który kończy się kilka cali przed rękawem. Ale reszta ciała ptaka jest bardziej „szkieletowa”, nadając mu znacznie bardziej męski wygląd.

– To dość niesamowite.

– Dzięki. Mam go już chyba z rok – mówi, opuszczając rękaw. – A ten – dodaje, obracając się i unosząc drugi rękaw (ale najpierw zauważam przez podkoszulek jego napięty „kaloryferek”) – to moje upiorne drzewo, lubię strasznie wyglądające drzewa, a jeśli przyjrzesz się z naprawdę małej odległości... – przysuwam się, a jego palec wędruje w dół pnia – stoi pod nim mój chevrolet camaro z 1969 roku. Tak naprawdę jest mojego ojca, ale ponieważ on umiera, to sądzę, że mogę go zatrzymać. – Patrzy gdzieś w dal.

No i jest, ten mały błysk bólu, który starannie ukrywa, kiedy mówi o ojcu. Cierpi o wiele bardziej, niż to okazuje, i to w jakiś sposób łamie mi serce. Nie wyobrażam sobie, aby któreś z moich rodziców leżało na łożu śmierci, a ja jechałabym autobusem przez całe Stany, by ich zobaczyć po raz ostatni. Patrzę na jego profil i naprawdę chcę coś powiedzieć, żeby go pocieszyć, ale nie wiem, czy potrafię. Z jakiegoś powodu uważam, że nie mogę się wtrącać, tym bardziej próbować podnosić go na duchu.

– Mam też kilka innych – kontynuuje, patrząc na mnie z głową przyciśniętą do zagłówka. – Malutki tutaj. – Odwraca nadgarstek i jestem zaskoczona, że wcześniej go nie dostrzegłam. – I duży po lewej stronie żeber.

– Co jest na tym twoim boku? I jak jest duży?

Zielone oczy błyszczą, kiedy uśmiecha się serdecznie, przechylając głowę na bok.

– Jest cholernie wielki. – Jego ręce podążają, jakby chciały podnieść podkoszulek, ale się zatrzymują. – To tylko kobieta. Nic wartego robienia striptizu w autobusie.

No i teraz bardzo chcę zobaczyć ten tatuaż, ponieważ on nie chce mi go pokazać.

– Znajoma kobieta? – pytam, myśląc o tym, że może zmieni zdanie i podniesie koszulkę, ale on tego nie robi.

Kręci głową.

– Nieee, to nic z tych rzeczy. To Eurydyka. – Macha ręką lekceważąco, jakby to wszystko wyjaśniało.

Imię brzmi antycznie i jest znajome, może greckie, ale nie mogę go nigdzie przypasować.

Kiwam głową.

– Bolało?

Uśmiecha się.

– Trochę. Właściwie to na żebrach najbardziej boli, więc tak, bolało.

– Płakałeś? – nabijam się.

Śmieje się lekko.

– Nie, nie płakałem, ale do diabła, płakałbym, jeśli ten tatuaż byłby większy choćby o milimetr. W sumie jego tworzenie zajęło szesnaście godzin.

Mrugam oszłomiona.

– Wow, siedziałeś tam przez szesnaście godzin?

Im dłużej rozmawiamy na ten temat, jeszcze bardziej się zastanawiam, dlaczego nie chce mi pokazać tego tatuażu. Może wcale nie jest taki okazały albo tatuażysta coś spieprzył.

– Nie naraz – odpowiada. – Robiliśmy to przez kilka dni. Zapytałbym, czy masz jakieś tatuaże, ale coś mi podpowiada, że nie masz. – Uśmiecha się z zadowoleniem.

– No i masz rację – mówię, czerwieniąc się lekko. – Nie to, że bym nie chciała sobie zrobić. – Owijam palce wokół nadgarstka. – Mam na myśli jakiś tutaj, coś mówiącego „wolność” albo sentencję po łacinie, ale oczywiście nie myślałam o tym zbyt intensywnie.

Oddycham szybciej nieco zakłopotana. Ja rozmawiająca o tatuażach z gościem, który najwyraźniej wie o nich więcej niż każdy przeciętny... To może być przytłaczające.

Kiedy kładę nadgarstek na podłokietniku, Andrew owija wokół niego swoje palce. To mnie przez chwilę zaskakuje, nawet wywołuje dreszcz, ale to uczucie szybko zanika, kiedy Andrew odzywa się do mnie swobodnie.

– Tatuaż na nadgarstku dziewczyny jest bardzo wdzięczny i kobiecy. – Czubkiem palca głaszczę spód mojej ręki, pokazując, gdzie mógłby się znajdować. Drżę leciutko. – Łacińska sentencja byłaby subtelna i ładnie tutaj wyglądała. – A potem odkłada delikatnie moją rękę na podłokietnik. – Spodziewałem się, że powiesz coś w stylu: „nie ma mowy, że bym kiedykolwiek

zrobiła sobie tatuaż”. – Śmieje się i podnosi nogę, kładąc kostkę na kolanie. Splata palce i rozciąga się na siedzeniu, by było mu wygodniej.

Szybko robi się ciemno, słońce ledwo wisi nad horyzontem, sprawiając, że wszystko opływa w róże, pomarańcze i fiolety.

– Chyba nie jestem przewidywalną osobą. – Uśmiecham się do niego.

– Nie, najwyraźniej nie jesteś – mówi, też się uśmiechając, a następnie patrzy zamyślony przed siebie.

Następnego dnia Andrew budzi mnie po czternastej na dworcu w Cheyenne w Wyoming. Czuję jego palce wbijające mi się w zębra.

– Jesteśmy – oznajmia i w końcu muszę otworzyć oczy i podnieść głowę z okna.

Wiem, że mam nieświeży oddech, bo zaschło mi w ustach, więc gdy ziewam, odwracam się od niego.

Hamulce piszczą, gdy autobus zajeżdża na dworzec, i jak zawsze pasażerowie podnoszą się z siedzeń i sięgają do schowka po torby. Ja po prostu siedzę, czując lekką panikę i uważnie przyglądam się Andrew. Po prostu mam mininapad lękowy. To znaczy wiedziałam, że ten moment nastąpi, że Andrew odejdzie, a ja zostanę sama, ale nie spodziewałam się, że będę się czuła jak mała, przestraszona dziewczynka, wysłana bez opieki w szeroki świat.

Cholera! Cholera! Cholera!

Nawet nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam sobie przy nim na relaks, wskutek czego nie mogę już pokonać strachu.

Boję się samotności.

– Idziesz? – pyta, stojąc z wyciągniętą ręką w przejściu i patrząc na mnie. Uśmiecha się łagodnie i nie dogaduje, nie sypie żartami, ponieważ wie, że widzimy się po raz ostatni.

Nie zakochaliśmy się w sobie, ale ciężko jest rozstawać się z nieznajomym, z którym spędzasz w autobusie kilka dni, poznając go i ciesząc się jego towarzystwem. A jeśli jeszcze ten nieznajomy myśli podobnie jak ty i nie musisz mu tłumaczyć, dlaczego cierpisz, rozstanie jest jeszcze trudniejsze.

Ale nie mogę mu o tym powiedzieć. To byłoby głupie. Sama się wpakowałam w tę sytuację, więc sama muszę przez to przebrnąć. Bez względu na to, gdzie zaprowadzi mnie świat.

Uśmiecham się do niego i podaję mu dłoń. I przez całą długość autobusu oraz na schodkach idzie przede mną, trzymając rękę za plecami i mając splecione palce z moimi. I czuję ciepło jego dotyku, i chcę, żeby to trwało jak najdłużej, bo może, gdy już będę sama, dzięki temu będę o wiele pewniejsza.

– Cóż, Camryn... – Patrzy na mnie wymownie, jakby chciał, żebym mu podała nazwisko.

– Bennett. – Uśmiecham się i gram wbrew własnym zasadom.

– Cóż, Camryn Bennett, miło było cię poznać w podróży donikąd. – Poprawia sobie torbę na ramieniu, po czym wkłada ręce w kieszenie jeansów. Napinają mu się mięśnie ramion. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Staram się uśmiechać i nawet to robię, ale zdaję sobie sprawę, że wygląda to jak coś pomiędzy uśmiechem a skrzywieniem.

– Też miło było cię poznać, Andrew Parrish – mówię, chociaż nie chcę tego mówić. Chcę, żeby jechał ze mną trochę dalej. – Jeśli byś nie miał nic przeciwko temu, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

Teraz wzbudziłam w nim ciekawość, aż przechylił głowę na bok.

– Dobra. Jakiego rodzaju przysługę? Seksualną? – Jego dołeczki pogłębiają się i jest diabelnie przystojny z tym uśmiechem.

Śmieję się i patrzę pod stopy zarumieniona, ale po chwili przestaję, ponieważ to nie jest takie proste. Patrzę na niego z prawdziwym współczuciem.

– Jeśli twojemu tacie się nie uda – mówię, a jego uśmiech gaśnie – pozwól sobie na płacz, dobrze? Jedną z najgorszych rzeczy na świecie jest to, że nie jesteś w stanie płakać i w końcu... wszystko zaczyna się robić coraz bardziej mroczne.

W ciszy patrzy na mnie dłuższą chwilę, potem kiwa głową, a w jego oczach pojawia się malutki błysk wdzięczności. Wyciągam rękę, by uściskać go na pożegnanie, a on robi to samo, ale kiedy ściska moją dłoń, trwa to nieco dłużej niż powinno, po czym zamyka mnie w prawdziwym niedźwiedzim uścisku. Tulę go mocno, żałując, że nie może ze mną zostać, ponieważ jestem przerażona, bo mnie zostawia, jednak wiem, że tak musi być.

Kurwa, otrząśnij się, Camryn!

Odsuwa się, kiwa mi głową po raz ostatni z uśmiechem, który tak szybko polubiłam, a potem odchodzi i opuszcza dworzec. Stoję w miejscu mniej więcej przez wieczność, nie mogąc poruszyć nogami. Widzę przez szyby, jak wsiada do taksówki, i patrzę, dopóki nie znika mi z oczu.

Znów jestem sama. Ponad tysiąc kilometrów od domu. Bez kierunku, bez celu, bez jakiegokolwiek pomysłu, oprócz tego, że chciałam się znaleźć w tej podróży, mimo że nawet nie wyobrażałam sobie, że się do niej zmuszę. Jestem przerażona. Ale muszę jechać dalej. Muszę, ponieważ potrzebuję tej samotności, z dala od domu. Przecież dlatego się tu znalazłam.

W końcu odzyskuję kontrolę i odchodzę od wielkiego okna, by znaleźć miejsce. Mam

cztery godziny do odjazdu autobusu do Idaho, więc muszę znaleźć coś, czym się zajmę.

Najpierw idę do automatów.

Wsuwam drobne do dziurki i mam zamiar przycisnąć guzik E4, by wziąć batonik zbożowy – najbliższą zdrowej żywności rzecz w tej maszynie – ale mój palec nagle zawraca do D4 i obrzydliwie słodki batonik czekoladowy wypada do szuflady. Niezbyt zadowolona, biorę batonik i idę do automatu z napojami, sprawdzając najpierw, czy są w nim soki i woda, ale zamiast czegoś zdrowego wybieram psującą zęby i żołądek butelkę przesłodzonej oranżady.

Andrew byłby dumny.

Cholera, przestań myśleć o Andrew!

Zabieram swoje śmieciowe żarcie do najbliższego wolnego miejsca i czekam pół dnia.

Czterogodzinne opóźnienie przeciąga się do sześciu godzin. Ogłosili to przez megafon, coś, że autobus uległ mechanicznemu uszkodzeniu. Chór rozczarowanych jęków przeszedł wtedy przez dworzec.

Świetnie. Po prostu świetnie. Utknęłam na dworcu pośrodku niczego i równie dobrze mogę tu spędzić noc, próbując zasnąć zwinięta w kulkę na plastikowym krzeselku, które nie nadaje się nawet do siedzenia.

Albo mogę iść i kupić bilet, żeby jechać gdzie indziej.

To jest to. I problem rozwiązany!

Żałuję, że nie wymyśliłam tego wcześniej, ponieważ zaoszczędziłabym sześć godzin czekania, które do tej pory tu zmarnowałam. To jakbym oszukiwała mózg, że jadę do Idaho, tylko dlatego, że kupiłam tam bilet.

Łapię plecak i torebkę, które leżą na krześle obok mnie, zakładam je na ramię, podczas gdy przemierzam dworzec, przechodząc obok zde gustowanych pasażerów, którzy nie mają takich możliwości jak ja, i idę do kasy.

– Właśnie zamykamy – informuje mnie kasjerka po drugiej stronie okienka.

– Chwileczkę, proszę – mówię, natychmiast wrzucając ręce na ladę. – Tylko chciałam kupić bilet gdzie indziej. Proszę, wyświadczy mi pani ogromną przysługę!

Starsza, pomarszczona kobieta przygryza wnętrze policzka. Wzdycha, a następnie stuka kilka razy w klawiaturę komputera.

– Och, dziękuję! – mówię. – Jest pani niesamowita! Dziękuję!

Przewraca oczami.

Kładę torebkę na ladzie i grzebię w niej w poszukiwaniu portfela.

– A w jakim kierunku zmierzasz? – pyta.

Oj, znowu pytanie za milion dolców. Rozglądam się za jakimiś „znakami”, jak to było w wypadku pieczonych ziemniaków na dworcu w Karolinie Północnej, ale nic mi się nie rzuca w oczy. Starsza pani patrzy na mnie z oburzeniem, co sprawia, że jeszcze szybciej chcę wymyślić cel podróży.

– Panienko? – mówi, wzdychając ciężko. Patrzy na zegar na ścianie. – Powinam zamknąć piętnaście minut temu, naprawdę chciałabym iść na kolację do domu.

– Tak, przepraszam – mówię, wyciągając kartę kredytową i podając jej. – Teksas – mówię na próbę, ale kiedy już to wypowiadam, orientuję się, że to mi pasuje. – Gdziekolwiek w Teksasie będzie super.

Starsza pani marszczy swoje już i tak pomarszczone czoło.

– Nie wiesz, gdzie jedziesz?

Kiwam głową zdenerwowana.

– Hmm, nie, ja tylko chciałam powiedzieć, że może być najbliższy autobus do Teksasu. – Uśmiecham się do niej najmilej, jak umiem, mając nadzieję, że kupi ten stek bzdur i nie będzie chciała sprawdzać moich dokumentów. – Siedzę tu już od sześciu godzin, mam nadzieję, że pani rozumie.

Patrzy na mnie przez długą, niepokojącą chwilę, po czym wyjmuję z moich palców kartę kredytową i zaczyna stukać w klawiaturę.

– Następny autobus odjeżdża do Teksasu za godzinę.

– Świetnie, poproszę bilet! – mówię szybko, zanim zdąży zapytać, gdzie dokładnie w Teksasie chcę się znaleźć.

Ale to nie ma znaczenia, najwyraźniej śpieszy jej się do domu i chyba aż tak się mną nie przejmuję. Przecież jeśli mnie nie zależy, jej też nie powinno.

Wkładam mój nowy bilet obok starego i czuję ulgę, gdy starsza pani zamyka okienko. Wracam na swoje miejsce i łowię w torebce telefon. Kiedy już mam go w ręce, sprawdzam nieodebrane połączenia i wiadomości. Dwa razy dzwoniła mama i za każdym razem zostawiła mi wiadomość na poczcie, ale Natalie nadal nie oddzwoniła.

– Kochanie, gdzie jesteś? – pyta mama, kiedy do niej oddzwoniam. – Próbowałam zadzwonić do Natalie i zapytać, czy nie zatrzymałaś się u niej, ale nie mogłam jej złapać. Wszystko w porządku?

– Tak, mam, nic mi nie jest. – Wstaję i spaceruję z telefonem przyciśniętym do ucha. – Zdecydowałam się na wycieczkę do Wirginii, by odwiedzić moją koleżankę Annę. Spędzę z nią trochę czasu, więc się nie martw.

– Camryn, ale co z twoją nową pracą? – Brzmi, jakby była rozczarowana, zwłaszcza że to jej przyjaciółka załatwiła mi tę robotę. – Maggie mówiła, że przepracowałam tydzień, a następnego dnia nie stawiałam się, ani nawet nie powiadomiłam jej o tym.

– Wiem, mam, i naprawdę jest mi przykro, ale to nie była praca dla mnie.

– Cóż, przynajmniej mogłaś być na tyle uprzejma, żeby ją o tym powiadomić, dać dwa tygodnie na znalezienie nowego pracownika, nie wiem, cokolwiek, Camryn.

Czuję się okropnie, ponieważ normalnie nie zrobiłabym czegoś tak nierozważnego, ale niestety sytuacja była wyjątkowa.

– Masz rację – stwierdzam. – Kiedy wrócę, zadzwonię do pani Phillips i osobiście ją przeproszę.

– Ale to do ciebie niepodobne – mówi, a ja martwię się, żeby nie zaczęła drażnić tematu, żebym nie musiała podawać prawdziwych powodów wyjazdu. – I tak po prostu wstałam i pojechałam do Wirginii, nawet nie zadzwoniłam ani nie zostawiłam kartki. Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku?

– Tak. Nic mi nie jest. Przestań się zamartwiać. Proszę. Wkrótce do ciebie zadzwonię, ale teraz muszę lecieć.

Ona nie chce się rozłączać, poznaję to po sfrustrowanym oddechu, ale niestety nie ma wyjścia, więc się poddaje.

– Dobrze, no cóż, uważaj na siebie i pamiętaj, że cię kocham.

– Też cię kocham, mam.

Po rozłączeniu się raz jeszcze sprawdzam wiadomości, w nadziei, że Natalie wysłała mi SMS-a, ale nic nie widzę. Przewijam wiadomości, chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że gdybym jakąś pominęła i nie przeczytała, wyświetlałoby się czerwone kółeczko informujące o nieodebranym SMS-ie.

Kończę na bezwiednym przewijaniu wiadomości, aż pokazuje się ostatni SMS od Iana i moje biedne serce zamiera w piersi. Zatrzymuję się w tym miejscu, przeciągam kciukiem po jego imieniu, chcąc przeczytać te krótkie wiadomości, które wysyłaliśmy do siebie, zanim zginął, ale nie mogę.

W złości wrzucam telefon do torebki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przypominam sobie, z jakiego jeszcze powodu nie lubię oranżady – strasznie chce mi się siku. Wizja spędzenia kolejnych godzin w autobusie z maleńką toaletą zmusza mnie do poszukania ubikacji na dworcu. Po drodze wywalam do połowy wypity napój do kosza na śmieci.

Daruję sobie pierwsze trzy kabiny, ponieważ są ohydne, i zamykam się w czwartej, po czym wieszam plecak i torebkę na haczyku u góry niebieskich drzwi. Rozkładam grubą warstwę papieru toaletowego na desce, żeby nie złapać czegoś, szybko robię, co mam zrobić, i teraz następuje ta najzabawniejsza część. Jedną nogą opartą o muszlę próbuję zrzucić do niej rozłożony na desce papier oraz pobudzić czujnik do splukania wody, podczas gdy rękoma zapinam guzik jeansów i sięgam po wiszące rzeczy, i otwieram drzwi z nogą wciąż niezgrabnie opartą z tyłu.

A potem wyskakuję szybko z kabiny, żeby nie zostać ochlapaną.

Wińcie za to Pogromców Mitów – oglądałam odcinek, w którym udowodnili, jak daleko rozprzestrzeniają się bakterie podczas splukiwania wody w toalecie, i od tego czasu mam paranoję.

Nad głową świecą jarzeniówki, jedna migocze. Pod uchwytem na papierowe ręczniki mieszkają dwa pająki, a zdechły robak leży w kącie pod ścianą. Śmierdzi. Podchodzę krok bliżej, szukając suchego miejsca na blacie między umywalkami, żeby położyć rzeczy i umyć ręce. Ponieważ nie ma ręczników papierowych, muszę wysuszyć ręce pod suszarką, która tak naprawdę nie suszy niczego, tylko rozchlapuje wodę, jaką mam na dłoniach. Zamiast tego zaczynam wycierać ręce w jeansy, ale naciskam duży srebrny guzik i suszarka warczy, budząc się do życia. Krzywię się. Nienawidzę tego dźwięku.

Udaję, że suszę ręce, ponieważ i tak wiem, że skończę, wycierając je o spodnie, kątem oka rejestruję ruch odbijający się w lustrze. Odwracam się i w tym samym momencie suszarka wyłącza się, a w pomieszczeniu zalega cisza.

W drzwiach stoi mężczyzna i patrzy na mnie.

Moje serce przyspiesza, a w gardle czuję suchość.

– To jest damska łazienka.

Patrzę na moje rzeczy na blacie. Mam broń? O tak, zapakowałam nóż, ale co mi z niego, skoro jest ode mnie o kilka metrów i w dodatku w zapiętym plecaku?

– Przepraszam, myślałem, że to męska.

Dobra, przeprosiny przyjęte, a teraz zjeżdżaj stąd.

Mężczyzna ubrany w stare, brudne buty do biegania i wytarte, upaprane farbą jeansy nadal stoi w drzwiach. To nie wróży nic dobrego. Jeżeli naprawdę wszedł tutaj przypadkowo,

byłby bardziej zakłopotany i już by się odwrócił i wyszedł.

Podchodzę do plecaka i przez ramię widzę, że idzie ku mnie.

– Ja... nie chciałem cię wystraszyć – mówi.

Gwałtownie otwieram plecak i szukam po omacku noża, nie spuszczając gościa z oka.

– Widziałem cię w autobusie – mówi i nadal się zbliża. – Mam na imię Robert.

Odchylam głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Słuchaj, nie powinieneś tu wchodzić. To nie jest dobre miejsce na rozmowę i sugeruję, żebyś wyszedł. Teraz.

W końcu wyczuwam rączkę noża, dłoni mam ukrytą na dnie plecaka. Moje palce przesuwają się po metalu poniżej rączki. Słyszę, jak klika i odblokowuje się.

Mężczyzna zatrzymuje się parę kroków ode mnie i uśmiecha się. Ma czarne, tłuste włosy zaczesane do tyłu. Tak, teraz go sobie przypominam, jedzie ze mną tymi samymi autobusami już od Tennessee.

O mój Boże, czy przez ten cały czas mnie obserwował?

Wyciągam z plecaka nóż i gotowy do użycia trzymam w garści, dając mu tym samym znać, że się nie zawaham.

On się tylko uśmiecha. To też mnie przeraża.

Serce bije mi tak mocno, aż obija się o żebra.

– Odwal się, do cholery, ode mnie – syczę przez zaciśnięte zęby. – Przysięgam na Boga, że wypatroszę cię jak świnie.

– Nie mam zamiaru cię skrzywdzić – mówi, wciąż upiornie się uśmiechając. – Zapłacę ci i to sporo, tylko possij mojego fiuta. To wszystko, czego chcę. Wyjdiesz z łazienki bogatsza o pięćset dolców, a ja pozbędę się z głowy tego obrazu. Oboje będziemy mieć z tego korzyść.

Zaczynam krzyczeć z całej siły i w tym momencie kolejny cień miga mi przed oczami. Andrew rzuca się na mężczyznę, popycha go na blat z umywalkami. Jego plecy uderzają w jedno z luster. Szkło pęka i rozsypuje się deszczem drobnych kawałków. Odskakuję w tył, nadal krzycząc, aż uderzam plecami o suszarkę, która znów zaczyna warczeć. W którymś momencie nóż wypadł mi z ręki. Widzę go na podłodze, ale jestem zbyt przerażona, by schylić się po niego.

Krew kapie z fragmentów lustra i Andrew odciąga mężczyznę od umywalki, ciągnąc za przód jego koszuli. Drugą ręką bierze zamach i uderza w sam środek jego twarzy. Słyszę chrzęst! Krew tryska mu z nosa. I znów, i ponownie, ciosy Andrew padają na głowę faceta, jedno

uderzenie po drugim, aż ten nie ma siły trzymać głowy i zaczyna się kiwać i osuwać. Ale Andrew nie przestaje, obydwojma rękami łapie go za ramiona, podnosi z podłogi i wali jego plecami o ścianę.

To go nokautuje.

Andrew puszcza go i bezwładne ciało mężczyzny osuwa się na podłogę. Słyszę, jak jego głowa uderza o płytki. Andrew po prostu nad nim stoi, może czeka, aż mężczyzna się podniesie, ale jest coś niepokojącego w jego nieokiełznanej postawie, kiedy tak patrzy z wściekłością na nieprzytomnego człowieka.

Ledwo mogę złapać oddech, ale udaje mi się powiedzieć:

– Andrew? Wszystko w porządku?

Otrząsa się i podnosi spojrzenie ku mnie.

– Co? – Potrząsa głową, ma zmrużone oczy. Z niedowierzaniem na twarzy podchodzi do mnie. – Czy ze mną w porządku? Co to w ogóle za pytanie? – Kładzie mi dłonie na ramionach i głęboko patrzy w oczy. – Z tobą wszystko dobrze?

Staram się spojrzeć w bok, ponieważ intensywność jego spojrzenia jest przytłaczająca, ale śledzi mnie wzrokiem i w końcu zmusza, bym na niego popatrzyła.

– Tak... nic mi nie jest – w końcu odpowiadam – dzięki tobie.

Andrew przyciąga mnie do swojej twardej jak kamień piersi i obejmuje ramionami, niemalże dusząc.

– Powinniśmy zadzwonić po gliny – mówi, odsuwając się szybko.

Przytakuję tylko, a on bierze mnie za rękę, wyciąga z toalety i prowadzi ponurym, szarym korytarzem.

Nim przyjeżdża policja, facet znika.

Zgadza się z Andrew, że prawdopodobnie wyślizgnął się zaraz po tym, gdy wyszliśmy. Musiał wyjść tylnymi drzwiami, kiedy Andrew telefonował na policję. Znajemy, po czym przedstawiamy szczegółowy rysopis mężczyzny. Policjanci chwalą Andrew – rutynowo – za pomoc, ale on nie chce w ogóle z nimi rozmawiać.

Mój nowy autobus do Teksasu odjechał dziesięć minut temu, więc znowu utknęłam w Wyoming.

– Myślałem, że jedziesz do Idaho? – mówi Andrew.

Właśnie mi się wymknęło, że odjechał „mój” autobus do Teksasu.

Przygryzam dolną wargę i krzyżuję nogi. Siedzimy blisko drzwi dworca, obserwując przez szybę, jak pasażerowie wsiadają i wysiadają z autobusów.

– Cóż, a teraz jadę do Teksasu. – To wszystko, co mówię, chociaż wiem, że zostałam przyłapana i zaraz wydusi ze mnie prawdę. – Myślałam, że odjechałeś taksówką – próbuję zmienić temat.

– Bo odjechałem – mówi – ale nie zmieniaj tematu, Camryn. Dlaczego już nie chcesz jechać do Idaho?

Wzdycham. Wiem, że nie odpuści, dopóki nie uzyska wszystkich odpowiedzi, jakich chce.

– Bo tak naprawdę nie mam siostry w Idaho – wyrzucam z siebie. – Po prostu podróżuję... Nic więcej. Naprawdę.

Słyszę, jak wzdycha z irytacją.

– Zawsze jest coś więcej... Uciekłeś z domu?

W końcu na niego spoglądam.

– Nie, nie uciekłam. Przynajmniej nie w tym nielegalnym sensie.

– W takim razie, w jakim sensie.

Wzruszam ramionami.

– Po prostu przez jakiś czas musiałam być daleko od domu.

– Uciekasz więc z domu, tak?

Wypuszczam powietrze i spoglądam prosto w jego intensywnie zielone oczy, patrząc wprost w moje.

– Nie uciekam z domu, po prostu musiałam z niego wyjść.

– I samotnie wskoczyłaś do autobusu?

– Tak. – Wiercę się zirytowana.

– Będziesz mi musiała dać coś więcej niż to – mówi nieugięty.

– Słuchaj, jestem bardziej niż wdzięczna za to, co zrobiłeś. Naprawdę. Ale nie uważam, że uratowanie mnie daje ci prawo do wtrącania się w moje sprawy.

To mała uwaga skutecznie studzi jego zapędy.

Natychmiast czuję się źle, ale taka jest prawda: nie jestem zobowiązana, aby mu wszystko opowiedzieć.

Poddaje się i odwraca wzrok, opiera kostkę na kolanie.

– Widziałem tego gnoja. Wpatrywał się w ciebie już od Kansas. – Ujawnia tę informację i przykuwa moją uwagę. – Nie zauważyłaś tego, ale ja tak, więc obserwowałem go uważnie. – Nadal na mnie nie patrzy, ale ja patrzę na jego profil, kiedy mi to wszystko wyjaśnia. – Widziałem, jak wsiada do taksówki przede mną, i dopiero wtedy poczułem, że jest OK i mogę cię zostawić tu samą. Ale po drodze do szpitala miałem złe przeczucia. Powiedziałem taksówkarzowi, żeby zawiózł mnie do jakiejś restauracji. Zjadłem obiad, ale nadal nie mogłem się pozbyć tych myśli z głowy.

– Czekaj – przerywam mu – nie pojechałeś do szpitala?

Patrzy na mnie.

– Nie. Wiedziałem, że gdybym tam poszedł... – Znów odwraca wzrok. – Wiedziałem, że nie będę mógł się skupić na umierającym ojcu, skoro nadal będę się o ciebie martwił.

Rozumiem i nie pytam o nic więcej.

– Poszedłem do domu taty i wziąłem samochód, jeździłem trochę bez celu, ale kiedy już nie mogłem tego znieść, wróciłem tutaj. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i czekałem. Wtedy zatrzymała się taksówka i wysiadł ten facet.

– Dlaczego nie wszedłeś do środka, tylko czekałeś w aucie?

Patrzy w dół zamyślony.

– Chyba dlatego, że nie chciałem cię wystraszyć.

– A jakby to miało mnie wystraszyć? – Lekko się uśmiecham.

Andrew znów patrzy na mnie, a na jego twarzy pojawia się zarozumiały i cwaniacki uśmieszek. Rozkłada ręce dłońmi w górę.

– Hmm, nieznamy facet, którego poznałaś w autobusie, wraca kilka godzin później, by sobie koło ciebie posiedzieć? – Unosi brwi. – To prawie tak samo przerażające jak facet od „possij mi kutasa za pięćset dolców”, nie sądzisz?

Śmieję się.

– Nie, nie sądzę, że to samo.

Próbuje zamaskować uśmiech, ale mu się nie udaje.

– Co teraz zamierzasz zrobić, Camryn? – Jego twarz znowu jest poważna i mój uśmiech również znika.

Kręcę głową.

– Nie wiem, prawdopodobnie poczekam na następny autobus do Teksasu, a potem ruszę w dalszą drogę.

– Dlaczego Teksas?

– A dlaczego nie?

– Poważnie?

Uderzam dłońmi w uda.

– Ponieważ nie mam zamiaru jeszcze wracać do domu!

Mój podniesiony głos nie robi na nim wrażenia.

– Dlaczego nie chcesz jeszcze wracać do domu? – pyta spokojnie. – Równie dobrze możesz zacząć mówić, ponieważ nie mam zamiaru zostawić cię samej na dworcu autobusowym, zwłaszcza nie po tym, co się stało.

Krzyżuję ramiona na piersi i gapię się mu w twarz.

– W takim razie będziemy tu długo siedzieć, przynajmniej dopóki nie przyjedzie mój autobus.

– Nie. To również dotyczy tego, że nie pozwolę ci samej wsiąść do żadnego autobusu. Do Teksasu. Do pierdolonego Idaho. Nigdzie indziej. To niebezpieczne i mam wrażenie, że rozmawiam z inteligentną dziewczyną, więc słuchaj, zrobimy tak... – Mrugam kilka razy, niedowierzając temu wybuchowi autorytarnej arogancji. Ale on kontynuuje: – Będę czekał tu z tobą do rana. To da ci wystarczająco dużo czasu, żeby zdecydować, czy pozwolisz mi zapłacić za twój bilet powrotny samolotem do domu, czy może będziesz chciała zadzwonić do kogoś, by po ciebie przyleciał. Twój wybór.

Czy on oszalał?

Ale jego oczy mówią: „Tak, jestem śmiertelnie poważny”.

– Nie wracam do Karoliny Północnej.

Andrew wystrzeliwuje z krzesła i staje przede mną.

– Dobra, w takim razie jadę z tobą.

Znów mrugam, patrząc w jego intensywne oczy; jego idealnie wyrzeźbione kości policzkowe wydają się piękne z tej perspektywy, a jego spojrzenie jest jeszcze bardziej przenikliwe. Ciało przeszywa mi dreszcz.

– To szaleństwo – wyśmiewam go, ale wiem, że jest poważny, więc i ja poważnieję i pytam: – A co z twoim ojcem?

Zaciska zęby, a jego spojrzenie staje się mniej intensywne.

Zaczyna się rozglądać, po czym jakaś myśl ściąga jego uwagę z powrotem do mnie.

– Chodź ze mną.

Co? Nie ma mowy...

Nie zmusza mnie, raczej ma nadzieję, że się zgodzę. Znów siada obok mnie na plastikowym, niebieskim krzeselku.

– No więc zostajemy tu do rana – oznajmia – bo na pewno nie pójdziesz z obcym facetem poznanym w autobusie w ciemną noc, prawda? – Odwraca się ode mnie, ale zerka z ukosa.

– Nie, nie pójdę – mówię, lecz czuję, że mogę mu zaufać, przecież, na miłość boską, uratował mnie przed gwałtem! I nic mnie w nim nie niepokoi, podczas gdy niepokoiło, kiedy Damon próbował prawie tego samego. Nie, Damon miał jakiś mrok w oczach, kiedy przyglądał mi się na tamtym dachu. Wszystko, co widzę w oczach Andrew, to troska.

Ale to nie zmienia faktu, że nie chcę z nim iść.

– Dobra odpowiedź – mówi najwyraźniej zadowolony, że jestem tak „inteligentna”, za jaką mnie uważał. – Cóż, poczekamy na światło dnia i dla twojego spokoju pojedziemy do szpitala taksówką, żebyś nie musiała wsiadać do mojego samochodu.

Kiwam głową, zadowolona, że o tym pomyślał. Nie powiem, że się nie zaczęłam nad tym zastanawiać. To znaczy już i tak wystarczająco mu ufam, ale on jest przekonany, że jednak mu nie ufam, i w okrzęzny sposób daje mi cichą lekcję.

Wstyd mi przyznać, że musiał mnie tego „nauczyć”.

– A potem wrócimy taksówką ze szpitala tutaj i pojedę z tobą, dokądkolwiek będziesz chciała.

Wyciąga ku mnie dłoń, bym mogła ją ucisnąć.

– Umowa stoi?

Myślę o tym przez chwilę, jednocześnie oczarowana nim i zdezorientowana. Najpierw przytakuję niechętnie, po czym kiwam głową bardziej zdecydowanie.

– Stoi – odpowiadam i podaję mu dłoń.

Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy całkowicie się z nim zgadzam. Dlaczego on to w ogóle robi? Czy nie ma swojego życia? Przecież nie jest nieszczęśliwy u siebie w domu, tak jak jestem ja.

To szaleństwo! Kim jest ten facet?

Przez kilka godzin siedzimy na dworcu i gadamy o nieistotnych sprawach, mimo to podoba mi się każda minuta tej rozmowy. O tym, jak zamiast soku kupiłam oranżadę, w wyniku czego skończyłam w toalecie z tamtym gościem – on śmieje się ze mnie i mówi, że najwyraźniej mam słaby pęcherz. Po cichu obgadujemy pasażerów, którzy wchodzą i wychodzą, tych dziwnie wyglądających i tych wyglądających jak zombi, którzy prawdopodobnie są już długo w podróży i od dawna nie spali. Rozmawiamy jeszcze trochę o klasycznym rocku, ale debata kończy się takim samym remisem jak wtedy, kiedy pierwszy raz poruszyliśmy ten temat w autobusie.

Prawie dostał zawału, kiedy powiedziałam, że lubię Pink bardziej niż The Rolling Stones. Chyba go faktycznie zraniłam. Położył sobie dłoń na sercu, odrzucił głowę w tył w akcie rozpaczki. To było bardzo dramatyczne. I zabawne. Starłam się nie śmiać, ale było naprawdę trudno, podczas gdy jego ciało odgrywało rolę, a oczy śmiały się ze mnie.

A kiedy wstało słońce i szliśmy do wyjścia, zatrzymałam się, by mu się przez chwilę przypatrzeć. Lekki wietrzyk rozwiął jego ciemne włosy. Przechylił głowę w bok, uśmiechnął się do mnie i zaczął machać na taksówkę.

– Nadal chcesz iść ze mną, tak?

Uśmiechnęłam się do niego ciepło i skinęłam głową.

– Oczywiście. – Wzięłam go za rękę i usiadłam z nim z tyłu w taksówce.

Kiedy tak na niego patrzyłam, pomyślałam, że nie śmiałam się tak dużo prawdopodobnie od momentu śmierci Iana. Nawet Natalie nie udało się wykrzesać ze mnie aż tyle humoru, chociaż naprawdę bardzo się starała. Miała własny sposób, by wyciągnąć mnie z depresji, ale wszystko to nie było nawet blisko tego, co zrobił Andrew, nawet się nie starając.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ANDREW

Gardło mi się ściska, kiedy stawiam nogę na progu szpitala, jakby pochłaniała mnie gęsta ciemność pochodząca dosłownie znikąd. Zatrzymuję się w drzwiach na kilka sekund i po prostu stoję, ręce zwisają mi luźno po bokach. I wtedy czuję, że Camryn dotyka mojego nadgarstka.

Patrzę na nią. Uśmiecha się tak ciepło, że topię się jak wosk. Jej blond włosy są spięte w niechlujny warkocz, który leży na prawym ramieniu. Kilka pasm, które wymknęły się z niego, wisi luźno, okalając twarz. Mam ochotę sięgnąć i przeciągać je między palcami, jednak tego nie robię. Nie mogę jej zrobić takiego draństwa. Muszę się pozbyć tej fantazji. Ale ona jest tak różna od innych dziewczyn. Myślę, że właśnie dlatego tak mi trudno się powstrzymać. Jednak nie potrzebuję tego teraz.

– Wszystko będzie dobrze – mówi.

Odsuwa rękę od mojego nadgarstka, kiedy zauważa, że zwróciła moją uwagę. Uśmiecham się do niej lekko.

Idziemy korytarzem do windy, po czym wjeżdżamy na trzecie piętro. Z każdym krokiem czuję, że chciałbym się odwrócić i uciec. Gdy znajdę się w środku, ojciec będzie wymagał, abym nie okazywał emocji, a teraz gotują się we mnie i grożą eksplozją.

Może powinienem wyjść na zewnątrz, uderzyć w kilka drzew i pozbyć się tego gówna, zanim znów wejdem.

Zatrzymujemy się w poczekalni, gdzie siedzi kilka osób i czyta gazety.

– Zaczekam tu na ciebie – odzywa się Camryn, a ja patrzę wprost na nią.

– Dlaczego nie wejdiesz ze mną?

Naprawdę chcę, żeby weszła. Nie wiem, dlaczego.

Camryn zaczyna kręcić głową.

– Ja... nie mogę tam iść – mówi i wygląda na zakłopotaną. – Naprawdę... nie wiem, czy to właściwe.

Delikatnie zabieram plecak z jej ramienia i zakładam na swoje. Jest lekki, ale ona wygląda, jakby było jej ciężko.

– Właściwe – odpowiadam. – Chcę, żebyś tam ze mną poszła.

Dlaczego to mówię?

Patrzy pod nogi, ostrożnie rozgląda się po pomieszczeniu, w końcu jej niebieskie oczy ponownie skupiają się na mnie.

– Dobrze – mówi cicho i subtelnie kiwa głową.

Unoszę lekko kąciki ust i instynktownie biorę ją za rękę. Nie odsuwa się.

Rzecz jasna, sama jej obecność koi mnie i mam wrażenie, że sprawia jej to przyjemność. Z pewnością wie, jak coś takiego może być trudne.

Idziemy do pokoju ojca, trzymając się za rękę.

Ścisną mocniej i patrzy na mnie, zachęcając do działania. To wtedy popycham szpitalne drzwi. Kiedy wchodzimy, pielęgniarka spogląda na nas.

– Jestem synem pana Parrisha.

Przytakuje i wraca do podłączania rurek i maszyn do ciała mojego taty. Pokój jest typowy, jasny i mdły, ma sterylne białe ściany, podłogę z płytek tak błyszczących, że odbija się w nich światło zamontowanych na suficie jarzeniówek. Słyszę stabilny dźwięk pochodzący z czujnika tętna stojącego tuż przy łóżku ojca.

Tak naprawdę jeszcze nie popatrzyłem na tatę. Zdaję sobie sprawę, że patrzę na wszystko w pokoju, tylko nie na niego.

Camryn zaciska dłoń wokół mojej.

– Jak on się miewa? – pytam, ale wiem, że to głupie pytanie. On umiera, właśnie tak się miewa. Po prostu nie umiem wydusić z siebie nic innego.

Pielęgniarka patrzy na mnie bez wyrazu.

– Raz jest przytomny, a zaraz szybko zasypia, ale to już pewnie wiecie.

Nie, właściwie to nie wiedziałem.

– I nie było żadnych zmian, ani na lepsze, ani na gorsze. – Reguluje kroplówkę, która wisi nad nim.

Przechodzi na drugą stronę łóżka, zabiera tackę, która leżała na stoliku, i wkłada pod pachę.

– Czy ktoś inny tu był? – pytam.

Pielęgniarka przytakuje.

– Przez kilka ostatnich dni przychodziła rodzina. Ktoś z nich wyszedł godzinę temu, ale spodziewam się, że wróca.

Prawdopodobnie mój starszy brat Aidan i jego żona Michelle. I mój młodszy brat Asher.

Pielęgniarka wychodzi z pokoju.

Camryn patrzy na mnie i mocniej ściska moją dłoń. W jej oczach widzę ciepło.

– Mam zamiar usiąść sobie tam i pozwolić ci w spokoju zająć się ojcem, dobrze?

Kiwam głową, chociaż nie dociera do mnie, co powiedziała. Jej palce powoli wysuwają się z moich i siada na plastikowym krzeselku pod ścianą. Wzdycham głęboko i językiem zwilżam wyschnięte wargi.

Ojciec ma opuchniętą twarz. Rurki z tlenem są przyłączone do nosa. Jestem zaskoczony, że nie jest jeszcze przypięty do maszyny podtrzymującej życie, ale to daje mi mały okruszek nadziei. Naprawdę mały, ponieważ wiem, że mu się nie poprawi, to zostało ustalone już dość dawno. Ogolono mu resztki włosów. Lekarze chcieli spróbować operacji, ale kiedy tata dowiedział się, że zabieg nie uratuje mu życia, oczywiście zaczął narzekać: „Nie będziecie grzebać w mojej pieprzonej głowie” – mówił. „Chcecie, chłopcy, zapłacić tysiące dolarów, żeby te łapiduchy otworzyły mi czaszkę? Cholera, chłopcze!” (mówił głównie do Aidana). „Jesteś bez jaj”.

Moi bracia i ja byliśmy gotowi zrobić wszystko, by go ratować, ale za naszymi plecami podpisał jakieś „zastrzeżenia”, że gdy jego stan się pogorszy, nikt nie będzie miał prawa za niego podejmować decyzji.

To mama dzień przed planowanym zabiegiem powiadomiła szpital o jego woli i załatwiła wszelkie dokumenty. Byliśmy z tego powodu przygnębieni, ale matka jest mądrą i opiekuńczą kobietą, i tak naprawdę żaden z nas nie mógł się na nią złościć za to, co zrobiła.

Przysuwam się i patrzę na niego. Moje ręce zaczynają samodzielnie myśleć i następną rzeczą, jaką robię, jest złapanie jego dłoni. I to jest dziwne uczucie. Jakbym nie powinien tego robić. Gdyby to była ręka kogoś innego, nie miałbym z tym problemu. Ale to jest dłoń mojego taty, a ja czuję, że nie powinienem tego robić. Po prostu w głowie słyszę jego głos: „Nie trzymaj innego mężczyzny za rękę, chłopcze. Co się z tobą dzieje, do diabła?”.

Nagle ojciec otwiera oczy, więc szybko zabieram rękę.

– To ty, Andrew?

Kiwam głową, patrząc na niego.

– Gdzie Linda?

– Kto?

– Linda – mówi, nie potrafiąc utrzymać przez dłuższą chwilę otwartych oczu. – Moja żona Linda. Gdzie ona jest?

Przełykam ciężko i patrzę na Camryn, która siedzi w ciszy i się przygląda.

Odwracam się do taty.

– Tato, rozwiedliście się w zeszłym roku, pamiętasz?

Jego blade, zielone oczy szklą się. To nie łzy. To tylko wilgoć. Patrzy przez chwilę oszołomiony, zaciska wargi.

– Chcesz wody? – pytam, sięgam po wysoki stoliczek na kółkach i przyciągam go do łóżka. Stoi na nim blad różowy dzbanek z wodą i kubek ze słomką.

Ojciec kręci głową.

– Naprawiłeś panią Ninę? – pyta.

Znów kiwam głową.

– Tak, wygląda świetnie. Ma nowy lakier i felgi.

– To dobrze, dobrze – lekko przytakuje.

Czuję się niezręcznie i mam to wypisane na twarzy. Po prostu nie wiem, co powiedzieć, czy powinienem go zmusić, by wypił trochę wody, czy może siedzieć i czekać na Aidana czy Ashera. Wolałbym, żeby któryś z nich to zrobił. Nie jestem dobry w takich sprawach.

– Kim jest to śliczne maleństwo? – pyta, patrząc pod ścianę.

Zastanawiam się, jakim cudem zobaczył Camryn siedzącą tak daleko, ale potem dostrzegam lustro, w którym odbija się jej postać i w którym on widzi cały pokój. Camryn zamiera na chwilę, ale na jej twarzy pojawia się uśmiech. Unosi dłoń i macha palcami do lustra.

Mimo obrzęku, widzę uśmiech na twarzy taty.

– Czy to twoja Eurydyka? – pyta, a ja otwieram szeroko oczy. Mam nadzieję, że Camryn nie widziała tego, nawet nie wiem, czy mogłaby zobaczyć. Tata z trudem unosi dłoń i gestem przywołuje Camryn.

Ona wstaje, podchodzi i zatrzymuje się u mojego boku. Uśmiecha się tak ciepło, że nawet mnie zachwyca. Jest naturalna. Wiem, że jest zdenerwowana i że czuje się bardziej niezręcznie niż kiedykolwiek, stojąc tu i patrząc na umierającego człowieka, którego nawet nie zna, mimo to się nie łamie.

– Witam, panie Parrish – mówi. – Jestem Camryn Bennett, przyjaciółka Andrew.

Jego spojrzenie przenosi się na mnie. Znam to spojrzenie, on porównuje jej odpowiedź z wyrazem mojej twarzy, próbując rozszyfrować znaczenie słowa „przyjaciółka”.

Ojciec nagle robi coś, czego nigdy nie robił: wyciąga rękę... do mnie.

Ten gest mnie poraża i zamieram.

Odzyskuję świadomość, gdy Camryn spogląda na mnie wymownie, bym jakoś zareagował, więc chwytam ojca za rękę. Trzymam ją w długiej, niezręcznej ciszy, aż tata zamyka oczy i zapada w sen. Zabieram rękę, kiedy jego uchwyt całkowicie słabnie.

Otwierają się drzwi i wchodzi moi bracia razem z żoną Aidana, Michelle.

Odsuwam się od łóżka ojca, biorąc Camryn z sobą, i nie zdaję sobie sprawy, że trzymam ją za rękę, do chwili gdy spojrzenie Aidana spoczywa na naszych złączonych palcach.

– Cieszę się, że ci się udało – mówi Aidan, chociaż nie mam wątpliwości, że w jego głosie jest odrobina pogardy.

Wciąż jest na mnie wkurzony, że nie wsiadłem do samolotu i nie dotarłem tu wcześniej. Ale będzie musiał się z tym w końcu pogodzić; każdy radzi sobie ze smutkiem, jak umie.

Mimo to obejmuje mnie i jedną ręką klepie po plecach.

– To jest Camryn – mówię, patrząc na nią.

Uśmiecha się do nich z krzesła, do którego już zdążyła dotrzeć.

– To mój starszy brat Aidan i jego żona Michelle – przedstawiam ich. – A to jest szczeniak, Asher.

– Palant – odgryza się Asher.

– Wiem – drocę się z nim.

Aidan i Michelle zajmują pozostałe dwa krzesła i zaczynają jeść burgery i frytki, które przemieśli.

– Staruszek dalej się nie obudził – mówi Aidan, wkładając do ust kilka frytek. – Przykro mi to mówić, ale uważam, że on już z tego nie wyjdzie.

Camryn patrzy prosto na mnie. Kilka minut temu przecież rozmawialiśmy z ojcem i ona teraz czeka, aż im o tym powiem.

– Prawdopodobnie nie – mówię i widzę, jak brwi Camryn łączą się w konsternacji.

– Jak długo zostaniecie? – pyta Aidan.

– Niedługo.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – mówi pod nosem i bierze kęs kanapki.

– Nie zaczynaj tej gadki, Aidan, nie jestem w nastroju, a to nie jest, kurwa, ani czas, ani miejsce.

– Nieważne – mówi Aidan, kręcąc głową i żując kanapkę. Zanurza kilka frytek w ketchupie Michelle, który jest na serwetce między nimi. – Rób, jak uważasz, ale przyjedź na pogrzeb.

Nie ma emocji na jego twarzy. On po prostu je.

Sztywnieję.

– Niech cię cholera, Aidan – mówi Asher zza moich pleców. – Możesz nie robić tego w tej chwili? Poważnie stary, Andrew ma rację.

Asher zawsze był mediatorem między mną a Aidanem. I zawsze był najbardziej zrównoważony. Jeśli chodzi o mnie i o Aidana, zawsze lepiej dogadywaliśmy się za pomocą pięści. Kiedy byliśmy dziećmi, to on zawsze wygrywał walki, ale nie tylko wybijał mi głupoty z głowy, za każdym razem też mnie trenował.

Teraz już jest dobrze. Wszelkimi sposobami unikamy prawdziwej walki, ale to ja będę pierwszym, który przyzna, że nie będzie siedział z założonymi rękami, tak jak on to robi. I on o tym wie. To dlatego się wycofuje i używa Michelle do zmiany tematu. Bierze chusteczkę i wyciera jej ketchup z kącika ust, a ona się śmieje.

Camryn ściąga moje spojrzenie, prawdopodobnie próbuje to zrobić od dobrych kilku minut i przez sekundę mam wrażenie, że chce mi przekazać, że jest gotowa, by iść, ale wtedy kręci głową, nakazując mi się uspokoić.

Natychmiast to robię.

– A tak w ogóle – zaczyna Asher, chcąc rozładować napiętą atmosferę – to jak długo wy dwoje się spotykacie? – Ze skrzyżowanymi ramionami opiera się o ścianę obok telewizora.

Jesteśmy do siebie bardzo podobni, z takimi samymi potarganymi brązowymi włosami i zawadiackimi dołeczkami w policzkach. Aidan jest do nas najmniej podobny, ma o wiele ciemniejsze włosy i zamiast dołeczków znamię na lewym policzku.

– Och, nie, jesteśmy tylko przyjaciółmi – mówię.

Myślę, że Camryn lekko się rumieni, ale nie mam pewności.

– Musi być dobrą przyjaciółką, skoro przejechała z tobą całą drogę do Wyoming – dodaje Aidan.

Ma szczęście, że nie jest kutasem. Gdyby cały swój gniew na mnie wyładował na niej, musiałbym mu obiść gębę.

– Tak – odzywa się Camryn i natychmiast pochłania mnie słodycz jej głosu: – Mieszkam w pobliżu Galveston i pomyślałam, że ktoś powinien mu towarzyszyć, ponieważ postanowił jechać autobusem.

Jestem zaskoczony, że zapamiętała nazwę miasta, w którym mieszkam.

Aidan uprzejmie kiwa do niej głową i nadal żuje kanapkę.

– Jest apetyczna, braciszku – szepcze mi do ucha Asher.

Odwracam się i posyłam mu wymowne spojrzenie, żeby się zamknął. Uśmiecha się, ale milczy.

Staruszek niemal niezauważalnie porusza się na łóżku i Asher przesuwa się ku niemu. Żartobliwie dotyka tatę w nos.

– Obudź się. Przynieśliśmy ci burgery.

Aidan podnosi kanapkę, jakby ojciec rzeczywiście mógł ją zobaczyć.

– Są smaczne. Lepiej się obudź, bo zaraz ich nie będzie.

Ale tata nie porusza się.

On nas na to przygotowywał. Nigdy nie mieliśmy stać wokół jego łóżka i rozpaczać. A kiedy umrze, prawdopodobnie Aidan i Asher zamówią pizzę i skrzynkę piwa i będą biesiadować całą noc.

Nie będzie mnie z nimi.

Mam wrażenie, że im dłużej tu stoję, tym większe są szanse na to, że on umrze, zanim wyjdę.

Jeszcze przez chwilę rozmawiam z braćmi, po czym podchodzę do Camryn.

– Gotowa?

Bierze mnie za rękę i wstaje.

– Już wychodzicie? – pyta Aidan.

Zanim mam szansę coś powiedzieć, Camryn odzywa się z uśmiechem:

– On zaraz wróci, idziemy tylko rozejrzeć się za czymś do jedzenia.

Próbuje zapobiec kłótni, nawet jeśli się jeszcze nie rozpoczęła. Patrzy na mnie, więc decyduję się odpuścić, odwracam się do Ashera i mówię:

– Zadzwoń do mnie, jeśli coś się zmieni.

Tylko kiwa głową.

– Pa, Andrew – mówi Michelle. – Miło było cię widzieć.

– Wzajemnie.

Asher wychodzi z nami na korytarz.

– Nie masz zamiaru wrócić, prawda?

Camryn odwraca się i odchodzi kawalek, by dać nam chwilę na osobności.

Kręcę głową.

– Przykro mi, Ash, nie umiem sobie z tym poradzić. Po prostu nie potrafię.

– Wiem, braciszku. – On też kręci głową. – Taty to nawet nie obchodzi, wiesz przecież. Pewnie wolałby, żebyś teraz kogoś bzykał albo poszedł się upić, zamiast oglądać jego stary tyłek w szpitalnym łóżku.

O dziwo, mówi prawdę.

Patrzy na Camryn.

– Tylko przyjaciele? Poważnie? – szepcze z przebiegłym uśmieszkiem.

– Tak, jesteśmy tylko przyjaciółmi, więc się zamknij.

Śmieje się, a potem klepie mnie po ramieniu.

– Zadzwonię do ciebie, kiedy będzie trzeba, dobrze?

Przytakuję. „Kiedy będzie trzeba” oznacza: kiedy umrze tata.

Asher podnosi dłoń i macha Camryn.

– Miło było cię poznać.

Uśmiecha się do niego, a on znika w drzwiach szpitalnej sali.

– Naprawdę uważam, że powinieneś tu zostać, Andrew. Poważne tak myślę.

Zaczynam iść dość szybko korytarzem, a ona dotrzymuje mi kroku. Wkładam ręce w kieszenie. Zawsze tak robię, kiedy jestem zdenerwowany.

– Wiem, że prawdopodobnie uważasz mnie teraz za samolubnego bydlaka, ale nie rozumiesz.

– W takim razie wyjaśnij mi – mówi, łapiąc mnie za łokieć. – I nie sądzę, że jesteś samolubny, uważam tylko, że nie umiesz sobie poradzić z takim bólem.

Stara się skupić moją uwagę, ale nie mogę na nią patrzeć. Chcę tylko się wydostać poza ten mur śmierci zbudowany z czerwonej cegły.

Wchodzimy do windy i Camryn przestaje mówić, bo jest tu dwoje innych ludzi, ale kiedy dojeżdżamy na parter i srebrne drzwi się otwierają, kontynuuje:

– Andrew. Zatrzymaj się. Proszę!

Na dźwięk jej głosu przystaję, a ona mnie odwraca. Patrzy na mnie takim udręczonym spojrzeniem, że łamie mi serce. Długi, jasny warkocz zwisa jej na prawym ramieniu.

– Powiedz mi – prosi ciszej, ale to jeszcze bardziej przykuwa moją uwagę. – Przecież słowa nie ranią.

– Tak samo nie boli wyjaśnienie, dlaczego chcesz jechać do Teksasu, co?

To ją ubodło.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

CAMRYN

Jego słowa sprawiają, że milknę na pełne pięć sekund. Moja ręka ześlizguje się z jego łokcia.

– Myślę, że teraz twoja sytuacja jest o wiele poważniejsza niż moja – mówię.

– Doprawdy? – pyta. – Bo to, że chcesz jeździć sama autobusem, nawet nie wiedząc, gdzie zmierzasz i, do cholery, narażając się na niebezpieczeństwo, wydaje ci się nieważne i bez znaczenia?

Jest wściekły. Przede wszystkim, albo tylko dlatego, że jego ojciec umiera kilka pięter wyżej, a Andrew nie umie pozwolić mu odejść. Jest mi go żal, ponieważ nauczono go nie okazywać emocji w chwili takiej jak ta, ponieważ wpojono mu, że jeśli się złamie, nie będzie prawdziwym mężczyzną. Ja też nie umiem okazywać uczuć, ale nie zostałam tak wychowana, ja zostałam do tego zmuszona.

– Czy ty w ogóle płaczesz? – pytam. – W jakichś innych sytuacjach. Płakałaś kiedyś?

Parska.

– Oczywiście. Wszyscy płaczą, nawet wielcy, twardzi faceci jak ja.

– Dobra, wymień jedną sytuację.

Odpowiada z łatwością:

– Raz wzruszył mnie film. – W tym momencie pojawia się zawstydzenie i wydaje mi się, że żałuje tej odpowiedzi.

– Jaki to był film?

Nie umie spojrzeć mi w oczy. Czuję, że nastrój między nami się poprawia bez względu na to, jak jest paskudnie.

– Czy to ma znaczenie? – pyta.

Uśmiecham się i podchodzę o krok bliżej.

– No daj spokój, powiedz mi... Co myślisz, że będę się z ciebie nabijać i nazwę cię cipą?

Spod rumieńca zawstydzenia wyłania się uśmiech.

– *Pamiętnik* – mówi tak cicho, że ledwie mogę to usłyszeć.

– Powiedziałaś *Pamiętnik*?

– Tak, płakałem, oglądając *Pamiętnik*, dobra?

Odwraca się do mnie plecami, a ja staram się ze wszystkich sił, żeby się nie roześmiać. Wcale nie uważam, że płkanie w trakcie oglądania *Pamiętnika* jest śmieszne; śmieszy mnie tylko to, że poczuł się upokorzony, przyznając się do tego. Wybucham śmiechem. Nic nie mogę na to poradzić, tak się po prostu dzieje.

Andrew obchodzi mnie dookoła, bacznie mi się przez chwilę przygląda. Piszczę, kiedy mnie łapie, przerzuca sobie przez ramię i wynosi ze szpitala. Śmieję się tak bardzo, że mam już łzy w oczach. Łzy radości, nie rozpaczy, bo te wyschły, gdy umarł Ian.

– Postaw mnie! – rozkazuję i walę go pięściami w plecy.

– Mówiłaś, że nie będziesz się śmiać.

To sprawia, że śmieję się jeszcze bardziej, wydając dziwne dźwięki, o które nigdy bym się nie posądzała.

– Proszę, Andrew! Postaw mnie! – Zaciskam palce na jego koszuli.

W końcu moje stopy dotykają betonu. Patrę na niego i przestaję się śmiać, bo naprawdę chcę, żeby ze mną porozmawiał. Nie mogę pozwolić, by zostawił ojca.

Ale odzywa się pierwszy:

– Po prostu nie mogę płakać w jego obecności albo z jego powodu, tak jak mówiłem ci wcześniej.

Delikatnie dotykam jego ręki.

– W takim razie nie płacz, ale chociaż zostań.

– Nie zostanę, Camryn. – Patrzy mi głęboko w oczy i wiem, że nie zmuszę go do zmiany zdania. – Doceniam, że chcesz mi pomóc, ale nie pozwolę na to.

Niechętnie kiwam głową.

– Może podczas tej podróży, na którą się zgodziłaś, przyjdzie moment, że będziemy umieli sobie powiedzieć rzeczy, o których nie chcemy mówić – wzdycha, nie zdając sobie sprawy z tego, co robią ze mną te roześmiane zielone oczy. I co robią z moim głupim sercem. A ono rozpaczliwie trzepocze.

On jest wspaniały...

– Powiedz, co zdecydowałaś – prosi, krzyżując ręce na piersi i patrząc na mnie dociekliwie. – Pozwolisz, żebym kupił ci bilet do domu, czy zaczynamy podróż do Nikąd w Teksasie?

– Naprawdę chcesz jechać ze mną? – Nie mogę w to uwierzyć, a jednocześnie najbardziej na świecie pragnę, żeby to była prawda. Wstrzymuję oddech.

– Naprawdę tego chcę.

To. Się. Kurwa. Nie. Dzieje – odpowiada mój uśmiech.

– Mam tylko jedno zastrzeżenie – mówi, unosząc palec.

– Jakie?

– Dotyczy jazdy autobusem – mówi – szczerze tego, kurwa, nienawidzę.

Chichoczę po cichutku, ponieważ się z nim zgadzam.

– Zatem jak inaczej mamy podróżować?

Unosi kącik ust w zawadiackim uśmieszku.

– Możemy wziąć samochód – odpowiada. – Ja prowadzę.

Nie waham się.

– Dobra.

– Dobra? – mówi, przystając. – Tak po prostu wskoczysz do auta faceta, którego ledwie znasz, i będziesz pewna, że nie zgwałci cię gdzieś na autostradzie? Myślałem, że już to przerobiliśmy.

Przechylałam głowę na bok i krzyżuję ramiona.

– A czy to się czymś różni od tego, gdybym poznała cię w bibliotece i dwa dni później wsiadła z tobą do auta? Przecież na początku znajomości ludzie niewiele o sobie wiedzą. Ale nie każdy spotyka nieznanego, który ratuje go przez gwałtem i tego samego dnia zabiera do szpitala, do swojego umierającego ojca. Powiedziałabym, że idealnie zdałeś egzamin z wiarygodności.

Unosi prawy kącik ust.

– Ta podróż to randka?

– Co? – Śmieję się. – Nie! To tylko analogia. – Wiem, że się ze mną drażni, ale muszę

zmienić temat, by odwrócić jego uwagę od moich rozpalonych policzków. – Dobrze wiesz, co miałam na myśli.

Śmieje się.

– Tak, wiem, ale i tak wiesz mi „przyjacielski” stek. – Palcami zaznacza w powietrzu cudzysłów, z uśmiechem na twarzy.

– Tak, przyznaję się.

– W takim razie wszystko ustalone – mówi i łapie mnie za rękę, prowadząc do taksówki, która czeka na parkingu. – Trzeba odebrać samochód ojca z dworca autobusowego, potem musimy jechać do jego domu, żeby zabrać kilka rzeczy, a potem ruszamy w drogę.

Otwiera tylne drzwi taksówki i siada obok mnie.

Taksówka wyjeżdża z parkingu.

– Och, zanim wyruszymy, powinniśmy ustalić kilka zasad.

– Tak? – Odwracam się i patrzę z zaciekawiona. – Jakich?

Uśmiecha się.

– Cóż, po pierwsze: moje auto i moje radio. Myślę, że nie muszę tego wyjaśniać.

Przewracam oczami.

– Chcesz mi więc powiedzieć – jak rozumiem – że utknęłam w twoim samochodzie z klasycznym rockiem?

– Tak, będzie ci się podobało.

– Ech, gdy dorastałam, nigdy mi się nie podobało, a moi rodzice sporo tego słuchali.

– Po drugie – mówi, trzymając dwa palce w górze i kompletnie mnie ignorując. – Będziesz musiała robić wszystko, co ci powiem.

Kręcę głową nerwowo, marszcząc brwi.

– Co? Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Mówiłaś, że mi ufasz, więc zaufaj mi i w tym wypadku.

– Cóż, musisz powiedzieć coś więcej. Naprawdę, nie żartuję.

Opiera się na siedzeniu i wkłada ręce między swoje długie nogi.

– Obiecuję, że nie będę prosił cię o nic, co mogłoby ci zaszkodzić, poniżyć cię, być dla ciebie niebezpieczne lub nie do przyjęcia.

– Czyli nie będziesz mnie prosił, bym posała twojego fiuta za pięćset dolców, ani nic z tych rzeczy?

Andrew odrzuca głowę i śmieje się głośno. Taksówkarz wierci się na przednim siedzeniu. Widzę, że patrzy na nas we wstecznym lusterku.

– Nie, na pewno nic z tych rzeczy, przysięgam. – Nadal się śmieje.

– Dobrze, w takim razie o co mógłbyś mnie prosić?

Nie podoba mi się ten pomysł. Muszę przyznać, że nadal ufam Andrew, ale teraz jestem nieco przerażona i odrobinę zmartwiona.

Klepie mnie po udzie.

– Jeśli poprawi ci to nastrój, to wiedz, że zawsze będziesz mogła odmówić, ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz, bo naprawdę chciałbym ci pokazać, jak można żyć.

Wow, to totalnie mnie rozbraja. Mówi poważnie. Znow jestem zaintrygowana.

– A jak można żyć?

– Zadajesz zbyt wiele cholernych pytań. – Raz jeszcze klepie mnie po udzie, po czym jego dłoń wraca na jego własne nogi.

– Cóż, jeżeli miałbyś odgrywać rolę pasażera, też zadawałbyś dużo pytań.

– Może.

Delikatnie otwieram usta.

– Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Andrew Parrish, ale dobrze, zaufam ci.

Jego spojrzenie staje się cieplejsze.

– Jeszcze jakieś zasady? – pytam.

Unosi głowę w zamyśleniu i przygryza wargę.

– Nie. – Przechyla głowę na bok. – To wszystko.

Teraz moja kolej.

– Cóż, to teraz ja ci przedstawię swoje zasady.

Unosi głowę w zaciekawieniu, ale ręce nadal spoczywają na jego wyrzeźbionym brzuchu.

– OK, dawaj – mówi zdecydowanie, gotowy na wszystko, co powiem.

– Pierwsza: pod żadnym pozorem nie będziesz się dobierał do moich majtek. Jestem osobą bardzo przyjazną i zgadzam się, cóż, na tę najbardziej szaloną rzecz, jaką w życiu zrobiłam, ale ostrzegam cię, że nie zamierzam być twoją następną zdobyczą, tak samo, jak nie mam zamiaru się w tobie zakochać... – Andrew uśmiecha się teraz od ucha do ucha, co mnie bardzo rozprasza. – ...ani nic w tym stylu. Czy to jasne? – Staram się zachować powagę. Naprawdę. I rzeczywiście mam to na myśli. Ale ten jego głupi uśmieszek zmusza mnie do śmiechu i nienawidzę go za to.

Marszczy brwi w zamyśleniu.

– Całkowicie zrozumiałe – zgadza się ze mną, choć uważam, że jego słowa mają jakieś ukryte znaczenie.

Kiwam głową.

– Dobrze, cieszę się, że ta sprawa jest jasna.

– Coś jeszcze? – pyta.

Na chwilę zapominam o pozostałych regułach.

– Tak, zasada numer dwa to żadnego Bad Company.

Wygląda na lekko naburmuszonego.

– A co to za cholerna reguła?

– To tylko zasada – mówię. – Jakiś problem? Masz inne piosenki klasycznego rocka, a ja nie będę mogła słuchać tego, czego bym chciała, więc nie widzę nic złego z tym małym zastrzeżeniem. – Pokazuję kciukiem i palcem wskazującym, jak jest ono maleńkie.

– Cóż, nie podoba mi się ta reguła – burczy. – Bad Company to świetny zespół, dlaczego go tak nienawidzisz?

Wygląda, jakbym go zraniła. To słodkie.

Ściągam usta.

– Szczerze? – Prawdopodobnie będę tego żałować.

– No tak – mówi, krzyżując ramiona. – Wyrzuć to z siebie.

– Śpiewają zbyt dużo o miłości. To kiepskie.

Andrew znów śmieje się głośno i mam wrażenie, że taksówkarz chciałby pozbyć się nas jak najszybciej.

– Brzmi strasznie zgorzkniale – mówi Andrew i wielki uśmiech rozciąga jego usta.

Tak, już tego żałuję.

Odwracam wzrok, ponieważ nie chcę, by zobaczył w mojej twarzy potwierdzenie swojej tezy. Przynajmniej jeśli chodzi o mojego zdradzającego byłego, Christiana. Z nim wiąże się gorzkość. A z Ianem, czysty, szczerzy ból.

– Dobra, to też naprawimy – odpowiada nonszalancko.

Odwracam się do niego.

– Dziękuję, doktorze Phil, ale nie potrzebuję pomocy.

Czekajcie! Kto w ogóle powiedział, że mnie trzeba naprawiać?

– Aha? – Unosi podbródek i czeka.

– Tak – odpowiadam. – Poza tym to byłoby pogwałcenie mojej reguły numer jeden.

Mruga i uśmiecha się.

– No co, i automatycznie założyłaś, że chcę złamać twoją regułę i zostać królikiem doświadczalnym? – Jego ramiona opadają.

Ala!

Próbuję ukryć, że mnie obraził. Nie wiem, czy mi się to udało, więc próbuję zastosować inną taktykę.

– Nie – mówię i mrugam. – Nie jesteś w moim typie.

Hurra, piłka znów na mojej polowie boiska. Wydaje mi się, że się wzdrygnął.

– I tylko to ci się we mnie nie podoba? – pyta, ale w tym samym momencie dociera do mnie, że mój komentarz go nie zranił. Ludzie zwykle nie uśmiechają się, kiedy są obrażeni.

Odwracam się, przyklejam plecy do drzwi taksówki i taksuję go wzrokiem. Skłamałabym, mówiąc, że nie podoba mi się to, co widzę. W sumie do tej pory nie znalazłam w nim nic, co nie byłoby w moim typie. I gdyby nie moja niechęć do seksu, randek, związków czy miłości, to Andrew Parrish byłby chłopakiem, na którym zdecydowanie zawiesiłabym oko, a Natalie

oszałałaby na jego punkcie.

Nosiłaby jego podobiznę na cyckach.

– Nie ma w tobie nic, co mi się „nie podoba” – odpowiadam. – Po prostu nie będę się już zadawać z... grzecznymi chłopcami. Kończę z nimi.

Po raz trzeci głowa Andrew odchyła się ze śmiechu.

– Greczny? – pyta, wciąż się śmiejąc. Kilka razy kiwa głową i dodaje: – Mylisz się, nie jestem greczny. – Unosi palec, jakby chciał dać mi reprimendę. – Ale bardziej mnie interesuje, co to znaczy, że kończysz z takimi typami.

Jak to się stało, że piłka znów znalazła się w jego posiadaniu? Nawet nie widziałam, kiedy ją przejął.

Patrzę na niego, poszukując odpowiedzi, chociaż to on zadał pytanie. Nadal się uśmiecha, ale jest w jego spojrzeniu również wnikliwość i miękkość, a nie tylko rozbawienie.

I nic nie mówi.

– Nie... nie wiem – odpowiadam i dopiero wtedy spoglądam mu prosto w oczy. – Dlaczego to w ogóle musi coś oznaczać?

Subtelnie kręci głową, ale wygląda to tak, jakby rozglądał się wokół, ponieważ taksówka wjeżdża na dworzec autobusowy. Samochód taty Andrew, chevrolet chavelle z 1969 roku, jest jedynym autem na parkingu. Naprawdę muszą być zakochani w starych samochodach.

Andrew płaci kierowcy i wysiadamy.

– Dobrej nocy, człowieku – żegna się i macha na do widzenia.

Jedziemy w ciszy, myślę o tym, co mi powiedział, ale szybko odpuszczam, bo wjeżdżamy na podjazd nieskazitelnego domu jego ojca.

– Wow – mówię z rozdziawionymi ustami, wychodząc z auta. – To spory dom.

Zamyka drzwi.

– Tata jest właścicielem dobrze prosperującej firmy konstrukcyjno-projektowej – odpowiada nonszalancko. – Chodź, nie chcę tu spędzić wiele czasu, żeby nie spotkać Aidana.

Idę krętą ścieżką z kostki brukowej prowadzącą do drzwi frontowych trzypiętrowego domu. To takie bogate i wypieszczone miejsce, że nie umiem wyobrazić sobie, jak jego ojciec tu żył. Wydawał mi się skromnym człowiekiem i nie takim materialistą jak moja matka.

Mama zemdłałaby, zobaczywszy coś takiego.

Andrew grzebie w swoich kluczach w poszukiwaniu właściwego. W końcu znajduje i wkłada w zamek, który przy otwieraniu cicho klika.

– Nie chcę być wścibska, ale dlaczego twój tata chciał mieszkać w takim dużym domu?

Foyer pachnie suszem cynamonowym.

– To pomysł jego byłej żony, nie jego. – Idę za nim po wyściełanych białym dywanem schodach. – To Linda, o której wspominał w szpitalu. Była miłą kobietą, ale w końcu nie wytrzymała z ojcem, a ja nie mogę jej winić.

– Myślałam, że powiesz, iż wyszła za niego dla pieniędzy.

Andrew kręci głową i prowadzi mnie po schodach.

– Nie, to nie było nic takiego, po prostu z ojcem trudno wytrzymać. – Wkłada klucze do przedniej kieszeni spodni.

Ukradkiem rzucam okiem na jego tyłek, kiedy wchodzimy po schodach. Przygryzam dolną wargę, a potem daję sobie mentalnego kopa.

– To mój pokój – mówi, otwierając pierwsze drzwi po lewej stronie. Jest dość pusty, bardziej jak składzik z kilkoma pudłami spiętrzonymi pod ciemnoszarymi ścianami, poza tym kilka sprzętów do ćwiczeń i indiański totem wepchnięty w róg i przykryty folią. Andrew idzie do garderoby i zapala światło. Stoję pośrodku pokoju, ramiona krzyżuję na piersi, rozglądam się i próbuję zamaskować ciekawość.

– Mówisz, że to „jest” twój pokój?

– Tak – dobiega głos z wnętrza garderoby. – Jeśli ich odwiedzam lub jeśli kiedykolwiek chciałbym tu mieszkać.

Podchodzę bliżej garderoby i spoglądam na Andrew wertującego ubrania posegregowanie podobnie jak moje.

– Widzę, że też masz nerwicę natręctw.

Patrzy na mnie pytająco.

Wskazuję ubrania na czarnych plastikowych wieszakach uporządkowane według kolorów i rodzajów.

– Och, nie, zdecydowanie nie – wyjaśnia. – To gospodyni ojca odwała ten cyrk. Mam gdzieś, czy moje ubrania w ogóle wiszą, a jeszcze, żeby je segregować rodzajami i kolorami... czekaj „też”... – Odsuwa się od koszul i patrzy na mnie spode łba. – Ty tak robisz? – Kręci palcem i patrzy na mnie.

– Tak – mówię, ale czuję się dziwnie, przyznając do tego. – Lubię, kiedy wszystkie rzeczy mają swoje miejsce.

Andrew się śmieje i wraca do przerzucania koszulek. Ściąga kilka z wieszaków, łapie pierwsze lepsze jeansy i przerzuca przez ramię.

– Czy to nie jest stresujące? – pyta.

– Co? Porządne wieszanie ubrań?

Śmieje się i wciska mi stertę ciuchów w ramiona.

Patrzę na nie i znów na niego.

– Nieważne – mówi i wskazuje za mnie. – Możesz to wrzucić do torby wiszącej na ławeczce treningowej?

– Jasne – odpowiadam i przenoszę ten stos ubrań.

Najpierw odkładam je na ławeczkę, potem biorę torbę.

– A gdzie najpierw pojedziemy? – pytam, składając pierwszą koszulkę.

Wciąż grzebie w garderobie.

– Nie, nie – mówi, a głos dobiegający z wnętrza jest przytłumiony. – Żadnych planów, Camryn. Po prostu wskakujemy do auta i jedziemy. Żadnych map czy planów, czy... – Wystawia głowę i jego głos jest wyraźniejszy. – Co robisz?

Ostentacyjnie spoglądam w sufit, odkładając drugą złożoną koszulkę.

– Składam ci ubrania.

Słyszę dwa klapnięcia, kiedy para czarnych sportowych butów ląduje na podłodze pod drzwiami garderoby. Najwyraźniej nadleciały ze środka. Chwilę później Andrew patrzy na mnie, jakbym robiła coś złego, i wrywa mi z rąk do połowy złożoną koszulkę.

– Nie bądź taka idealna, maleńka, po prostu wrzuc je do torby.

Wrzuca tam część ubrań, jakby chciał mi pokazać, że to łatwe.

Nie wiem, co bardziej mi się nie podoba: jego lekcja dezorganizacji czy to, że zakłuło mnie w brzuchu, kiedy powiedział „maleńka”.

Wzruszam ramionami i pozwalam, by robił ze swoimi ubraniami, co chce.

– Naprawdę nie ma wielkiego znaczenia, co masz na sobie – mówi, wracając do garderoby. – Ważne jest, dokąd zmierzasz i co będziesz robić w tych ciuchach.

Rzuca w moją stronę czarne buty, a ja łapię je jeden po drugim.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, też je tam wrzucić.

Robię to, o co mnie prosi, ale nie jestem zachwycona. Dobrze, że podeszwy są czyste, bo w innym wypadku bym protestowała.

– Wiesz, jakie dziewczyny uważam za seksowne?

Opiera muskularne ramię wysoko nad głową, szukając czegoś na górnych półkach garderoby. Spod koszulki wystaje mu koniec tatuażu, który ma na lewym boku.

– Hmm, nie jestem pewna – odpowiadam. – Takie noszące pomięte ubrania? – Marszczę nos.

– Takie, które po wstaniu z łóżka po prostu wciągają coś na siebie – mówi i wyjmuję pudełko po butach. Podchodzi, niosąc karton na dłoni. – Takie, które wyglądają, jakby się nie stroiły.

– Rozumiem. Jesteś jednym z tych facetów, którzy gardzą makijażem, perfumami i wszystkim tym, co robi z dziewczyny dziewczynę.

Wręcza mi pudełko, jak wcześniej ubrania, a ja patrzę na nie pytająco.

Andrew się uśmiecha.

– Nie, nie gardzę, uważam tylko, że prostota jest seksowna, to wszystko.

– Co mam z tym zrobić?

– Otwórz.

Niepewnie patrzę na pudełko. Kiwa głową, zachęcając mnie. Podnoszę czerwone wieczko i przyglądam się kolekcji płyt CD w oryginalnych opakowaniach.

– Ojciec był zbyt leniwy, by zamontować odtwarzacz mp3 w samochodzie – zaczyna wyjaśniać – a podczas podróży nigdy nie wiadomo, czy trafi się na jakąś fajną stację radiową, a czasami w ogóle nie ma zasięgu.

Zabiera pudełko z moich rąk.

– To będzie nasza playlista. – Szczerzy się do mnie swoimi bieluteńkimi zębami.

To są płyty zespołów, o których mówił, gdy jechaliśmy autobusem, i kilku innych,

o których wcześniej nie słyszałam. Jestem prawie pewna, że słyszałam dziewięćdziesiąt procent z tej muzyki, kiedy jeździłam samochodem z rodzicami. Ale jeśli ktokolwiek zapytałby mnie o jakąś piosenkę albo o album, z którego pochodzi, albo chociaż o zespół ją wykonujący, nie wiedziałabym.

– Świetnie – mówię z sarkazmem i wykrzywiam się żartobliwie.

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy. Och, on uwielbia mnie torturować.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ANDREW

Jest słodka, kiedy się nad nią znęcam. Ponieważ jej się to podoba.

Nie mam pojęcia, jakim cudem się w to wpakowałem, ale jedno wiem na pewno – chociaż sumienie mi nakazuje, żebym ją zostawił, nie mogę tego zrobić. I nie chcę.

Już dotarliśmy za daleko.

Wiem, że nie powinienem zabierać jej z dworca, tylko kupić bilet pierwszej klasy na samolot do domu, bo wiedząc, ile za niego zapłaciłem, na pewno by go wykorzystwała, a potem złapać taksówkę i zapłacić za kurs na lotnisko.

Nigdy nie powinienem zabierać jej z sobą, ponieważ teraz wiem, że nie pozwolę jej odejść. Będę jej musiał najpierw pokazać. Taki mam teraz obowiązek. Muszę pokazać jej wszystko. Na koniec, kiedy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, może nieco cierpieć, ale przynajmniej będzie mogła wracać do domu, do Karoliny Północnej, z czymś więcej niż użalanie się nad swoim życiem.

Wyjmuję jej ręk pudełko po butach, zamykam i kładę na wierzchu torby podróźnej. Patrzy na mnie, kiedy z komody wyciągam kilka par czystych bokserek i skarpet, po czym je też wrzucam do torby. Reszta moich podstawowych przyborów toaletowych jest w czarnym worku, który miałem w autobusie.

Zakładam torbę na ramię i patrzę na dziewczynę.

– Gotowa?

– Chyba tak – odpowiada.

– Czekaj, jak to „chyba”? – pytam, podchodząc do niej. – Albo jesteś, albo nie jesteś.

Uśmiecha się do mnie swoimi pięknymi, kryształowo niebieskimi oczami.

– Tak, na sto procent jestem gotowa.

– Dobrze, zatem skąd to wahanie?

Delikatnie kreci głową, żeby pokazać, że jestem w błędzie.

– Absolutny brak wahania – odpowiada. – Tylko to po prostu jest... dziwne, wiesz? Ale w dobrym znaczeniu tego słowa.

Wygląda, jakby próbowała uporządkować własne myśli. Oczywiście musi mieć sporo na głowie.

– Masz rację – mówię. – To trochę dziwne, w porządku, ale dziwne. Ponieważ takie wskakiwanie w życie jak to nie jest naturalne. – Patrzę na nią intensywnie, zmuszając, by podniosła spojrzenie. – Ale właśnie o to chodzi.

Jej twarz rozjaśnia się, jakby te słowa nieco ją uspokoiły.

Kiwa głową i mówi lekko:

– W takim razie na co czekamy?

Wracamy na korytarz i tuż przed schodami zatrzymuję się.

– Poczekaj sekundę.

Czeka, a ja odwracam się, mijam swój pokój i idę do sypialni Aidana. Jego pokój jest tak samo żalony jak mój. Wchodząc, dostrzegam gitarę akustyczną opartą o przeciwległą ścianę, więc podchodzę, łapię gryf i wychodzę.

– Grasz na gitarze? – pyta Camryn, kiedy prowadzę ją schodami w dół.

– Tak, trochę gram.

CAMRYN

Wszystkie rzeczy lądują na tylnym siedzeniu. Torba i worek Andrew, mój plecak, a także torebka. Trochę lepiej obszedł się z gitarą, bo nie rzucił jej, tylko starannie ułożył na stercie. Wskoczyliśmy do zabytkowego, czarnego samochodu z dwoma białymi pasami na masce i jednocześnie trzasnęliśmy drzwiami.

Andrew patrzy na mnie.

Ja patrzę na niego.

Przekręca kluczyk w stacyjce i chevelle z rykiem budzi się do życia.

Nie mogę uwierzyć, że to robię. Nie boję się, nie martwię, nie chcę tego przerwać i wrócić do domu. Pierwszy raz od bardzo dawna wszystko wydaje się w porządku, czuję, jakby moje życie wracało do normy, mimo że nie wiem, dokąd zmierza ta droga. Nie umiem tego wyjaśnić... oprócz tego że, jak już mówiłam, wydaje się w porządku.

Andrew dociska gaz, wjeżdżamy na zjazd na osiemdziesiątą siódmą i kierujemy się na południe.

Przyglądam się, jak prowadzi, jak swobodnie wyprzedza kilku wlokących się kierowców.

Nie popisuje się na drodze, jest w swoim żywiole. Łapię się na tym, że zerkam na jego umięśnione prawe przedramię, kiedy zaciska dłoń na kierownicy. A kiedy przesuвам wzrok dalej po jego sylwetce, zastanawiam się nad tatuażem ukrytym pod obcisłą granatową koszulką.

Przez chwilę gadamy o wszystkim, po czym zaczynamy mówić o gitarze Aidana, który prawdopodobnie wpadnie w szal, jeśli się dowie, że brat ją zabrał. Andrew oczywiście ma to gdzieś.

– Raz ukradł mi skarpetki – mówi.

– Twoje skarpetki? – pytam lekko zdziwiona.

Patrzy na mnie, a na twarzy ma wypisane: skarpetki, gitara, dezodorant – własność to własność.

Śmieję się, uznając to za niedorzeczne, ale szybko odpuszczam.

Prowadzimy też bardzo głębokie rozważania na temat pojedynczych butów leżących przy drogach w całych Stanach.

– Dziewczyny wkurzają się na swoich chłopaków i wywalają im te buty za okno – mówi.

– To możliwe – odpowiadam. – Ale myślę, że większość tych butów należy do autostopowiczów, ponieważ są zdarte.

Patrzy na mnie dziwnie, czekając na resztę wypowiedzi.

– Autostopowiczów?

Przytakuję.

– No oni dużo chodzą, więc wyobrażam sobie, że ich buty szybko się zdzierają. I kiedy tak idą, nogi ich bołą i nagle zauważają but wyrzucony przez wkurzoną dziewczynę – staram się wpleść w to jego teorię – sprawdzają, czy pasuje, a jeśli tak, zamieniają na ten w lepszym stanie i idą dalej.

– To głupie – mówi Andrew.

Otwieram usta z oburzenia.

– To możliwe! – Śmieję się i klepię go w ramię. Odwzajemnia uśmiech.

I kontynuujemy temat, a każde z nas ma coraz głupsze argumenty.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dużo się śmiałam.

Jakieś dwie godziny później w końcu wracamy do Denver. To takie piękne miasto,

z ogromnymi górami w tle, wyglądającymi, jakby na białych szczytach miały puchate obłoczki, pełnące leniwie po błękitnym horyzoncie. Jest dość wcześnie i słońce nie świeci z pełną ostrością.

Kiedy wjeżdżamy do centrum, Andrew zwalnia do czterdziestu mil na godzinę.

– Musisz mi powiedzieć, w którą stronę – mówi, kiedy zbliżamy się do zjazdów. Patrzy na znak, na którym są trzy możliwe kierunki, a potem na mnie. Zaskoczona przyglądam się znakowi, niezdecydowana, którą drogę wybrać. Andrew zwalnia do trzydziestu pięciu mil na godzinę. – No to jak będzie? – pyta, a w jego jasnych zielonych oczach błyszczy odrobina drwiny.

Jestem zdenerwowana! Czuję się, jakbym miała zdecydować, który kabel przeciąć, żeby rozbroić bombę.

– Nie wiem! – wołam, ale usta uśmiechają się szeroko i nerwowo.

Jedziemy dwadzieścia mil na godzinę, kierowcy za nami trąbią, a facet w czerwonym samochodzie, który nas mija, grozi nam przez szybę.

Piętnaście mil na godzinę.

Aaa, nie zniosę tego oczekiwania! Czuję, jakbym miała wybuchnąć śmiechem, ale ten grzęźnie mi w gardle.

Klakson! Klakson! Pierdolcie się! Spierdalać z drogi!

Patrzę na Andrew, a on nie przestaje się uśmiechać.

– Tam! – w końcu krzyczę i wskazuję wyjazd na wschód. Piszczę ze śmiechu i zsuwam się nieco z siedzenia, żeby nikt mnie nie zauważył, bo jestem zażenowana.

Andrew włącza lewy kierunkowskaz i z łatwością zmienia pas, manewrując między samochodami. W zjazd wjeżdżamy na pomarańczowym świetle i sekundę później jesteśmy na autostradzie, a Andrew wciska gaz do dechy. Nie wiem, gdzie jedziemy, oprócz tego, że na wschód, ale o to między innymi chodzi w tej podróży.

– To wcale nie było trudne, prawda? – pyta, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Było w tym coś ekscytującego – parskam. – Naprawdę wkurzyłeś tych wszystkich ludzi.

Wzrusza ramionami.

– Wszystkim tak bardzo się spieszy. Jeśli, broń Boże, jedziesz wolniej, niż wynosi limit prędkości, możesz zostać zlinczowana.

– Prawda – mówię, patrząc przez przednią szybę. – Choć muszę przyznać, że zazwyczaj myślę podobnie. – Krzywię się z tego powodu.

– Tak, ja czasami też.

Milkniemy i jest to pierwsza chwila ciszy między nami, którą oboje zauważamy. Ciekawa jestem, czy myśli o tym samym, zastanawiając się nade mną i chcąc zapytać, tak jak ja chciałabym zapytać, bo jestem ciekawa tak wielu dotyczących go rzeczy. To jedna z tych chwil, które są początkiem wzajemnego poznawania się.

To bardzo się różni od tego, co nas łączyło, kiedy jechaliśmy razem autobusem. Wtedy myśleliśmy, że nasz wspólny czas jest ograniczony i że skoro już nigdy więcej się nie zobaczymy, nie ma sensu wnikać w sprawy osobiste ledwo poznanego człowieka.

Ale sytuacja się zmieniła i pozostały tylko sprawy osobiste.

– Opowiedz mi coś więcej o twojej przyjaciółce Natalie.

Przez kilka długich sekund wpatruję się w drogę, po czym bardzo wolno składam zdanie, bo nie jestem pewna, co mam mu opowiedzieć.

– Jeśli ona nadal jest twoją przyjaciółką – dodaje, wyczuwając moją niechęć.

Patrzę przed siebie.

– Już nie. Została zwolniona z tej funkcji, z braku innego określenia.

– Jestem pewien, że masz na to lepsze wytłumaczenie – mówi, patrząc na drogę. – Może po prostu nie chcesz tego wyjaśniać.

Podejmuję decyzję.

– Nie, właściwie to chcę to wyjaśnić.

Patrzy na mnie z zadowoleniem, ale i z szacunkiem.

– Znam ją od drugiej klasy szkoły podstawowej – zaczynam – i nie sądziłam, że cokolwiek może zniszczyć naszą przyjaźń, ale najwyraźniej się myliłam. – Kręcę głową, ponieważ niedobrze mi się robi na samą myśl o tym.

– A co się stało?

– Wybrała swojego chłopaka, a nie mnie.

Myślę, że spodziewał się lepszego wyjaśnienia, i naprawdę chciałabym mu je dać, ale po prostu jakoś tak wyszło.

– Czy ty zmusiłaś ją do tego wyboru? – pyta, minimalnie unosząc brwi.

Odwracam się, by na niego spojrzeć.

– Nie, to nie było nic takiego. – Wzdycham przeciągle. – Pewnej nocy jej chłopak, Damon, doprowadził do tego, że zostaliśmy sami i chciał mnie pocałować, po czym powiedział, że mnie pragnie. Następnie Natalie wyzwała mnie od kłamliwych suk i powiedziała, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć.

Andrew kiwa głową, pokazując, że w pełni rozumie.

– Zakompleksiona dziewczyna – mówi. – Prawdopodobnie jest z nim od dawna, co?

– Około pięciu lat.

– Wiesz, ta twoja przyjaciółka uwierzyła ci, prawda?

Patrzę na niego zdezorientowana.

Kiwa głową.

– Uwierzyła. Pomyśl, zna cię praktycznie całe życie. Naprawdę sądzisz, że zrezygnowała z takiej przyjaźni tylko dlatego, że ci nie uwierzyła?

Nadal jestem zdezorientowana.

– Ale to zrobiła – rzucam. – Właśnie to zrobiła.

– Nie – mówi. – To tylko jej reakcja, Camryn. Ona bardzo nie chciała w to uwierzyć, ale w głębi duszy wie, że to prawda. Ona po prostu potrzebuje czasu, by to przemyśleć i zastanowić się nad tym. W końcu się otrząśnie.

– Cóż, gdy wreszcie przemyśli sprawę, być może ja nie będę chciała jej już znać.

– Być może – mówi, włącza lewy kierunkowskaz i zmienia pas. – Ale nie uważam, żebyś była tego typu osobą.

– Nieprzebaczącą?

Przytakuje.

Wyprzedzamy ciężarówkę.

– Nie wiem – odzywam się już niezbyt siebie pewna. – Nie jestem taka jak kiedyś.

– A jaka byłaś?

Tego też nie jestem pewna. Chwilę zajmuje mi wymyślenie sposobu, żeby nie wspominać Iana.

– Kiedyś byłam wesoła, wychodziłam do ludzi i... – nagle śmieję się poruszona tym wspomnieniem – ...i każdej zimy biegałam nago wokół zamrzniętego jeziora.

Na pięknej twarzy Andrew pojawia się uśmiech zaciekawienia.

– Wow – mówi. – Mogę sobie tylko wyobrazić...

Ponownie klepię go w ramię. A on nadal się śmieje. Udaje, że go zabolalo, ale ja wiem lepiej.

– To było w celu charytatywnym, zbiórka pieniędzy na szpital w moim mieście – odpowiadam – którą organizują co roku.

– Nago? – pyta i wygląda, jakby mógł myśleć tylko o tym.

– Cóż, nie do końca nago. W topie na ramiączkach i spodenkach. Równie dobrze można powiedzieć, że nago, jeśli się biegnie w środku zimy, rozchlapując prawie zamrzniętą wodę.

– Cholera, powinienem się zaangażować w zbiórkę pieniędzy dla szpitali, kiedy wrócę do domu – mówi, uderzając dłonią w kierownicę. – Nie miałem pojęcia, co mnie omija. – Znów patrzy na mnie. – Zatem dlaczego już tego nie robisz?

Ponieważ Ian mnie do tego namówił i robił to ze mną przez dwa lata.

– Przestałam w tamtym roku, to po prostu jedna z tych rzeczy, o których się zapomina.

Mam wrażenie, że mi nie wierzy i doskonale wie, że jest coś więcej, jednak zmieniam temat, aby odwrócić jego uwagę.

– A co z tobą? – Odwracam się do niego. – Zrobiłeś coś szalonego?

Andrew nadyma wargi i patrzy na drogę. Wyprzedzamy kolejną ciężarówkę. Im dalej jesteśmy od miasta, tym ruch jest mniejszy.

– Raz surfowałem na masce samochodu, chociaż to nie było szalone, tylko głupie.

– Tak, całkiem głupie.

Wyciąga lewą rękę i odwraca dłonią do góry, żeby było widać nadgarstek.

– Spadłem z tego cholernego auta i nawet nie wiem, o co przeciąłem rękę. – Widzę bliznę, która biegnie od kciuka aż do łokcia. – Toczyłem się po asfalcie. Rozciąłem również głowę. – Stuka się w tył czaszki. – Dziewięć szwów tutaj, oprócz szesnastu na przedramieniu. Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Cóż, mam nadzieję, że nie – mówię stanowczo, nadal próbując zobaczyć bliznę w jego brązowych włosach, palcem wskazującym przeciągam po całej jej długości. Przekłada ręce na kierownicy, łapie mnie za nadgarstek i naprowadza na bliznę w swoich włosach. Przysuwam się, pozwalając mu trzymać mnie w ten sposób.

– To gdzieś... tutaj – mówi, kiedy odnajduje. – Czujesz?

Odsuwa rękę, ale ja rozgarniam włosy i patrzę przez chwilę. Końcem palca wodzę w górę i w dół po nierównej skórze, a potem dotykam krótkich włosów. Blizna ma kilka cali. Dotykam jeszcze przez chwilę, po czym niechętnie zabieram rękę.

– Wyobrażam sobie, że masz dużo blizn – mówię.

Uśmiecha się.

– Nie za wiele, mam jedną na plecach, po tym jak Aidan uderzył mnie łańcuchem od roweru, ponieważ kręcił nim nad głową jak batem. – Krzywię się, zaciskając zęby. – A kiedy miałem dwanaście lat i wiozłem Ashera na kierownicy roweru, walnęliśmy w kamień. Rower wpadł w poślizg i ciałami przejechaliśmy po betonie. – Wskazuje na nos. – Złamałem nos, a Asher rękę i miał czternaście szwów w okolicy łokcia. Mama myślała, że zderzyliśmy się z samochodem, a my kłamaliśmy, by kryć swoje tyłki.

Patrzę na jego idealny nos, nie ma na nim dowodów, że kiedykolwiek był złamany.

– Mam też dziwną bliznę w kształcie litery „L” na wewnętrznej stronie uda. Chociaż tej nie zamierzam ci pokazywać. – Uśmiecha się i rękami ścisną kierownicę.

Rumienię się, bo wyobrażałam sobie, jak spuszcza spodnie i mi pokazuje.

– To dobrze. – Śmieję się i pochylam w przód, żeby podciągnąć moją koszulkę w Smerfy. Widzę, że przypatruje mi się bacznie, i żołądek mi się kurczy, ale ignoruję to uczucie. – Kamping – mówię. – Wyskoczyłam na fali z wody i uderzyłam w skałę, prawie przy tym utonęłam.

Andrew marszczy brwi i sięga, by dotknąć małej blizny na moim biodrze. Dreszcz przebiega mi przez cały kręgosłup aż do karku, jakby coś zmroziło mi krew.

Na tyle, na ile mogę, to też ignoruję.

Puszczam koszulkę, by opadła, i opieram się o siedzenie.

– Cóż, cieszę się, że nie utonęłaś – mówi z ciepłym spojrzeniem.

Uśmiecham się do niego.

– To byłoby do dupy.

– Zdecydowanie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Budzę się po zmroku, kiedy Andrew zatrzymuje się, by zapłacić za przejazd. Nie wiem, jak długo spałam, ale czuję się, jakbym spała całą noc, choć byłam zwinięta w kulkę na siedzeniu po stronie pasażera z głową opartą o drzwi samochodu. Kiedy spałam w autobusie, budziłam się i musiałam rozmasowywać kilka ścierpniętych mięśni, ale teraz czuję się dobrze.

– Gdzie jesteśmy? – pytam, nakrywając usta dłonią, żeby ukryć ziewanie.

– Gdzieś pośrodku pustkowia w Wellington, w Kansas – odpowiada. – Długo spałaś.

Przez resztę drogi nie śpię i pozwalam oczom przywyknąć do mroku, a ciału powoli się obudzić. Andrew skręca w inną drogę.

– Najwyraźniej. Spało mi się lepiej niż przez całą drogę autobusem z Karoliny Północnej do Wyoming.

Patrzę na niebieski wyświetlacz radia samochodowego. Jest 22:14, z głośników cicho syczy się muzyka. Uśmiecham się do siebie na myśl, że przyciszył radio, dbając, żebym się wyspała.

– A co z tobą? – pytam, odwracając się do niego, jego twarz spowija mrok. – Dziwnie się czuję, składając tę ofertę, ponieważ to samochód twojego ojca, ale mogę prowadzić, gdybyś chciał się zmienić.

– Nie powinnaś czuć się dziwnie – odpowiada. – To tylko samochód. Cenny antyk i ojciec skopałby ci tyłek, gdyby cię zobaczył za kierownicą, ale w końcu i tak pozwoliliby ci prowadzić. – Nawet w mroku widzę, że kącik ust unosi się w zuchwałym uśmiešku.

– Cóż, nie jestem pewna, czy chcę słyszeć resztę.

– On umiera, pamiętasz? Myślisz, że co może ci zrobić?

– To nie jest śmieszne, Andrew.

Przecież wie, że nie jest. Jestem świadoma gry, jaką prowadzi z samym sobą, zawsze szuka czegoś, dzięki czemu poradzi sobie z tym, co zbliża się nieubłaganie. Zastanawiam się tylko, jak da radę dusić to w sobie. Te niestosowne dowcipy szybko się skończą i nie będzie wiedział, co z sobą począć.

– Zatrzymamy się w najbliższym motelu – mówi, skręcając w inną drogę. – Tam się zdrzemnę. – A potem patrzy na mnie. – Oczywiście bierzemy oddzielne pokoje.

Cieszę się, że tak szybko to dodał. Mogę jechać z nim przez całe Stany, ale niezręcznie byłoby mi spać w tym samym pokoju.

– Świetnie – mówię i wyciągam przed siebie ręce ze skrzyżowanymi palcami,

przeciągając się. – Potrzebuję prysznic i przynajmniej godzinnego mycia zębów.

– Nie będę się klócił – żartuje ze mnie.

– Hej, twój oddech też nie jest świeży.

– Wiem – mówi, przykładając dłoń do ust i oddychając w nią. – Śmierdę, jakbym zjadł tę gównianą zapiekankę, którą moja ciotka co roku przynosi na Święto Dziękczynienia.

Śmieję się głośno.

– Trochę zły dobór słów – mówię. – Gówniana zapiekanka? Naprawdę? – Śmieję się w duchu.

Andrew też się śmieje.

– Do diabła, równie dobrze może być z tego zrobiona, kocham ciotkę Deanę, ale ta kobieta nie została pobłogosławiona darem gotowania.

– Podobnie jak moja mama.

– To musi być do kitu – stwierdza, rozkładając ręce. – Dorastanie na zupkach z torebki i daniach z mikrofalówki.

Kręcę głową.

– Nie. Sama nauczyłam się gotować, nie jem śmieciowego jedzenia, pamiętasz?

Andrew śmieje się, światła uliczne padają szarym odbłaskiem na jego twarz.

– Och, prawda – mówi – żadnych pieprzonych hamburgerów ani tłustych frytek, Panno Ryżowe Ciasteczka.

Wykrzywiam twarz, kwestionując jego ryżową teorię.

Kilka minut później zatrzymujemy się na parkingu dwupiętrowego motelu, do którego pokoi wchodzi się z zewnątrz, a nie z wewnętrznego korytarza. Wychodzimy i w końcu mogę się rozciągnąć – Andrew prostuje nogi, ręce, rozciąga szyję, praktycznie naciąga się cały – po czym zabieramy nasze rzeczy z tylnego siedzenia. Gitarę zostawiamy.

– Wciśnij blokadę drzwi – mówi i wskazuje palcem.

Wchodzimy do recepcji, gdzie pachnie workami od odkurzacza i kawą.

– Dwa pojedyncze pokoje – obok siebie, jeśli takie macie – mówi Andrew, wyciągając portfel z tylnej kieszeni.

Otwieram torebkę i grzebię w poszukiwaniu portfela.

– Mogę zapłacić za swój pokój.

– Nie, nie trzeba.

– Nie, poważnie, pozwól mi zapłacić.

– Powiedziałem, że nie trzeba, po prostu schowaj kasę.

Robię to niechętnie.

Kobieta w średnim wieku, z włosami ściągniętymi w niechlujny kok patrzy na nas zupełnie bez wyrazu. Po czym stuka w klawiaturę, sprawdzając, czy ma wolne pokoje.

– Dla palących czy niepalących? – pyta, patrząc na Andrew.

Widzę, jak jej spojrzenie wędruje po jego umięśnionych ramionach, kiedy on szuka swojej karty kredytowej.

– Niepalących.

Klik, klik myszką, stuk, stuk w klawiaturę i tak na przemian.

– Jedyne pojedyncze pokoje, jakie mamy obok siebie, to jeden dla palących, a drugi dla niepalących.

– Dobra, bierzemy – mówi Andrew, wręczając kobiecie kartę.

Wyciąga ją powoli z jego palców, cały czas obserwuje nawet najmniejszy ruch jego ręki, aż jej wzrok opada za ladę.

Zdzira.

Po zapłaceniu i odebraniu kluczy musimy wrócić do samochodu, ponieważ Andrew chce zabrać gitarę.

– Powinienem zapytać, zanim tu przyjechaliśmy – mówi, kiedy za nim idę – ale jeśli jesteś głodna, mogę pobiec na drugą stronę ulicy i przynieść, co tylko chcesz.

– Nie, nie trzeba. Dzięki.

– Na pewno? – Patrzy na mnie.

– Nie jestem głodna, ale jeśli zgłodnieję, kupię sobie coś z automatu.

Wsuwa kartę w pierwsze drzwi i w zamku pokazuje się zielone światelko. Potem zamek

klika i Andrew otwiera drzwi.

– Ale w rzeczach z automatu nie ma nic oprócz cukru i tłuszczu – mówi, wracając do naszej wcześniejszej rozmowy o zdrowym odżywianiu.

Wchodzimy do dość pretensjonalnego pokoju z łóżkiem ustawionym pod ścianą, na której zamontowana jest drewniana okładzina. Narzuta na łóżku jest brązowa i lekko mnie przeraża. Pokój pachnie czystością i wygląda przyzwoicie, ale zawsze w motelu najpierw zdejmuję narzutę z łóżka. Nigdy nie wiadomo, co pod nią żyje i kiedy ostatnio była prana pościel.

Andrew oddycha głęboko, wachając pomieszczenie.

– To ten dla niepalących – mówi, rozglądając się. – Jest twój. – Odkłada gitarę pod ścianę i idzie do łazienki, zapala światło, testuje wentylator, a potem wraca, podchodzi do okna i sprawdza klimatyzator, w końcu jest połowa lipca. Wreszcie podchodzi do łóżka, odsuwa narzutę i ogląda kołdrę i poduszkę.

– Czego szukasz?

Odpowiada, nie patrząc na mnie:

– Upewniam się, że jest czysto, nie chcę, żebyś spała w syfie.

Rumienię się i odwracam, zanim będzie mógł to zobaczyć.

– Jest za wcześnie, żeby kłaść się spać – odchodzi od łóżka i ponownie łapie gitarę – ale prowadzenie samochodu trochę mnie wykończyło.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, nie spałeś chyba od chwili, gdy jechaliśmy autobusem gdzieś w okolicach Cheyenne.

Odkładam torebkę i plecak na podłogę obok łóżka.

– Prawda – mówi. – A to oznacza, że jestem na nogach od osiemnastu godzin. Cholera, nawet nie wiedziałem.

Podchodzi do drzwi i kładzie rękę na srebrnej klamce, zamek klika, kiedy otwiera drzwi. Ja po prostu stoję przy łóżku. To niezręczna chwila, z pewnością nie ostatnia.

– No cóż, do zobaczenia rano – mówi, przechodząc przez próg. – Jestem obok w pokoju numer sto dziesięć. Jeśli będziesz mnie potrzebować, to zadzwoń, zapukaj albo walnij w ścianę.

Na jego twarzy jest dobroć i szczerść.

Kiwam głową i uśmiecham się w odpowiedzi.

– Cóż, dobranoc – mówi.

– Branoc.

Wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Po jego wyjściu myślę o nim przez chwilę, po czym pochylam się i przeszukuję swój plecak. To będzie pierwszy prysznic od kilku dni. Cieszę się na samą myśl. Znajduję czyste majtki i moje ulubione białe spodenki oraz koszulkę z rękawkami trzy czwarte w różowe i niebieskie paski. Odnajduję szczoteczkę i pastę, i idę do łazienki, niosąc to wszystko w rękach. Rozbieram się do naga i brudne ubrania zostawiam na kupce na podłodze. Patrę na siebie w lustrze. O mój Boże, jestem ohydna! Makijaż kompletnie się rozmazał, tuszu na rzęsach prawie nie ma. Kosmyki moich blond włosów wysmyknęły się z warkocza i wiszą luźno po jednej stronie głowy, tworząc coś na podobieństwo szurczego gniazda.

Nie mogę uwierzyć, że jadę z Andrew, wyglądając w ten sposób.

Łapię gumkę na końcu warkocza i rozplatom włosy, po czym przeczesuję je palcami. Najpierw myję zęby, a potem płuczę usta płynem i trzymam go tak długo, aż zaczyna piec.

Prysznic jest jak raj. Stoję pod nim przez wieczność, gorąca woda spływa mi po ciele, aż nie mogę wytrzymać, bo to ciepło koi mnie tak, że mam wrażenie, iż zaraz zasnę na stojąco. Myję każdą część ciała. Dwa razy. Dlatego, że mogę, i dlatego, że nie robiłam tego od tak długiego czasu. Potem się depiluję i cieszę się, że pozbywam się sierści na nogach. W końcu zakręcam wodę i otulam się białym frotowym ręcznikiem, który leżał złożony na stojaku obok toalety.

Słyszę, że w pokoju obok leci woda pod prysznicem, i łapię się na tym, że słucham. Wyobrażam go sobie tam, nie w seksualny czy zboczony sposób, chociaż to nie byłoby trudne. Tak ogólnie o nim myślę, o tym, co robimy i dlaczego. Myślę o jego tacie i to łamie mi serce, bo wiem, jak Andrew musi cierpieć, i czuję się bezradna, i nie umiem mu pomóc. W końcu zmuszam się do powrotu do własnego życia i własnych problemów, które tak naprawdę niewiele mają wspólnego z Andrew.

Mam nadzieję, że nigdy nie zostanę zmuszona do opowiedzenia mu o swoich problemach i o tych wszystkich rzeczach, które doprowadziły do podróży autobusem donikąd, ponieważ czułabym się głupio i samolubnie. Moje problemy są niczym w porównaniu z jego.

Z mokrymi włosami wskakuję do łóżka, przeczesuję je palcami. Włączam telewizor, nie jestem zmęczona, ponieważ spałam od Denver. Skaczę po kanałach, aż w końcu znajduję film z Jetem Li. Ale odbiornik tak szumi, że nie można nic zrozumieć.

Do tej pory mama dzwoniła cztery razy i zostawiła cztery wiadomości.

Nadal żadnej wiadomości od Natalie.

– Jak ci leci w Wirginii? – Pyta głos mamy ze słuchawki telefonu. – Mam nadzieję, że dobrze się bawisz.

– Tak, jest świetnie. A co u ciebie?

Mama chichocze po drugiej stronie linii telefonicznej, co instynktownie mnie odpycha. Jest z nią mężczyzna. Ohyda. Mam nadzieję, że nie rozmawia ze mną, leżąc w łóżku naga, a jakiś facet liże ją po szyi.

– U mnie dobrze, kochanie – odpowiada. – Nadal spotykam się z Rogerem, wybieramy się w weekend na ten rejs.

– To świetnie, mammo.

Ona znów chichocze.

Marszczę nos.

– Cóż, kochanie, muszę kończyć... Roger, przestań – znów chichocze, co sprawia, że chce mi się rzygać. – Chciałam tylko wiedzieć, co u ciebie słyszeć. Proszę, zadzwoń do mnie jutro o dowolnej godzinie i zdaj relację, dobrze?

– Dobrze, mammo, zadzwonię. Kocham cię.

Rozłączamy się i upuszczam telefon na podłogę przy łóżku. A potem opadam na poduszkę i natychmiast myślę o Andrew w pokoju za ścianą. Być może leży przy tej samej ścianie. Przerzucam kanały w telewizorze, aż łapię się na tym, że przeleciałam listę już pięć razy, więc daję sobie spokój.

Wyłączam telewizor i patrzę na pokój.

Do moich uszu dochodzi dźwięk gitary, na której gra Andrew, i unoszę się na poduszcze, by lepiej słyszeć. To czysta gra, coś pomiędzy melodią pełną poszukiwań i żalu. A potem refren, nieco szybszy, ale zaraz utwór wraca do poprzedniego tempa. Melodia jest absolutnie piękna.

Przez następne piętnaście minut przysłuchuję się, jak gra, a potem cichnie. Wyłączyłam telewizor, kiedy usłyszałam pierwsze dźwięki gitary, więc teraz wszystko, co słyszę, to kapanie wody w łazience i warkot silnika samochodu na parkingu.

Kładę głowę na poduszcze i odpływam, a sny powracają:

Tego ranka nie dostałam od Iana zwykłego ciągu SMS-ów, jakie zwykle wysyłał mi przed snem. Próbowałam do niego dzwonić, ale telefon łączył się i łączył, aż w końcu odzywała się poczta głosowa. I Iana nie było w szkole, kiedy już tam dotarłam.

Wszyscy patrzyli na mnie, kiedy szłam korytarzem. Niektórzy nie umieli spojrzeć mi w oczy. Jennifer Parsons wybuchła płaczem, kiedy ją mijalam przy jej szafce, a potem kilka innych dziewczyn, cheerleaderek, zaczęło pociągać nosami, jakby to było zaraźliwe. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale czułam się, jakbym obudziła się w popieprzonej innej rzeczywistości.

Nikt mi nic nie mówił, ale było cholernie jasne, że każdy w tej okropnej szkole wiedział coś, czego ja nie wiedziałam. I to było coś złego. Tak naprawdę nie miałam wrogów, może tylko kilka cheerleaderek krzywo na mnie patrzyło, ponieważ Ian mnie kochał, a im nie poświęcał czasu. Cóż mogłam rzec? Ian Walsh był gorętszy niż gwiazda filmowa i dla nikogo nie miało znaczenia, nawet dla Emily Derting, najbogatszej dziewczyny w liceum Millbrook, że Ian nie był bogaty i nadal do szkoły wozili go rodzice.

Wciąż go pragnęła.

Wszystkie chciały go dorwać.

Poszłam w stronę swojej szafki, mając nadzieję, że zastanę tam Natalie i ona może opowie mi, co się tu dzieje. Szłam dłużej niż zwykle, ale nikogo tam nie zastałam. To Damon mnie znalazł i powiedział, co się stało. Odciągnął mnie na bok, do wnęki z kranikiem z wodą. Serce waliło mi jak młotem. Dzisiaj rano wiedziałam, że coś jest nie tak, nawet zanim zauważyłam brak wiadomości od Iana. Poczulałam się... dziwnie. To tak... jakbym wiedziała.

– Camryn – zwrócił się do mnie Damon i po jego poważnym tonie wywnioskowałam, co chciał mi powiedzieć, ponieważ on i Natalie zawsze mówili do mnie „Cam”. – Wczoraj wieczorem Ian miał wypadek samochodowy...

Poczulałam, że brakuje mi powietrza, i rękami zakrywam usta. Łzy paliły mi gardło i spływały z oczu.

– Wcześniej rano zmarł w szpitalu – Damon starał się mówić spokojnie, ale ból na jego twarzy był wyraźny.

Patrzyłam na Damona przez wieczność, zanim ugięły się pode mną kolana i padłam w jego ramiona. Plakałam i plakałam, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze, wtedy odnalazła nas Natalie i oboje zaprowadzili mnie do gabinetu higienistki.

Spocona budzę się z koszmaru, a serce łomocze mi jak szalone. Zrzucam kołdrę i siadam na łóżku z podwiniętymi nogami, a twarz ukrywam w dłoniach, po czym wzdycham głęboko. Nie śniłam od tak dawna. W rzeczywistości ten sen był ostatnim, jaki zapamiętałam. Dlaczego wrócił?

Aż podskakuję, kiedy budzi mnie donośne walenie do drzwi.

– Pobudeczka, Jaskiereczku – śpiewa Andrew zza zamkniętych drzwi.

Nawet nie pamiętam, kiedy zasnęłam po koszmarze. Promienie słońca przesączają się przez zasłony i gromadzą się na wykładzinie. Wstaję z łóżka, odgarniam włosy z twarzy i otwieram drzwi, zanim on obudzi cały motel.

Gapi się na mnie.

– Cholera, dziewczyno – mówi, nadal mi się przyglądając – co ty, do diabła, chcesz mi

zrobić?

Patrzę na siebie, wciąż próbując się obudzić, i nagle zdaję sobie sprawę, że mam na sobie cienkie białe bawełniane spodenki i koszulkę, a pod nią nie mam stanika. O mój Boże, sutki sterczą pod koszulką! Krzyżuję ręce na piersiach i staram się nie patrzeć mu w oczy, kiedy wchodzi do mojego pokoju.

– Chciałem ci powiedzieć, żebyś się ubrała – mówi dalej, niosąc torby i gitarę – ale naprawdę możesz jechać w takim stroju, jeśli tylko chcesz.

Kręcę głową, starając się zamaskować uśmiech zakradający się na usta.

Opada na krzesło przy oknie i rzuca rzeczy na podłogę. Ma na sobie brązowe szorty, które kończą się za kolanami, szary podkoszulek i parę czarnych sportowych butów, do których ma założone stópkę albo w ogóle nie ma skarpetek. Dostrzegam tatuaż na łydce, wygląda jak celtycka runa, umiejscowiona tuż nad prawą kostką. I zdecydowanie ma nogi biegacza, szorty ukazują umięśnione łydki.

– Poczekaj, a ja się zbiorę – mówię, podchodząc do plecaka leżącego na szafce, po drugiej stronie telewizora.

– Ile ci to zajmie?

Pamiętając, co mówił, kiedy jechaliśmy do domu jego ojca, myślę nad odpowiedzią i rozważam opcje: zwyczajowe pół godzinki, jakie najczęściej zajmuje mi przygotowanie się, czy zarzucenie na siebie czegokolwiek i wyjście.

Andrew pomaga mi z tym dylematem.

– Masz dwie minuty – rzuca.

– Dwie minuty? – drocę się.

Kiwa głową, uśmiechając się.

– Słyszałaś. Dwie minuty. – Podnosi w górę dwa palce. – Zgodziłaś się robić to, co ci powiem, pamiętasz?

– Ale myślałam, że to będą jakieś szalone rzeczy, jak na przykład wystawianie gołego tyłka z jadącego samochodu czy jedzenie robaków.

Unosi brew, po czym jego podbródek wystrzeliwuje w górę, kiedy uderza obiema dłońmi w kolana, jakby wpadł na jakiś pomysł.

– W dalszej części podróży będziemy wystawiać goły tyłek z pędzącego samochodu i jeść robaki. Spokojnie, dojdziemy do tego.

Co, do cholery, właśnie rozpoczęłam?

– Hm, nie ma mowy... – Zauważam, że jego uśmiech zmienił się na bardziej zawadiacki, patrzę w dół i dostrzegam, że moje ramiona nie zasłaniają już sutków dumnie prężących się pod cieniutkim materiałem koszulki. Prycham i usta same się otwierają. – Andrew!

Opuszcza głowę z udawanym wstydem, ale dzięki temu wydaje się, że patrzy na mnie w bardziej perfidny sposób, tym razem spode łba.

On jest takim cholernie gorącym ciachem!

– Hej, widzę, że wolisz narzekać na nasze zasady, niż zakrywać swoje dziewczęce walory. Powiniennem cię jednak ostrzec, że moje oczy mają własny rozum.

– Tak, mogę się również założyć, że oczy nie są jedyną częścią twojego ciała, która myśli na swój własny sposób – parskam, chwytam plecak i zabieram go do łazienki, gdzie wchodzę boso i zatraskuję za sobą drzwi.

Uśmiecham się jak ludzie na zdjęciach portretowych z lat osiemdziesiątych, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Dobra, dwie minuty. Nakładam stanik i jeansy rurki, skacząc, żeby upchnąć w nich tyłek. Zamek. Guzik. Myję zęby. Płuczę usta. Spluwam. Rozczesuję włosy i zwiążuję je w warkocz opadający na prawe ramię. Nakładam nieco podkładu i obsypuje policzki pudrem. Nakładam tusz na rzęsy, ponieważ mascara to fundament makijażu. Biorę błyszczyk...

Bam, bam, bam!

– Minęły dwie minuty!

Rozprowadzam błyszczyk i ściągam nadmiar papierem toaletowym. Mogę powiedzieć, że po drugiej stronie drzwi Andrew się uśmiecha i kiedy otwieram je dwie sekundy później, widzę, że miałam rację. Stoi w drzwiach z rękami uniesionymi nad głową i opartymi o futrynę. Sześciopak na brzuchu jest widoczny, ponieważ koszulka podjechała ku górze, gdy uniósł ręce. Ścieżka włosów zaczyna się nieco poniżej pępka i niknie pod paskiem spodni.

– Widzisz? Spójrz na siebie. – Gwiżdże i blokuje drzwi, ale z pewnością to nie na siebie ja patrzę. – Prostota jest seksowna.

Przepycham się obok niego, znajdując przy tym doskonałą okazję do położenia mu dłoni na piersi, żeby go troszkę przesunąć.

– Nie wiedziałeś, że staram się być seksowna dla ciebie? – mówię, odwracając się do niego plecami, by zapakować do plecaka rzeczy, w których spałam.

– Wow, spójrzcie na to – mówi i podchodzi do mnie. – Prosta, seksowna i zdezorganizowana... Jestem z ciebie dumny!

Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wrzuciłam swoje rzeczy do plecaka, nawet nie myśląc o tym, żeby je schludnie poskładać. Nie mam nerwicy natręctw, jestem tylko jednym z tych ludzi, którzy uważają, że mają kilka nawyków. Mimo to składanie ubrań i bycie schludnym to coś, co zawsze robię mniej więcej od jedenastego roku życia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ANDREW

Wczesnoporanna frustracja seksualna daje o sobie znać. Dobra, muszę to zdusić, albo pomyśli, że na nią lecę. Gdyby na jej miejscu była jakakolwiek inna dziewczyna, wstawałbym teraz z jej łóżka i spuszczał gumkę w toalecie, ale z Camryn jest inaczej. Jest sztywno (skojarzenie zamierzone), ale nie mam zamiaru próbować flirtu. Dla nas obojga ta podróż jest ważna. Mam tylko jedną szansę, żeby zrobić to dobrze, i niech mnie cholera, jeśli to spieprzę.

– Jaki jest następny przystanek na trasie naszej spontanicznej wycieczki? – pyta.

– Najpierw śniadanie – odpowiadam, łapiąc leżące na podłodze tobołki. – I myślę, że nie byłoby spontanicznie, gdybym planował przystanki.

Camryn chwytając telefon leżący na stoliku obok łóżka, sprawdza wiadomości i nieodebrane połączenia, po czym wrzuca go do torebki.

Wychodzimy.

W samochodzie uparta Camryn zaczyna marudzić.

– Proszę, Andrew, nie mogę jadać w takich miejscach – mówi z miejsca pasażera. To małe miasto i większość lokali z jedzeniem to fast foody, a porządne restauracje są o tej porze zamknięte. – Mówię poważnie – prychnę ze słodkim wyrazem oburzenia na twarzy, którą chciałbym objąć dłońmi i lizać, aż krzyczałyby, że to najohydniejsza rzecz na świecie. – Chyba że chcesz mieć wkurzającą towarzyszkę podróży, która będzie trzymała się za brzuch z powodu mdłości i przez następną godzinę marudziła, że kazałeś jej jeść wstrętne rzeczy o tak wczesnej porze.

Przechylam głowę i zaciskam usta, patrząc na nią.

– No daj spokój, myślę, że przesadzasz. – Ale zaczynam myśleć, że wcale tak nie jest.

Kręci głowę, opiera rękę na podłokietniku i zaczyna obgryzać paznokiec kciuka.

– Nie, mówię poważnie. Za każdym razem, kiedy jem fast food, mam potem mdłości. Nie staram się być upierdliwa, uwierz mi, to zawsze był problem, nawet kiedy jechałam z mamą albo Natalie. Musiały się dostosowywać do mnie, żeby mogła zjeść coś, po czym bym nie chorowała.

Dobra, więc mów prawdę.

– W porządku, zasadniczo nie chcę, żebyś się pochorowała. – Śmieję się lekko. – W takim razie pojedziemy trochę dalej i znajdziemy po drodze coś innego. Za parę godzin będzie

otwartych więcej lokali.

– Dziękuję. – Uśmiecha się słodko.

Ależ bardzo proszę...

Dwie i pół godziny później jesteśmy w Owasso w Oklahomie.

Camryn patrzy na duże żółto-czarne logo i myślę, że zastanawia się, czy tam jeść, czy jednak nie.

– Jeśli chodzi o śniadanie, to jest tylko jedno miejsce – mówię, wjeżdżając na parking – szczególnie na południu. Tu Waffle House jest na każdym rogu, podobnie jak Starbucks.

Kiwa głową.

– Myślę, że sobie poradzę. Mają sałatki?

– Słuchaj, zgodziłem się, byś nie musiała jeść śmieciowego żarcia – przechyliam głowę w bok i odwracam się do niej – ale sałatki to już przesada.

Przygryza wargę, kiwa głową i mówi:

– Dobra, nie będę jeść sałatek, nawet jeśli można do niej dodać kurczaka i wiele innych fajnych rzeczy, o których ktoś taki jak ty prawdopodobnie nigdy nie słyszał.

– Nie słyszał, więc możesz odpuścić – mówię stanowczo i gestem wskazuję restaurację. – Chodź, czekałem tak długo, by móc zjeść. Umieram z głodu. A kiedy jestem głodny, to jestem zły.

– Cały czas jesteś zły – mruczy pod nosem.

Łapię ją za rękę i pociągam za sobą. Próbuje ukryć rumieniec.

Uwielbiam zapach Waffle House, pachnie wolnością i długą drogą, wiedzą, że dziewięćdziesiąt procent ludzi wokół ciebie też podróżuje. Tirowcy, turyści, autostopowicze, ci, którzy nie żyją monotonnym życiem niewolniczego społeczeństwa.

Restauracja jest prawie pełna. Camryn i ja siadamy blisko grilla, daleko od wysokich okien. Szafa grająca – symbol Waffle House – stoi obok jednej z wielkich szyb.

Wita nas uśmiechnięta kelnerka z notesem w jednej ręce i gotowym do użycia długopisem w drugiej.

– Mogę zaproponować wam kawę?

Patrzę na Camryn, która już przegląda menu leżące przed nią.

– Poproszę szklanę mrożonej herbaty – mówi.

Kelnerka zapisuje i patrzy na mnie.

– Dla mnie kawa.

Kiwa głową i idzie po nasze napoje.

– Niektóre z tych rzeczy wyglądają naprawdę dobrze – mówi Camryn z policzkiem opartym na dłoni. Palec drugiej ręki ślizga się po zalaminowanym menu i zatrzymuje w sekcji z sałatkami. – Widzisz? – Patrzy na mnie. – Mają sałatkę z grillowanego kurczaka i sałatkę z kurczakiem, jabłkami i orzechami pekan.

Nie mogę się oprzeć ufnemu spojrzeniu jej niebieskich oczu.

Tonę. Całkowicie, kurwa, tonę.

– Zamawiaj, co chcesz – mówię. – Naprawdę, nie będę cię powstrzymywał.

Mruga dwa razy lekko oszołomiona, że poddałem się tak łatwo, a potem wydaje się, że jej oczy uśmiechają się do mnie. Zamyka menu i odkłada na stojaczek, kiedy kelnerka wraca z napojami.

– Gotowi, by zamawiać? – pyta kelnerka, ustawiając napoje na stole.

Końcówka długopisu już czeka, gotowa do użycia, jakby nigdy nie opuszczała swojego miejsca.

– Poproszę omlet „Fiesta” – mówi Camryn i dostrzegam uśmieszek na jej twarzy, gdy nasze spojrzenia się krzyżują.

– Z tostami czy bułeczką?

– Z bułeczką.

– Z kaszą kukurydzianą, podsmażonymi ziemniakami czy z pomidorami?

– Z ziemniakami.

Kelnerka zapisuje szczegóły zamówienia Camryn i odwraca się do mnie. Chwilę milczę, po czym mówię:

– Poproszę sałatkę z kurczakiem, jabłkami i orzechami pekan.

Uśmiech natychmiast spłża z twarzy Camryn. Mrużę oczy i odkładam menu na stojaczek.

– Żyjesz na krawędzi, co? – pyta kelnerka. Odrywa kartkę z notesu z naszymi zamówieniami.

– Dzisiaj tak – odpowiadam, a ona kręci głową i odchodzi.

– Co, do diabła? – pyta Camryn, unosząc ręce. Nie może zdecydować, czy się uśmiechnąć, czy skrzywić, kończy po trosze z jednym i drugim.

– Wymyśliłem, że jeśli ty możesz zjeść coś z mojego menu, ja mogę zjeść coś z twojego.

– Ach tak, tylko nie sądzę, żeby ta sałatka ci się przysłużyła.

– Pewnie masz rację – odpowiadam. – Ale tak jest sprawiedliwie.

Prycha delikatnie i opiera się o krzesło.

– Kiedy wrócimy na drogę, nie będzie fair, jeśli będę musiała słuchać marudzenia, że jesteś głodny. Sam mówiłeś, że jesteś zły, gdy jesteś głodny.

Tak naprawdę przy niej nie mógłbym być zły, ale ma rację: sałatka na długo nie wystarczy. I zielenina powoduje u mnie gazy, ona z pewnością nie będzie chciała ze mną jechać, jeśli będę jadł ten syf. Ale dam radę. Mam tylko nadzieję, że uda mi się zjeść całą porcję bez narzekania, które już mi się ciśnie na usta.

Powinno być interesująco.

Kilka minut później kelnerka przynosi nasze zamówienia, przed Camryn kładzie posiłek, a przede mną talerz zielonego paskudztwa. Dolewa nam napojów, pyta, czy może podać coś jeszcze, po czym idzie obsługiwać innych klientów.

Camryn już mnie analizuje.

Patrzy na swój talerz, odkłada bułeczkę po drugiej stronie ziemniaków, a potem przekręca talerz, by mieć dostęp do omlotu. Biorę widelec i dźgam sałatkę kilka razy, udając, że tak jak Camryn przygotowuję się do jedzenia.

Patrzymy na siebie i czekamy, aż to drugie się odezwie. Camryn zaciska usta. Ja robię to samo.

– Chcesz się zamienić? – pyta.

– Tak – mówię bez wahania, zabierając jej talerz i podsuwając swój.

Ulga pojawia się na naszych twarzach.

To nie jest coś, co sam bym zamówił, ale bije sałatę na głowę.

W połowie posiłku – no cóż, w połowie jej posiłku, bo już swój skończyłem – zamawiam kawałek tarty czekoladowej i proszę o dolewkę kawy. I kontynuujemy temat jej eksprzyjaciółki Natalie, rozmawiamy o tym, że Natalie jest biseksualna i ma wielkie cycki. A przynajmniej tyle zapamiętałem z opisu Camryn.

– I co się stało po toaletowym incydencie? – pytam, jedząc ciasto.

– Nigdy już nie poszłam z nią do publicznej toalety – odpowiada. – Ta dziewczyna nie ma wstydu.

– Odnoszę wrażenie, że była zabawna – mówię.

Camryn się zamyśla.

– Była zabawna.

Przyglądam się jej w milczeniu. Pogrzyżyła się we wspomnieniach, dźgając widelcem ostatnie kawałki sałatki. Mój widelec dźwięczy na talerzu, gdy go odkładam. Wycieram twarz serwetką i wysuwam się z boku.

– Gdzie idziesz? – Patrzy na mnie.

Uśmiecham się i idę w kierunku szafy grającej stojącej przy oknie. Wrzucam drobne i przeszukuję tytuły, w końcu wybieram piosenkę i nadszlam przycisk. „Raisins In My Toast” zaczyna grać, kiedy jestem w drodze powrotnej do stolika.

Wszystkie trzy kelnerki i kucharz patrzą na mnie niezbyt przychylnie. Tylko się uśmiecham.

Camryn sztywnieje. Jej plecy są proste, oczy szeroko otwarte, a kiedy bezgłośnie, samymi ustami zaczynam nucić piosenkę z lat pięćdziesiątych, ześlizguje się w dół siedzenia, jej twarz nigdy nie była taka czerwona.

Z powrotem siadam obok niej, kręcąc przy tym biodrami.

– O Boże, Andrew, przestań to śpiewać!

Próbuję się nie śmiać, ale gdy mamrocę słowa, ogromny uśmiech nie chce spełznąć mi z twarzy. Camryn ukrywa usta w dłoniach, a małe ramiona okryte cienką, białą koszulką, trzęsą się ze śmiechu. Pstrykam palcami do rytmu, a gdy wokalista zaczyna śpiewać, naśladuję go, marszcząc twarz z powodu przesadnie udawanych emocji. Nie przestaję pstrykać palcami. Im dalej brnę w tę piosenkę, tym więcej emocji pokazuję. W połowie Camryn już nie umie nad sobą zapanować. Śmieje się tak bardzo, że ma w oczach łzy.

Osunęła się tak nisko na siedzeniu, że prawie dotyka podbródkiem stolika.

Kiedy piosenka się kończy – ku uldze pracowników restauracji – dostają oklaski od starszej pani, siedzącej za Camryn. Nikogo innego to nie obeszło, ale wnioskując po minie, Camryn uważa, że wszyscy się na nas gapili. Zabawne. I jest taka słodka, kiedy jest zakłopotana.

Opieram łokcie na stoliku i krzyżuję palce, składając razem dłonie.

– Ach, nie było tak źle, prawda? – szydę.

Przesuwa palcem pod oczami, aby zetrzeć czarne smugi, o których istnieniu wie instynktownie. Nadal trzęsą się jej ze śmiechu ramiona.

– Ty też nie masz wstydu – mówi i dalej się śmieje.

– To było żenujące, ale myślę, że tego potrzebowałam.

Camryn skopuje buty i opiera gołe stopy na siedzeniu pasażera w samochodzie.

Wracamy na drogę i jedziemy w kierunku, który wskazuje palcem Camryn. Podążamy na wschód drogą numer czterdzieści cztery, wygląda na to, że przejedziemy przez dolną część Missouri.

– Cieszę się, że mogłem służyć. – Włączam radio.

– Och, nie – dokuczają mi. – Zastanawiam się, jak daleko w lata siedemdziesiąte posuniemy się tym razem.

Pochylam głowę i uśmiecham się do niej.

– To dobra piosenka – mówię, sięgając do radia i dając trochę głośniejsze, po czym do rytmu uderzam kciukami o kierownicę.

– Tak, słyszałam już ją kiedyś. – Opiera głowę o siedzenie. – „Wayward Son”.

– Blisko. „Carry On Wayward Son”.

– Tak, na tyle blisko, że nie musiałeś mnie poprawiać. – Udaje obrażoną, ale nie wychodzi jej to za dobrze.

– A nazwa zespołu to...? – Sprawdzam ją.

Krzywi się.

– Nie wiem!

– Kansas – odpowiadam z wyższością. – Jeden z moich ulubionych.

– Mówisz tak o wszystkich. – Nadyma usta i mruży oczy.

– Być może – ustępuję – ale naprawdę w piosenkach Kansas jest wiele emocji. Na przykład „Dust in the Wind” – nie ma chyba lepszego kawałka opisującego śmierć niż ten. W jakiś sposób odpędza strach przed nią, wiesz?

– Odpędza twój strach przed śmiercią? – nie dowierza.

– Cóż, chyba tak. To jakby Steve Walsh był kostuchą i mówił ci, że nie ma się czego bać. Cholera, gdybym mógł wybrać piosenkę, przy której będę umierał, ta właśnie byłaby u samej góry mojej listy.

Patrzy na mnie niechętnie.

– To zbyt ponure jak dla mnie.

– Jeśli tak na to patrzysz, może i tak.

Camryn układa się na siedzeniu, nogi ma podwinięte, kolana złączone, głowę i ramiona na oparciu. Złoty warkocz na jej ramieniu sprawia, że wygląda o wiele bardziej łagodnie.

– „Hotel California” – mówi. – The Eagles.

Patrzę na nią. Jestem pod wrażeniem.

– To jedyna piosenka klasycznego rocka, która mi się podoba.

Uśmiecham się.

– Naprawdę? To świetna piosenka, taka klimatyczna, jakbym oglądał czarno-biały horror. Dobry wybór.

Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Nadal wystukuję rytm do „Carry On Wayward Son”, a wtedy słyszę głośny stuk! A potem klap, klap, klap, aż zwalniam i zjeżdżam na pobocze.

Camryn już zdążyła spuścić bose stopy i wyrzucić przez okno w poszukiwaniu źródła hałasu.

– Złapaliśmy gumę? – pyta, chociaż brzmi to bardziej jak stwierdzenie „zajebicie, złapaliśmy gumę!”.

– Tak. – Gaszę silnik. – Dobrze, że mam zapasową oponę w bagażniku.

– A to jest jedna z tych brzydkich miniopon?

Śmieję się.

– Nie, to nie dojazdówka, tylko pełnowymiarowe koło i obiecuję, że będzie pasowało do pozostałych.

Wygląda, jakby jej trochę ulżyło, i wtedy dostrzega, że się z niej podśmiewam, więc pokazuje mi język. Nie wiem, dlaczego w tej chwili mam ochotę zaciągnąć ją na tylne siedzenie, ale tak właśnie jest.

Kładę dłoń na klamce, a ona z powrotem kładzie stopy na siedzeniu.

– Dlaczego się tak rozsiadasz?

Mruga.

– Co masz na myśli?

– Zakładaj buty – mówię i wskazuję na nie palcem – i wypakowuj tyłek, by mi pomóc.

Wytrzeszcza oczy, siedzi i czeka, najwyraźniej na to, żebym zaczął się śmiać i powiedział, że żartuję.

– Ja... nie wiem, jak się zmienia koło – mówi, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie żartuję.

– Wiesz, jak się zmienia koło – poprawiam ją i to wręcz ją ogłusza. – Zapewne setki razy widziałas, jak ktoś to robi w filmach i w prawdziwym życiu. Zaufaj mi, że wiesz, wszyscy wiedzą.

– Nigdy w życiu nie zmieniałam koła. – Przygryza dolną wargę.

– Cóż, więc zrobisz to dzisiaj – mówię, śmieję się i tylko troszkę otwieram drzwi, by nie uderzyły w nie przejeżdżające samochody.

Jeszcze kilka chwil wahania i Camryn opuszcza nogi, zaczyna wkładać buty i zamyka za sobą drzwiczki.

– Podejź tu. – Kiwam na nią i idzie za mną do tyłu samochodu. Wskazuję flak po stronie pasażera. – Gdyby to była jedna z tych od strony drogi, mogłabyś sobie nie poradzić.

– Poważnie każesz mi zmieniać koło?

Myślałem, że to już ustaliliśmy.

– Tak, maleńka, poważnie każę ci zmieniać koło.

– Ale w samochodzie mówiłeś, że mam ci pomóc, a nie odwalić za ciebie całą robotę.

Przytakuję.

– Technicznie rzecz biorąc, pomożesz, a teraz chodź tu. – Podchodzi do bagażnika, kiedy wyciągam stamtąd koło i kładę na ziemi. – A teraz weź podnośnik i klucz do kół i przynieś mi.

Robi, co mówię, mruczając coś pod nosem o upapranych smarem rękach. Bardzo staram się powstrzymać od śmiechu, kiedy toczę dobrą oponę do uszkodzonej i odkładam na pobocze. Przejżdża kolejny samochód, podmuch wiatru kołysze naszym.

– To niebezpieczne – mówi, upuszczając mi tuż pod nogi podnośnik. – A co, jeśli auto jadące drogą skręci i uderzy w nas? Nigdy nie oglądałeś „Najgłupszych wypadków na świecie”?

Jasna cholera! Ona też to ogląda?

– W gruncie rzeczy to tak – odpowiadam. – A teraz chodź tutaj i zrobmy to w końcu. Z tej strony samochodu jest mało prawdopodobne, że ktoś cię rozjedzie.

– Co to znaczy „mało prawdopodobne”? – Jej brwi są na środku czoła.

– Cóż, jeśli dalej będziesz stała tam, gdzie stoisz, i wyglądała tak diabelnie seksownie, bardziej prawdopodobne jest, że kierowca zagapi się na ciebie i wpakuje mi się w samochód.

Przewraca oczami i schyla się po klucz do kół.

– Ugh – warczy, próbując odkręcić śruby. – Są cholernie mocno przykręcone!

Poluzowuję je, ale czekam, aż je samodzielnie odkręci i cały czas patrzę na ruch uliczny, ale nie pozwalam, by zauważyła, że to mnie denerwuje. Dzięki temu będę miał szansę złapać ją i odsunąć z drogi, jeśli jakiś samochód rzeczywiście próbowałby w nas uderzyć.

Następny jest podnośnik, pomagam jej z tym, jak go używać i gdzie go najlepiej umieścić, choć zdaje się, że to akurat wie bez mojej pomocy. Przez chwilę mocije się z rączką, ale w końcu wymyśla, jak to działa, i udaje się jej podnieść nieco samochód. Patrzę na jej tyłek, byłbym gejem albo idiotą, gdybym tego nie robił.

I wtedy ni stąd, ni zowąd, bez żadnych wcześniejszych błyskawic czy grzmotów zaczyna lać deszcz.

Camryn zaczyna wrzeszczeć, że przemoknie, i to odwraca jej uwagę od koła. Podnosi się i zaczyna biec do samochodu, ale zatrzymuje się, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że nie powinna wskakiwać do auta, które jest na podnośniku.

– Andrew! – Jest przemoczona, ale trzyma ręce nad głową, jakby to miało ochronić ją przed deszczem.

Śmieję się do rozpuku.

– ANDREW!

Jest tak śmiesznie wściekła.

Chwytam ją za ramiona i pozwalam, by deszcz padał mi na twarz, po czym mówię:

– Dokończę zmianę koła. – Tak trudno się nie śmiać. Nie przestaję zatem.

Kilka minut i nowe koło jest przykręcone, a przebite łąduje w bagażniku razem z podnośnikiem i kluczem.

– Czekaj! – mówię, kiedy Camryn pakuje się do samochodu.

Zatrzymuje się. Drży z zimna, ponieważ cała jest przemoczona. Zamykam bagażnik, podchodzę do niej, czując, jak woda chlupie mi w butach, bo nie mam skarpetek, i uśmiecham się, mając nadzieję, że to poprawi jej humor.

– To tylko deszcz.

Nieco łagodnieje, bez wątpienia dlatego, że widzi mój pogodny nastrój.

– Chodź tutaj. – Podaję jej rękę, a ona ją chwyta.

– Dlaczego? – pyta nieśmiało.

Jej warkocz jest ciężki od wody, luźne kosmyki do tej pory zwisające przy twarzy przyklejają się jej do szyi i do czoła. Prowadzę ją do bagażnika i po prostu tam wskakuję. Ona nadal stoi, a deszcz moczy ją od stóp do głów. Ponownie wyciągam do niej rękę, a ona się waha, ale w końcu podaje mi swoją, więc przyciągam ją do siebie. Siada obok mnie pod klapą bagażnika, ale patrzy na mnie, jakbym był wariatem, któremu nie może się oprzeć.

– Połóż się – mówię głośno, ponieważ deszcz wali w klapę, układam się na plecach i wkładam nogi do auta. Bez dalszych pytań czy zarzutów kładzie się obok mnie.

– To wariactwo – krzyczy. – Jesteś wariatem.

Musi lubić wariactwo, ponieważ mam wrażenie, że chce tutaj ze mną być.

Porzucając wcześniejszy plan, ten, w którym musiałem się przy niej kontrolować, przechylam się na bok i odsuwam lewą rękę, a ona instynktownie kładzie się w zagięciu mojego ramienia.

Przełykam ślinę. Nie spodziewałem się tego. Ale cieszę się, że to zrobiła.

– A teraz otwórz oczy i spójrz w górę – mówię, już patrząc w niebo.

Obok nas przejeżdża mała ciężarówka, potem kilka samochodów, ale nie zwracamy na nie uwagi. Podmuch powietrza buja nieco naszym autem, ale tym też się nie przejmujemy.

Camryn krzywi się na początku, bo troszkę deszczu dostaje się jej do oczu, więc mruży je i przyciska twarz do mnie, starając się ją chronić przed wodą i cały czas delikatnie chichocze. Stara się zmusić, by spojrzeć w górę, ale i tak zamyka oczy i lekko uchyla usta. Parzę na jej wargi, na płynące po nich krople, kiedy uśmiecha się, a potem wzdryga, gdy duża porcja wody wpada wprost do jej gardła. Jej ramiona unoszą się, kiedy próbuje schować twarz, jest cała mokra, ale wesoła.

Tak mocno skupiam się na patrzeniu na nią, że zapominam o deszczu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

CAMRYN

Kiedy udaje mi się otworzyć oczy na wystarczająco długo, patrzę w górę, jak krople deszczu mkną ku mnie. Nigdy nie patrzyłam na deszcz w taki sposób, prosto w górę, a kiedy przestaje przeszkadzać mi woda na twarzy, mogę poczuć, że to naprawdę piękne. Jakby każda kropla pędząca ku mnie oddzielała się od masy tysięcy innych i zawieszała się w czasie, w którym mogę przyjrzeć się dokładnie jej budowie. Widzę też szare chmury przesuwające się po niebie i czuję, jak buja samochodem, kiedy przejeżdża obok nas inne auto. Drzę, mimo iż deszcz jest ciepły niczym woda w basenie. Ale nic, co widzę, słyszę czy czuję, nie jest tak ciepłe i kojące jak bliskość Andrew.

Kilka minut później, kiedy biegniemy, by wsiąść do samochodu, śmieję się i piszczę.

Trzaskam drzwiami sekundę wcześniej niż on.

– Zamarzam! – krzyczę, dociskając brodę do klatki piersiowej, jakbym chciała ukryć głowę między piersiami, i rozcieram ramiona, obejmując się nimi.

Andrew śmieje się tak bardzo, że rozciąga mu się twarz, drży i podkręca ogrzewanie.

Staram się zapomnieć, że leżałam na jego ramieniu, i o tym, że wyciągnął rękę specjalnie, żebym się tam położyła. Myślę, że on też stara się o tym zapomnieć albo przynajmniej nie chce przywiązywać do tego wagi.

Rozciera dłonie, próbując się rozgrzać, i czeka, aż z wywietrzników polecą ciepłe powietrze. Ja w tym czasie szczękam zębami.

– Noszenie mokrych ubrań jest do bani – mówię między dreszczami.

– Zgadzasz się z tobą – rzuca, zapinając pas.

Jak zawsze robię to samo i moszczę się na siedzeniu w poszukiwaniu wygodnej pozycji.

– Czuję, że nogi pływają mi w butach – mówi, patrząc w dół.

Marszczę twarz. Andrew śmieje się i ściąga buty, po czym rzuca je na podłogę pod tylne siedzenie.

Robię to samo, bo choć o tym nie mówiłam, też mam mokro w butach.

– Musimy znaleźć miejsce, żeby się przebrać – mówię.

Odpala samochód i patrzy na mnie.

– Możesz to zrobić na tylnym siedzeniu – mówi z uśmiechem. – Nie będę podglądał, przysięgam.

Podnosi ręce, a potem znów chwyta kierownicę i wyjeżdża na drogę, kiedy znajduje lukę w sznurze samochodów.

Parskam.

– Nie, poczekam, aż znajdziemy miejsce.

– Jak tam sobie chcesz.

Wiem, że i tak by patrzył. I cóż, to nie przeszkadzałoby mi tak bardzo...

Wycieraczki na przedniej szybie pracują pełną parą. Pada tak mocno, że ledwie widać drogę przed nami. Andrew podkręcił temperaturę na maksimum, więc po chwili czuję się jak w saunie. Zmniejsza nieco ogrzewanie, najpierw upewniając się, że nie będzie mi to przeszkadzać.

– Zatem „Hotel California”, co? – Uśmiecha się, a na policzkach pojawiają się dołeczki. Sięga do odtwarzacza, nadusza przycisk i zmienia płytę, a następnie wciska, aż znajduje odpowiedni utwór. – Zobaczymy, jak dużo znasz.

Jego dłoń wraca na kierownicę.

Piosenka zaczyna się niesamowitym brzmieniem gitary, melodia jest dość powolna. Patrzymy na siebie, pozwalając muzyce płynąć między nami, czekając, aż zaczną się słowa. W tym samym momencie podnosimy ręce, wybijając rytm w powietrzu, odliczając raz, dwa, trzy, po czym zaczynamy śpiewać z Donem Henleyem.

Wczuwamy się, śpiewamy linijka po linijce razem, a czasami na zmianę, Andrew jeden wers, a ja drugi. A kiedy następuje pierwszy refren, śpiewamy cienkimi głosikami, praktycznie krzycząc. Mrużymy oczy i kiwamy głowami, a ja udaję, że nie jestem zażenowana swoim śpiewaniem. Potem przychodzi druga zwrotka i mylimy się kilka razy, ale jesteśmy totalnie wyluzowani i mamy świetną zabawę, kilka razy nawet udaje nam się trafić. A potem śpiewamy jeszcze głośniej! Następnie tracimy nieco werwy i pozwalamy piosence brzmieć wokół nas. Kiedy zaczyna się następny refren i melodia zwalnia, znów śpiewamy razem każde słowo, patrząc na siebie. Andrew śpiewa tak ładnie, że mam ciarki, a potem razem krzyczymy, machając rękami.

I w ten sposób upływa nam następne kilka godzin.

Śpiewam z nim tak głośno, że wkrótce boli mnie gardło.

Oczywiście cały klasyczny rock pochodził z początku lat dziewięćdziesiątych, w większości byli to Alice in Chains i Aerosmith, i nic mnie nie drażniło. Tak naprawdę to

spodobała mi się i muzyka, i wspomnienia, jakie zapisywała w moim umyśle. Teraz będę miała wspomnienie z Andrew.

W końcu znajdujemy parking przy autostradzie, gdzieś w okolicy Jackson, w Tennessee. Wchodzimy do łazienek, żeby ściągnąć przemoczone ciuchy, w których byliśmy dłużej, niż mogłoby się wydawać. Chyba tak zajęła nas ta zabawa w śpiewanie, choć wykazałam się marnym talentem, a on udawał, że mu się podobało.

Andrew przebrał się szybciej. Czeka na mnie w samochodzie, kiedy wychodzę z łazienki, mając na sobie jedyne rzeczy, które miałam w plecaku jeszcze czyste: białe bawełniane spodni i koszulkę, w której ostatnio spałam. Mam z sobą tylko jeden biustonosz i przytrafiło się, że miałam go na sobie, kiedy padało, więc nadal jest mokry. Ale i tak mam go na sobie, ponieważ nie ma mowy, bym jechała bez stanika.

– Nie ubrałam tych spodenek ku twojej uciezce – mówię, surowo grożąc mu palcem, kiedy wsiadam do samochodu. – Żeby było jasne.

Unosi kącik ust.

– Zanotowano – odpowiada i udaje, że zapisuje.

Podnoszę tyłek z siedzenia i naciągam spodni, żeby zakrywały chociaż krocze i centymetr więcej moich ud. Zaczynam skopywać klapki i dostrzegam, że na podłodze jest mnóstwo wody, więc decyduję w nich pozostać. Dobrze, że siedzenia są skórzane.

– Będę musiała wykombinować trochę ubrań – mówię.

Andrew ma znów na sobie jeansy i czarne martensy oraz szary podkoszulek, trochę jaśniejszy niż ostatnio. Wygląda dobrze, ale nieco brakuje mi opalonych, umięśnionych łydek i celtyckiego tatuażu na kostce.

– Czy to znaczy, że to wszystko, co masz? – pyta, patrząc na drogę. – Nie to, żebym narzekał, czy coś.

Uśmiecham się do niego.

– Skoro nie wiedziałam, gdzie jadę, nie chciałam wozić z sobą całego dobytku.

– To ma sens.

W Tennessee świeci słońce, a my kierujemy się na południe. Po drugiej stronie autostrady jest remont i samochody stoją w korku, dlatego cieszy nas, że jesteśmy po „tej” stronie drogi. W końcu słońce znika za horyzontem i mrok spowija pola ryżu i bawełny, fiolety i róże snują się na niebie daleko przed nami po obu stronach autostrady.

Do Birmingham w Alabamie docieramy około dziewiętnastej.

– Gdzie chcesz się zatrzymać po ciuchy? – pyta, jadąc powoli ulicami miasta. Pełno tu świateł na skrzyżowaniach i stacji benzynowych.

Podnoszę się na siedzeniu i rozglądam w poszukiwaniu galerii handlowej.

Andrew wskazuje drogę przed nami.

– Tam jest Walmart.

– Myślę, że będzie dobry – mówię, a on skręca na następnych światłach w lewo i stajemy na parkingu pod sklepem.

Wysiadamy i przede wszystkim poprawiam spodenki, wyciągając je spod między pośladków.

– Pomóc ci?

– Nie! – Śmieję się.

Idziemy obok siebie wzdłuż parkingu, mijając morze samochodów, japonki klapią na betonie. Natychmiast zdaję sobie sprawę, jak wyglądam – z brudnym warkoczem na ramieniu i ubrana w skąpe szorty opinające tyłek. Nie mam makijażu, ponieważ spłynął z deszczem. Kiedy wchodzimy do sklepu, wlepiam spojrzenie w białą podłogę, żeby z nikim nie utrzymywać kontaktu wzrokowego.

Najpierw idziemy do działu kobiecego, tam łapię kilka rzeczy: dwie pary szortów, które mimo iż są krótkie, to nie są tak ciasne jak te, które mam na sobie, i kilka koszulek z trójkątnym dekoltem z losowym wzorem na piersi. Opieram się pokusie, by odwiedzić dział z bielizną. Na razie będę musiała dać sobie radę z tym, co mam.

Potem idę za Andrew do działu z lekami, gdzie są witaminy, pastylki na przeziębienie i pasty do zębów. Idziemy prosto do pianek do golenia i maszynek.

– Od tygodnia się nie goliłem – mówi, pocierając zarost, który wyhodował przez te kilka dni.

Uważam ten zarost za seksowny, ale bez niego też jest przystojny, więc nie narzekam.

W ogóle mogłabym?

Ja też łapię paczkę maszynek i piankę w małym złotym opakowaniu. W następnej alejce biorę buteleczkę płynu do płukania ust, ponieważ tego nigdy dosyć. Muszę przełożyć torebkę na drugie ramię, bo mam w rękach coraz więcej rzeczy. Idziemy do następnego działu i zabieram z półki szampon i odżywkę, starając się je pomieścić w dłoniach, ale Andrew, widząc, że mi ciężko, odbiera mi kosmetyki. Bierze też płyn do ust.

Znów przechodzimy przez dział z medykamentami i mijamy parę w średnim wieku

czytającą skład syropów na kaszel.

Andrew mówi niedbale, przyciszając głos:

– Kochanie, widzisz gdzieś środki na kandydozę pochwy?

Wytrzeszczam oczy i zamieram tuż przed tylenolem.

Zabiera z półki pudełeczko advilu.

Para obok nas udaje, że nie słyszała, co Andrew powiedział, ale wiem, że musieli go słyszeć.

– Ponieważ miałem na myśli to, że nawet nie wiesz, co jest przyczyną swędzenia – kontynuuje, a moja twarz płonie.

Para od czasu do czasu rzuca na nas okiem.

Andrew szczerzy się z boku, udając, że czyta ulotki.

Mam ochotę go walnąć, ale zamiast tego zaczynam własną grę.

– Tak kochanie, znalazłam – mówię tak samo od niechcienia jak on. – A co z tobą? Znalazłeś te ekstra małe prezerwatywy?

Kobieta odwraca się, patrzy prosto na niego, mierzy go od stóp do głów, po czym spogląda na mnie i wraca do czytania etykietek.

Andrew nawet się nie wzdryga, wiedziałam, że go to nie ruszy. Po prostu śmieje się ze mnie, bawiąc każdą sekundą tego przedstawienia.

– Uniwersalne pasują idealnie, kochanie – odpowiada. – Mówiłem ci, że będą lepiej przylegać, jeśli się postarasz, żeby był twardy.

Parskam głośnym śmiechem.

Para odchodzi.

– Jesteś okropny! – syczę na niego, nadal się śmiejąc. Puszka z pianką do golenia wypada mi z ręki i toczy się po podłodze, więc schyliłam się po nią.

– Sama też nie jesteś bez winy.

Andrew bierze jeszcze tubkę maści z antybiotykiem i idziemy do kasy. Na taśmę rzuca dwa pudełka suszonej wołowiny i opakowanie tic tacków. Dokładam jeszcze tubkę płynu do dezynfekcji rąk, pomadkę do ust i paczkę suszonej wołowiny.

– Coraz odważniejsza, co? – mówi, kiwając głową w stronę wołowiny.

Uśmiecham się i biorę plastikową przegródkę, by oddzielić jego rzeczy od moich.

– Nie – odpowiadam. – Uwielbiam suszoną wołowinę. Zjadłabym ją nawet, gdyby była radioaktywna.

Uśmiecha się tylko, a potem wmawia kasjerce, że moje i jego rzeczy są „razem” i wyciąga kartę kredytową z portfela.

– Nie tym razem – klóczę się, kładąc rękę na taśmie, żeby oddzielić towary. Patrzę na kasjerkę i kręcę głową, wskazując, by nie kasowała moich rzeczy. – Sama zapłacę. – Kasjerka patrzy to na mnie, to na Andrew, czekając, aż się zdecydujemy.

Kiedy znów zaczyna się klócić, unoszę podbródek i mówię:

– Płacę za siebie i już. Pogódź się z tym.

Przewraca oczami, poddaje się i wsuwa kartę do terminala.

Kiedy wracamy do auta, Andrew otwiera opakowanie wołowiny, odrywa kawałek i wkłada do ust.

– Na pewno nie chcesz, żebym trochę poprowadziła? – pytam.

Kręci głową, podczas gdy jego szczęki intensywnie pracują.

– Znajdziemy kolejny motel i odpoczniemy.

Przełyka i pakuje kolejny pasek do ust, po czym wsiadamy do auta i odjeżdżamy.

Kilka mil dalej trafiamy na motel, zabieramy rzeczy i meldujemy się w pokojach obok siebie. W moim jest ciemnozielony dywan w jeszcze ciemniejszą zieloną kratę, ciężkie zasłony i narzuta na łóżko w zielone kwiaty. Natychmiast włączam telewizor, nadając temu ponuremu pokojowi nieco atmosfery i światła.

Andrew zapłacił za nasze pokoje, używając mojego „płacę i już” argumentu z Walmartu, kiedy próbowałam się z nim klócić.

Sprawdził pokój jak poprzednio, po czym opadł na fotel przy oknie. Zostawiłam bagaże na podłodze, odsunęłam narzutę z łóżka i odrzuciłam pod ścianę.

– Jest coś na niej? – pyta, opierając się wygodnie i wyciągając nogi.

Wygląda na wyczerpanego.

– Nie, po prostu narzuty mnie przerażają. – Zrzucam klapki ze stóp, opadam na skraj

łóżka i siadam po turecku, krzyżując nogi. Kładę ręce na kolanach, ponieważ dalej mam na sobie spodenki i siedząc w taki sposób, czuję się naga i wystawiona na pastwę jego oczu.

– Powiedziałaś: „skoro nie wiedziałam, gdzie jadę” – mówi Andrew.

Patrzę w górę i kilka sekund zajmuje mi zrozumienie, o co mu chodzi. Ma na myśli naszą wcześniejszą rozmowę o tym, dlaczego nie zabrałam więcej ubrań. Splata palce i opiera ręce na brzuchu. Dłuższą chwilę milczę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, aż w końcu decyduję się na niejasne wyjaśnienie:

– Bo nie wiedziałam.

Andrew prostuje się, po czym pochyla w przód, opierając łokcie na udach, a złączone dłonie opuszcza niżej kolan. Przechyla głowę na bok i patrzy na mnie. Wiem, że jesteśmy o krok od jednej z tych rozmów, w których będę musiała zdecydować, czy udzielić mu odpowiedzi, czy się wykręcić. Będzie to zależeć od tego, jak jest dobry w wyciąganiu ze mnie zwierzeń.

– Nie jestem ekspertem w tych sprawach – mówi – ale nie umiem sobie wyobrazić, że tak po prostu wskoczyłaś do autobusu, z torebką i plecakiem, i nie mając zielonego pojęcia, gdzie się wybierasz, tylko dlatego, że przyjaciółka wbiła ci nóż w plecy.

Ma rację. Nie wyjechałam wyłącznie z powodu Natalie i Damona.

– Nie, to nie przez nią.

– Zatem przez co?

Nie chcę o tym mówić, przynajmniej myślę, że nie chcę. Jakaś część mnie czuje, że mogę mu wszystko powiedzieć i chcę tego, ale inna część podpowiada mi, bym była ostrożna. Nie zapominam, że jego problemy są poważniejsze niż moje, i czułabym się głupio i samolubnie, skomląc i w ogóle.

Zamiast na niego, patrzę w telewizor i udaję zainteresowanie.

Andrew wstaje.

– To musiało być coś złego – mówi, podchodząc do mnie. – A ja chcę, byś mi powiedziała.

Coś złego? Och, świetnie, właśnie wszystko pogorszył. Nawet jeśli w końcu mu powiem, będę miała cały czas wrażenie, że on spodziewa się czegoś okropnego. Teraz wiem, że on tak myśli, i powinnam coś wyjaśnić.

I oczywiście nie robię nic.

Czuję, że łóżko się zapada, kiedy siada obok mnie. Nie mogę na niego spojrzeć, skupiam wzrok na telewizorze. Żołądek skręca mi się z poczucia winy i jeszcze czuję mrowienie

z powodu jego bliskości. Ale w większości to wina.

– Przez długi czas pozwalałem ci uciekać bez wyjaśnień – mówi. Ponownie opiera łokcie na udach, siedzi jak przedtem na fotelu, skrzyżowane palce wiszą między kolanami. – Musisz mi coś powiedzieć.

Patrzę na niego i mówię:

– To nic w porównaniu z tym, przez co ty przechodzisz. – I zostawiam to tak, po czym odwracam spojrzenie z powrotem do telewizora.

Proszę, przestań się dopytywać, Andrew. Bardzo chcę ci powiedzieć, bo jakimś cudem wiem, że będzie to miało dla ciebie sens, sprawisz, że mi się polepszy... co ja pieprzę? Po prostu proszę, przestań pytać.

– Porównujesz to? – pyta, rozbudzając moją ciekawość. – Dlatego, że mój ojciec umiera, uważasz, że nie liczy się to, co skłoniło cię do postępowania w taki sposób?

Ujmuje to tak, jakby sama myśl o tym była absurdem.

– Tak – odpowiadam. – Tak dokładnie myślę.

Unosi brwi, chwilę patrzy w telewizor i wraca spojrzeniem do mnie.

– W takim razie to kompletna bzdura – mówi rzeczowo. Kręcę głową, a on kontynuuje: – Wiesz, zawsze nienawidziłem wyrażenia „inni mają gorzej”. Jeśli chcesz to porównywać, to pewnie, że lepiej żyć z zasiłków niż być ślepy, ale to nie jest pieprzony konkurs nieszczęść. Prawda?

Czy on mnie pyta, bo chce poznać moje odczucia, czy to jego sposób, aby mi powiedzieć, że ma nadzieję, iż to pojmem?

Tylko kiwam głową.

– Ból to ból, maleńka. – Za każdym razem, kiedy nazywa mnie „maleńka”, widzę za tym słowem nieco więcej, niż on ma na myśli. – Tylko dlatego, że problemy jednej osoby są mniej traumatyczne, nie oznacza, że mniej cierpi.

Myślę, że to ważna uwaga, ale nadal czuję się samolubnie.

Dotyka mojego nadgarstka i patrzę w dół, przyglądając się, jak męskie, długie palce owijają się wokół mojej ręki. Chcę go pocałować; to uczucie toruje sobie drogę na powierzchnię, ale przelykam i walczę, aby wrócić do brzucha, który od kilku sekund żyje własnym życiem i tańczy cha-chę.

Zabieram rękę z dala od niego i wstaję z łóżka.

– Camryn, słuchaj, nie miałem nic złego na myśli. Ja tylko chciałem...

– Wiem – mówię cicho, krzyżując ramiona i odwracając się do niego plecami. To zdecydowanie jedna z tych „to nie twoja wina, tylko moja” chwil, ale nie mam zamiaru mu tego mówić.

Słyszę, jak wstaje, potem kątem oka dostrzegam, jak łapie swoje torby i gitarę. I idzie do drzwi.

Chcę go zatrzymać, ale nie potrafię.

– Pozwolę ci się wyspać – mówi delikatnie.

Kiwam głową i nic nie mówię, ponieważ obawiam się, że gdybym się odezwała, usta zdradziłyby umysł i mogłabym się tylko pograć w tej niebezpiecznej sytuacji z Andrew, która i tak jest coraz bardziej oczywista z każdym dniem, jaki z nim spędzam.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nienawidzę siebie za to, że pozwałam mu wyjść przez te drzwi, ale tak musi być.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę pozwolić sobie wpaść w świat, gdzie jest Andrew Parrish, nawet kiedy wszystkie pragnienia w moim sercu podpowiadają mi, żebym to zrobiła. Nie chodzi o to, że boję się ponownego zranienia; wszyscy przechodzą przez ten etap i może ja też, ale tu chodzi o coś więcej.

Sama siebie nie znam.

Nie wiem, co czuję albo co powinnam czuć, i myślę, że nigdy tego nie wiedziałam. Byłabym samolubną suką, gdybym wpuściła Andrew do swojego życia. A co, jeśli on się zakocha albo będzie chciał ode mnie czegoś, czego nie będę mogła mu dać? Co jeśli do cierpienia z powodu śmierci taty dodam mu złamane serce? Nie chcę być przyczyną jego bólu.

Gwałtownie się odwracam i ponownie patrzę na drzwi, przypominając sobie, jak wyglądał, kiedy przez nie wychodził.

Może to nie jest problem. Jakże jestem zarozumiała, iż uważam, że on mógłby się we mnie zakochać. Być może on chciałby, żebyśmy byli przyjaciółmi z korzyściami albo żebyśmy poprzestali na jednym numerku.

Głowa mi pęka z powodu chaotycznych myśli, wiem, że żadna z nich nie jest właściwa, a wszystkie są możliwe. Podchodzę do lustra i patrzę na swoje odbicie, patrzę w oczy dziewczyny, którą spotkałam, ale nigdy nie poznałam. Naprawdę czuję się oderwana od samej siebie i od wszystkich wokół.

Pieprzyć to!

Zagryzam zęby i uderzam dłońmi o stolik z telewizorem. Łapię nowe czarne szorty, białą koszulkę z napisem „je t'aime” owiniętym wokół wieży Eiffla i idę pod prysznic. Spędzam tam wieczność, pozwalając wodzie spływać po mnie, nie dlatego, że czuję się brudna, ale dlatego, że czuję się podle. Wszystko, o czym mogę myśleć, to Andrew. I Ian. I dlaczego nagle czuję się tak nieswojo, prowokując myśli o nich jednocześnie, w tym samym czasie.

Czuję, że moja skóra pozbyła się całego naskórka pod tą gorącą wodą, więc wychodzę, wycieram się i zawijam włosy w ręcznik. Stoję nago przed lustrem w łazience, po czym wracam do pokoju, by się ubrać, ponieważ nie wzięłam z sobą czystych majtek. W końcu zdejmuję ręcznik z włosów, przeczesuję je palcami i zakładam za uszy, pozwalając im wyschnąć w naturalny sposób.

Przez ścianę słyszę, że Andrew gra na gitarze. Telewizor jest włączony, co zaczyna mnie wkurzać, więc wyłączam go, żeby móc wyraźniej słyszeć Andrew.

Stoję przez chwilę, słuchając melodii przesączającej się przez ściany i wlewającej mi się do uszu. Nie jest to bardzo smutna piosenka, jednak z jakiegoś powodu zaczyna mnie boleć

serce.

W końcu chwytam klucz od pokoju, zakładam klapki i wychodzę.

Nerwowo oblizuję wyschnięte usta, przełykam, biorę głęboki wdech i podnoszę rękę, by delikatnie zapukać w jego drzwi.

Kilka sekund później dźwięk gitary cichnie i drzwi się otwierają.

On też był pod prysznicem, brązowe włosy ma nadal mokre, pasma tworzą bałagan na czole. Patrzy na mnie, nie ma koszulki, na nogach ma tylko czarne szorty. Staram się nie patrzeć na opalony sześciopak i na żyły na ramionach, jakimś cudem teraz bardziej widoczne na skórze.

O mój Boże. Może powinnam zawrócić?

Nie, przyszedłam tutaj, by z nim porozmawiać, i to właśnie mam zamiar zrobić.

Po raz pierwszy widzę tatuaż na lewym boku i chcę o niego zapytać, ale decyduję, że zrobię to później.

Uśmiecha się do mnie łagodnie.

– To się zaczęło półtora roku temu – po prostu zaczynam mówić – tydzień przed zakończeniem nauki w liceum, mój chłopak zginął w wypadku samochodowym.

Łagodny uśmiech znika, jego spojrzenie mięknie, ukazując mi tyle wyrzutów sumienia, nie fałszywych czy przesadzonych, że wiem, iż mnie żałuje.

Szeroko otwiera drzwi, pozwalając mi wejść. Pierwsze, co robi, zanim jeszcze usiądę, to zakłada koszulkę. Może nie chce, żebym uznała, że chce mnie rozproszyć czy ze mną flirtować, zwłaszcza że przyszedłam tu, aby powiedzieć mu coś bolesnego. Szanuję go za to jeszcze bardziej. Ten mały niepozorny gest wiele mówi i choć przykro mi, że zasłonił piękne ciało, to teraz jest w porządku. Ponieważ nie dlatego tutaj przyszedłam.

Przynajmniej tak myślę...

Jest jakiś rodzaj smutku w jego zielonych oczach, wymieszany z dobrocią. Wyłącza telewizor i siada obok mnie na łóżku, w ten sam sposób, w jaki siedział w moim pokoju, i czeka, aż zacznę mówić.

– Zakochaliśmy się w sobie, kiedy mieliśmy po szesnaście lat – zaczynam i patrzę przed siebie – ale on czekał na mnie dwa lata... dwa lata... – patrzę na niego wymownie – zanim zdecydowałam się z nim przespać. Nie znam innego nastolatka, który by czekał tak długo, by dobrać się dziewczynie do majtek.

Na twarzy Andrew maluje się zrozumienie.

– Przed Ianem miałam kilku chłopaków na krótko, ale oni byli tak... – patrzę w górę, szukając słowa – ...przyjemni. Prawdę mówiąc, odkąd skończyłam dwanaście lat, wiele osób uważałam za przyjemnych.

Andrew wygląda na zamyślonego, marszczy brwi delikatnie.

– Ale Ian był inny. Pierwszą rzeczą, jaką powiedział, kiedy się poznaliśmy i rozmawialiśmy poważnie, było: „Zastanawiam się, czy ocean po drugiej stronie świata pachnie inaczej”. Na początku się śmiałam, ponieważ uważałam, że to dziwne mówić takie rzeczy, ale potem uświadomiłam sobie, że to odróżnia go od reszty. Ian był facetem stojącym poza szklaną kulą i patrzącym na nas wszystkich miotających się w środku, robiących codziennie to samo, idących tymi samymi utartymi szlakami, jak mrówki w mrowisku. A ja od zawsze wiedziałam, że chcę czegoś więcej od życia, czegoś innego, ale dopiero kiedy spotkałam Iana, zaczęło to do mnie wyraźnie docierać.

Andrew uśmiecha się słabo i mówi:

– Złożona i dojrzała jeszcze przed dwudziestką... to rzadka cecha.

– Chyba tak. – Odwzajemniam uśmiech. – Nawet nie masz pojęcia, jak często Damon, Natalie, moja mama, a nawet mój brat, Cole, mówili mi, że jestem „głęboka”. – Robię palcami cudzysłów i przewracam oczami.

– Głębia jest dobra – mówi, a ja spoglądam na niego nieśmiało, ponieważ wyczuwam, że mu się to podoba, nawet jeśli próbuje to ukryć, narzucając poważny ton rozmowy. A potem jego uśmiech zanika i głos cichnie. – Kiedy straciłaś Iana, straciłaś też towarzysza broni?

Mój uśmiech również zanika, opieram dłonie na skraju łóżka i pozwalam opaść ramionom.

– Tak, po skończeniu szkoły mieliśmy z plecakami ruszyć w świat, no może tylko do Europy, ale byliśmy zdeterminowani, mieliśmy tyle planów. – Patrzę na Andrew. – Wiedzieliśmy, że nie chcemy iść na studia i wykonywać tej samej pracy przez czterdzieści lat, chcieliśmy pracować wszędzie, gdzie się da, robić wszystko, co tylko możliwe, i cały czas być w drodze!

Andrew się śmieje.

– To fajny pomysł – mówi. – Jednego dnia jesteś kelnerką i żyjesz z napiwków, a drugiego dnia, w innym mieście, robisz taniec brzucha na rogu ulicy i turyści, przechodząc, wrzucają ci drobne do kapelusza.

Moje ramiona lekko drżą ze śmiechu i patrzę na niego zarumieniona.

– Kelnerką na pewno, ale taniec brzucha? – Kręcę głową. – Nie, dziękuję.

Uśmiecha się i mówi;

– Och, dałabyś sobie radę.

Nadal z gorejącą twarzą patrzę przed siebie i czekam, aż rumieniec spłźnie.

– Pół roku po śmierci Iana – kontynuuję – mój brat Cole, jadąc po pijanemu, zabił człowieka i siedzi za to w więzieniu. Potem ojciec zaczął zdradzać matkę i się rozwiedli. Kiedy już miałam nowego chłopaka, Christiana, on też mnie zdradził. A potem już wiesz, co stało się z Natalie.

To wszystko. Opowiedziałam mu wszystko i to sprawiło, że chciałam uciec. Ale nie mogłam na niego spojrzeć, bo czułam, że nie powinnam, jakby on sobie myślał: „Dobra, a gdzie reszta?”.

– To sporo gówna jak na barki jednej osoby – mówi i patrzę w górę, czując, że poprawia się na łóżku. Czuję jego miętowy oddech i wiem, że odwrócił się do mnie. – Masz prawo cierpieć, Camryn.

Nic nie mówię, ale moje spojrzenie mu dziękuje.

– Teraz mogę powiedzieć, dlaczego wcale nie było trudno przekonać cię do podróży ze mną – mówi. Z jego twarzy niewiele mogę wyczytać. Mam nadzieję, że nie uważa, że go wykorzystuję do zrealizowania planów, jakie miałam z Ianem. Ten cały zamysł podróży wydaje się podobny, nawet dla mnie, ale to nie tylko dlatego zdecydowałam się wyruszyć z Andrew. Jestem z nim, ponieważ chciałam być.

W tej chwili zdaję sobie sprawę, że często myślę o Ianie i Andrew w tym samym czasie, ponieważ w Andrew podświadomie szukam Iana i czuję się winna... bo może chcę całkowicie zastąpić Iana.

Wstaję z łóżka i wyrzucam te myśli z głowy.

– W takim razie, co zamierzasz? – pyta Andrew zza moich pleców. – Kiedy już ta podróż się skończy, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

Serce mi twardnieje. Już nieraz podczas podróży z Andrew, a nawet jeszcze zanim go poznałam i opuściłam Karolinę Północną, przychodziły mi do głowy myśli na temat przyszłości, ale je odpychałam. Nie to, że nie chciałam myśleć o czekających mnie kłamstwach, ale po prostu wcale nie chciałam o tym myśleć. Pytanie Andrew budzi mnie i zaczynam panikować. Nigdy nie chciałam dostać aż tak dużej dawki rzeczywistości, byłam zadowolona ze swojej iluzji.

Odwracam się, krzyżując ramiona na piersi. Piękne oczy Andrew intensywnie wpatrują się w moje.

– Ja... właściwie nie wiem.

Wygląda na lekko zaskoczonego, jego spojrzenie staje się bardziej kontemplacyjne i blask w nim przygasa.

– Nadal możesz iść na studia – mówi, podsuwając pomysł, chyba żebym mogła poczuć się lepiej – i to nie oznacza, że po ich skończeniu musisz znaleźć pracę, w której utkniesz do śmierci, hej, nadal będziesz mogła zwiedzać Europę z plecakiem, jeśli będziesz chciała.

Staje za mną. Mogę zobaczyć trybiki pracujące w jego głowie, kiedy kilka razy przemierza zielony dywan tam i z powrotem.

– Jesteś wspaniała – mówi, a serce zaczyna mi kołatać. – Jesteś inteligentna i oczywiście masz więcej determinacji niż przeciętna dziewczyna. Myślę, że możesz robić, cokolwiek zapragniesz, cholera, wiem, że to brzmi pospolicie, ale w twoim wypadku to może być prawda.

Wzruszam ramionami.

– Chyba tak – mówię. – Ale nie mam najmniejszego pojęcia, co chcę robić, oprócz tego, że nie chcę wracać do domu. Boję się, że jeśli tam wrócę, zostanę wciągnięta w to samo gówno, w którym topiłam się, zanim wsiałam do autobusu.

– Powiedz mi – mówi nagle Andrew i kieruję na niego spojrzenie – co w tym wszystkim frustruje cię najbardziej?

Frustruje mnie?

Myślę o tym przez chwilę, skupiając wzrok na mosiężnym kinkiecie zamontowanym nad łóżkiem.

– Nie... nie jestem pewna.

Podchodzi do mnie, kładzie dwa palce na zgięciu mojego ramienia i pociąga delikatnie, żebym z nim usiadła, co zresztą robię.

– Wystarczy, że o tym pomyślisz – ciągnie – opierając się na tym, co mi do tej pory powiedziałaś, jaka jest różnica między tobą a nimi?

Denerwuje mnie, naprowadzając pytaniami i każąc wymyślić coś, nad czym on już się zastanawia. Patrzę na swoje dłonie oparte na kolanach i rozważam to przez długą chwilę, dopóki nie pojawia się jedyna, być może słuszna odpowiedź, mimo to nadal nie jestem jej pewna.

– Oczekiwania?

– A to pytanie czy odpowiedź?

Poddaję się.

– Naprawdę nie wiem, to znaczy czuję się... ograniczona przez otaczających mnie ludzi, z wyjątkiem oczekiwań Iana oczywiście.

Kiwa głową i słucha dalej, pozwalając mi ciągnąć wywód, podczas gdy odpowiedź mam na końcu języka.

I wtedy spływa znikąd:

– Nikt nie chce dla mnie tego, czego sama chcę – mówię i moje wyjaśnienie staje się bardziej pewne, więc kontynuuję: – To jakby żyć na wolności i nie wybierać zwykłej drogi, wiesz? Nikt z nich nie chce wyjść z bezpiecznej strefy i zrobić coś ze mną, ponieważ to nie jest coś, co robi większość ludzi. Bałam się powiedzieć rodzicom, że nie chcę iść na studia, bo oczekiwali ode mnie, że właśnie to zrobię. Przyjęłam pracę w domu towarowym, bo mama oczekiwała ode mnie, że pójdę do pracy. W każdą sobotę jeździłam z mamą odwiedzać brata w więzieniu, ponieważ oczekiwała tego ode mnie, bo on jest moim bratem i powinnam chcieć go widzieć, chociaż nie chciałam. Natalie nieustannie próbowała sparować mnie z jakimiś chłopakami, bo uważała, że to nienormalne być singielką. Myślę, że przez większość życia bałam się być sobą. – Kręci mi się w głowie, kiedy na niego patrzę. – W pewnym sensie nawet z Ianem było to prawdą. – Patrzę przed siebie wystraszona, ponieważ ostatniego zdania nie chciałam powiedzieć na głos. To po prostu wyszło przez moje usta, kiedy nagle sobie to uświadomiłam.

Andrew wygląda na zaintrygowanego, ale równocześnie jest niepewny, czy powinien drążyć temat.

Nie jestem pewna, czy powinnam wyjaśniać dalej.

Kiwa głową. Najwyraźniej decyduje, że nie powinien zgłębiać tematu. Przygryza wargę. Patrzę na niego przez chwilę, próbując zdusić w sobie to, że on mi się podoba, ale to staje się coraz trudniejsze. Patrzę na jego usta i zastanawiam się, jak smakują. A potem zmuszam oczy, by patrzyły gdzie indziej, bo znów robię to samo. Znów tam patrzę. I boję się mu przyznać, czego chcę, albo przynajmniej, co mi się wydaje, że chcę.

– Andrew – mówię, a jego twarz wyraźnie reaguje na to, jak wypowiadam jego imię. *Zastanów się nad tym, Cam, upominam samą siebie. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?*

– O co chodzi? – pyta.

– Przeżyłeś kiedyś przygodę na jedną noc?

Czuję się, jakbym zdradzała największą tajemnicę, jaką mi kiedykolwiek powierzono, przed mikrofonem, stojąc w pomieszczeniu pełnym ludzi. Ale to już zostało powiedziane. Nie jestem nawet pewna, czy to jest to, czego chcę, ale jest w moim umyśle i to już od jakiegoś czasu. Mgliście pamiętam, jak myślałam o tym, gdy byłam na dachu z Blakiem.

Z twarzy Andrew znikają wszelakie emocje i nie może znaleźć odpowiednich słów.

Serce mi zamiera, a żołądek się kurczy. Wiedziałam, że nie powinnam tego mówić! Pewnie sobie myśli, że jestem zdziurą.

Zrywam się z łóżka.

– Przepraszam... Boże, pewnie sobie myślisz, że jestem...

Sięga i łapie mnie za rękę.

– Siadaj.

Niechętnie to robię, ale nie mogę spojrzeć mu w oczy. Jestem kompletnie, cholernie przerażona.

– Co się z tobą dzieje? – pyta.

– Co? – Jednak patrzę na niego.

– Co teraz robisz? – Gestem podkreśla „teraz”. Jego brwi są ściągnięte.

– Co robię?

Oblizuje wargi, wzdycha, jakby był rozczarowany, i wreszcie mówi:

– Camryn, zapytałaś mnie o coś, nad czym zastanawiałaś się raz czy dwa, a kiedy zdobyłaś się na odwagę, by wyrzucić to z siebie, odwracasz się o sto osiemdziesiąt stopni i zaczynasz tego żałować. – Głęboko patrzy mi w oczy, intensywnie, emocjonalnie i tak, że nie umiem tego nazwać. – Zapytaj raz jeszcze, tylko tym razem zaczekaj na odpowiedź.

Niepewna, wstrzymuję się, szukając napięcia na jego twarzy. A może to ja jestem spięta, sama nie wiem.

Przełykam i powtarzam:

– Przeżyłaś kiedyś przygodę na jedną noc?

Wyraz jego twarzy się nie zmienia.

– Tak, kilka razy, to tu, to tam.

Czeka, aż coś powiem, ale nawet nie wiem, jak miałabym się czuć komfortowo w trakcie tej niedyskretnej rozmowy. Jakby wiedział, że wiję się w środku, ale zamierza dać mi nauczkę albo bawił się w terapeutę, jak robił to od chwili, gdy przekroczyłam próg jego pokoju.

Jego brwi wyginają się w łuki, jakby w pytaniu: „No i?”.

– No i tak się tylko zastanawiałam... bo ja nigdy nie robiłam czegoś takiego.

– Dlaczego nie? – pyta od niechcienia.

Spuszczam oczy, ale zaraz powracam spojrzeniem do jego twarzy, żeby mnie nie

zbeształ.

– Bo uważam, że to trochę dziwkarskie zachowanie.

Andrew się śmieje i to mnie zaskakuje.

W końcu przestaje mnie torturować.

– Jeśli dziewczyna robi to często – mówi z uśmiechem – wtedy jest to dziwkarskie. Ale raz czy dwa, sam nie wiem... – myśli o tym przez chwilę, jakby przerzucając w umyśle liczby i nie mogąc się zdecydować – nie widzę w tym nic złego.

Dlaczego nie wykorzystać tego w pełni już teraz? Zaczynam lekko świrować, czy nadal jest terapeutą, czy przeszedł już do flirtowania i zabiera się właśnie do roboty.

– Dobra, więc...

Nie mogę tego powiedzieć. To nie ja, ja nie rozmawiam swobodnie o seksie. Mogłam to robić tylko niejasno z Natalie.

Andrew wzdycha i jego ramiona nieco opadają.

– Chcesz się ze mną przespać, zaliczyć jednorazowy numer? – Wie, że nie miałam ochoty mówić tego, więc mnie wyręczył i powiedział za mnie.

To pytanie, choć oczywiste dla obojga, pozbawia mnie oddechu. To żenujące mówić o tym tak otwarcie.

– Może...

Andrew wstaje, spogląda na mnie i mówi:

– Przepraszam, ale nie jestem zainteresowany tobą w ten sposób.

Największa pięść na świecie uderza mnie w brzuch. Ręce mi sztywnieją, łapię za brzeg materaca, by nie drżały i nie opadły. Wszystko, czego teraz chcę, to wybiec przez drzwi, zamknąć się w pokoju i nigdy więcej nie oglądać Andrew. I nie dlatego, że nie chcę go widzieć, ale dlatego, że nie chcę, aby to on widział mnie. W całym życiu nie byłam tak upokorzona. I to jest właśnie to, przed czym przestrzegali mnie umysł!

Nie wiem, czy uznać to za lekcję, czy znienawidzić go za to, że mnie do tego zmusił.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W ułamku sekundy zeskakuję z łóżka i tak szybko, jak to możliwe, kieruję się do drzwi.

– Camryn, zatrzymaj się.

Ruszam się nawet szybciej, a potem czuję, że on jest za mną, więc łapię za klamkę i otwieram drzwi, a potem biegnę korytarzem.

– Proszę, stań na cholerną minutę – mówi, pędząc za mną i mogę usłyszeć irytację w jego podniesionym głosie.

Ignoruję go i sięgam do kieszonki szortów, wyszarpuję klucz i wbijam w zamek drzwi. Wpadam do swojego pokoju i próbuję zamknąć drzwi, ale Andrew już jest w środku.

Drzwi zamykają się za nim.

– Wysłuchasz mnie? – próbuje raz jeszcze.

Nie chcę na niego patrzeć, ale i tak to robię.

Kiedy w końcu się odwracam, oczy ma szeroko otwarte, a wyraz twarzy zacięty.

Pochodzi do mnie i delikatnie kładzie dłonie na moich ramionach. A potem pochyla się i lekko dotyka wargami moich ust. Nie ruszam się, ale jestem zbyt zszokowana, by zareagować. Jestem zdezorientowana, oszołomiona i serce wali mi jak młotem.

Odsuwa się i patrzy na mnie, jego twarz jest szczerą, przechyla głowę na bok i... uśmiecha się.

– Co cię tak śmieszy? – pytam ostro i próbuję go odepchnąć.

Nadal trzyma mnie za ramiona, zmuszając mój wzrok, w którym zaczyna być widać oburzenie, do tego, żeby na nim spoczął.

– Muszę ci powiedzieć, że nie jestem tobą w taki sposób zainteresowany, Camryn, ponieważ... – przerywa, szukając czegoś na mojej twarzy, patrząc przez moment na moje usta, jakby decydował, czy powinien mnie ponownie pocałować – ...ponieważ nie jesteś dziewczyną, z którą mógłbym się przespać tylko raz.

Te słowa wymazują mi z głowy wszystkie myśli, a serce bije tak mocno, że obija się o zębra. Nie mogę się zmusić, by zrozumieć, co właściwie przed chwilą powiedział, albo się zastanowić, co miał na myśli, staram się to uporządkować w głowie najlepiej, jak potrafię, i odzyskać opanowanie, które straciłam, wybiegając z jego pokoju.

– Słuchaj – mówi, przesuwając się nieco i kładąc rękę na dole moich pleców, co sprawia, że dostaję dreszczy. Co się ze mną, do diabła, dzieje? Pragnę go... to znaczy czuję, jakby nie było

powrotu, czuję, że jeśli zmuszę się, by dziś w nocy być zdziwą, to zatrzymam go przy sobie. Tylko nie rozumiem, dlaczego czuję się tak, jakbym chciała od niego czegoś więcej niż seksu...

– Camryn? – Jego głos sprowadza mnie nagle do tego, co przed chwilą próbował powiedzieć. Andrew prowadzi mnie, sadza na łóżku i kuca przede mną na podłodze. Patrzy mi prosto w oczy. – Nie chcę z tobą numerku na jedną noc, ale jeśli mi pozwolisz, sprawię, że dojdiesz.

Gdzieś w brzuchu pojawia się pożądanie, które wolno przenosi się między uda.

– ...co? – Naprawdę nie umiem powiedzieć nic innego.

Uśmiecha się delikatnie, dołeczki są ledwie widoczne, i opiera przedramiona na moich nagich udach, dotykając dłońmi po bokach.

– Bez żadnych zobowiązań – mówi. – Doprowadzę cię na szczyt, a rano, kiedy się obudzisz, będę w swoim pokoju, przygotowując się do podróży z tobą ku następnemu przystankowi. Nic się między nami nie zmieni, nawet nie będę z tego żartować. Będzie tak, jakby to w ogóle się nie zdarzyło.

Trudno mi oddychać. Sprawił, że to słodkie miejsce u zbiegu ud po prostu wilgotnieje za sprawą kilku prostych, bezpośrednich słów.

– Ale... co z tobą? – udaje mi się wydusić.

– Co ze mną?

Przyciska mocniej dłoń. Udaję, że tego nie zauważam.

– To nie... nie wydaje się fair.

Naprawdę nie wiem, co mówię. Nadal jestem zdumiona, że to się w ogóle dzieje.

Andrew tylko się uśmiecha, niewzruszony moim pytaniem, a potem nagle unosi się z kucek i klęka pomiędzy moimi nogami, powodując, że muszę się nieco odchylić do tyłu. A potem siada na podłodze i pociąga mnie na swoje kolana, moje nogi lądują po jego bokach. Mam szeroko otwarte oczy i przygryzam dolną wargę. Jest przy tym taki swobodny, taki naturalny, że wilgotnieję jeszcze bardziej.

Obejmuje mnie ramionami i pochyla się, przesuając ustami po krawędzi mojego podbródka. Drzę od stóp do głów. A potem przysuwa mnie jeszcze bliżej i szepcze w usta:

– To fair. Chcę, żebyś doszła, i możesz mi zaufać, na pewno będę coś z tego miał. – Słyszę uśmiech w jego głosie i patrzę w jego oczy, ponieważ nie mogę im się oprzeć. Jeżeli Andrew w tej chwili powiedziałby mi, żebym uklękła i wypięła się ku niemu, zrobiłabym to bez wahania.

Wodzi ustami po mojej szczęce.

– Dlaczego po prostu nie chcesz się ze mną przespać? – pytam cicho, a potem próbuję to przeformułować: – To znaczy, jeśli chcesz... robić co innego... ze mną...

Ponownie się pochyła i uciska mnie, kładąc mi palce na ustach.

– Powiem to tylko raz – zaczyna, a jego oczy płoną z pożądania – ale nie chcę, byś to komentowała, dobrze?

Przytakuję nerwowo.

Patrzy na mnie, zwilża usta językiem:

– Jeśli pozwolisz, bym cię przeleciał, staniesz się moją własnością.

Fala dreszczy rozkoszy rozchodzi się po moim ciele. Jego słowa sprawiają, że jestem uległa. Serce podpowiada mi jedno. Umysł zupełnie co innego. Ale i tak nie słyszę, co pieprzą, bo uczucie rozpalające się między udami jest coraz trudniejsze do ignorowania.

W ustach mi zaschło. Nadal nie mogę oddychać.

O Boże, on mnie nawet nie dotknął, a ja już reaguję w ten sposób?

Czy ja śnię?

– A jeśli zrobię ci laskę?

Czuję się winna, że myśli tylko o mnie i nie chce niczego w zamian.

Śmiejąc się, przechyla głowę, a ja myślę tylko o tym, żeby go zachłannie pocałować.

– Miałaś nie komentować.

– Ja... cóż, nie skomentowałam tego, co powiedziałeś, ja tylko...

Andrew przesuwa palce pod cienkim materiałem moich majtek i dotyka mnie. Zaczynam dyszeć i zapominam, co miałam powiedzieć.

– Bądź cicho – żąda delikatnie, acz stanowczo. Zaciskam wargi, chociaż nie mogę powstrzymać jęku, kiedy wsuwa we mnie dwa palce i przyciska kciuk do spojenia łonowego. – Będziesz cicho, Camryn?

Wymyka mi się drżące „tak” i przygryzam dolną wargę.

Czuję w sobie ruchliwe palce. Mam ochotę błagać go, by ich nie zabierał, ale kazał mi być cicho, co mnie podnieciło, ale jednocześnie wymusiło uległość, więc milczę. Ostrożnie

otwieram oczy, kiedy przeciąga mokrymi palcami po moich ustach, i oblizuję je, ale tylko troszkę, bo on przyciska do nich swoje wargi i zlizuje resztę. Przytulam się do niego, pogłębiając pocałunek, zamykając oczy i smakując jego wargi i moje soki na nich. Jego język wymyka się, by dotknąć mojego, ale wtedy Andrew kładzie mnie delikatnie na łóżku, zamiast poddawać się wygłodniałemu pocałunkowi, na jaki mam ochotę.

Kładzie dłonie na moich biodrach i ściąga szorty razem z majtkami, rzucając je na podłogę.

A potem wczługuje się i kładzie obok mnie, układając jedną rękę na moim brzuchu i wsuwając mi ją pod koszulkę. Nie włożyłam stanika, wychodząc spod prysznic, więc Andrew delikatnie drażni jeden sutek, potem drugi i znów całuje wzdłuż szczęki. Każdy włoszek na karku staje mi dęba, kiedy przesuwając językiem po krzywiznie mojego ucha.

– Chcesz, żebym dotykał? – Jego oddech jest ciepły na moim policzku.

– Tak – dyszę.

Delikatnie przygryza zębami płatek mojego ucha, a potem jego ręka zaczyna się zsuwać po moim brzuchu i zatrzymuje w okolicach pępka.

– Powiedz, gdzie mam cię dotykać – szepcze mi do ucha.

Ledwo potrafię uchylić powieki.

– Chcę, żebyś dotykał...

Zsuwa dłoń niżej i zaczyna walić mi serce, ale kiedy myślę, że zaraz mnie tam dotknie, przesuwając rękę na wewnętrzną stronę mojego uda.

– Rozszerz je dla mnie.

Rozsuwam troszkę, ale napiera ręką, bym otworzyła się bardziej, jego palce przesuwają się po moim ciele, aż jestem całkowicie odsłonięta.

Podnosi się i pochyla nade mną, jednocześnie unosząc moją koszulkę, by obnażyć mi piersi, a potem łapie jeden sutek między wargi, a palcami błądzi po drugim.

Wodzi po nich mokrym językiem, zakreślając kółka, na końcu całuje zachłannie. Przeciągam palcami po jego włosach, chcąc je złapać i ciągnąć, ale tego nie robię. Andrew przesuwając się coraz niżej, całując po żebrach, w końcu sięga językiem pępka.

Obrzuca mnie władcym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek, a potem łaskocze oddechem, mówiąc tuż przy mojej skórze:

– Musisz mi powiedzieć, czego chcesz, Camryn. – Liże wolno moją skórę, przyprowadzając o dreszcze. – Nie dostaniesz tego, dopóki mi nie powiesz i nie sprawisz, że ci uwierzę.

Wzdycham niepewnie, oddech więźnie w piersi.

– Proszę, proszę, dotknij...

– Nie wierzę ci – mówi szyderczo i przeciąga językiem po mojej perełce. Tylko raz. Zatrzymuje się i patrzy na krajobraz mojego ciała, czekając, co powiem.

Ponieważ krępuję się wypowiedzieć to słowo, szepczę cicho:

– Proszę... chcę, byś polizał moją cipkę.

Udaje, że nie słyszał.

– Co mówiłaś? – pyta i znów liże tylko raz, tym razem nieco dłużej, a mnie przebiega dreszcz. – Nie dosłyszałem.

Mówię raz jeszcze, tym razem troszeczkę głośniejsze, jestem zbyt zakłopotana, by wypowiedzieć to zakazane słowo, które zawsze uważałam za świńskie, złe i przypisane tylko do filmów porno.

Andrew wsuwa dłoń między moje nogi i palcami rozdziela fałdki. Liże mnie raz. Znów tylko raz. Uda zaczynają mi drżeć.

Nie wiem, jak długo to wytrzymam.

– Kobieta, która wie, czego chce od swojej seksualności... – liże mnie raz jeszcze, a jego półprzymknięte oczy nadal na mnie patrzą – ...i nie boi się tego wyrazić, jest niesamowicie gorąca, Camryn. Powiedz. Mi. Czego. Pragniesz. W przeciwnym razie ci tego nie dam. – Liże mnie ponownie i już nie mogę tego znieść.

Sięgam w dół, łapię go za włosy i popycham jego twarz głębiej między swoje nogi, na tyle, na ile on mi pozwala, i mówię, patrząc mu prosto w oczy:

– Liź moją cipkę, Andrew, cholera, liź moją cipkę!

Dostrzegam najzuchwalszy uśmiech, jaki kiedykolwiek w życiu widziałam, a potem zamykam oczy, głowa opada w tył, kiedy zaczyna mnie lizać i tym razem nie przestaje.

Mocno ssie moją perełkę, gra na mnie palcami, a ja mam ochotę zemdleć. Nie umiem otworzyć oczu, jestem pijana z rozkoszy. Unoszę biodra i przyciskam go za włosy, a on nie zaprzestaje rytmu liźnięć. Liże mocno i szybko, zasysa, kciukiem zatacza kółeczka na nabrzmiałej lechtaczce, na końcu nurkuje i powtarza wszystko od początku.

Kiedy już nie mogę tego znieść, próbuję się odsunąć, ale łapie mnie za uda i zmusza do pozostania na miejscu, aż dochodzę, uda trzęsą się niekontrolowanie, a dłonie z całą siłą zaciskam na jego włosach. Drżący jęk wyrывa się z moich ust, a ręce lądują za głową, ściskając

ramę łóżka. Próbuję użyć jej jako dźwigni, by się odsunąć od języka Andrew. On jednak trzyma mnie mocno za uda i za biodra, jego palce wbijają się boleśnie w moją skórę, ale podoba mi się to uczucie.

Wreszcie moje drżące ciało zaczyna się uspokajać i oddech zwalnia, choć jest nierównomierny. Andrew liże coraz delikatniej i kiedy moje ciało przestaje się poruszać, całuje wewnętrzną stronę ud, pępek, a potem podnosi się i opiera na umięśnionych ramionach. Całuje mnie po szyi, po brodzie, kończy na czole. Wreszcie patrzy mi w oczy przez dłuższą chwilę, po czym jego wargi miękko opadają na moje.

Wtedy wstaje z łóżka.

Nie mogę się ruszyć.

Mam ochotę sięgnąć, złapać go i przyciągnąć do siebie, ale nie mogę się ruszyć. Powstrzymuje mnie nie tylko ciało wyczerpane orgazmem, jaki przed chwilą mi zaserwował, ale i mózg nadal oszołomiony niezwykłym doznaniem.

Kiedy idzie w kierunku drzwi, ledwie mam siłę unieść głowę z poduszki, by na niego spojrzeć. Patrzy na mnie tylko raz, gdy kładzie dłoń na klamce.

Ale to ja odzywam się pierwsza:

– Gdzie idziesz?

Wiem, gdzie idzie, ale to jedyne, co umiem powiedzieć, by poradzić sobie z tym, że on wychodzi z mojego pokoju.

Uśmiecha się delikatnie.

– Do siebie – potwierdza to, co już wiedziałam.

Otwiera drzwi, a światło z korytarza oświetla jego twarz do tej pory skrytą w cieniu. Chciałabym coś powiedzieć, ale nie wiem co. Podnoszę się z łóżka i siadam prosto, palce nerwowo naciągają kołdrę na moje kolana.

– Cóż, to zobaczymy się rano – mówi, obdarowuje mnie ostatnim wspaniałym uśmiechem i zamyka drzwi za sobą, a światło z korytarza niknie. Mimo to w pokoju jest dość jasno, musiałam zapalić kinkieci nad łóżkiem. Kładę się i myślę o lampie. Była zapalona przez cały czas. Zawsze byłam nieśmiała w łóżku, nawet z Ianem seks uprawiałam przy zgaszonym świetle, może z wyjątkiem włączonego telewizora, ale nigdy nie świeciła nade mną lampa. A tym razem nawet nie pomyślałam, że jest zapalona.

I słowa, które wyszły z moich ust... Nigdy wcześniej nie powiedziałam niczego takiego. Nie to słowo na „c”. Nawet teraz nie mogę go wypowiedzieć. I oczywiście, że mówiłam do Iana: „Proszę, przeleć mnie” albo „Pieprz mnie mocniej”, ale to już cały zakres mojego pornograficznego słownictwa.

Co takiego robi ze mną Andrew Parrish?

Cokolwiek to jest, chyba nie chcę... żeby przestał.

Wstaję, schylam się, by podnieść i założyć majtki i szorty, po czym podchodzę do drzwi, by pójść do niego i... i nie wiem, co dalej.

Powstrzymuję się przed otwarciem drzwi i bezmyślnie gapię się na gołe stopy na zielonym dywanie. Nawet nie wiem, co miałabym mu powiedzieć, bo tak naprawdę nie wiem, czego chcę albo czego nie chcę. Potem opuszczam ramiona i wymyka mi się głębokie westchnienie.

– Jakby to w ogóle się nie zdarzyło – sztydę pod nosem. – Tak, bo nie jesteś na tyle dobry, by pociągnąć to dalej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ANDREW

Nie śpię od ósmej. Dzwonił mój brat Asher i bałem się odebrać, bałem się, że to ta jedyna „wieść” na temat ojca. Ale on dzwonił tylko po to, by powiedzieć, że Aidan wkurzył się o gitarę. Miałem to w dupie, no bo co on może zrobić, przyjechać do Birmingham i wpieprzyć mi za to? Wiem, że tak naprawdę miało to niewiele wspólnego z gitarą, bo Aidan jest wkurwiony o to, iż wyjechałem z Wyoming, podczas gdy ojciec jeszcze żyje.

A Asher chciał sprawdzić, co u mnie słychać.

– Trzymasz się jakoś, bracie?

– Tak, właściwie to jest dobrze.

– A to sarkazm?

– Nie – powiedziałem do telefonu. – Jestem szczery, Ash, świetnie się bawię.

– To przez tę dziewczynę, tak? Camryn? Tak ma na imię?

– Tak ma na imię i to przez nią.

Uśmiechnąłem się w duchu, bo pojawił mi się w głowie bardzo wyraźny obraz ubiegłej nocy, ale potem uśmiechnąłem się do siebie, po prostu myśląc o Camryn.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć – powiedział Asher, ale wyczytałem między wierszami, co chciał mi przekazać, i cieszyłem się, że nie powiedział tego otwarcie. Powiedziałem mu kiedyś, żeby już o tym nie wspominał, bo wygarbuję mu skórę.

– Wiem, dzięki, braciszku... a hej, jak tam tata?

– Tak samo jak przed twoim wyjazdem.

– To chyba lepiej niż gorzej, co?

– Chyba.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem do mamy, żeby jej powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku. Nie odzywałbym się jeszcze dzień i zgłosiłaby na policję moje zaginięcie.

Potem wstałem i spakowałem swoje rzeczy do worka. Przechodząc obok telewizora, uderzam dłonią w ścianę, bo po drugiej stronie najprawdopodobniej leży w łóżku Camryn. Gdyby nadal spała, pewnie bym ją obudził. Cóż, albo i nie, bo ona ma dość mocny sen, chociaż

nie wtedy, kiedy gra muzyka. Wziąłem szybki prysznic i umyłem zęby, myśląc o niej w moich ustach i trochę żal mi było myć zęby. Dobra, może później zrobię jej to jeszcze raz. Oczywiście, jeśli będzie chciała. Cholera, nie mam z tym żadnego problemu, tyle że muszę później zadbać o siebie, ale to też jest w porządku. Wolę zrobić to sam, niż ryzykować, że mnie dotknie. I wiem, że kiedy to się stanie, to będzie koniec. Przynajmniej dla mnie. Kurewsko jej pragnę, ale wezmę ją tylko wtedy, gdy ona dokona wyboru. A zdaję sobie sprawę, że w tym momencie nie wie, czego chce.

W końcu się ubieram i wsuwam stopy w czarne sportowe buty, ciesząc się, że wyschły po wczorajszym deszczu. Zakładam na ramię obie torby, łapię gitarę Aidana za gryf i wychodzę na korytarz, po czym kieruję się do drzwi obok, do pokoju Camryn.

Słyszę telewizor, więc wnioskuję, że wstała.

Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim pęknie.

CAMRYN

Andrew puka do drzwi. Biorę gwałtowny oddech, zatrzymuję powietrze w płucach przez długą, pełną napięcia chwilę, po czym wypuszczam je, co unosi kosmyki włosów, które wymknęły się z warkocza. Panicznie się boję tego spotkania.

Jakby to w ogóle się nie zdarzyło, jasna dupa.

W końcu otwieram drzwi. Stoi w niedbalej pozie (i jest taki apetyczny). Oblewam się ciemnoczerwonym rumieńcem, tak intensywnym, że twarz mi płonie. Patrzę na stopy, ponieważ jeśli spojrzę w te roześmiane oczy, będę miała w głowie pustkę.

Udaje mi się spojrzeć na niego chwilę później.

Jego uśmiech jest coraz większy i bardziej wymowny.

Hej! Nie musi mówić ani słowa na temat wczorajszego wieczoru, bo całym sobą o tym przypomina!

Mierzy mnie wzrokiem, dostrzegając, że jestem ubrana i gotowa do drogi, przechyla nieco głowę i mówi:

– To chodź.

Biorę torebkę, plecak i wychodzę za nim.

Wskakujemy do samochodu i robię, co w mojej mocy, by odciągnąć własne myśli od najlepszego seksu oralnego w życiu, szukając neutralnego tematu. Dzisiaj Andrew pachnie naprawdę dobrze: skórą, mydłem i szamponem. To mi nie pomaga.

– Będziemy się zatrzymywać w przypadkowych motelach i nie zwiedzać nic oprócz

Waffle House'ów?

Nie to, żeby mi to przeszkadzało, ale mam problem ze znalezieniem „neutralnego” tematu.

Zapina pasy i odpala silnik.

– Nie, właściwie to mam pewien pomysł. – Zerka na mnie.

– Och? – pytam, bo wzbudził moją ciekawość. – Łamiesz zasadę spontaniczności naszej podróży i masz plan?

– Hej, technicznie to nie była jedna z reguł – mówi, podkreślając ten fakt.

Wyjeżdżamy z parkingu i zabytkowy chevelle mruczy, sunąc po szosie.

Andrew ma na sobie te same szorty co wczoraj i nie mogę się oprzeć, by nie rzucić szybkiego spojrzenia na jego łydki, kiedy jego stopa naciska na gaz. Granatowy podkoszulek opina klatkę i ramiona, tkanina napręża się wokół bicepsów.

– W takim razie jaki jest plan?

– Nowy Orlean – mówi, uśmiechając się do mnie. – Jest pięć godzin drogi stąd.

Moja twarz się rozpromienia.

– Tak naprawdę nigdy wcześniej nie byłam w Nowym Orleanie.

Uśmiecha się do siebie zadowolony, że będzie tym, który zabierze mnie tam po raz pierwszy. Jestem podekscytowana tak samo jak on. Tylko że dopóki Andrew będzie ze mną, wszystko mi jedno, gdzie pojedziemy, nawet jeśli będzie to kraina komarów w Missisipi.

Dwie godziny później, po wyczerpaniu neutralnych tematów, co było tylko odwróceniem uwagi od tego, co stało się wczorajszej nocy, postanawiam, że to ja zacznę ten wątek. Sięgam do pokrętki radia i ściszam. Andrew patrzy na mnie z zaciekawionym.

– Chcę, żebyś wiedział, że słowa takie jak to wczoraj wcześniej nie przechodziły mi przez usta – mówię, wyrzucając to z siebie.

Andrew uśmiecha się i leniwie opiera prawą rękę na dolnej części kierownicy, pozwalając palcom swobodnie sterować. Wydaje się zrelaksowany, lewą ręką opiera się na podłokietniku drzwi, lewa noga jest zgięta w kolanie, a prawa dociska delikatnie gaz.

– Ale podobało ci się – mówi – mam na myśli powiedzenie tego.

Hmm, wczorajszej nocy nie było nic, co by mi się nie podobało.

Moja twarz lekko czerwienieje.

– Tak, właściwie to tak – przyznaję.

– Nie mów mi, że nigdy wcześniej nie myślałaś o mówieniu czegoś takiego podczas seksu.

Waham się.

– Chyba tak. – Patrzę na niego ostro. – Nie to, że siedziałam i marzyłam o tym, po prostu myślałam.

– Zatem dlaczego nigdy tego nie robiłaś, skoro miałaś ochotę? – pyta, ale ja jestem pewna, że zna odpowiedź.

Wzruszam ramionami.

– Myślę, że tchórzyłam.

Śmieje się lekko i przesuwa palcami po kierownicy, trzymając ją mocniej, bo jesteśmy na zakręcie.

– Chyba myślałam, że to coś, co mówiłaby Dominique Starla albo Cinnamon Dreams w *Legalnym pieprzeniu* albo w *Fiutach piątkowej nocy*.

– Widziałaś te filmy?

Unoszę gwałtownie głowę i dostaję zadyszki.

– Nie! Nie wiedziałam, że są prawdziwe... właśnie je wymyśliłam...

Wyraz twarzy Andrew jest dość zabawny.

– Ja też nie wiem, czy są prawdziwe – mówi, ratując mnie od śmierci z upokorzenia – ale nie wątpię, że mogą istnieć. I rozumiem, o co ci chodzi.

Odprężam się.

– Cóż, to podniecające – mówi – tak w ogóle.

Lekko się rumienię. Równie dobrze mogę cały czas być czerwona, ponieważ przy nim i tak co chwila pąsowieję.

– Zatem uważasz, że gwiazdy porno są podniecające? – Kulę się w duchu, mając nadzieję, że powie „nie”.

Andrew zaciska usta i mówi:

– Nie do końca. Może to jest podniecające, ale w inny sposób.

Marszczę brwi.

– Inne w jaki sposób?

– Cóż, kiedy... Dominique Starla – wybiera losowe nazwisko – robi to, jakiś gość gapi się na nią zza klawiatury. – Zielone spojrzenie spoczywa na mnie. – Ten facet nie marzy o niej, tylko o jej ustach między swoimi udami. – Spogląda z powrotem na drogę. – Ale jeśli robi to ktoś... powiedzmy słodka, seksowna, kompletnie nie zdirowata dziewczyna, facet myśli o czymś więcej niż o jej ustach między swoimi udami. Albo w ogóle nie myśli, gdzieś na najgłębszym z poziomów. – Zdecydowanie wyłapuję ukryte znaczenie jego wypowiedzi i on prawdopodobnie o tym wie. – To doprowadzało mnie do szaleństwa – mówi, patrząc mi długo w oczy – chcę, żebyś to wiedziała. – Ale kiedy się odwraca, udaje, że jest skoncentrowany na drodze. Być może nie chce mnie zmuszać do rozmowy „o tym”, chociaż to ja zaczęłam ten temat. Biorę na siebie pełną winę i nie żałuję tego.

– A co z tobą? – pytam po chwili milczenia. – Czy kiedykolwiek bałeś się spróbować czegoś, na co miałeś ochotę?

Myśli o tym przez chwilę, a potem mówi:

– Kiedy byłem młodszy, miałem około siedemnastki, bałem się próbować z dziewczynami, bo obawiałem się, że one...

– One co?

Uśmiecha się delikatnie i zagryza wargi, mam wrażenie, że myśli nad porównaniem.

– Młodsze dziewczyny, przynajmniej te, z którymi się umawiałem, były zniesmaczone wszystkim, co niekonwencjonalne. Prawdopodobnie podobnie jak ty były podniecone myślą o czymś innym niż pozycja misjonarska i zbyt nieśmiała, by przyznać, że chcą czegoś więcej. W tym wieku trudno powiedzieć: „Hej, pozwól mi wejść w tyłek”, ponieważ istnieją spore szanse, że panienka zeświruje i pomyśli, że jest zboczeńcem.

Rozciągam usta w uśmiechu.

– Chyba masz rację – mówię. – Kiedy byłam nastolatką, czułam się zażenowana opowieściami Natalie o tym, na co pozwalała Damonowi. Nie sądziłam, że to może być fajne, aż do czasu, gdy straciłam dziewictwo w wieku lat osiemnastu, ale... – głos mi drżał, kiedy zaczynałam myśleć o Ianie – ...a nawet wtedy byłam zbyt nerwowa. Chciałam... umm...

Jestem zdenerwowana, mówiąc o tym.

– No dalej, po prostu to powiedz – zachęca, ale nie jest rozbawiony. – Do tej pory powinnaś się zorientować, że przy mnie możesz mówić swobodnie.

To mnie nieco zaskakuje i serce mi trzepocze. Czy tak wyraźnie widać, że boję się, co o mnie pomyśli? Uśmiecha się do mnie delikatnie, zachęcając do powiedzenia tego i zapewniając, że nic nie zrobi na nim złego wrażenia.

– Dobra, ale jeśli ci powiem, obiecasz, że nie uznasz tego za zachętę? – Być może to jest zachęta, ale sama nie jestem tego pewna, więc nie chcę, aby on tak myślał. Może będę tego kiedyś chciała, a może nigdy. Nie wiem...

– Przysięgam – mówi. – W ogóle nie będę tak myślał.

Biorę głęboki oddech.

Ugh! Nie wierzę, że mam zamiar to powiedzieć. Nigdy nikomu nie mówiłam, no może z wyjątkiem Natalie, ale i tak było to na oko.

– Agresja – mówię i przerywam, bo jestem zbyt zakłopotana, by mówić dalej. – Na ogół marzę o seksie, w którym jestem...

Jego oczy się cieszą! Kiedy powiedziałam „agresja”, coś zmieniło się w jego twarzy. To wydaje się prawie... nie, to z pewnością nie może być prawda.

– Kontynuuj. – Uśmiecha się.

I ja też się śmieję, bo z jakiegoś powodu jest mi łatwiej mówić niż jeszcze sekundę temu.

– Zwykle myślę o byciu... sponiewieraną przez mężczyznę.

– Kręci cię ostry seks – mówi spokojnie.

Kiwam głową.

– Myślę o tym, ale nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam, nie w sposób, w jaki o tym myślę.

Wydaje się lekko zaskoczony, a może ucieszony?

– Myślę, że właśnie o to mi chodziło, kiedy powiedziałam, że kończę z grzecznymi chłopcami.

Zaświtało mi w głowie, że Andrew wiedział to wcześniej niż ja, już w Wyoming, kiedy powiedziałam: „Kończę z grzecznymi chłopcami”. Zasadniczo, nie zdając sobie z tego sprawy, wyznałam, że coś mi w nich przeszkadza, nie odpowiada, choć nie potrafiłam powiedzieć co. Być może nie znał aż do teraz mojej definicji słowa „greczny”, ale wiedział, że to coś, czego ja nie chcę.

Ale kochałam Iana i czuję się źle, myśląc o tym w ten sposób. Ian był seksualnie greczny

i myślenie o nim złych rzeczy sprawia, że czuję się winna.

– Czyli lubisz ciągnięcie za włosy i... – zaczyna, ale jego głos zamiera, kiedy widzi mój wyraz twarzy.

– Tak, ale w sposób agresywny – odpowiadam, starając się nie powiedzieć za dużo. Znow się denerwuję.

Lekko przechyla głowę i odrobinę unosi brwi.

– Coś jak... czekaj, jak agresywnie?

Przełykam i patrzę przed siebie.

– Chyba z użyciem siły. Nie jak gwałt, ale myślę, że jestem uległa seksualnie.

Andrew też na mnie nie patrzy.

Gdy spoglądam na niego, zauważam, że oczy ma bardziej szare niż poprzednio, jabłko Adama przesuwają się, kiedy przełyka ślinę. Ręce zaciska na kierownicy.

Zmieniam temat.

– Nie odpowiedziałeś mi, o co bałeś się poprosić dziewczynę. – Uśmiecham się w nadziei, że żartobliwa atmosfera wróci.

Odręcza się i uśmiecha do mnie.

– Właściwie odpowiedziałem – przyznaje i po pauzie dodaje: – O seks analny.

Coś mi mówi, że to nie jest jedyne, czego się obawiał. Nie dam sobie ręki obciąć, ale myślę, że ta gadka o analu to zasłona dymna. Ale dlaczego z naszej dwójki to Andrew jest tym, który boi się wyjawić prawdę? Przecież to on pomaga mi, bym lepiej się czuła z własną seksualnością. Myślałam, że nie boi się przyznać do czegokolwiek, ale nie jestem już tego taka pewna.

Chciałabym czytać mu w myślach.

– Wierz lub nie – mówię, patrząc na niego – ale Ian i ja raz tego próbowaliśmy i nie było fajnie, bolało jak diabli i dosłownie był to tylko jeden raz.

Andrew śmieje się lekko.

Potem patrzy na znaki drogowe i szybko podejmuje jakąś decyzję. Przejeżdżamy z jednej autostrady na inną. Jest coraz więcej pól po obu stronach drogi. Bawełna, ryż, kukurydza i cholera wie, co jeszcze, nie wiem, czym się te rośliny różnią poza oczywistym: bawełna jest biała, a kukurydza wysoka. Jedziemy kolejne godziny, aż słońce chyli się ku zachodowi, wtedy

Andrew zjeżdża z drogi. Opony zatrzymują się na żwirze.

– Zgubiliśmy się? – pytam.

Pochyla się ku mnie i sięga do schowka. Jego łokieć i część przedramienia dotykają mojego uda, kiedy wyciąga dość sfatygowaną mapę. Jest pomięta, jakby została otwarta i nigdy poprawnie nie złożona. Rozwija mapę i opiera ją na kierownicy, patrząc uważnie i śledząc palcem naszą trasę. Wykrzywia prawą stronę ust i cmoka.

– Zgubiliśmy się, prawda? – śmieję się. Nie z niego, tylko z sytuacji.

– To twoja wina – mówi, starając się wyglądać poważnie, ale to nie zdaje egzaminu, ponieważ ma wesołe oczy.

Wzdycham.

– A jak to może być moja wina? – pytam. – Ty prowadzisz.

– Cóż, gdybyś mnie tak nie rozpraszała rozmową na temat seksu i pragnień, pornografii i tej dziwki Dominique Starla, może bym zauważył, że jedziemy dwudziestką, zamiast pięćdziesiątką dziewiątką. – Stuka palcem w środek mapy i kręci głową. – Dwie godziny jechaliśmy w złym kierunku.

– Dwie godziny? – Śmieję się i uderzam dłonią w deskę rozdzielczą. – I dopiero teraz się zorientowałeś?

Mam nadzieję, że uderzam w jego ego. Poza tym nie jestem zła czy rozczarowana, możemy jechać dziesięć godzin w złym kierunku i tak mam to gdzieś.

Wygląda na urażonego. Jestem pewna, że udaje, ale łapię okazję na zrobienie czegoś, co chciałam zrobić od czasu naszej przygody w deszczu w Tennessee. Sięgam w bok, odpinam pasy, przesuwam się i siadam obok niego.

Andrew wydaje się zaskoczony, ale unosi ramię, bym zmieściła się pod nim.

– Drocę się z tobą na temat zagubienia – mówię, opierając głowę na jego ramieniu. Czuję, że niechętnie owija rękę wokół mnie.

Ale ja czuję się tu wspaniale. Może zbyt dobrze...

Po chwili udaję, że nie zauważam, jak wspaniale oboje się czujemy, i chcę, żeby poprzednia nonszalancja wróciła. Patrzę razem z nim na mapę, przeciągając palcem po zaznaczonych na niej drogach.

– Możemy jechać tędy – wskazuję i ciągnę palcem – a potem wyjechać na pięćdziesiątą piątą do Nowego Orleanu, prawda? – Odchylam głowę, by spojrzeć mu w oczy, a wtedy serce fika koziołka, ponieważ jego twarz jest tak blisko. Ale tylko się uśmiecham i czekam na

odpowieź.

On też się uśmiecha, ale mam wrażenie, że nic nie słyszał z tego, co powiedziałam.

– Tak, powinniśmy trafić na pięćdziesiątą piątą. – Jego oczy przeszukują moją twarz i na chwilę skupiają się na ustach.

Zaczynam składać mapę, po czym podkręcam radio. Andrew odsuwa ode mnie rękę, by móc wrzucić bieg.

Kiedy odjeżdżamy, kładzie dłoń na moim udzie znajdującym się blisko niego i przez długi czas jedziemy w taki sposób. Zabiera rękę tylko na ostrych zakrętach albo żeby przełączyć radio, ale natychmiast jego dłoń do mnie wraca.

I chcę, żeby zawsze tak robił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Jesteś pewien, że nadal jesteśmy na pięćdziesiątej piątej? – pytam po zmierzchu, bo od dłuższego czasu nie widzę wokół świateł innych samochodów.

Widzę jedynie pola, drzewa i czasem krowę.

– Tak, maleńka, nadal jesteśmy na pięćdziesiątej piątej, upewniłem się.

Kiedy to mówi, mijamy znak, na którym jest napisane: *Droga nr 55*.

Podnoszę się z ramienia Andrew, o które opierałam się przez ostatnie kilka godzin, i zaczynam się przeciągać. Opieram się i masuję łydki, myślę, że każdy mięsień w moim ciele jest jak cement przyklejony do kości.

– Chcesz rozprostować nogi? – pyta Andrew.

Patrzę na ukrytą w cieniu twarz, ma niebieskawy odcień na skórze. W mroku jego rysy są ostrzejsze.

– Tak – mówię i pochylam się w stronę deski rozdzielczej, aby lepiej przyjrzeć się krajobrazowi za przednią szybą. Oczywiście pola, drzewa... kolejna krowa. Mogłam się domyślić. A wtedy dostrzegam niebo. Przyciskam nos do szyby i patrzę w gwiazdy opakowane w nieskończoną czerń, zastanawiam się nad tym, jak ich wiele i jak łatwo je dostrzec, gdy wokoło nie ma żadnych źródeł światła.

– Chcesz wysiąść i przejść się? – pyta, nadal naciskając na odpowiedź.

Podoba mi się ten pomysł, więc uśmiecham się i kiwam głową.

– Tak, myślę, że to świetny pomysł. Masz koc w bagażniku?

Zaciekawiony patrzy na mnie przez chwilę.

– Mam, trzymam go tam razem z innymi rzeczami „na wszelki wypadek”. Dlaczego pytasz?

– Wiem, że to zabrzmiało banalnie – zaczynam – ale jest coś, co zawsze chciałam zrobić. Spałeś kiedyś pod gwiazdami? – Czuję się trochę głupio, bo to wielki banał, a nic, co dotyczy Andrew, nie jest banalne.

Obdarza mnie ciepłym uśmiechem.

– Nie, nigdy nie spałem pod gwiazdami. Czy ty mnie prowokujesz, bym był romantyczny, Camryn Bennett? – Patrzy na mnie figlarnie.

– Nie! – Śmieję się. – No daj spokój, po prostu uważam, że to doskonała okazja. –

Wskazuję w kierunku szyby. – Popatrz na te wszystkie pola.

– Ale nie możemy położyć koca na polu kukurydzy czy bawełny – mówi. – Większość tych pól jest po kostki nasączona wodą.

– Nie te, gdzie pasą się krowy – mówię.

– Chcesz spać na polu z krowimi plackami? – pyta z humorem.

Śmieję się.

– Nie, tylko na trawie. No chodź... – Patrzę na niego wymownie. – Boisz się małego krowiego placka?

– Ha, ha! – Kręci głową. – Camryn, nie ma czegoś takiego jak mały krowi placek.

Przysuwam się do niego i kładę mu głowę na udach, patrzę w górę i wydymam usta.

– Proszę? – Trzepoczę rzęsami.

I bardzo staram się ignorować tę jego część, na której leży moja głowa.

ANDREW

Kurwa, totalnie topnieję, gdy tak na mnie patrzy. Jak bym jej kiedykolwiek mógł odmówić? Na kupie krowiego gówna albo pod mostem obok bezdomnego pijaka – z nią spałbym gdziekolwiek.

Ale w tym właśnie problem.

Myślę, że stało się problemem w chwili, kiedy zdecydowała się przysunąć do mnie w samochodzie. Ponieważ wtedy wszystko się zmieniło, myślę, że teraz chce ode mnie czegoś więcej niż seks oralny. Może byłem w stanie dać jej to w Birmingham, ale teraz nie mogę podarować jej więcej. Nie mogę pozwolić, by mnie dotknęła, nie mogę z nią spać.

Pragnę jej, pożądam w każdy możliwy sposób, ale nie mogę ryzykować, że złamię jej serce, to jej małe ciało to całkiem inna historia, zniósłbym ostrą jazdę. Ale jeśli kiedykolwiek ona pozwoli, bym ją miał, to złamię jej serce (sobie też).

Jest trudniej, od kiedy powiedziała mi o swoim byłym...

– Proszę – mówi po raz kolejny.

Pomimo desperacji sięgam w dół, wodzę palcem po jej twarzy i mówię bardzo łagodnie:

– W porządku.

Nigdy nie słuchałem głosu rozsądku, gdy czegoś chciałem, ale z Camryn znajduję coraz więcej powodów, bym mógł spieprzyć o wiele więcej niż zwykle.

Po kolejnych dziesięciu minutach jazdy znajdujemy pole, które wygląda na płaskie, niekończące się morze trawy, więc parkujemy na wjeździe. Jesteśmy na środku pustkowia. Wsiadamy, zamykamy drzwi, pozostawiając wszystko w aucie. Otwieram bagażnik i wyciągam wielką skrzynkę, a z niej złożony w rulon koc, który śmierdzi jak stary samochód i trochę czuć go benzyną.

– Śmierdzi – mówię, zaciągając się zapachem.

Camryn pochyla się, wącha go i marszczy nos.

– No cóż, trudno.

Też mam to gdzieś. Jestem pewien, że ona pachnie lepiej.

Nawet o tym nie myśląc, łapię ją za rękę i prowadzę przez pochyły teren. Musimy pokonać niskie ogrodzenie oddzielające od nas pole. Zaczynam się zastanawiać, jak ułatwić jej przejście na drugą stronę. Nagle wyrывa rękę z mojej dłoni i zaczyna się wdrapywać na to cholerstwo.

– Streszczaj się! – woła, kiedy w przysiadzie ląduje po drugiej stronie ogrodzenia.

Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

Przeskakuję i ląduje obok niej, po czym przemierzamy otwartą przestrzeń; ona jest jak smukła gazela, a ja jak lew goniący za nią. Słyszę, jak japonki kłapią jej na nogach, kiedy idzie, a kosmyki blond włosów powiewają wokół twarzy, kiedy rozwiewa je wiatr. Z kocem w jednej ręce podążam za nią, pozwalając, by była kilka kroków przede mną. Gdyby się potknęła, mógłbym się śmiać, a potem pomóc jej wstać. Jest bardzo ciemno, tylko księżyc oświetla krajobraz. Ale to wystarcza, aby widzieć, po czym się stąpa, żeby nie wejść w dziurę ani nie potknąć się o gałąź.

I nie widzę żadnych krów, co może oznaczać, że pole jest wolne od ich min, a to jest zdecydowanie plusem.

Odeszliśmy tak daleko od samochodu, że widać już tylko jego kawałek, raczej to odbłask od ocynkowanych felg.

– Myślę, że tu będzie dobrze – mówi Camryn i zatrzymuje się.

Najbliższe drzewa są ze trzydzieści metrów stąd w każdym kierunku.

Unosi ręce i przechyla głowę, pozwalając, by owiewał ją wiatr. Śmieje się, ma zamknięte oczy, aż boję się odezwać, by nie zniszczyć tego momentu dzikiej swobody.

Rozwijam koc i kładę go na ziemi.

– Powiedz mi prawdę – mówi, łapiąc mnie za rękę i pociągając na koc, bym z nią usiadł – nigdy wcześniej nie spędziłeś nocy z dziewczyną pod gwiazdami?

Kręcę głową.

– Poważnie nie.

Wydaje się, że jej się podoba. Patrzę na jej uśmiechniętą twarz, kiedy ona na mnie spogląda, a delikatny wiatr rozrzuca kosmyki jej włosów. Sięga, odkleja kilka od ust i zakłada za ucho, przesuwając po nich delikatnie palcami.

– Nie jestem facetem, który rozsypuje płatki róż na łóżku.

– Nie? – pyta nieco zaskoczona. – Właściwie uważam, że jesteś całkiem romantyczny.

Wzruszam ramionami. Czy ona flirtuje? Najwyraźniej tak.

– Myślę, że to zależy od twojej definicji romantyzmu – mówię. – Jeśli dziewczyna spodziewa się kolacji przy świecach i grającego w tle Michaela Boltona, to ja zdecydowanie nie jestem tym facetem.

Camryn chichocze.

– Cóż, to jest romantyczne – mówi – ale myślę, że masz własny zakres romantycznych gestów.

– Chyba tak – odpowiadam, ale nie umiem sobie żadnych przypomnieć.

Patrzy na mnie i przechyla głowę w bok.

– Jesteś jednym z tych – mówi.

– Jakich?

– Chłopaków, którzy nie rozmawiają o swoich byłych.

– Chcesz słuchać o moich byłych?

– Jasne.

Kładzie się, ma ugięte, gołe nogi i klepie koc obok siebie.

Układam się obok w tej samej pozycji.

– Opowiedz mi o swojej pierwszej miłości – prosi, a ja już czuję, że to nie jest coś,

o czym powinniśmy rozmawiać, ale jeśli chce to wiedzieć, to postaram się jak najlepiej spełnić jej oczekiwania.

Uważam, że to sprawiedliwe, ponieważ ona opowiedziała mi o swojej.

– Cóż – mówię, patrząc w usiane gwiazdami niebo – miała na imię Danielle.

– I kochałeś ją? – Camryn patrzy na mnie, nadal przechylając głowę.

Dalej gapię się w gwiazdy.

– Kochałem, ale nie było nam dane.

– Ile byliście razem?

Zastanawiam się, dlaczego chce to wiedzieć, większość dziewczyn wpadłaby w rozdrażnienie, które sprawiłoby, że musiałbym osłaniać jajka, jeśli już mówiłbym o swoich eks.

– Dwa lata – odpowiadam. – Zerwaliśmy, zaczęliśmy się rozglądać za innymi osobami i chyba zdaliśmy sobie sprawę, że nie kochamy się tak, jak nam się wcześniej wydawało.

– Albo po prostu się odkochaliście.

– Nie, chyba tak naprawdę nigdy się nie zakochaliśmy. – Tym razem patrzę na nią.

– Skąd wiesz, gdzie jest różnica? – pyta.

Myślę nad tym przez chwilę, szukając odpowiedzi w jej spojrzeniu. Kiedy oddycha, czuję, że myła zęby pastą cytrynową.

– Myślę, że nie można się w kimś odkochać – mówię i widzę, jak porusza oczami. – Myślę, że kiedy już się zakochujesz, to na całe życie. Reszta to tylko doświadczenia i urojenia.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki filozof. – Uśmiecha się. – Muszę ci powiedzieć, że to całkiem romantyczne.

Zwykle to ona się rumieni, ale najwyraźniej tym razem jest moja kolej. Staram się na nią nie patrzeć, ale przyciąga moją uwagę.

– W takim razie, czy kiedykolwiek zakochałeś się w kimś tak naprawdę? – pyta.

Prostuję nogi, krzyżuję je w kostkach i zaplatam palce na brzuchu. Patrzę w niebo i kąciakiem oka widzę, że Camryn robi to samo.

– Szczerze?

– No tak – przytakuje – jestem tylko ciekawa.

Patrzę na gromadę jasnych gwiazd i mówię:

– Cóż, w nikim.

Wymyka się jej delikatne parsknięcie.

– Och, proszę, Andrew, miałeś być szczery.

– Jestem – mówię, zerkając na nią. – Kilka razy myślałem, że jestem zakochany, ale... właściwie dlaczego o tym rozmawiamy?

Głowa Camryn opada na koc i już się nie uśmiecha.

– Bo chyba znów wykorzystuję cię jako psychologa.

Moje oczy rozszerzają się.

– Co masz na myśli?

Patrzy w dal, jej blond włosy rozsypują się wokół niej i spływają na koc.

– Ponieważ zaczynam myśleć, że może ja... Nie, nie powinnam tak myśleć. – To już nie jest wesoła, szczęśliwa Camryn, z którą tu przyszedłem.

Podnoszę się z koca i układam obok niej na łokciach. Patrzę na nią z zaciekawionym.

– Powinnaś mówić, co czujesz, zawsze, kiedy tego potrzebujesz. Może wyrzucenie tego z siebie jest tym, czego ci trzeba.

Nie patrzy na mnie.

– Ale czuję się winna, nawet myśląc o tym.

– Wina to suka, ale skoro pomyślałaś o tym, może to prawda? – Głowa opada jej na bok.
– Po prostu to powiedz. Jeśli nie zabrzmi dobrze, będziesz musiała sobie z tym poradzić, ale trzymanie tego w sobie jest gorsze, bo niepewność jest jeszcze większą suką, niż byłaby wina.

Camryn znów wpatruje się w gwiazdy. Ja też się im przypatruję, dając jej chwilę, by się zastanowiła.

– Może nie kochałam prawdziwie Iana – mówi. – Kochałam go, bardzo, ale może to nie była ta miłość... Myślę, że gdyby była, nadal powinnam być zakochana...

– To dobra obserwacja – mówię i uśmiecham się łagodnie, mając nadzieję, że ona też się uśmiechnie. Naprawdę nie znoszę, kiedy jest zmartwiona.

Ale jej twarz jest bez wyrazu, jakby zamyślona.

– A co dokładnie sprawia, że myślisz, iż to nie była prawdziwa miłość?

Patrzy na mnie, szukając odpowiedzi na mojej twarzy, po czym mówi:

– Ponieważ kiedy jestem z tobą, rzadko o nim myślę.

Opadam na plecy i gapię się w gwiazdy na czarnym niebie. Najprawdopodobniej, gdybym się postarał, mógłbym policzyć wszystkie te punkciki, ale obok mnie leży Camryn, znacznie ciekawszy obiekt niż wszystkie gwiazdy w całym kosmosie.

Będę musiał to zakończyć i to szybko.

– Cóż, jestem dość dobrym towarzyszem – mówię z humorem. – I twój śliczny tyłeczek wił się pode mną tamtej nocy, więc tak, to normalne, że więcej myślisz o mojej głowie między twoimi udami niż o wszystkim innym. – Staram się przywrócić jej dobry humor, nawet jeśli to ma oznaczać, że mi przywali, skoro łamię obietnicę o niewspominaniu o tamtej nocy.

Camryn podnosi się na łokcie i daje mi kuksańca w ramię. Śmieje się.

– Ty dupku!

Głośno się śmieję, odchylam głowę do tyłu, chociaż jest twardo przyciśnięta do koca.

A wtedy się przysuwa, podpira się na jednym łokciu i patrzy na mnie. Czuję jej miękkie włosy na moim ramieniu.

– Dlaczego mnie nie pocałowałaś? – Zaskakuje mnie tym pytaniem. – Kiedy leżałaś na mnie ostatniej nocy, nie pocałowałaś mnie. Dlaczego?

– Całowałem cię.

– Nie naprawdę – mówi, a jej usta są tak blisko, że teraz mam ochotę ją pocałować, ale tego nie robię. – Nie wiem, jak mam się z tym czuć, nie podoba mi się, jak się z tym czuję, ale nie jestem pewna, jak powinnam się czuć.

– Z tego, co wiem, nie powinnaś czuć się źle – odpowiadam najbardziej niejasno, jak tylko mogę.

– Ale dlaczego? – draży, a wyraz jej twarzy zaczyna poważnieć.

Poddaję się i przyznaję:

– Ponieważ całowanie to bardzo intymna rzecz.

Przechyla głowę.

– Nie chcesz mnie więc pocałować z tego samego powodu, z którego nie chcesz mnie przelecieć?

Natychmiast twardnieję. Mam tylko nadzieję, że tego nie zauważy.

– Tak – odpowiadam i zanim mam szansę powiedzieć cokolwiek więcej, wczługuje się na moje kolana. Cholera, jeśli do tej pory nie wiedziała, że jestem twardy jak kamień, teraz z pewnością wie. Opiera nagie kolana na kocu po moich bokach, pochyla się, wspiera na rękach, całuje mnie i mam cholerną ochotę umrzeć.

Patrzy mi prosto w oczy i mówi:

– Nie będę cię zmuszać, żebyś się ze mną przespał, ale proszę, pocałuj mnie. Tylko raz pocałuj.

– Dlaczego? – pytam.

Naprawdę powinna zejść z moich bioder. Ooo cholera... wcale nie pomaga, że mój fiut znajduje się pod jej pośladkami. Gdyby się cofnęła dosłownie o cal...

– Ponieważ chcę wiedzieć, jak to jest – szepcze mi w usta.

Moje dłonie wędrują po jej udach, odnajdują talię i tam się zaciskają. Pachnie tak cholernie dobrze. Czuję się niesamowicie, a przecież po prostu siedzi na mnie. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jakie to uczucie znaleźć się w jej wnętrzu. Ta myśl doprowadza mnie do szału.

Wtedy czuję, że się porusza, przesuwając delikatnie biodra, tylko raz, aby mnie przekonać, a potem zatrzymuje się i pozostaje w tym miejscu. Pulsuję boleśnie. Patrzy mi w oczy, a potem na usta i wszystko, czego chcę, to zerwać z niej ubranie i wejść w nią.

Przyciska wargi do moich, wodzi językiem po moich niechętnych ustach. Wysuwam leniwie język, najpierw smakując, czując ciepłą wilgoć i nasze języki zaczynają taniec. Oddycham w jej usta, nie mogąc odmówić tego jednego pocałunku, obejmuję jej twarz i delikatnie przyciskam do siebie, wpijając wargi w jej spragnione i wygłodniałe. Jęczy, a ja całuję mocniej, przesuważ jedną rękę na jej plecy i przytulając ją coraz bardziej.

I pocałunek się kończy. Nasze usta są z sobą jeszcze przez chwilę, a potem podnosi się i patrzy na mnie z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niej nie widziałem, który budzi w moim sercu nieznanne uczucia.

A potem posępnieje. Widzę, że jest speszona, zdezorientowana i zraniona, choć szybko stara się to zamaskować uśmiechem.

– Tak całując – mówi, uśmiechając się figlarnie i jeszcze głębiej ukrywając swoje zranienie – prawdopodobnie nigdy nie będziesz musiał ze mną spać.

Nic nie mogę na to poradzić, ale się śmieję. To niedorzeczne, ale pozwalam jej wierzyć, w co tylko chce.

Schodzi ze mnie i kładzie się ponownie obok, opierając tył głowy na zgiętej w łokciu ręce.

– Są piękne, prawda?

Patrzę razem z nią na gwiazdy, ale tak naprawdę ich nie widzę, ona jest wszystkim, o czym mogę myśleć, ona i ten pocałunek.

– Tak, są piękne.

Tak jak ty...

– Andrew?

– Tak?

Nadal patrzymy w niebo.

– Chciałam ci podziękować.

– Za co?

Po chwili odpowiada:

– Za wszystko: za to, że kazałeś mi wepchnąć swoje ubrania do torby bez składania, za ściszenie muzyki w samochodzie, żeby mnie nie obudziła, i za śpiewanie o rodzynkach. – Jej głowa opada na bok, więc moja robi to samo. Camryn patrzy mi w oczy i mówi: – I za sprawienie, że czuję się żywa.

Uśmiech rozgrzewa mi twarz, patrzę w dal i mówię:

– Cóż, każdy potrzebuje od czasu do czasu pomocy w powrocie do życia.

– Nie – odpowiada poważnie, a mój wzrok znów odnajduje jej oczy. – Nie mówiłam o „powrocie”, Andrew. Ty sprawiłeś, że żyję po raz pierwszy.

Jej słowa sprawiają, że serce bije mi szybciej i nie umiem odpowiedzieć. Ani też oderwać od niej wzroku. Rozum znów na mnie wrzeszczy, bym przerwał to, zanim jeszcze nie jest za późno, ale nie mogę. Jestem zbyt samolubny.

Camryn uśmiecha się delikatnie, więc odwzajemniam uśmiech, po czym oboje znów patrzymy w gwiazdy. Ciepła lipcowa noc jest odpowiednia, gdy lekki wietrzyk wieje przez otwartą przestrzeń łąki, a na niebie nie ma ani jednej chmurki. Jest tu milion świerszczy, tysięcy

żab i może kilka wróbli skrzeczących w oddali. Zawsze lubiłem słuchać odgłosów przyrody.

Ciszę nocy zagłusza nagły wrzask Camryn, po czym zrywa się z koca szybciej niż kot wrzucony do wanny.

– Wąż! – Jedną ręką wskazuje na coś, a drugą przyciska do ust. – Andrew! Jest tam! Zabij go!

Zrywam się na nogi, kiedy na końcu koca widzę coś czarnego. Odskakuję, a potem podchodzę, by to nadebrać.

– Nie, nie, nie, nie! – krzyczy i macha rękami. – Nie zabijaj go!

Mrugam zdezorientowany.

– Przed chwilą powiedziałaś, żebym zabił.

– Cóż, nie myślałam, że weźmiesz to dosłownie.

Piszczy i skacze, ma zgarbione plecy, jakby osłaniała całe ciało przed wężem, co w sumie jest śmieszne.

Unoszę ręce w geście poddania.

– Ale czego chcesz ode mnie, mam udawać, że go zabijam? – Śmieję się i kręcę głową, bo to naprawdę zabawne.

– Nie, po prostu... nie ma mowy, bym teraz tutaj zasnęła. – Łapie mnie za ramię. – Po prostu stąd chodźmy. – Trzęsie się, starając się nie śmiać i nie płakać w tym samym czasie.

– Dobra – mówię i sięgam po koc, aby go poskładać, ponieważ wąż już sobie popęzł gdzieś indziej. Trzepiemy z Camryn koc, trzymając go po obu stronach. A potem biorę ją za rękę i idziemy w stronę auta.

– Nienawidzę węży, Andrew!

– Właśnie widzę, maleńka.

Bardzo się staram nie śmiać.

Kiedy idziemy przez pole, niemal mnie ciągnie. Piszczy, kiedy jej prawie nagie stopy natrafiają na miękką ziemię, i widzę, że możemy nie dotrzeć do samochodu, zanim zemdleje.

– Chodź – mówię, zatrzymując się w pół kroku. Pociągam ją za siebie i pochylam się, by mogła mi wskoczyć na plecy. Podtrzymuję ją za tyłek, kiedy nogami oplata mnie w pasie, a ramionami za szyję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Camryn budzi mnie rano, podnosząc głowę z moich kolan. Spaliśmy na przednim siedzeniu samochodu.

– Gdzie jesteśmy? – pyta, przeciąga się, słońce wlewa się do środka auta i zatrzymuje na jej drzwiach.

– Jakieś pół godziny przed Nowym Orleanem – odpowiadam, też się przeciągając i rozmasowując ścierpnięte mięśnie karku.

Zeszłej nocy opuściliśmy pole i pojechaliśmy w kierunku Nowego Orleanu, ale byłem tak zmęczony, że niemalże zasnąłem za kierownicą.

Camryn zasnęła pierwsza, więc zjechałem na pobocze, pochyliłem głowę i odpłynąłem. Lepiej wyspałbym się sam na tylnej kanapie, ale wolałem mieć rano sztywne mięśnie, niż nie być blisko niej, kiedy się obudzi.

A mówiąc o sztywnych rzeczach...

Przecieram oczy i wstaję, by się porozciągać. I aby upewnić się, że moje spodnie są luźne z przodu, że moja twardość nie jest widoczna.

Camryn przeciąga się znowu, ziewa i wyciąga nagie stopy na desce rozdzielczej, tym ruchem sprawiając, że spodenki odsłaniają większy kawałek jej ud.

To nie jest dobry pomysł, żeby to był mój pierwszy widok o poranku.

– Musiałeś być bardzo zmęczony – mówi, wbijając palce we włosy, by poprawić warkocz.

– Jeśli spróbowałbym jechać dalej, mogliśmy skończyć owinięci wokół jakiegoś drzewa.

– Andrew, albo pozwolisz mi trochę poprowadzić, albo...

– Albo co? – Uśmiecham się do niej. – Położysz mi głowę na kolanach, będziesz prosić, żebym się zgodził?

– Wczoraj zadziało, prawda?

Ma rację.

– Słuchaj, nie mam nic przeciwko temu, żebyś prowadziła. – Zerkam na nią i odpalam silnik. – Obiecuję, że dam ci kierownicę po Nowym Orleanie, gdziekolwiek pojedziemy, pozwolę ci prowadzić przez chwilę, dobrze?

Słodki, wyrozumiały uśmiech wypływa na jej twarz.

Przejeżdża SUV i za nim włączam się do ruchu, Camryn nadal rozplata włosy. A potem zaczyna splatać je w ciasny warkocz, szybko i bez patrzenia, co powoduje moje zdziwienie.

Chociaż mój wzrok znów ląduje na jej nagich udach.

Naprawdę muszę przestać tam patrzeć.

Odwracam się i spoglądam przez boczną szybkę, a potem znów przez przednią szybę.

– Musimy niedługo znaleźć pralnię – mówi, umieszczając gumkę na końcu warkocza. – Kończą mi się czyste ciuchy.

Musiałem poczekać na okazję, by się „poprawić”. Zrobiłem to, gdy szukała czegoś w torebce.

– Czy to prawda? – Patrzy na mnie z jedną ręką nadal w torebce. Zabieram rękę z nogi, robiąc to nonszalancko, żeby wyglądało, jakbym jedynie poprawiał spodnie, a ona kontynuuje: – Że wszyscy faceci mają codziennie poranną stójkę?

Wytrzeszczam oczy. Po prostu gapię się przed siebie.

– Nie każdego poranka – mówię, starając się nie patrzeć w jej stronę.

– Tylko we wtorki i piątki?

Wiem, że żartuje, ale i tak nie mogę się zmusić do odpowiedzi.

– Chyba dzisiaj mamy wtorek albo piątek, co? – dodaje, drwiąc ze mnie.

W końcu na nią patrzę.

– Tak, jest piątek – mówię wprost.

Wzdycha.

– Nie jestem zdzirą – mówi, zabierając nogi z deski rozdzielczej. – I jestem pewna, że tak nie myślisz, ponieważ to ty nalegałeś, bym była bardziej otwarta w sprawie swojej seksualności, ale chcę... – Jej głos się załamuje. Jakby czekała na potwierdzenie, że zgadzam się z tym, co przed chwilą powiedziała, jakby nadal martwiła się o to, co o niej myślę.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Nie, nie pomyślałbym, że jesteś zdzirą, chyba że pieprzyłabyś się z całą masą facetów, po czym ja znalazłbym się w więzieniu, ponieważ musiałbym ich stłuc na miazgę, więc dlaczego tak twierdzisz?

Rumieni się i przysięgam, że jej ramiona prawie dotykają policzków.

– Cóż, tak sobie myślałam... – Nadal nie jest pewna, czy chce to powiedzieć, bez względu na to, co to jest.

– Co ja ci mówiłem, maleńka? Po prostu powiedz, co ci chodzi po głowie.

Pochyla głowę i łagodnie na mnie patrzy.

– Cóż, ponieważ ty zrobiłeś coś dla mnie, pomyślałam, że ja mogłabym coś zrobić dla ciebie. – Zmienia się jej głos, jakby nadal martwiła się, co o niej pomyśle. – To znaczy oczywiście bez żadnych zobowiązań. Jakby to nigdy się nie zdarzyło.

Ach, cholera! Dlaczego nie zauważyłem, że ona do tego dąży?

– Nie – mówię bezceremonialnie.

Camryn się wzdryga.

– Nie mogę pozwolić, byś zrobiła dla mnie coś takiego, OK?

– A dlaczego, do diabła, nie?

– Bo po prostu nie mogę... Boże, nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał, ale nie mogę.

– To głupie.

Zaczyna się złościć.

– Czekaj... – Patrzy na mnie pytająco i przechyla głowę pod kątem. – Ty masz tam jakiś „problem”?

Opada mi szczęka.

– Hmm, nie – mówię z szeroko otwartymi oczami. – Cholera, wyciągnę i ci pokażę.

Odrzuca głowę w tył i mocno się śmieje, po czym na powrót poważnieje:

– Nie chcesz uprawiać ze mną seksu, nie chcesz, bym ci zrobiła dobrze, i musiałam cię zmusić, byś mnie pocałował.

– Wcale mnie nie zmusiłaś.

– Tak, chyba tak – mówi. – Uwiodłam cię.

– Pocałowałem cię, bo tego chciałem – mówię. – Chciałbym zrobić z tobą wszystko, Camryn. Zaufaj mi! W ciągu kilku dni spędzonych z tobą wymyśliłem więcej pozycji niż jest

w „Kamasutrze”. Chciałem... – Tak mocno ściskam kierownicę, że aż zbieleły mi kostki.

Patrzy na mnie zraniona, ale tym razem nie łamię się.

– Mówiłem ci – kontynuuję ostrożnie – nie mogę robić z tobą nic takiego albo...

– Albo będę musiała się stać twoją własnością – gniewnie kończy moją wypowiedź – pamiętam, co powiedziałaś, ale co dokładnie oznacza bycie twoją własnością?

Myślę, że dokładnie wie, co to znaczy, ale chce się upewnić.

Czekajcie... ona ze mną pogrywa – albo to, albo nadal nie wie, czego chce, zarówno, jeśli chodzi o seks, jak i o wszystko inne, i jest tak samo zdezorientowana i niechętna jak ja.

CAMRYN

Zdał mój test. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie chcę uprawiać z nim seksu albo zadowolić go w inny sposób, jak zrobił to mnie, och, chcę robić to wszystko z nim. Ale naprawdę chciałam sprawdzić, czy połknie haczyk. Jednak nie połknął.

A teraz jestem tym przerażona.

Przeraża mnie to, co czuję do niego. Nie powinnam czuć się w ten sposób, a jednak tak jest i nienawidzę się za to.

Powiedziałam, że nigdy tego nie zrobię. Obiecałam sobie, że nigdy więcej...

Próbując przywrócić między nami beztroską normalność, uśmiecham się do niego. Wszystko, czego chcę, to powrotu do rozmowy sprzed tego, kiedy złożyłam mu ofertę, z wyjątkiem wiedzy na temat tego, że Andrew Parrish szanuje mnie i pożąda na tak wiele sposobów, że nie sądzę, bym mogła to spełnić.

Opieram stopy na skórzanym siedzeniu i przyciągam kolana do brody. Nie chcę, żeby odpowiadał na moje ostatnie pytanie. Mam nadzieję, że o nim zapomni. Już i tak wiem, co to znaczy, że będę musiała się stać jego własnością, a przynajmniej tak mi się wydaje: oddanie mu się oznacza bycie z nim w taki sposób, w jaki byłam z Ianem. Tylko że moje serce zaczyna wierzyć, że w Andrew zakochałabym się naprawdę, wpadłabym po uszy w prawdziwą miłość. Mogłabym z taką łatwością. Już nie mogę znieść myśli, że mogę być z dala od niego. W moich snach już i tak jego twarz zastąpiła inne. I boję się chwili, gdy nasza podróż dobiega końca, a on wraca do Galveston albo do Wyoming i zostawia mnie samą...

Dlaczego to mnie przeraża? I skąd nagle to uczucie paniki?

– Przepraszam, maleńka, naprawdę mi przykro. Nie chciałem cię zranić.

Patrzę na niego, a potem szybko kręcę głową.

– Nie zraniłeś mnie. Proszę, nie myśl, że mnie zraniłeś. – A po chwili kontynuuję: – Andrew, prawda jest taka... – Biorę głęboki wdech. On ma kłopoty ze skoncentrowaniem się na drodze. – Prawda jest taka, że ja... cóż, po pierwsze, nie będę kłamać i nie powiem, że zaspokojenie ciebie nie jest czymś, czego bym nie zrobiła, bo zrobiłabym to. Ale chcę też, żebyś wiedział, iż cieszę się, że mi odmówiłeś.

Myślę, że on to rozumie. Mogę to wyczytać z jego twarzy.

Uśmiecha się delikatnie i wyciąga do mnie dłoń. Łapię ją i przysuwam się do niego, by mógł mnie objąć. Unoszę brodę, żeby na niego patrzeć, i kładę mu rękę na udzie.

On jest taki piękny...

– Przerażasz mnie – mówię w końcu.

Moje oświadczenie wywołuje w jego oczach słabą reakcję.

– Musisz zrozumieć, że obiecałam sobie, iż nigdy tego nie zrobię. Przynależałam, że nigdy więcej się do nikogo nie zbliżę.

Czuję, jak jego mięśnie tężą wokół mnie, a serce przyspiesza, ten tętent ściska mi gardło.

A potem uśmiech wślizguje się na jego usta i mówi:

– Zakochałaś się we mnie, Camryn Bennett?

Rumienię się gwałtownie i zaciskam usta w wąską linię, dociskając jeszcze mocniej twarz do jego ciała.

– Jeszcze nie – odpowiadam, a uśmiech barwi mi głos – ale jestem blisko.

– Ale pieprzysz głupoty – mówi, ściskając mnie trochę mocniej. A potem całuje w czubek głowy.

– Tak, wiem – mówię tym samym żartobliwym tonem co on, a potem mój głos się łamie: – Wiem...

Pierwszy raz krajobraz zmienia się nad jeziorem Pontchartrain. Pojawia się niska zabudowa domków i kamienic, które przechodzą w Nowy Orlean. Rozpoznaję je, ponieważ w każdych wiadomościach pokazywano zdjęcia po przejściu huraganu Katrina, Oglądam stare, gigantyczne dęby, imponujące i piękne, i patrzę na tłumy ludzi, głównie turystów, przemierzających French Quarter.

Jestem zahipnotyzowana znanymi balkonami, które ciągną się przez całą długość budynków. Wyglądają dokładnie jak w telewizji, tylko że wokoło nie ma parady z okazji Mardi Gras i nikt nie wystawia gołych cycków i nie sypie koralików.

Andrew śmieje się ze mnie, z mojego podekscytowania tym, że tu jestem.

– Już je kocham – mówię, wierząc się obok niego, przyklejając nos do szyby i oglądając wszystko dokładnie przez ostatnie kilka minut.

– To świetne miasto – mówi z dumą, zastanawiam się, jakie ma z tym miejscem wspomnienia. – Staram się tu przyjeżdżać co roku – mówi – zazwyczaj w Mardi Gras, ale myślę, że każda pora jest dobra.

– Och, znaczy, że zazwyczaj przyjeżdżasz, kiedy są cycki. – Mrużę oczy, patrząc na niego.

– Winny! – przyznaje, odrywając ręce od kierownicy i podnosząc je w geście kapitulacji.

Meldujemy się w dwóch pokojach w Holiday Inn, niedaleko słynnej Bourbon Street. Prawie mu powiedziałam, żeby tym razem wziął jeden pokój z dwoma łózkami, ale sama siebie powstrzymałam. *Nie, Camryn, to po prostu pożądanie. Nie pakuj się z nim do jednego pokoju, zatrzymaj to, póki możesz.*

Kiedy staliśmy obok siebie przy kontuarze, a recepcjonista zapytał, jak może nam pomóc, Andrew przez chwilę milczał, a ja dziwnie się poczułam. Ale skończyło się na pokojach obok siebie, jak zawsze.

Poszłam do swojego, a on do swojego. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, wkładając karty w zamki.

– Muszę wskoczyć pod prysznic – mówi Andrew, trzymając w jednej ręce gitarę – a kiedy będziesz gotowa, po prostu przyjdź i daj mi znać.

Kiwam głową i uśmiechamy się do siebie, zanim znikamy w swoich pokojach.

Nie mija pięć minut, gdy słyszę telefon wibrujący mi w torebce. Jestem pewna, że to mama. Jeśli odbiorę, będę musiała udawać, że słucham, przekonywać, że żyję i dobrze się bawię. Mimo to wyjmuję telefon i stwierdzam, że to nie ona.

To Natalie.

Ręka, w której trzymam telefon, nieruchomieje. Wpatruję się w migający ekran. Powinam odebrać czy nie? Cóż, lepiej szybko sprawdzić, o co chodzi.

– Halo?

– Cam? – pyta Natalie drżącym głosem. Nie umiem znaleźć słów. Tyle czasu minęło, że nie wiem, czy mam udawać obrażoną, czy być miłą. – Jesteś tam? – pyta, gdy dłuższą chwilę się nie odzywam.

– Tak, Nat, jestem.

Natalie wzdycha i jest to ten jęczący dźwięk, który wydaje, kiedy jest zdenerwowana czymś, co ma zrobić czy powiedzieć.

– Jestem totalnie głupią zdzirą – mówi. – Wiem o tym i jestem potworną przyjaciółką i powinnam cię teraz całować po stopach i prosić o wybaczenie, ale ja... cóż, taki był plan, ale twoja mama powiedziała, że jesteś w... Wirginii? Co, do diabła, robisz w Wirginii?

Opadam na łóżko i zrzucam klapki.

– Nie jestem w Wirginii – mówię – ale nie mów mamie ani nikomu innemu.

– Gdzie więc jesteś? Gdzie można być przez cały tydzień?

Wow, minął dopiero tydzień? Mam wrażenie, że jestem w drodze z Andrew przynajmniej od miesiąca.

– Jestem w Nowym Orleanie, ale to dość długa opowieść.

– Hmm, cóż, helo! – mówi z sarkazmem. – Ja mam dużo czasu.

Zirytowała mnie, więc wzdycham i mówię:

– Natalie, to ty do mnie dzwonicz. I jeśli dobrze pamiętam, to ty mnie nazwałaś kłamliwą suką i nie uwierzyłaś mi, kiedy opowiadałam, co zrobił Damon. Przykro mi, ale nie uważam, żeby wskoczenie w objęcia najlepszej przyjaciółki i udawanie, że nic się nie stało, było w tej chwili najlepszym pomysłem.

– Wiem, że masz rację, i przepraszam. – Przerywa, by zebrać myśli, słyszę, że otwiera puszkę napoju. Pije. – To nie tak, że ci nie uwierzyłam, Cam, to naprawdę zabolalo. Damon to dupek. Rzuciłam go.

– Dlaczego? Bo złapałaś go na zdradzie, zamiast uwierzyć mówiącej prawdę przyjaciółce, która starała się powiedzieć ci, że ten koleś jest świnią?

– Zasłużyłam sobie – mówi – ale nie, nie złapałam go na zdradzie. Tylko zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy: że tęsknię za najlepszą przyjaciółką i że złamałam przepisy Kodeksu Najlepszych Przyjaciółek. W końcu porozmawiałam z nim o tym i oczywiście kłamał, ale ja męczyłam go, by się przyznał. Nie to, że potrzebowałam od niego potwierdzenia, ale Cam... po prostu chciałam, żeby powiedział mi prawdę. Chciałam, żeby to wyszło od niego.

Słyszę ból w jej głosie. Wiem, że mówi to, co czuje, i zamierzam jej przebaczyć, ale jeszcze nie chcę pokazać jej, że przebaczyłam, i nie chcę opowiadać o Andrew. Nie wiem, o co chodzi, ale czuję, że w moim świecie istnieje tylko jedna osoba i jest nią Andrew. Całym sercem kocham Natalie, ale jeszcze nie jestem gotowa, by jej o tym powiedzieć. Tak samo jak nie jestem gotowa dzielić się nim z nią. Jeśli można tak powiedzieć, ona ma... same tandetne odzywki.

– Słuchaj, Nat – mówię. – Nie nienawidzę cię i chcę ci wybaczyć, ale musi upłynąć trochę czasu. Naprawdę mnie zraniłaś.

– Rozumiem – mówi, ale słyszę rozczarowanie w jej głosie. Natalie zawsze była niecierpliwa. – No cóż, a u ciebie dobrze? – pyta. – Nie umiem zrozumieć, dlaczego spośród wszystkich miejsc na ucieczkę wybrałaś Nowy Orlean i to w porze huraganów.

Słyszę prysznic w pokoju Andrew.

– U mnie wszystko świetnie – mówię, myśląc o Andrew. – Szczerze, Nat, nigdy nie czułam się bardziej żywa i szczęśliwa jak w tym tygodniu.

– O mój Boże... Chodzi o faceta! Jesteś tam z facetem, prawda? Camryn Marybeth Bennett, ty złośliwa suko, natychmiast mi o tym opowiedz! – Właśnie to mam na myśli, wspominając o jej tandetnych odzywkach. – Jak on ma na imię? – Wzdycha głęboko, jakby tajemnica działania wszechświata znalazła się u jej stóp. – Spałaś z nim? Jest przystojny?

– Natalie, proszę. – Zamykam oczy i staram się, żebyśmy rozmawiały jak dorosłe, a nie jak gimnazjalistki. – Nie będę teraz o tym mówić, w porządku? Daj mi kilka dni. Zadzwoń do ciebie i zdam relację, ale proszę...

– Dobra, wchodzę w to! – mówi, zgadzając się, ale nie zauważa, że prosiłam ją o wyhamowanie entuzjazmu. – Bylebyś mnie tylko nie nienawidziła i żebyś dobrze się bawiła i będzie w porządku.

– Dziękuję.

W końcu poważnieje i przestaje świntuszyć.

– Naprawdę mi przykro, Cam, nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wiem. Wierzę ci. Kiedy później do ciebie zadzwonię, będziesz mogła mi opowiedzieć, co stało się z Damonem. Jeśli oczywiście będziesz chciała.

– Dobra – mówi – jasne.

– Odezwę się później... i Nat?

– Tak?

– Naprawdę się cieszę, że zadzwoniłaś. Tęskniłam.

– Ja też.

Rozłączamy się i przez chwilę gapię się w telefon, aż moje myśli na temat Natalie zmieniają się w myśli na temat Andrew. Tak jak mówiłam, wszystkie osoby w mojej głowie,

w moich snach i marzeniach mają twarz Andrew.

Biorę prysznic i wkładam jeansy, które nadal nie były prane, ale nie śmierdzą, więc chyba nadają się do noszenia. Ale jeśli wkrótce nie znajdziemy pralni, to będę musiała kupić coś nowego. Teraz niezwykle się cieszę, że spakowałam dwanaście par czystych majtek.

Staram się pomalować jak zwykle, ale w połowie makijażu zamieram i z rękami opartymi na umywalce gapię się na swoje lustrzane odbicie, zastanawiając się, co widzi we mnie Andrew. Przecież widział moje najgorsze oblicze: bez makijażu, z workami pod oczami, z brzydkim oddechem, rozwianymi i mokrymi włosami. Uśmiecham się, kiedy obraz tej nędznej mnie samej staje mi przed oczami. A potem widzę oczami wyobraźni, jak stoi za mną, całuje mnie po szyi i oplata ramionami, wciskając palce między żebra.

I wtedy pukanie do drzwi wrywa mnie z marzenia.

– Gotowa? – pyta Andrew, kiedy otwieram drzwi.

Wchodzi do pokoju.

– A tak w ogóle to gdzie idziemy? – pytam, wracając do łazienki, gdzie kończę makijaż. – I potrzebuję czystych ciuchów. Poważnie.

Staje za mną i przeżywam szok, ponieważ jest jak w marzeniu sprzed chwili. Zaczynam nakładać tusz do rzęs, pochylając się nad umywalką, żeby być bliżej lustra. Nakładam go na prawe oko, a lewym zezuję na Andrew, który podziwia mój tyłek. Wcale się z tym nie kryje. Chce, żebym widziała, jaki jest niegrzeczny. Przewracam oczami i nakładam mascarę na drugie oko.

– Na dwunastym piętrze jest pralnia – mówi.

Kładzie ręce na moich biodrach i patrzy w lustro, ma diabelski uśmiezek, który próbuje zamaskować przygryzaniem dolnej wargi.

Odwracam się.

– Zatem to pierwsze miejsce, które odwiedzimy – mówię.

– Co? – Patrzy rozczarowany. – Nie. Chcę pójść do miasta, poszpendać się, wypić kilka piw, posłuchać muzyki. Nie chcę iść do pralni.

– Och, przestań jęczeć – mówię, odwracam się do lustra i grzebię w torebce w poszukiwaniu błyszczyka. – Nawet nie ma drugiej. Chyba nie jesteś jednym z tych facetów, którzy piją piwo do śniadania, co?

Wzdryga się i przyciska dłoń do serca, udając, że cierpi.

– Absolutnie nie! Czekam przynajmniej do lunchu.

Kręcę głową i wypycham go z łazienki. Szczyrzy zęby, pokazuje dołeczki i w ogóle, a potem zamykam za nim drzwi.

– Za co to? – pyta zza drzwi.

– Muszę siku!

– Przecież bym nie patrzył.

– Idź po brudne ubrania, Andrew!

– Ale...

– Teraz! Albo nigdzie później nie pójdziemy.

Mogę sobie wyobrazić, jak wydyma wargi, ale on oczywiście tego nie robi. On się szczyrzy za tymi cholernymi drzwiami.

– Dobra! – mówi i słyszę, jak otwiera drzwi, po czym zamyka je za sobą, a wtedy zbieram brudne rzeczy i wskakuję w klapki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Najpierw robimy pranie i wszystkie rzeczy po wyjęciu z suszarki składam przed włożeniem do plecaka i torby. Andrew stara się protestować, ale tym razem robię to po swojemu. Potem idziemy do miasta i Andrew oprowadza mnie wszędzie, wstępujemy nawet na cmentarz St. Louis, gdzie grobowce są nad ziemią i nie przypominają niczego, co widywałam wcześniej. Cały czas rozmawiamy, idąc Canal Street ku World Trade Center, gdzie możemy znaleźć niezbędny nam Starbucks. Zabieramy kawę i znów gadamy w nieskończoność, aż wreszcie mówię mu, że dzwoniła Natalie. A potem rozmawiamy o niej i o Damonie, do którego Andrew czuje niechęć.

Później przechodzimy obok Steak House. Andrew namawia mnie, byśmy się zatrzymali, przypominając mi umowę zawartą w autobusie. Ale ja nie mam najmniejszej ochoty na jedzenie i próbuję wyjaśnić jęczącemu za stekami Andrew, że musiałabym być bardzo głodna, żeby zjeść całą porcję.

Znajdujemy centrum handlowe Canal Place i jestem podekscytowana, ponieważ noszę te same ciuchy od tygodnia i z chęcią coś sobie kupię.

– Ale dopiero robiliśmy pranie – protestuje Andrew, kiedy kieruję się do środka. – Po co ci nowe rzeczy?

Przekładam torebkę na drugie ramię i ciągnę go za łokieć.

– Jeśli mamy wieczorem wyjść – mówię, ciągnąc go za sobą – muszę znaleźć coś ładnego, w czym będę przyzwoicie wyglądać.

– Ale to, co masz na sobie, jest ładne jak cholera – zaczyna się spierać.

– Chcę kupić nowe jeansy i top. – Zatrzymuję się i patrzę na niego. – Pomożesz mi wybrać.

To przykuwa jego uwagę.

– Dobra – mówi z uśmiechem.

Znów go ciągnę.

– Ale nie rób sobie wielkich nadziei – szarpnię go coraz mocniej – bo powiedziałam, że pomożesz, a nie, że wybierzesz za mnie.

– Myślę, że już dzisiaj zbyt wiele razy postawiłaś na swoim – mówi. – Musisz wiedzieć, maleńka, że pozwalałam ci na tak wiele, zanim zacznę grać własnymi kartami.

– A wydaje ci się, że jakie masz karty? – pytam, bo uważam, że blefuje.

Wydyma wargi, a moja pewność siebie zaczyna się ulatniać.

– Przypomnij sobie – mówi – nadal musisz robić to, co ci powiem. – Uśmiecha się i tym razem to on mnie pociąga za ramię. – A skoro raz już mnie do siebie dopuściłaś – dodaje, a moje oczy robią się coraz większe – pomyślałam, że mógłbym ci kazać się położyć na plecach i rozłożyć nogi, a ty musiałabyś posłuchać, prawda?

Ledwie mogę się rozejrzeć, aby sprawdzić, czy nikt nie słyszał tego, co powiedział. Andrew właściwie nie szeptał, ale nawet bym się tego nie spodziewała.

A potem spowalnia nasz marsz, pochyła się do mojego ucha i mówi cicho:

– Jeśli wkrótce nie zgodzisz się na coś łatwego, co zaproponuję, to będę cię musiał torturować językiem między udami. – Jego ciepły oddech na moim uchu w połączeniu z wywołującymi wilgoć słowami sprawia, że mam gęsią skórę na całym ciele. – Twój ruch, maleńka.

Odsuwam się i mam ochotę przywalić mu, by przestał się tak uśmiechać, ale prawdopodobnie to by mu się tylko spodobało.

Dylemat? Zgodzić się na coś prostego czy pozwolić mu się potorturować? Hmm, chyba jest we mnie więcej masochistki, niż myślałam.

Zapada zmierzch i jestem gotowa na nasz wieczór. Mam na sobie parę nowych rurek, czarny top bez ramiączek, dość obcisły w talii i najfajniejsze czarne szpileczki, jakie kiedykolwiek znalazłam w centrum handlowym.

Andrew stoi w drzwiach i cmoka.

– Powinienem teraz zagrać swoimi kartami – mówi, wchodząc do mojego pokoju.

Tym razem włosy zaplotłam w dwa luźne warkocze, które spływają mi na ramiona i zatrzymują tuż nad piersiami. Zawsze zostawiam kilka luźnych pasm wokół twarzy, bo podoba mi się to u innych dziewczyn.

Wydaje się, że podobam się Andrew. Wyciąga rękę i przesuwa palcami po jednym z kosmyków.

Rumienię się.

– Maleńka, no bez jaj, zajebicie wyglądasz...

– Dzięki... – *O mój Boże, czy ja właśnie... zachichotałam?*

Widzę, że ubrał jeansy, czarny podkoszulek i martensy i, cholera, jest najseksowniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziałam, bez względu na to, co na siebie włoży.

W windzie zwraca na mnie uwagę kilku starszych facetów. Widzę, że Andrew się to

podoba. Promienieje, idąc obok mnie, co sprawia, że znów się rumienię.

Najpierw idziemy do baru i przez godzinę słuchamy muzyki. Kiedy zostaję wylegitymowana i nie dostaję drinka, Andrew zabiera mnie do następnego baru.

– Chybił, trafił – mówi, kiedy zmierzamy ku pierwszemu lepszemu. – W większości będą chcieli cię wylegitymować, ale od czasu do czasu możesz mieć szczęście, bo nie zawsze ich to obchodzi, jeśli wyglądasz na dwadzieścia jeden lat.

– Cóż, dwadzieścia jeden będę miała już za pięć miesięcy – mówię, chwytając go za rękę, kiedy przechodzimy przez ruchliwe skrzyżowanie.

– Kiedy cię zobaczyłem w autobusie, obawiałem się, że masz siedemnaście.

– Siedemnaście? – Miałam cholerną nadzieję, że nie wyglądam aż tak młodo.

– Hej – mówi, zerkając na mnie – widywałem piętnastolatki wyglądające jak dwudziestki, ostatnio trudno cokolwiek stwierdzić.

– Myślisz zatem, że wyglądam jak siedemnastolatka?

– Nie, wyglądasz mniej więcej na dwudziestolatkę – przyznaje – tak tylko mówię.

Co za ulga.

Ten bar jest mniejszy niż poprzedni, a klientami są głównie ludzie świeżo po studiach i tacy około trzydziestki. Z tyłu ustawiono kilka stołów bilardowych, nad którymi świeci mocniejsze światło, a po mojej prawej stronie jest korytarz prowadzący do toalet. Atmosfera jest gęsta od dymu papierosowego, ale za bardzo mi to nie przeszkadza. Nie lubię dymu, ale w barach jest to normalne. Bez tego byłoby dziwnie.

Znajoma piosenka rockowa sączy się z głośników w suficie. Po lewej jest mała scena, na której zazwyczaj grają zespoły, ale dziś nikt nie występuje. To nie psuje imprezowej atmosfery tego miejsca i ledwie słyszę, co mówi Andrew, bo zagłusza go muzyka i gwar toczących się wokół nas rozmów.

– Umiesz grać w bilard? – Pochyla się i niemal wrzeszczy mi do ucha.

Odkrzykuję:

– Grałam kilka razy, ale jestem kiepska!

Pociąga mnie za rękę i idziemy w stronę stołów bilardowych i jaśniejszego światła, przepychając się ostrożnie pomiędzy ludźmi, którzy zajmują każdą dostępną przestrzeń.

– Siadaj tutaj – mówi, gdyż jest w stanie ściszyć nieco głos – ten stolik będzie nasz.

Siadam przy małym okrągłym stoliku przyciśniętym do ściany, zaraz obok schodów prowadzących na drugie piętro. Kiedy przechodzi kelnerka, przesuвам pełną popielniczkę na koniec stołu, z dala od siebie.

Andrew gada z facetem przy stołach bilardowych, prawdopodobnie negocjuje przyłączenie się do gry.

– Przepraszam za to – mówi kelnerka, zabierając popielniczkę i zastępując ją świeżą. Przeciera mokrą ściereczką stolik, przesuując popielniczkę, aby pod nią również wytrzeć.

Uśmiecham się do niej. Jest ładną czarnowłosą dziewczyną, która prawdopodobnie sama niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat.

– Podać coś?

Mam tylko jedną szansę, by udawać, że zwykle zamawiam alkohol bez pokazywania dokumentów, więc szybko podejmuję decyzję i mówię:

– Poproszę heinekena.

– Niech będą dwa – mówi Andrew, podchodząc z tyłu z kijem bilardowym w dłoni.

Kelnerka w pierwszej chwili nie zwraca na niego uwagi. Potem jednak uważnie mierzy go wzrokiem i taksuje jak faceci w hotelu mnie, a ja cieszę się z tego. Kiwa potwierdzająco głową i zanim odchodzi, patrzy na mnie spojrzeniem w stylu „ale masz, suko, szczęście”.

– Ci faceci będą grali jeszcze raz i potem dostaniemy stół – mówi, siadając przy mnie.

Kelnerka wraca z dwoma heinekenami i stawia je przed nami.

– Pomachajcie, jeżeli będziecie czegoś potrzebować – informuje i znika.

– Nie wylegitymowała cię – mówi Andrew, pochylając się nad stołem, żeby nikt nas nie usłyszał.

– Nie, ale to nie oznacza, że wkrótce nie zostanę wylegitymowana, raz mi się to zdarzyło w barze w Charlotte, Natalie i ja już prawie się upiliśmy, gdy nas poprosili o dokumenty i wyrzucili z lokalu.

– Cóż, więc ciesz się tym, póki możesz. – Uśmiecha się, podnosząc piwo do ust.

Robię to samo.

Zaczynam żałować, że wzięłam torebkę, bo teraz muszę jej pilnować, ale kiedy przychodzi nasza kolej na grę w bilard, po prostu kładę ją pod stolikiem. Jesteśmy w małej wnęce, więc nie martwię się o nią.

Andrew ciągnie mnie do stojaka z kijami.

– Proszę bardzo – mówi, machając rękami przed stojakiem. – Wybierz jeden, taki, który ci najlepiej odpowiada.

Och, zanosi się na niezłą zabawę. On chyba rzeczywiście uważa, że czegoś mnie nauczy.

Gram przestraszona i przejęta, przypatruję się kijom, jakby były książkami na półce, po czym decyduję się na jeden. Przejeżdżam po nim dłonią i trzymam tak, jakbym chciała uderzyć bilę, żeby dobrze go wyczuć. Wiem, że wyglądam teraz jak prawdziwa blondynka, ale dokładnie tak chcę wyglądać.

– Ten chyba może być – mówię, wzruszając ramionami.

Andrew układa na stole trójkąt, wkłada do niego bile i obchodzi stół dookoła, ustawiając wszystko na środku. Ostrożnie zdejmuje trójkąt z bil i umieszcza go na haczyku pod stołem.

Kiwa głową.

– Chcesz rozbić?

– Nie, ty rozbij.

Ja chcę tylko popatrzeć, jak seksownie wygląda, gdy pochyla się nad stołem i koncentruje.

– Dobra – mówi i ustawia bilę. Spędza kilka sekund na smarowaniu końca kija kredą, po czym odkłada ją na bok. – Jeśli już kiedyś grałeś – mówi, wycofując się na poprzednią pozycję – to jestem pewny, że znasz podstawowe zasady. – Wskazuje kijem białą bilę. – Oczywiście uderzasz tylko w białą.

To jest dość śmieszne, ale pozwalam mu kontynuować.

Kiwam głową.

– Jeśli wybierasz pasiaste bile, to tylko je starasz się umieszczać w luzach, umieść tam pełną, a tylko pomożesz mi wygrać.

– A co z czarną? – Wskazuję na tę z ósemką na środku.

– Jeśli wbijesz ją przed wszystkimi swoimi pasiastymi – mówi z uśmiechem – przegrywasz. A jeśli wbijesz do luzy białą, tracisz swoją kolejkę.

– I to wszystko? – pytam, nacierając kredą końcówkę własnego kija.

– Na razie – mówi. Mam wrażenie, że nie informuje mnie o kilku podstawowych zasadach.

Andrew odchodzi kilka kroków, po czym pochyla się nad stołem, opierając palce na zielonym filcu i umieszczając kij na zakrzywionym palcu wskazującym. Przed uderzeniem kilka razy porusza kijem w tył i przód, zatrzymuje się i uderza w białą bilę, rozbijając pozostałe na całym stole.

Dobre rozbicie, skarbie, kibicuję w myślach.

Do luz wpadają dwie, pełna i pasiasta.

– I co teraz? – pyta.

– I co teraz? – Dalej zgrywam idiotkę.

– Wybierasz pełne czy połówki?

– Och – mówię, jakbym dopiero na to wpadła – wszystko jedno, podobają mi się te w paski.

Gramy według uproszczonych zasad, ale jestem pewna, że chciał mi po prostu ułatwić zadanie.

Przychodzi moja kolej i obchodzę stół, szukając idealnego strzału.

– Mówimy, gdzie mają polecieć, czy nie?

Andrew patrzy na mnie z zaciekawieniem – może powinnam powiedzieć coś w stylu: „Czy mogę uderzyć, którą chcę, z moich pasiastych?”.

– Po prostu wybierz i uderz, żeby wpadła.

Dobra, nadal go wkręcam.

– Czekaj, a nie powinniśmy się najpierw o coś założyć? – pytam.

Wygląda na zdziwionego, a potem zdziwienie przeradza się w przebiegłość.

– Jasne. O co chcesz się założyć?

– O odzyskanie mojej wolności.

Andrew chrząka. A potem jego usta znów wyginają się w chytry uśmiezek, ponieważ przypomina sobie, że nie umiem grać w bilard.

– Cóż, trochę mnie ranisz, chcąc ją odzyskać – mówi, podrzucając kilkakrotnie kij w rękach i odbijając go od podłogi. – Ale oczywiście, mogę się o to założyć. – I kiedy już myślę, że nasz zakład zostaje zawarty, unosi palec i dodaje: – Jednakże jeśli wygram, przeniesiemy to,

że robisz, co ci każe, na nowy poziom.

Unoszę brwi.

– Jaki nowy poziom? – pytam, zerkając z ukosa.

Andrew opiera kij i dłonie na krawędzi stołu, jest znakomicie oświetlony. Jego zuchwały uśmiezek wywołuje dreszcz na moich plecach.

– Zakład czy nie? – pyta.

Jestem dość pewna, że uda mi się go pokonać, ale teraz to on mnie lekko przeraża. A co jeśli jest lepszy ode mnie i przegram, i skończę, jedząc robaki albo wystawiając goły tyłek z pędzącego samochodu? Od tego typu rzeczy chciałabym go powstrzymać, żeby mnie do niech nie zmusił, bo pamiętam, iż powiedział, że do tego dojdziemy. Oczywiście, zawsze mogę odmówić, zapewnił mnie o tym przed wyjazdem z Wyoming, ale mimo wszystko nie chcę się z nim kłócić.

Albo czekajcie... co jeśli to ma podłoże erotyczne?

Och, przecież o to mu chodzi... prawie chcę, żeby wygrał.

– Zakład.

Uśmiecha się chytrze i odsuwa od stołu, zabierając swój kij.

Kilku facetów i dwie dziewczyny przy stole obok skończyło grę i właśnie się nam przyglądają.

Pochylam się nad stołem, przymierzając kijem w taki sam sposób, jak robił to Andrew, po czym uderzam w białą bilę, która pędzi ku centrum. Jedenastka uderza w piętnastkę, a piętnastka w dziesiątkę, rozsyłając je do bocznych luz.

Andrew tylko na mnie patrzy, jego kij stoi pionowo przed nim.

Unosi brew.

– Czy to szczęście początkującego czy zostałem wkręcony?

Uśmiecham się i przechodzę na drugą stronę stołu, by oddać kolejny strzał. Nie odpowiadam, tylko uśmiecham się i patrzę na stół. Celowo wybieram strzał możliwy do wykonania jak najbliżej Andrew, pochylam się przed nim (najpierw upewniając się, że faceci naprzeciw nie mają pełnego wglądu w mój dekolt) i uderzam mocno, po czym dziewiątka wpada ostro do luzu bocznej.

– Zostałem wkręcony – Andrew odpowiada sam sobie – i rozdrażniony.

Podnoszę się, śmiejąc się, patrzę mu w oczy, po czym idę na koniec stołu.

Pudłuję celowo. Bile są ustawione prawie idealnie, więc wygrałabym bez problemu, ale nie chcę, żeby to było łatwe zwycięstwo.

– Och, do diabła, nie, maleńka – mówi głośno – żadnego ściemniania, z łatwością mogłaś umieścić trzynastkę w luzie...

– Omsknął mi się palec – mówię, udając nieśmiałą.

Kręci głową i mruży oczy, dobrze wie, że kłamię.

W końcu sytuacja wygląda tak: on z łatwością wbił trzy bile, jedną po drugiej, potem nie trafił w siódmkę. Później ja wbiłam jedną i on jedną, a potem zmienialiśmy się, wbijając raz po raz i pudłując raz po raz, i tak to trwało.

Teraz moja kolej, a na stole jest jego czwórka, biała bila i czarna ósemka. Ósemka jest sześć cali w każdą stronę za daleko od idealnego ułożenia, ale wiem, że mogę ją zmusić, by poleciała na drugą stronę i wróciła i dopiero wtedy wpadła w lewo.

Jeszcze dwóch koleśki dołączyło, by popatrzeć, bez wątpienia dlatego, że jestem tak ubrana (podśluchałam, jak po cichu komentowali moje cycki i tyłek, cały czas to robią, zwłaszcza kiedy się składam do strzału), ale nie pozwalam, by mnie rozpraszaali. Chociaż zauważam, że Andrew się na nich gapi, a mnie podnieca to, że on jest zazdrosny.

Wskazuję kijem stół i mówię:

– Lewa luza.

Podchodzę z drugiej strony, kucam, mam oczy na poziomie stołu. Podnoszę się i sprawdzam z innej perspektywy białą i ósemkę, po czym pochylam się nad stołem. Raz, dwa, trzy, uderzam białą, która uderza w ósemkę pod właściwym kątem, a ta leci w prawo, odbija się i idealnie wpada do lewej luzy.

Kilku facetów cmoka i gwizdże, jakbym ich nie słyszała.

Andrew stoi po drugiej stronie stołu i szeroko się do mnie uśmiecha.

– Jesteś dobra, maleńka – mówi, układając od nowa bile. – Wychodzi na to, że teraz jesteś wolna.

Zauważam, że on jest smutny z tego powodu. Być może jego twarz się uśmiecha, ale nie jest w stanie zamaskować rozczarowania w oczach.

– Nie – parskam – nie chcę wolności, a dopóki nie każesz mi jeść robali czy wystawiać gołego tyłka z jadącego auta, podoba mi się bycie pod kontrolą.

Andrew odzyskuje humor.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Gramy jeszcze raz, tym razem uczciwie, a potem siadam przy naszym stoliku, ponieważ obawiam się, że nowe szpilki obetrą mi stopy do krwi. Piję drugiego heinekena, ale nadal nie czuję, żeby uderzył mi do głowy. Chyba potrzeba jeszcze jednego, żeby zaczęło szumieć.

– Chcesz zagrać? – pyta jakiś facet, podchodząc do Andrew, gdy ten ma zamiar usiąść obok mnie.

Andrew tylko patrzy, a ja macham na niego.

– Idź, nic mi nie jest, posiedzę trochę, sprawdzę wiadomości i dam stopom odpocząć.

– Dobrze, maleńka – odpowiada – tylko daj mi znać, jeśli chciałabyś iść, zanim skończę grać.

– W porządku – mówię, uśmiechając się – idź.

Uśmiecha się w odpowiedzi i podchodzi do stołu bilardowego znajdującego się nie dalej niż piętnaście stóp od stolika. Wyciągam torebkę spod stołu, kładę przed sobą i szukam telefonu.

Tak jak podejrzewałam, Natalie zasypała mi skrzynkę SMS-ami, de facto szesnastoma, ale przynajmniej nie próbowała dzwonić. Moja mama też nie dzwoniła, ale przecież w ten weekend miała płynąć na rejs ze swoim nowym chłopakiem. Mam nadzieję, że dobrze się bawi. Mam nadzieję, że bawi się równie dobrze jak ja.

Nowa piosenka płynie z głośników zamontowanych w suficie i zauważam, że liczba osób w barze potroiła się, odkąd tu przyszliśmy. Chociaż Andrew nie jest specjalnie daleko, mogę tylko dostrzec, jak porusza ustami, mówiąc coś do faceta pochylającego się nad stołem bilardowym. Przychodzi kelnerka i proszę o jeszcze jedno piwo, a kiedy odchodzi, by je przynieść, zostaję sama z Królową SMS-ów. Natalie i ja wymieniamy wiadomości – co robiła dzisiaj i gdzie się wybiera wieczorem, ale wiem, że to ściema, ponieważ ona umiera, żeby się dowiedzieć wszystkiego na temat: ja w Nowym Orleanie z tym „tajemniczym gościem”, który wygląda jak... (jak ktoś sławny, ponieważ ona zawsze przyrównuje facetów do znanych ludzi) i czy już go zaliczyłam. Niczego jej nie wyjaśniam, czym ją torturuję. Mimo wszystko nadal na to zasługuje. Poza tym ciągle nie jestem gotowa opowiedzieć jej o Andrew. Tak naprawdę, to nikomu nie chcę o nim mówić. Jakbym się bała, że rozmowa o nim, nawet tylko poinformowanie, że on istnieje i że jestem tu z nim, sprawi, że to całe doświadczenie rozwieje się jak dym. Że to tylko sen. Albo obudzę się i zorientuję, że Blake wyspał mi coś do drinka tej nocy, kiedy poszłam z nim na dach, i że podróż z Andrew to tylko halucynacja.

– Jestem Mitchell – mówi głos nade mną, towarzyszy mu podmuch whisky i taniej wody kolońskiej.

Facet jest przeciętnej budowy, chociaż wygląda na pakera. Ma przekrwione oczy, tak samo jak blondyn, który stoi obok niego.

Uśmiecham się do niego i patrzę na Andrew, który już kieruje się w moją stronę.

– Jestem tu z kimś – mówię delikatnie.

Napakowany patrzy na puste krzesło obok, a potem na mnie, jakby podkreślając, że jest puste.

– Camryn? – pyta Andrew, stając za moimi plecami. – Wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze – odpowiadam.

Napakowany odwraca się do Andrew.

– Powiedziała, że u niej dobrze – mówi i słyszę zmianę w jego głosie.

Nie miałam na myśli „wszystko dobrze, zostaw mnie, Andrew” i Andrew doskonale o tym wie, ale najwyraźniej ci faceci nie.

– Ona jest ze mną – mówi Andrew, próbując zachować spokój, choć prawdopodobnie tylko przez wzgląd na mnie – już i tak w oczach błyszczy mu agresja.

Blondas się śmieje.

Napakowany znów na mnie patrzy, butelka budweisera dynda mu w ręce.

– To twój chłoptaş czy coś?

– Nie, ale my...

Facet uśmiecha się szyderczo i odwraca się do Andrew, przerywając mi w pół zdania.

– Nie jesteś jej chłopakiem, więc spadaj.

Agresja rozrasta się do morderczego szału. Andrew długo nie wytrzyma.

Wstaję...

– Może ona chce z nami porozmawiać – mówi napakowany i bierze łyk piwa. Nie wygląda na pijanego, może lekko zawianego.

Andrew podchodzi bliżej i przechyla głowę, patrząc w dół na faceta. A potem patrzy na mnie.

– Camryn, chcesz z nim rozmawiać?

Dobrze wie, że nie chcę, ale to jego sposób na posypanie solą rany tego faceta.

– Nie, nie chcę.

Andrew pochyła głowę i widzę, że jego nozdrza falują, kiedy palcem wskazuje w twarz napakowanego:

– Odpierdol się albo połkniesz własne zęby.

Mały tłum tworzy się wokół stołów bilardowych, ludzie gromadzą się w pewnej odległości. Blondyn, mądrzejszy z tej dwójki, kładzie rękę na ramieniu kolegi i mówi:

– Chodź, stary, spadamy stąd. – Kiwa głową w kierunku, gdzie wcześniej siedzieli.

Ale napakowany odpycha rękę przyjaciela i podchodzi bliżej, stając twarzą w twarz z Andrew.

To wszystko, czego trzeba.

Andrew sięga za siebie i chwyta kij bilardowy, popycha nim faceta w klatkę piersiową, przez co ten traci równowagę i oddech. Facet potyka się, zatacza do tyłu, ale udaje mu się złapać krawędź naszego stolika i utrzymać równowagę. Piszczę i łapię swoją torebkę, która na nim leży, ponieważ boję się, że zaraz wszystko runie. Moje piwo rozbija się na podłodze. Zanim facet odzyskuje stabilność postawy, Andrew już jest na nim, wciskając pięści w jego twarz.

Odsuwam się i przepycham bliżej schodów, ale wszyscy ludzie przysuwają się, by zobaczyć, co się dzieje, i tworzą barierę nie do pokonania.

Blondyn skacze od tyłu na Andrew, łapiąc za szyję i ściągając z kolegi. Skaczę na niego, bijąc go swoją małą piąstką po policzku, torebka na ramieniu kiwa się na boki i uniemożliwia mi porządny zamach. Ale Andrew z łatwością uwalnia się z uchwytu blondyna, odwraca się i kopie go w plecy, wysyłając twarzą na podłogę.

Andrew łapie za mój nadgarstek.

– Odsuń się na bok, maleńka! – Popycha mnie w stronę tłumu i w ciągu sekundy wraca do koleśki.

Napakowany w końcu podnosi się na nogi, ale nie stoi długo, ponieważ Andrew go dopada, szybko wali pięściami z obydwu stron jego twarzy i kończy hakiem w podbródek. Widzę, jak zakrwawiony ząb łąduje na podłodze. Zamieram. Facet upada do tyłu na stolik i przewraca go wraz z metalową podstawą. A kiedy blondyn znów rusza do ataku, facet, który grał z Andrew w bilard, włącza się do akcji i zajmuje gościem, pozostawiając Andrew napakowanego.

Nim bramkarze przedarli się przez tłum, aby przerwać walkę, napakowany ma podbite oczy, a z nosa kapie mu krew. Kiedy bramkarz go wyprowadza, napakowany zatacza się i przyciska rękę do zmiażdżonego nosa.

Andrew wyrywa się z rąk drugiego ochroniarza, ale idzie z nim.

– Sam pójdę – odgraża się, pokazując ochroniarzowi, żeby się odzepił, rękawem wyciera strużkę krwi z nosa. – Wychodzę, nikt nie musi pokazywać mi drzwi.

Podbiegam do niego, a on chwyta mnie za rękę.

– Camryn, wszystko w porządku? Oberwałaś? – Ogląda mnie, jego oczy są zacięte i zaniepokojone.

– Nie, nic mi nie jest. Po prostu chodźmy stąd.

Zaciska rękę wokół mojej i prowadzi za sobą, przeciągając nas przez tłum.

Kiedy wydostajemy się na zewnątrz i owiewa nas nocne powietrze, muzyka cichnie po zamknięciu drzwi. Idioci, którzy zaczepiali nas w barze, też idą ulicą, ale napakowany nadal przyciska dłoń do zakrwawionej twarzy. Obawiam się, że Andrew złamał mu nos.

Andrew zatrzymuje mnie na chodniku i obejmuje mocno.

– Maleńka, nie kłam, tylko powiedz, czy ucierpiałas w jakiś sposób? Przysięgam na Boga, że jeśli tak, to ich dorwę.

Rozczuła mnie, gdy nazywa mnie „maleńka”. I ta troska, ta intensywność w spojrzeniu... Po prostu chcę go pocałować.

– Mówię poważnie, nic mi nie jest – rzucam. – Naprawdę. Właściwie to uderzyłam parę razy tego faceta, który na ciebie skoczył od tyłu.

Zdejmuje ręce z moich ramion i obejmuje dłońmi moją twarz, patrząc wszędzie, jakby mi dalej nie dowierzał.

– Nic mi nie jest – mówię po raz ostatni.

Dotyka wargami mojego czoła. A potem łapie za rękę.

– Wracamy do hotelu.

– Nie – zaczynam się spierać – mieliśmy się dobrze bawić i nie odpuszczę z powodu jednego głupiego incydentu.

Przechyla głowę na bok, jego spojrzenie łagodnieje.

– Gdzie chcesz więc iść?

– Do innego klubu – proponuję. – Nie wiem, może bardziej wyluzowanego?

Andrew wzdycha ciężko i ściska moją dłoń. I znów mnie lustruje wzrokiem, od pomalowanych paznokci u stóp wystających z czarnych szpilek, przez rurki, po czarny obcisły top, który się nieco przesunął.

Zabieram rękę i poprawiam okrycie, naciągając materiał nieco wyżej na cyci, żeby znów był na swoim miejscu.

– Uwielbiam cię w tym – mówi – ale musisz przyznać, że jest prowokujący dla niektórych koleś.

– Cóż, nie chcę iść do hotelu tylko po to, by zmienić bluzkę.

– Nie, nie musisz tego robić – mówi, ponownie sięgając po moją dłoń. – Ale jeśli chcesz iść do klubu, będziesz musiała coś dla mnie zrobić, dobrze?

– A co?

– Po prostu udawaj, że jesteś moją dziewczyną – mówi, a niewielki uśmiezek wypełza mi na usta. – Przynajmniej nikt nie będzie do ciebie podbijał albo przynajmniej zdecyduje się na to znacznie mniej facetów. – Przerywa, patrzy na mnie i mówi: – No chyba że chcesz, żeby do ciebie uderzali?

Zajmuje mi trochę czasu, zanim kręcę głową.

– Nie, nie chcę, żeby faceci się mną interesowali. Niewinny flirt jest OK, ponieważ czyni cuda z moją pewnością siebie, ale żadnych podbijających pijanych koleś.

– Dobra, więc ustalone. Dzisiejszej nocy jesteś moją seksowną dziewczyną, co oznacza, że potem będę cię musiał zabrać do pokoju i trochę popieścić.

Uwielbiam ten jego chłopięcy uśmiech.

Czuję mrowienie między nogami. Przęłykam i zwalczam to, patrząc na niego spod półprzymkniętych powiek.

Po prostu cieszę się, że ponownie widzę jego dołeczki, w przeciwieństwie do gniewu na twarzy – który też był niesamowicie seksowny – ale wolę spokój, jaki ma teraz.

– Cóż, chociaż bardzo mi się podobało, a „podało” nie jest najlepszym słowem, nie pozwolę ci zrobić mi tego ponownie.

Wygląda na zranionego i nieco zszokowanego.

– Dlaczego nie?

– Andrew, ponieważ ja... cóż, po prostu nie i już... a teraz chodź tu. – Obejmuję jego twarz dłońmi i przyciągam do siebie.

A potem całuję miękko, pozwalając ustom pozostać dłuższą chwilę na jego wargach.

– Co ty robisz? – pyta, patrząc mi w oczy.

Uśmiecham się do niego słodko.

– Wcielam się w rolę.

Uśmiech unosi kąciki jego ust. Odwraca mnie i oplata ramieniem w talii, i tak objęci maszerujemy przez Bourbon Street.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ANDREW

Może uda mi się zrobić to z Camryn. Dlaczego muszę się torturować i męczyć, i zaprzeczać temu, czego chcę najbardziej? Zasłużyłem na to, by właśnie teraz dostać to, czego pragnę. Może sprawy potoczą się inaczej i ona nie będzie cierpieć? Mógłbym wrócić do Marstersa. Co jeśli pozwolę jej odejść i nigdy już jej nie zobaczę, a potem Marsters się zorientuje, że spieprzył sprawę?

Kurwa! Same wymówki.

Camryn i ja zaliczamy jeszcze dwa bary na French Quarter, ale w żadnym nie robią problemów z powodu tego, że nie ma dwudziestu jeden lat. Tylko w jednym proszą ją o dokumenty, ale ponieważ ma urodziny w grudniu, kelnerka postanawia nie robić z tego powodu komplikacji.

Ale w końcu Camryn jest pijana i nie wiem, czy będzie mogła dojść do hotelu.

– Wezwę taksówkę – mówię, trzymając ją przy sobie na chodniku.

Pary i grupki ludzi wchodzą i wychodzą z baru za nami, niektórzy zatrzymują się przed drzwiami.

Mocno obejmuję Camryn w talii. Zaplata swoją rękę na moim ramieniu, ale ledwo trzyma się prosto.

– Myślę, że taksówka to dobry pomysł – mówi z zamykającymi się oczami. Wkrótce straci przytomność albo puści pawia. Mam nadzieję, że poczeka z tym przynajmniej do powrotu do hotelu.

Taksówka podwozi nas pod drzwi hotelu. Pomagam Camryn wysiąść z tylnego siedzenia, w końcu biorę ją na rękę, ponieważ już nie może iść o własnych siłach. Niosę ją do windy, jej nogi są przerzucone przez moją rękę, a głowa opiera się na mojej piersi. Ludzie się na nas gapią.

– Rozrywkowa noc? – pyta facet w windzie.

– Tak – przytakuję – niektórzy mają mocną głowę, a niektórzy nie.

Winda dzwoni i mężczyzna wychodzi, gdy tylko otwierają się drzwi. Jedziemy jeszcze dwa piętra i niosę ją korytarzem ku naszym pokojom.

– Gdzie masz kartę, maleńka? – pytam.

– W torebce – odpowiada słabo.

Przynajmniej jeszcze kontaktuje.

Bez stawiania Camryn na podłodze łapię torebkę i rozpinam ją. Normalnie rzuciłbym żart na temat jej zawartości i spytałbym, czy nic, co tam mieszka, mnie nie ugryzie, ale wiem, że to nie jest odpowiedni moment. Cierpi.

Zapowiada się długa noc.

Zatrząskuję za nami drzwi i niosę ją prosto do łóżka, po czym delikatnie kładę.

– Czuję się paskudnie – jęczy.

– Wiem, maleńka, musisz to odespać.

Zdejmuję jej buty i odstawiam na podłogę.

– Myślę, że zaraz... – Obraca głowę na drugą stronę łóżka i zaczyna wymiotować.

Łapię kosz na śmieci stojący obok łóżka i podkładam jej pod usta, ale i tak wygląda na to, że sprzątaczką będzie rano wkurzona. Opróżnia zawartość żołądka, co w sumie mnie zastanawia, bo mało dziś jadła. Przestaje w końcu i opada na poduszkę. Łzy wywołane wymiotami błyszczą w kącikach jej oczu. Próbuje na mnie patrzeć, ale wiem, że jest zbyt pijana, by się skupić.

– Tu jest tak gorąco – szepcze.

– Coś poradzimy – włączam klimatyzację na pełną moc.

Potem idę do łazienki, moczę ręcznik w zimnej wodzie i wykręcam go. Wracam do pokoju, siadam obok niej na łóżku, przykładam mokry ręcznik do twarzy.

– Przepraszam – mamrocze – powinnam przestać po kieliszku wódki. A teraz patrzysz, jak rzygam.

Wycieram jej policzki i czoło, odklejając od spoconej twarzy luźne kosmyki włosów, a potem mokrym ręcznikiem wycieram jej usta.

– Nie przepraszaj – mówię – dobrze się bawiłaś i to się liczy. – Dodaję, uśmiechając się: – Poza tym teraz mam nad tobą kompletną przewagę.

Stara się uśmiechnąć i podnieść rękę, by mi przywalić w ramię, ale jest na to za słaba. Jej niewielki uśmiech przeradza się w skrzywienie i na czole pojawia się pot.

– O nie... – Podnosi się z łóżka. – Muszę do łazienki – mówi, łapiąc się mnie, żebym pomógł jej wstać.

Prowadzę ją tam, gdzie nieomal wymiotuje własny żołądek do toalety, rękami opierając

się na porcelanie. Ma zgarbione plecy, a kiedy torsje mijają, zaczyna płakać.

– Powinnaś się była zgodzić na zjedzenie ze mną steku, maleńka. – Stoję za nią i upewniam się, że oba warkocze nie dostaną się w ogień krzyżowy i przyciskam mokry ręcznik do jej karku. Przykro mi patrzeć, kiedy jej ciało reaguje w taki sposób, ale niestety suche torsje są nieubłagane. Wiem, że jutro będzie bolało ją gardło, klatka piersiowa i inne wnętrzności.

Kiedy kończy, kładzie się na zimnej podłodze.

Próbuję ją podnieść, ale protestuje cicho.

– Nie, proszę... chcę tutaj leżeć, podłoga jest zimniejsza niż moja skóra.

Oddech ma płytki, a jej lekko opalona skóra jest blada jak u pacjenta z gruźlicą. Biorę czysty ręcznik, moczę go i kładę na jej policzku, szyi i nagich ramionach. A potem rozpinam jej spodnie i delikatnie uwalniam brzuch i nogi od ciasnoty materiału.

– Nie martw się, nie będę cię molestował – mówię, żartując, ale ona tym razem nie odpowiada.

Odplynęła z twarzą przyciśniętą do podłogi.

Wiem, że jeśli będę próbował ją stąd zabrać, prawdopodobnie się obudzi i znów będzie miała torsje, ale nie chcę jej zostawić pod toaletą. Kładę się obok, wycieram ręcznikiem jej czoło, ramiona i ręce, robię tak przez godziny, aż w końcu zasypiam przy niej.

Nigdy nie myślałem, że celowo i na trzeźwo będę spał na podłodze w łazience przy kiblu, ale mówiłem poważnie, że z nią mogę spać wszędzie.

CAMRYN

Otwierają się drzwi od mojego pokoju. Jasne światło słoneczne przesącza się przez szparę między zasłonami. Wzdrygam się jak wampir, zezując i odwracając wzrok. Chwilę zajmuje mi uzmysłowienie sobie, że leżę na łóżku w czarnym topie, który miałam na sobie w nocy, i różowych majtkach. Moje łóżko nie ma pościeli poza dwoma prześcieradłami, na jednym leżę, drugim jestem przykryta. Prześcieradło pachnie, jakby dopiero było prane. Podejrzewam, że na wszystko inne narzygałam i Andrew musiał załatwić świeże u sprzątaczk.

– Lepiej się czujesz? – pyta Andrew, wchodząc do pokoju, w jednej ręce niesie wiaderko do lodu, a w drugiej plastikowe kubki i butelkę sprite'a.

Siada obok mnie i odkłada rzeczy na szafkę nocną, po czym odkręca butelkę napoju.

W głowie mi huczy i czuję, jakbym w każdej chwili miała znów wymiotować. Nienawidzę mieć kaca. Już wolałabym upaść i złamać nos, niż mieć tak wielkiego kaca. Już raz tak się czułam i niczym nie różniło się to od zatrucia alkoholowego. Przynajmniej zgodnie ze wskazówkami Natalie, która przeżyła to na własnej skórze i mówiła, że to tak, „jakby następnego

ranka sam szatan nasrał na ciebie”.

– Wcale nie – w końcu odpowiadam i te słowa odbijają się echem w mojej głowie. Zamykam oczy, kiedy zaczynam widzieć podwójnie.

– Masz niezłego kaca, maleńka – mówi Andrew i czuję mokry ręcznik na szyi.

– Możesz zasłonić okno? Proszę.

Natychmiast wstaje i słyszę, że przechodzi przez pokój, a potem haczyki zasłony szurają na karniszu, kiedy ją przesuwam na miejsce. Przyciągam gołe nogi do siebie, naciągam prześcieradło i leżę w pozycji embrionalnej na poduszce.

Andrew otwiera opakowanie z plastikowym kubkiem i słyszę, jak wysypuje do niego lód. Nalewa sprite’a do lodu i otwiera buteleczkę z jakimś lekarstwem.

– Weź to – mówi i czuję, że łóżko ugina się pod jego ciężarem. Opiera rękę na moim udzie.

Otwieram powoli oczy. Przed moją twarzą majaczy plastikowy kubeczek, więc nawet nie będę musiała wstawać, by się napić. Sięgam i biorę trzy pastylki advilu z dłoni Andrew, wkładam do ust, a potem piję tylko tyle sprite’a, bym mogła je przełknąć.

– Proszę, powiedz mi, że wczorajszej nocy nie powiedziałam ani nie zrobiłam nic upokarzającego.

Mogę na niego patrzeć wyłącznie przez szczeliny między powiekami.

Wyczuwam, że się uśmiecha.

– Właściwie to zrobiłaś – mówi, a moje serce zatrzymuje się. – Powiedziałaś facetowi, że jesteś moją szczęśliwą żoną i że będziemy mieć czworo dzieci, a może pięcioro, nie pamiętam, a później była ta laska, która leciała na mnie, a ty poderwałaś się z krzesła i wyzywałaś ją od śmieci, to było zabawne.

Teraz z pewnością chce mi się rzygać.

– Andrew, lepiej, żebyś kłamał, bo to maksymalnie żenujące!

Głowa mnie boli coraz bardziej. Nie wiedziałam, że może być gorzej.

Lekko się śmieje, otwieram oczy nieco szerzej, żeby wyraźniej widzieć jego twarz.

– Kłamię, maleńka. – Sięga i ściąga mokry ręcznik z mojego czoła. – Właściwie to radziłaś sobie całkiem dobrze, nawet podczas drogi powrotnej. – Zauważam, że patrzy na moje ciało. – Przepraszam, że musiałem cię rozebrać. Cóż, cieszyło mnie to, ale robiłem to w ramach służby. Po prostu musiałem to zrobić. – Wygląda na poważnego i nic nie mogę na to poradzić, że

się uśmiecham.

Zamykam oczy i śpię kolejne kilka godzin, aż budzi mnie pukanie sprzątaczkii.

Zastanawiam się, czy Andrew wyszedł.

– Proszę wejść i pozwolić mi zabrać ją do pokoju obok, żeby mogła pani posprzątać. –
Jednak tu jest.

Starsza pani w bordowym uniformie wchodzi do pokoju. Andrew podchodzi do łóżka.

– No chodź, maleńka – mówi, biorąc mnie w ramiona nadal okrytą prześcieradłem. –
Pozwólmy pani w spokoju posprzątać.

Prawdopodobnie mogłabym przejść do jego pokoju o własnych siłach, ale nie zamierzam protestować. Podoba mi się tu, gdzie jestem.

Kiedy przechodzimy obok stolika na telewizor, sięgam po torebkę, a Andrew przystaje, zabiera ją i wynosi razem ze mną z pokoju. Opieram głowę na jego piersi i owijam ramiona wokół jego szyi.

W drzwiach zatrzymuje się i patrzy na sprzątaczkę.

– Przepraszamy za bałagan po drugiej stronie łóżka. – Kiwa głową w tamtym kierunku i się krzywi. – Będę winny pani spory napiwek.

Wychodzi i zanosz mnie do swojego pokoju.

Kiedy już kładzie mnie na poduszce, natychmiast zasłania okno.

– Mam nadzieję, że wydobrzejesz przed wieczorem – mówi, chodząc po pokoju, jakby czegoś szukał.

– A co jest dzisiaj wieczorem?

– Kolejne bary.

Znajduje swoje mp3 w poduszkach fotela przy oknie i odkłada na szafkę pod telewizor.

Jęczę w proteście.

– O nie, Andrew, odmawiam dalszej włączęgi po barach. Do końca życia nie będę już pić.

Uśmiecha się do mnie z drugiego końca pokoju.

– Każdy tak mówi – oświadcza – a i tak nie pozwoliłbym ci dzisiaj pić, nawet gdybyś chciała. Musisz wytrzymać przynajmniej jedną noc w trzeźwości między kacami, bo inaczej

możesz się od razu zapisać do klubu AA.

– Cóż, mam nadzieję, że będę się czuła wystarczająco dobrze, żeby nie leżeć cały dzień, ale w tej chwili nie dam rady.

– No, obowiązkowo musisz coś zjeść. Mimo że prawdopodobnie sama myśl o jedzeniu sprawi, że będzie ci niedobrze, jeśli nic nie zjesz, cały dzień będziesz się czuła paskudnie.

– Masz rację – mówię, czując mdłości – jest mi niedobrze, bo właśnie o tym pomyślałam.

– Tosty i jajka – mówi, wracając do mnie – coś lekkiego, znasz zasadę.

– Znam ją – mówię bez zastanowienia, żałując, że nie mogę pstryknąć palcami i po prostu poczuć się lepiej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Późnym popołudniem czuję się już dobrze, nie idealnie, ale wystarczająco, by udać się z Andrew do kilku miejsc w Nowym Orleanie, których nie zaliczyliśmy wczoraj. Po tym jak udało mi się wcisnąć w siebie jajka i dwa tosty, pojechaliśmy tramwajem Riverfront do Audubon Aquarium of the Americas i szliśmy długim na kilka metrów tunelem, a woda i ryby otaczały nas zewsząd. A potem karmiliśmy z ręki papugi i przeszliśmy przez wystawę eksponatów z lasów deszczowych. Karmiliśmy płaszczki i robiliśmy sobie nawzajem zdjęcia telefonami, a potem te głupio wyglądające, trzymając komórki w wyciągniętych rękach, żeby uchwyciły nas razem. Później, gdy przeglądałam te zdjęcia, zauważyłam, że nasze policzki stykają się i uśmiechamy się do aparatu, jakbyśmy byli parą spędzającą razem czas.

Jakąś inną parą... ale my nie jesteśmy parą i zdałam sobie sprawę, że muszę sobie o tym przypominać.

Rzeczywistość to suka.

Ale przecież nie wiem, czego chcę. Nie, właściwie dobrze wiem, czego chcę. Nie mogę się zmusić, by dalej w to wątpić, ale ciągle się tego boję. Boję się Andrew i boję się bólu, jaki mi zada, jeśli kiedykolwiek mnie zrani, bo mam wrażenie, że to będzie jeden z tych, których nie potrafię znieść. Już nie mogę tego udźwignąć, a przecież jeszcze mnie nie zranił.

Bez wątpienia wpakowałam się po uszy.

Gdy zapada zmrok nad Nowym Orleanem i imprezowicze zaczynają wychodzić ze swoich mieszkań, Andrew zaciąga mnie na prom, którym przepływamy Missisipi, po czym idziemy do miejsca znanego jako Old Point Bar. Cieszę się, że dzisiaj zdecydowałam się włożyć czarne klapki zamiast nowych szpilek. Andrew nalegał na wygodne buty, bo mieliśmy dużo chodzić.

– Dopóki tu nie przyjdę, nie mogę wyjechać z Nowego Orleanu – mówi, gdy idziemy, a ja trzymam go za rękę.

– Zatem bywasz tu regularnie?

– Chyba tak można powiedzieć, przynajmniej raz czy dwa do roku. Grałem tutaj kilka razy.

– Na gitarze? – Spoglądam na niego z zaciekawieniem.

Grupa czterech osób idzie chodnikiem w przeciwnym kierunku, więc przysuwam się do Andrew, żeby zrobić im miejsce.

Wysuwa dłoń z mojej i owija ramię wokół mojej talii.

– Gram na gitarze, odkąd skończyłem sześć lat. – Uśmiecha się do mnie. – Jako sześciolatek nie byłem za dobry, ale hej, od czegoś trzeba zacząć i nie grałem niczego godnego

uwagi do czasu, gdy skończyłem dziesięć lat.

Z wrażenia wypuszczam powietrze.

– Powiedziałabym, że od małego uzdolniony muzycznie.

– Chyba tak. Kiedy dorastaliśmy, ja byłem muzycznym dzieckiem, a Aidan był uzdolniony architektonicznie... – Andrew patrzy na mnie – ...ponieważ lubił budować, raz zrobił dość duży domek na drzewie. A Asher miał talent do hokeja. Ojciec uwielbiał hokej prawie tak samo jak boks – znów patrzy na mnie – ale tylko prawie. Asher rzucił grę na lodzie po roku, miał wtedy trzynaście lat... – Śmieje się lekko. – A tacie bardziej zależało, żeby pozostał, niż samemu Asherowi. Asher wolał się zająć elektroniką, a po obejrzeniu filmu *Kontakt* próbował się porozumieć z kosmitami za pomocą maszyny zbudowanej własnoręcznie z różnych dziwnych rzeczy.

Wspólnie się śmiejemy.

– A co z twoim bratem? – pyta. – Mówiłaś, że siedzi w więzieniu, ale jak było między wami, zanim tam trafił?

Moja twarz nieco poważnieje.

– Cole był niesamowitym starszym bratem do czasu, gdy w ósmej klasie zaczął się kumplować z mętami, głównie z Braxtonem Hixleyem. Nigdy nie lubiłam tego gościa. Tak czy inaczej, Cole i Braxton zaczęli testować narkotyki i tego typu rzeczy. Mój tata próbował umieścić go w poprawczaku, aby ktoś mu pomógł, ale Cole stamtąd uciekł i wpakował się w jeszcze większe kłopoty. Od tego czasu było coraz gorzej. – Patrzę przed siebie, coraz więcej ludzi idzie chodnikiem. – A teraz jest w miejscu, na które zasługuje.

– Może gdy wyjdzie, będzie znów starszym bratem, jakiego zapamiętałaś?

– Może. – Wzruszam ramionami, bo jakoś w to wątpię.

Idziemy do końca chodnikiem. Na rogu Patterson i Olivier znajduje się Old Point Bar, który z zewnątrz wygląda jak zabytkowa, dwupiętrowa kamieniczka z dodatkowymi mieszkaniami z jednej strony. Przechodzimy pod starym szyldem, gdzie obok budynku stoją plastikowe stoliki i krzesła, na których siedzi kilka osób, pali i dość głośno rozmawia.

Słyszę zespół grający w środku.

Kiedy wychodzi jakaś para, Andrew przytrzymuje mi drzwi i łapie za rękę. Ten bar nie jest ogromny, jest przytulny. Patrzę na wysokie ściany, na których wisi pełno zdjęć i tablic rejestracyjnych. Jest też dużo emblematów marek piwnych, kolorowe plakaty i stare szyldy, zajmują każdą wolną przestrzeń. Przy drewnianym stropie wisi kilka wentylatorów. A po mojej prawej jest bar, który jak niemal każdy ma z tyłu telewizor. Jest mały tłok, mimo to barmanka unosi rękę i wydaje się, że macha do Andrew.

Andrew uśmiecha się do niej i macha dwoma palcami, jakby mówił „przyjdę porozmawiać za kilka chwil”.

Wszystkie stoliki są zajęte, a na parkiecie tańczy trochę ludzi. Zespół przy tylnej ścianie jest naprawdę dobry, grają jakiegoś bluesowego rocka czy coś. Podoba mi się. Na taborecie siedzi czarnoskóry mężczyzna, gra na srebrnej gitarze elektrycznej, a biały facet śpiewa i gra na gitarze akustycznej przewieszanej przez ramię, krępy gość gra na perkusji, na scenie są też klawisze, ale w tej chwili nikt z nich nie korzysta.

Dwukrotnie rzucam okiem w kierunku podłogi, ponieważ widzę tam czarnego kundelka, który patrzy na mnie i macha ogonem. Schylam się i drapię go za uchem. Zadowolony wraca do swojego właściciela siedzącego przy pobliskim stoliku i kładzie się u jego stóp.

Po kilku minutach Andrew dostrzega troje ludzi wstających od stolika niedaleko zespołu, więc zaczyna mnie tam ciągnąć, abyśmy mogli usiąść.

Wciąż mam lekkiego kaca i w głowie nieco mi dudni, ale nie jest to uciążliwe, więc hałas nie potęguje bólu.

– Ona nie pije. – Andrew wskazuje na mnie i mówi życzliwie do kobiety, która stała za barem. Nim usiadłam, zdążyła się przebić przez tłum ludzi i podejść do naszego stolika.

Kobieta ma jasnobrązowe włosy założone za uszy, wygląda na czterdziestolatkę i uśmiecha się promiennie, kiedy Andrew porywa ją w niedźwiedzi uścisk, a ja zastanawiam się, czy ona jest jego kuzynką czy ciotką.

– Minęło dziesięć miesięcy, Parrish – mówi, klepiąc go po plecach. – Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? – Uśmiecha się do mnie. – I kto to jest? – Patrzy na Andrew z rozbawieniem w oczach, ale w jej uśmiechu dostrzegam coś jeszcze: być może podejrzenie.

Andrew bierze mnie za rękę, więc wstaję, by się przywitać.

– To Camryn – mówi. – Camryn, to Carla, pracuje tu od sześciu moich okropnych występów.

Carla szturcha go w pierś, śmieje się i patrzy na mnie.

– Nie pozwól mu kłamać. – Wskazuje na niego i unosi brwi. – Ten chłopak potrafi śpiewać. – Mruga do mnie i podaje mi rękę. – Miło cię poznać.

Również się uśmiecham.

Śpiewać? Myślałam, że on tu grał na gitarze; nie wiedziałam, że też śpiewał. Ale chyba to mnie nie zaskakuje. I tak już mi udowodnił, że potrafi śpiewać, gdy byliśmy w drodze i śpiewał razem z „Hotel California”. I czasem zapominał, że siedzę obok niego, albo zupełnie o to nie dbał i wyśpiewywał wszystkie rockowe piosenki, jakie leciały w radiu.

Ale naprawdę nie spodziewałam się, że występował. Szkoda, że nie zabrał gitary, chciałabym zobaczyć dzisiaj jego występ.

– Cóż, dobrze cię znowu zobaczyć – mówi Carla i wskazuje czarnoskórego mężczyznę stojącego na scenie. – Eddie się ucieszy, że tu jesteś.

Andrew kiwa głową, po czym się uśmiecha, a Carla wraca, przeciskając się przez tłum w stronę baru.

– Chcesz oranżadę?

Macham ręką.

– Nie, nie trzeba.

Andrew nadal stoi, gdy zespół nagle przestaje grać. Już wiem dlaczego. Czarnoskóry mężczyzna ze srebrną gitarą dostrzega Andrew, uśmiecha się, odkłada instrument na taboret i podchodzi ku nam. Ścisną się tak jak poprzednio z Carłą, po czym wstają, by zostać przedstawiona Eddiemu i uścisnąć mu dłoń.

– Parrish! Szmata czasu – mówi Eddie z cajuńskim akcentem. – Będzie z rok.

Carla też mówiła z cajuńskim akcentem, ale nie tak silnym jak Eddie.

– Prawie rok – mówi rozpromieniony Andrew.

Andrew wygląda na naprawdę szczęśliwego, jak człowiek, który dawno nie widział rodziny. Wydaje mi się, że jego uśmiech jest cieplejszy niż kiedykolwiek. Kiedy mnie przedstawiał Carli i Eddiemu, jego uśmiech rozświetlał całe pomieszczenie. Czułam się jak dziewczyna, którą w końcu zdecydował się przyprowadzić do domu, by poznała jego rodzinę, a po błysku w ich oczach wnioskuje, że oni też tak się czuli.

– Zagrasz?

Ponownie siadam i patrzę na Andrew ciekawą odpowiedzi. Zmarszczki wokół ust i oczu Eddiego pogłębiają się, gdy zaczyna się uśmiechać coraz szerzej, przekonany, że Andrew mu nie odmówi.

– Cóż, nie zabrałem swojej gitary.

– Och. – Eddie kręci głową. – Dobrze wiedziałeś... masz mnie za głupka? – Wskazuje na scenę. – Tam jest gitara.

– Chciałabym posłuchać, jak grasz – mówię za jego plecami. Niezdecydowany Andrew patrzy na mnie. – Mówię poważnie. Proszę. – Przechyliłam głowę delikatnie na bok i uśmiecham się do niego.

– Aha, ta dziewczyna wie, jak kusić. – Eddie z boku uśmiecha się do Andrew.

Andrew się poddaje.

– Dobrze, ale tylko jedną piosenkę.

– Co, jedną? – Eddie łapie go za brodę. – Jak jedna, to ja wybieram. – Wskazuje na siebie, wprost na pierś widoczną pod niezapiętą koszulą. Paczka papierosów wystaje z lewej kieszeni.

Andrew przytakuje.

– Dobra, wybieraj.

Uśmiech Eddiego pogłębia się, kiedy patrzy na mnie i posyła mi podejrzliwe spojrzenie.

– To, co ostatnio doprowadziło panienki do szaleństwa.

– Rolling Stonesów? – pyta Andrew.

– Aha – odpowiada Eddie. – Właśnie ten kawałek, chłopcze.

– Jaka to piosenka? – pytam, opierając podbródek na dłoni.

– „Laugh, I Nearly Died” – odpowiada Andrew. – Prawdopodobnie nigdy wcześniej jej nie słyszałaś.

Andrew ma rację. Kręcę głową delikatnie.

– Nie, rzeczywiście nie słyszałam.

Eddie kiwa na Andrew, żeby poszedł za nim na scenę. Andrew pochyła się i zanim odchodzi, zaskakuje mnie miękkim pocałunkiem.

Jestem zdenerwowana i podekscytowana, siedzę z łokciami opartymi na stole. Tak wiele ludzi rozmawia wokół, że słyszę tylko szum. Co jakiś czas brzęka szkło odkładane na blat albo uderzające o siebie. Cała przestrzeń jest raczej ciemna, świecą tylko neony z nazwami piwa albo księżyc zaglądający przez wysokie okna, przez które przesącza się też światło z ulicznych latarni. Po prawej stronie sceny świeci mocne światło i panuje tam ruch, zakładam, że znajdują się tam toalety.

Andrew i Eddie dochodzą do sceny i zaczynają się przygotowywać. Andrew bierze drugi stółek i ustawia go na środku sceny, poprawia mikrofon. Eddie mówi kilka słów do perkusisty, prawdopodobnie tytuł piosenki, a perkusista przytakuje. Z cienia za sceną wychodzi kolejny mężczyzna z gitarą, a może to jest bas. Nigdy nie zwracałam uwagi na różnice. Eddie podaje Andrew czarną gitarę podłączoną do wzmacniacza, po czym wymieniają kilka słów, ale nie mogę ich usłyszeć. A potem Andrew siada na stołku, opierając jedną nogę na podnóżku. Eddie siada na swoim poprzednim miejscu.

Zaczynają regulować i stroić gitary i perkusista kilka razy uderza w talerze. Słyszę pisk, kiedy włączają kolejny wzmacniacz, a potem serię uderzeń, kiedy Andrew stuka palcem w mikrofon.

Mój żołądek zaciska się z nerwów, jakbym to ja miała śpiewać przed grupą nieznajomych. Ale głównie dlatego, że Andrew jest przede mną. Patrzy na mnie ze sceny, nasze spojrzenia się krzyżują, a następnie perkusista zaczyna grać delikatnie, zaledwie dotykając kilka razy talerzy. I wtedy Eddie zaczyna grać na gitarze wolną, zmysłową melodię, która sprawia, że ludzie porzucają swoje dotychczasowe zajęcia i skupiają się na piosence, którą słyszeli wielokrotnie i nigdy im się nie znudzi. Andrew gra kilka akordów razem z Eddim, a ja już czuję, jak głowa kołysze mi się do rytmu. Przystaję się kołysać i zadzieram wysoko głowę, niedowierzając temu, co słyszę. To takie bluesowe i wciągające. Andrew ma zamknięte oczy i porusza głową zgodnie z namiętnym i pełnym uczucia tempem muzyki.

A kiedy zaczyna się refren, śpiew Andrew dosłownie zapiera mi dech...

Wciskam się w oparcie krzesła, coraz szerzej otwierając oczy, kiedy słyszę, że muzyka nieznacznie przyspiesza, a Andrew wkłada duszę w każde słowo. Jego mina zmienia się z każdą linijką tekstu, uspokaja się, kiedy tempo zwalnia. Nikt już w barze nie rozmawia. Nie umiem oderwać oczu od Andrew, ale mogę powiedzieć, że atmosfera zmieniła się w chwili, kiedy zaczął śpiewać refren. Ma seksowną bluesową barwę głosu, o co przenigdy bym go nie posądzała.

Przy drugiej zwrotce, gdy piosenka znów zwalnia, wszyscy są zauroczeni Andrew. Ludzie wokół tańczą i kołyszą się, pary zbliżają się do siebie, przytulają się i całują, ponieważ przy tej piosence nie da się inaczej. Ale ja... ja tylko patrzę, niezdolna oddychać, oczarowana, pozwalając, by głos Andrew przeniknął każdą komórkę mojego ciała. Jest jak nieubłagana trucizna; jestem zahipnotyzowana, ta piosenka mogłaby zniszczyć moją duszę, ale i tak się nią upajam.

Andrew wciąż ma zamknięte oczy, jakby musiał się odciąć od świata, by wczuć się w muzykę. A kiedy przychodzi czas na drugi refren, wkłada w niego jeszcze więcej zaangażowania, prawie podnosi się ze stołka, jednak pozostaje na miejscu, za to wyciąga szyję w kierunku mikrofonu i każdą namiętną emocję ma wypisaną na twarzy, kiedy śpiewa i gra na gitarze opartej na kolanach.

Eddie, perkusista i basista zaczynają śpiewać z Andrew, przyłącza się do nich publiczność.

Przy trzeciej zwrotce chce mi się płakać, ale nie mogę. Płacz ugrzązł na dnie mojego brzucha i pozostaje tam, aby mnie torturować.

„Laugh, I Nearly Died”...

Andrew kontynuuje śpiewanie, a ja czuję, jakbym miała umrzeć, bo moje serce bije coraz szybciej. A potem muzycy znów zaczynają śpiewać, a gra tylko perkusista. Podłoga wibruje pod wpływem bębnow. Publiczność tupie do rytmu bębnow i znów wszyscy zaczynają śpiewać.

Powtarzają refren, klaszcząc w ręce. A potem jeszcze raz. Andrew śpiewa: „Yeah-Yeah!” i muzyka nagle się urywa.

Rozlegają się piski, krzyki, pogwizdywania i kilka słów pochwał pod adresem muzyków. Przez kręgosłup przebiega dreszcz i rozchodzi się po całym ciele.

„Laugh, I Nearly Died”... nie zapomnę tej piosenki do końca życia.

Czy on naprawdę istnieje?

Czekam na budzik, który może w każdej chwili zadzwonić, żebym obudziła się na tylnym siedzeniu samochodu Damona, z Natalie nawijającą o Blake’u wyciągającym mnie na dach w Undergroundzie.

Andrew odstawia gitarę na stołek i podchodzi, by uścisnąć dłoń Eddiego, po czym idzie do perkusisty i do basisty. Eddie prowadzi go przez tłum ku mnie, ale zatrzymuje się i mruga do mnie, zanim schodzi ze sceny. Naprawdę lubię Eddiego. Jest w nim coś dobrego i pocziwego.

Andrew nie udaje się od razu dojść do naszego stolika, po drodze zatrzymuje się parę razy i ściska ręce kilku osób i prawdopodobnie musi wysłuchać pochwał. Dziękuje im i powoli, ale stanowczo kieruje się ku mnie.

Widzę kilka lasek patrzących na niego. W ich oczach jest coś więcej niż uznanie.

– Kim jesteś? – drażnię się z nim. Andrew się rumieni, odsuwa krzesło, żeby usiąść obok mnie. – Jesteś niesamowity, nie miałam pojęcia.

– Dzięki, maleńka.

Jest bardzo skromny. Spodziewałam się, że będzie żartował, że jestem jego grupie albo że mam iść z nim za kulisy. Ale w ogóle nie chce mówić o swoim talencie, jakby czuł się z tym niekomfortowo. A może nie lubi uwielbienia.

– Mówię poważnie. Szkoda, że nie umiem śpiewać jak ty.

– Oczywiście, że umiesz – mówi.

Spuszczam głowę i kręcę nią zdecydowanie.

– Nie, nie, nie, nie. – Powstrzymuję go przed jakimikolwiek pomysłami. – Nie umiem śpiewać. To znaczy nie jestem całkiem do dupy, ale dobrym materiałem na wokalistę z pewnością też nie jestem.

– Dlaczego nie? – Carla przynosi piwo dla Andrew i wraca do swoich klientów. – Trema?

Podnosi butelkę do ust i odchyła głowę.

– Cóż, nigdy nie wyszłam poza śpiewanie wraz z radiem samochodowym, Andrew. –
Opieram się o krzesło. – Nigdy nie posunęłam się tak daleko, by wiedzieć cokolwiek o tremie.

Andrew wzrusza ramionami i odstawia piwo na stolik.

– Masz ładny głos. Słyszałem, jak śpiewasz w samochodzie.

Przewracam oczami i krzyżuję ręce na piersi.

– Dzięki, ale łatwo jest śpiewać z kimś, na przykład z głosem z radia. Zostaw mnie samą z muzyką i prawdopodobnie będziesz płakać. – Pochylam się ku niemu i dodaję: – A właściwie to jak ci się udało odwrócić kota ogonem? – Figlarnie mrużę oczy, patrząc na niego. – To o tobie powinniśmy mówić. Skąd się wziął twój talent?

– Wpływ, tak sądzę – odpowiada. – Ale nikt nie jest w stanie zaśpiewać tego jak Jagger.

– Och, proszę cię – mówię, opierając brodę na ręce. – Jagger to twój idol muzyczny? –
pytam półzartem, a Andrew uśmiecha się ciepło.

– Miał na mnie wpływ, ale nie, moim idolem jest ktoś o wiele od niego starszy.

Jest jakaś tajemnica głęboko skryta w jego oczach.

– Kto to? – pytam zafascynowana.

Bez ostrzeżenia Andrew pochyla się i łapie mnie w tali, po czym wciąga na swoje kolana, bym siedziała twarzą do niego. Jestem zaskoczona, ale go nie odpycham. Spogląda mi w oczy, kiedy siedzę okrakiem na jego udach.

– Camryn?

Uśmiecham się do niego, cały czas zastanawiając się, o co chodzi.

– Co? – Delikatnie przechylam głowę na bok i opieram dłonie na jego piersi. Jest zamyślony, ale nie odpowiada. – Co jest? – pytam coraz bardziej ciekawa.

Czuję, jak jego ręce zaciskają się wokół mojej tali, po czym pochyla się, delikatnie całując mnie w usta. Zamykam oczy. Chcę go całować, ale nie wiem, czy powinnam.

Kiedy odsuwa wargi, otwieram oczy.

– Andrew, co się dzieje?

Uśmiecha się i to rozgrzewa moją duszę.

– Nic – mówi i klepie mnie delikatnie po udach i znów staje się żartobliwy. – Tylko chciałem cię mieć na kolanach. – Uśmiecha się zawadiacko.

Chciałabym zejść, ale jego ramiona pozostają nieruchome. Przez resztę nocy pozwala mi wstać z kolan, tylko gdy muszę iść do toalety, a i wtedy czeka na mnie pod drzwiami. Zostajemy w Old Point i oglądamy, jak Eddie i chłopaki grają bluesa i blues rocka, a nawet kilka piosenek jazzowych, po czym około jedenastej zwijamy się do hotelu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Po powrocie Andrew zostaje w moim pokoju wystarczająco długo, by obejrzeć film. Długo rozmawiamy i czuję, że oboje mamy wiele obaw: on chce mi powiedzieć coś ważnego, tak jak ja jemu.

Myślę, że jesteśmy zbyt podobni i żadne z nas nie przekroczy granicy.

Co nas powstrzymuje? Może to ja; może cokolwiek jest między nami, nie rozwinie się, dopóki on nie poczuje, że jestem pewna swoich decyzji, że naprawdę tego chcę. A może po prostu on też nie jest niczego pewien.

Ale jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy się pociągają nawzajem, nie angażuje się? Jedziemy już razem prawie dwa tygodnie. Mamy swoje sekrety i byliśmy w intymnej sytuacji. Spaliśmy obok siebie, dotykaliśmy się, a mimo to nadal tu tkwimy, po dwóch stronach szklanej ściany. Sięgamy i przytykamy palce do szyby, patrzymy sobie w oczy i choć wiemy, czego chcemy, ta pieprzona szyba ani drgnie. To jest albo dyscyplina, albo masochizm.

– Nie to, żebym chciała cię poganiać – mówię, kiedy Andrew podnosi się, by przejść do swojego pokoju – ale jak długo jeszcze zostaniemy w Nowym Orleanie?

Łapie komórkę, która leży na szafce, i sprawdza ekran, ściskając aparat w dłoni.

– Mam zapłacone do czwartku – odpowiada – ale to zależy od ciebie. Możemy wyjechać jutro albo zostać dłużej, jeśli chcesz.

Uśmiecham się i wydymam usta, udając, że się głęboko nad tym zastanawiam, dotykam palcem policzka.

– No nie wiem – mówię, wstając z łóżka. – Podoba mi się tutaj, ale musimy dojechać do Teksasu.

Andrew patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Och? Nadal masz drogowskaz ustawiony na Teksas?

Powoli kiwam głową, tym razem naprawdę się nad tym zastanawiając.

– Tak – odpowiadam niejasno. – Chyba tak. Od początku miałam w planach Teksas... – A potem przychodzą mi do głowy słowa „może to się zakończy w Teksasie” i natychmiast smutnieję.

Andrew całuje mnie w czoło.

– Zobaczymy się rano.

Pozwalam mu wyjść, ponieważ szklana ściana jest zbyt gruba i zbyt sztywna, bym mogła

wyciągnąć rękę i go zatrzymać.

Wiele godzin później, gdy nadal jest ciemno i wszyscy pewnie jeszcze śpią, ja budzę się i natychmiast siadam na łóżku. Nie wiem, dlaczego się zerwałam, chyba zbudził mnie głośny dźwięk. Zbierając myśli, rozglądam się po ciemnym pokoju, pozwalając oczom przywyknąć do mroku i patrzę, czy coś nie spadło. Wychodzę z łóżka i odsłaniam zasłony, żeby cokolwiek dostrzec. Patrzę w stronę łazienki, na telewizor, w końcu na ścianę. Andrew. W końcu do mnie dociera: myślę, że słyszałam coś dochodzącego z jego pokoju.

Zakładam białe szorty na majtki, łapię swoją kartę-klucz oraz dodatkową, którą Andrew wręczył mi do swojego pokoju, i wychodzę na jasno oświetlony korytarz.

Unoszę dłoń i pukam.

– Andrew?

Żadnej odpowiedzi.

Pukam raz jeszcze, tym razem mocniej i głośniejszym głosem wołam go po imieniu, ale nadal nie uzyskuję odpowiedzi. Po chwili wsuwam kartę w zamek i otwieram cicho drzwi, aby go nie budzić, gdyby spał.

Andrew siedzi na brzegu łóżka, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi, które zwisają między nogami. Plecy ma zgarbione, a głowa opada mu tak, że patrzy w podłogę.

Zerkam w prawo i widzę pod ścianą telefon komórkowy z rozbitym wyświetlaczem. Musiał nim rzucić o ścianę.

– Andrew? Co się stało? – pytam, podchodząc wolno, nie dlatego, że się go boję, ale dlatego, że boję się o niego.

Zasłony są rozsunięte i księżyc zagląda przez okno, w jego świetle jest skąpane pomieszczenie i półnagią ciałą Andrew, które wydaje się bladoniebieskie. Ma na sobie tylko bokserki. Podchodzę do niego, kładę mu dłonie na ramionach i przesuwam w dół, delikatnie splatając z nim palce.

– Możesz mi powiedzieć – mówię, ale już i tak wiem, o co chodzi.

Andrew nie patrzy na mnie, ale zaciska dłonie na moich palcach i kołysze nimi.

Pęka mi serce...

Przysuwam się, stoję między jego nogami, a on nie waha się ciasno owinać ramion wokół mojego ciała. Zaczynam drżeć, kiedy jego ból mnie przenika, obejmuję ramionami jego głowę i przyciskam do swojego brzucha.

– Tak mi przykro, skarbie – szepczę, lzy strumieniami zaczynają płynąć mi po

policzkach, ale staram się, jak mogę, by zachować spokój. Chwytam delikatnie jego głowę, ale on tylko przyciska twarz do mojego brzucha. – Jestem tu, Andrew – mówię ostrożnie.

Wtulony we mnie łka bezgłośnie. Czuję, jak jego ciało drży. Jego ojciec umarł, a on pozwala sobie na smutek, tak jak być powinno. Trzyma mnie tak bardzo długo, obejmując ramionami. Gdy wstrząsa nim szloch, przytulam go jeszcze mocniej i wplatom mu palce we włosy.

W końcu podnosi wzrok. Wszystko, czego chcę, to uwolnić go od bólu. W tym momencie on jest wszystkim, na czym mi zależy. Chcę tylko, by już nie cierpiał.

Andrew pociąga mnie na łóżko i po prostu mnie tuli, stalowym uściskiem ramion przyciskając do siebie na całej długości. Leżymy tak kilka godzin, patrząc, jak księżyc wędruje po niebie. Andrew nie odzywa się ani słowem, a ja nie naciskam, ponieważ on potrzebuje ciszy. I nawet gdyby żadne z nas już nigdy nie miało się odezwać, mogłabym z tym żyć, jeśli dzięki temu zatrzymalibyśmy tę chwilę.

Dwoje ludzi, którzy nie umieli płakać, płacze razem, i jeśli świat skończyłby się dzisiaj, bylibyśmy spełnieni.

Światło wschodu słońca powoli przegania poświatę księżyca i przez chwilę obydwaj są na niebie, ale żadne nie dominuje. Horyzont staje się skąpany w ciemnym fiolecie, szarość nabiera różowych plam, aż w końcu słońce zwycięża i budzi się po naszej stronie świata.

Odwracam się, by leżeć twarzą do Andrew. On też nie śpi. Uśmiecham się do niego delikatnie, a on nie protestuje, gdy lekko go całuję. Unosi dłoń i kciukiem gładzi mój policzek, a potem dotyka ust, opuszka zatrzymuje się na chwilę na dolnej wardze, zanim się odsuwa. Przysuwam się do niego, a on splata swoje palce z moimi i złożone dłonie chowamy między ściśniętymi ciałami. Jego piękne zielone oczy śmieją się do mnie leciutko, rozplątuje nasze palce i owija ramię wokół mojej talii, i przyciąga mnie do siebie tak blisko, że czuję na policzku ciepło jego oddechu.

Wiem, że Andrew nie chce rozmawiać o swoim tacie, a jeśli zacznę naciskać, wszystko popuszczę, więc się nie odzywam. Bardzo chcę porozmawiać, ponieważ uważam, że mu to pomoże uporać się z bólem, ale on się nie odzywa, więc muszę czekać. On potrzebuje czasu.

Podnoszę rękę i śledzę palcem zarys tatuażu na jego prawym ramieniu. A potem moje palce trafiają na tatuaż na żebrach.

– Mogę zobaczyć? – pytam szeptem.

Wie, że mówię o Eurydyce. Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę. Z jego twarzy nie mogę wyczytać żadnych emocji. Potem się podnosi i przekręca na drugi bok tak, by tatuaż był widoczny. Leży na boku, przyciąga mnie delikatnie, a potem zabiera rękę ze swoich żeber. Podnoszę się, by lepiej widzieć, przeciągam palcami po skomplikowanym, przepięknym rysunku. Głowa kobiety zaczyna się dwa cale od wewnętrznej strony ramienia, a bosa stopy sięgają do połowy biodra i kilka cali od brzucha. Ma na sobie długą, zwiewną suknię przyklejoną do ciała,

jakby dmuchał na nią mocny wiatr. Tkanina faluje wokół niej poruszana niewidzialną bryzą.

Eurydyka stoi na półce skalnej i patrzy w dal, lekko unosząc dłoń. Wyciąga drugą ręką, która – co dziwne – kończy się na łokciu. Obok niej widać męskie przedramię. Niżej skrawek tkaniny faluje poruszany tym samym podmuchem wiatru. Obrazek kończy się na stopach i umięśnionych łydkach.

Przeciągam palcami po każdym milimetrze tatuażu, zafascynowana jego pięknem, i zastanawiam się nad koncepcją rysunku i nad fragmentami, których brakuje.

Patrzę na Andrew, a on mówi:

– Wczorajszej nocy pytałaś o mojego muzycznego idola. To Orfeusz. Wiem, że to dziwne, ale od zawsze uwielbiałem opowieść o Orfeuszu i Eurydyce, zwłaszcza tę opowiadaną przez Apoloniusza z Rodos.

Uśmiecham się delikatnie, a moje palce nadal spoczywają na jego żebrach.

– Wiem co nieco o Orfeuszu, ale właściwie nic o Eurydyce. – Trochę się wstydzę, że nie znam ich historii, zwłaszcza że tak wiele znaczy dla Andrew.

Zaczyna wyjaśniać:

– Orfeusz swoje uzdolnienia zawdzięczał matce, muzie Kaliope. Grą na lirze albo śpiewem oczarowywał każdą żywą istotę. Nie było większego muzyka niż on, ale jego miłość do Eurydyki była większa niż jego talent; zrobiłby dla niej wszystko. Pobrali się, ale niedługo po ślubie Eurydyka została ukąszona przez żmiję i umarła. Pograżony w smutku Orfeusz poszedł do Podziemi, by sprowadzić ją z powrotem. – Kiedy Andrew opowiada tę historię, wyobrażam sobie, że jestem Eurydyką. A on Orfeuszem. Nawet porównuję tę głupią chwilę, gdy leżeliśmy z Andrew na polu, a spod koca wypełzł wąż. To takie naiwne, ale nic nie mogę na to poradzić... – W Podziemiach Orfeusz grał na lirze i śpiewał. Wszyscy byli nim urzeczeni i poddali się jego woli. Zezwolili Eurydyce na powrót, ale pod warunkiem, że Orfeusz nie spojrzy na nią nawet przez moment podczas ich wędrówki na ziemię. – Andrew robi pauzę. – Ale Orfeusz chciał się upewnić, czy Eurydyka podąża za nim.

– I odwrócił się – dokończyłam.

Andrew ze smutkiem przytakuje.

– Tak, zrobił to za wcześnie, dostrzegł Eurydykę w słabym świetle jaskini. Wyciągnęli do siebie ręce, ale zanim ich palce się zetknęły, ona została wciągnięta w mrok Podziemi, a on już jej nigdy nie zobaczył. – Kryję swoje emocje i po prostu patrzę tęsknie w twarz Andrew. Wydaje się nieobecny, pograżony w myślach. A potem wraca do rzeczywistości. – Ludzie cały czas robią sobie znaczące tatuaże – mówi, znów na mnie patrząc. – A tak się składa, że ten jest mój.

Ponownie spoglądam w dół, a potem patrzę mu w oczy, przypominając sobie, co powiedział jego ojciec, gdy byliśmy w Wyoming.

– Andrew, to właśnie miał na myśli twój tata w szpitalu, tak?

Jego spojrzenie mięknie, odwraca wzrok. A potem wyciąga rękę i łapie moją dłoń, przeciągając kciukiem po moich palcach.

– Zrozumiałaś to? – pyta, uśmiechając się delikatnie.

– Tak.

Andrew całuje moje palce, po czym puszcza moją rękę.

– Lubił się ze mną drażnić – mówi. – Zrobiłem tatuaż i powiedziałem Aidanowi, co on oznacza i dlaczego nie jest skończony, a on powiedział ojcu. – Andrew przewraca oczami. – Pewne jak cholera, że nigdy mi nie odpuścił. Przez ostatnie dwa lata ojciec suszył mi o niego głowę, ale wiem, że był po prostu moim tatą: twardym facetem, który nigdy nie płakał i nie wierzył w emocje. Ale raz, kiedy Aidana i Ashera nie było w pobliżu, powiedział mi, że choć mój tatuaż jest „cipowaty”, on to rozumie. Powiedział mi: „Synu, mam nadzieję, że pewnego dnia znajdziesz swoją Eurydykę i ona nie zmieni cię w cipkę. Mam nadzieję, że ją znajdziesz”.

Staram się uśmiechnąć, a Andrew dostrzega moje próby i też się uśmiecha.

– Ale dlaczego on jest niedokończony? – pytam, ponownie mu się przyglądając i odsuwając jego rękę. – I jaki właściwie ma to sens?

Andrew wzdycha, chociaż wiedział, że zadam te pytania. Teraz mam poczucie, że łudził się, iż odpuszczę.

Ale nie ma szans.

Nagle Andrew się podnosi i pociąga mnie, sadzając obok siebie. Zaciska palce na końcu mojego topu i zaczyna go zdejmować. Bez wahania unoszę ręce, pozwalając mu ściągnąć koszulkę przez głowę, i siedzę przed nim naga od pasa w górę. Tylko niewielka część mnie czuje dyskomfort i ręce instynktownie przyciskają się do ciała, jakby chciały własnym cieniem zamaskować moją nagość.

Andrew pociąga mnie z powrotem i kładzie na łóżku, przyciskając moje nagie piersi do swojego torsu. Obejmuję go ramionami, tak samo jak on mnie, przytulamy się mocniej, spleatamy nogi. Stykają się nawet żebra, ciała pasują do siebie jak dwa kawałki układanki.

I nagle zaczynam rozumieć...

– Moja Eurydyka jest tylko połową tatuażu – mówi i patrzy na moje żebra, gdzie w lustrzanym odbiciu byłaby druga część. – Pomyślałem, że pewnego dnia, kiedy się ożenię, moja dziewczyna zrobi drugą część i ponownie ich połączymy. – Serce podchodzi mi do gardła. Próbuję przełknąć, ale jest zaklinowane, nabrzmiałe i ciepłe. – Wiem, że to wariactwo – mówi i czuję, że rozluźnia uścisk.

Tulę się do niego nieco mocniej, przytrzymując na miejscu.

– To nie wariactwo. – Mój głos jest cichy i zmysłowy. – I to nie jest „cipowate”. Andrew, to piękne, ty jesteś piękny...

Jakaś samotna emocja przemyka przez jego twarz. Emocja, której nie umiem zdefiniować. A potem chce wstać, więc niechętnie go puszczam. Łapie swoje ciemnobrązowe szorty, które leżą na podłodze, i wciąga je na bokserki.

Jestem zdziwiona, że szybko wstał, i zaskoczona, że w ogóle to zrobił, ale też się podnoszę i zakładam top.

– Cóż, myślę, że mój tata mimo wszystko miał rację – mówi, pochodząc do okna i patrząc na Nowy Orlean. – Miał uczucia, a to gównie „prawdziwi mężczyźni nie płaczą” było tylko po to, żeby ukryć...

– Co ukryć?

Staję za nim, ale tym razem go nie dotykam, bo czuję, że on nie chce, żebym tu była. To nie brak zainteresowania czy niechęć, ale coś innego...

Odpowiada, nie odwracając się:

– Że nic nie trwa wiecznie. – Kołysze się, patrząc w okno, i krzyżuje ręce na piersi. – Lepiej unikać emocji, niż pozwolić, by cię dopadły i powaliły, a ponieważ nic nie trwa wiecznie, w końcu wszystko, co dobre, będzie boleć jak diabli.

Jego słowa rozrywają mi serce.

Wszystkie mury obronne, które runęły dzięki Andrew, znowu mnie otaczają.

Ponieważ on ma rację, wiem, że ma pieprzoną rację.

Nieubłagana logika jego słów powstrzymuje mnie tym razem przez wejściem do jego świata, staniam się jego częścią.

Ale nie chcę już o tym myśleć. Nie mogę mu pokazać, że poddałam się jego logice, by nie miał dodatkowego powodu do zmartwienia.

– Będziesz... musiał jechać na pogrzeb twojego taty, więc...

Andrew obraca się do mnie, jego oczy są zdecydowane.

– Nie, nie będzie mnie na pogrzebie. – Wkłada czysty podkoszulek.

– Ale Andrew... musisz tam być. – Marszczę czoło. – Nigdy sobie nie wybacysz, jeśli

nie pojedziesz.

Widzę, jak zaciska mu się szczęka, kiedy zgrzyta zębami. Patrzy w dal i siada na skraju łóżka, pochyla się i wkłada stopy w czarne, sportowe buty, nawet nie kłopotując się, by je rozwiązać. Wstaje.

Mogę jedynie stać na środku pokoju i nie dowierzać. Powinnam powiedzieć coś, namówić go do zmiany zdania, ale serce podpowiada mi, że nie ma takiego argumentu, który go przekona.

– Muszę coś zrobić – mówi, wkładając kluczyki od auta do kieszeni. – Niedługo wrócę, dobrze?

Zanim mogę odpowiedzieć, Andrew podchodzi, ujmuje dłońmi moją głowę, pochyla się i dotyka czołem mojego. W jego oczach dostrzegam ból, konflikt i niezdecydowanie i wiele innych emocji, których nawet nie umiem nazywać.

– Będzie w porządku, jeśli zostaniesz tutaj? – pyta cicho, jego twarz jest o cal od mojej.

Odsuwam się nieznacznie, by na niego spojrzeć, i kiwam głową.

– Nic się nie stanie – odpowiadam.

Tylko to umiem powiedzieć. Jestem tak samo sfrustrowana i niezdecydowana jak on. Ale też cierpię. Czuję, że coś się między nami dzieje, coś, co raczej odsuwa nas od siebie, niż zbliża, tak jak cała ta podróż.

I to mnie przeraża.

Rozumiem logikę. Moje mury zostały odbudowane. Ale boję się, jak nigdy wcześniej niczego się nie bałam.

Patrzę, jak Andrew wymyka się z pokoju. Opuszcza mnie pierwszy raz od chwili, gdy wrócił po mnie na dworzec autobusowy. Byliśmy razem, praktycznie nierozłączni, przez cały ten czas, a teraz... odkąd wyszedł przez drzwi, czuję się, jakbym go nigdy więcej miała nie zobaczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ANDREW

- Wcześniej zaczynasz – mówi barman, popychając kieliszek po barze w moją stronę.
- Serwujecie alkohol, więc nie jest za wcześnie.

Jest już trzecia po południu. Zostawiłem Camryn o poranku, przed ósmą. Trochę dziwne, że byliśmy w tej wspólnej podróży, a żadne z nas nie pomyślało albo nie chciało myśleć o wymianie numerów telefonów. Myślę, że nie zwracałem sobie tym głowy, bo zawsze była przy mnie. Jestem pewien, że zastanawia się teraz, czy wrócę, i może żałuje, że nie ma mojego numeru, żeby zadzwonić i spytać, czy wszystko w porządku – wyświetlacz jest pęknięty, mimo to komórka nadal działa. W sumie szkoda, że się nie rozwaliła całkowicie, bo mama i Asher już zdążyli zadzwonić do mnie dziesiątki razy.

Zdecydowałem, że wrócę do hotelu, ale tylko po to, żeby zabrać gitarę Aidana i zostawić na łóżku bilet lotniczy dla Camryn. Opłacone są jeszcze dwie doby, więc nic jej nie będzie. Zostawię jej też pieniądze na taksówkę na lotnisko. Przynajmniej tyle mogę zrobić. To ja namówiłem ją, by tkwiła w tym gównie ze mną. I to ja muszę się upewnić, że jej droga powrotna do domu będzie zapłacona i komfortowa.

Dzisiaj nasza przygoda się kończy.

Nie powinienem był pozwolić, by to zaszło tak daleko, ale uspiły mnie i oślepiły boleśnie zakazane uczucia. Ale myślę, że ona sobie poradzi; nie spaliśmy ze sobą i żadne z nas nie powiedziało tych cholernych dwóch słówek, które wszystko by skomplikowały, więc tak... myślę, że da sobie radę.

Podsumowując – ona mi się nie oddała. Wyłożyłem kawę na ławę, mówiąc: „Gdybyś pozwoliła, żebym cię przeleciał, musiałabyś się stać moją własnością”. Jeśli to nie było jawne zaproszenie, to nie wiem, co to było. Nie było to romantyczne, ale uczciwie postawiłem sprawę.

Płacę za wódkę i wychodzę z baru. Chciałem się upić. Chociaż jestem w takim nastroju, że potrzeba by całej cholernej butelki, żeby zwalić mnie z nóg. Wkładam ręce do kieszeni i wlokę się przez Bourbon Street i Canal Street i ulicami, których nie znam. Włóczę się tak bez końca, idę przed siebie bez celu, tak jak Camryn podróżuje bez kierunku i celu. Po prostu muszę iść.

Włóczenia się po mieście w oczekiwaniu na nadejście nocy, żebym mógł się wślizgnąć niezauważony do hotelu, podczas gdy ona będzie spała, nie uważam za stratę czasu, natomiast niepotrzebnie trwonię minuty, pozwalając sobie na nadzieję, że zmienię zdanie. Nie chcę jej zostawiać, ale wiem, że muszę.

Wędrowkę kończę w parku Woldenberg Riverfront. Siedzę nad brzegiem Missisipi

i obserwuję statki i promy płynące z Algieru. Zapada zmierzch i przez dłuższy czas moim jedynym towarzyszem jest pomnik Malcolma Woldenberga, aż przychodzą dwie dziewczyny, a po koszulkach z napisem „Kocham Nowy Orlean” wnioskuje, że turystki.

Blondynka uśmiecha się nieśmiało, podczas gdy brunetka przechodzi do ataku.

– Imprezujesz gdzieś dzisiaj? – Przechyliła głowę na bok, patrząc na mnie. – Jestem Leah, a to jest Amy.

W uśmiechu blondynki, Amy, jest wyraźna zachęta. Wystarczy, że poproszę, a pozwoli, żebym ją przeleciał.

Kiwam głową, starając się być grzeczny, ale nie podaję im imienia.

– To imprezujesz dzisiaj czy nie? – pyta brunetka, siadając koło mnie na betonie. Już zapomniałem ich imiona.

– Właściwie to nie – odpowiadam i nie podtrzymuję rozmowy.

Blondynka siada po drugiej stronie, podciągając szorty tak, że odsłaniają uda. *Camryn wygląda lepiej w szortach.* Kręcę głową i znów gapię się na Missisipi.

– Powinieneś iść z nami – mówi brunetka. – Sporo się będzie dzisiaj działo w barze d.b.a., a ty wyglądasz na znudzonego jak diabli.

Jest dość atrakcyjna, zresztą podobnie jak blondyna, ale im więcej mówi, tym mniej jej słucham. Mogę myśleć tylko o Camryn. Ta dziewczyna odcisnęła na mojej duszy piętno, którego nigdy nie zmażę. Patrzę na długie nogi brunetki, potem na jej usta, gdy mówi:

– Chciałybyśmy, żebyś do nas dołączył... będzie fajnie.

Mógłbym... Gdybym wyjeżdżał i miał nigdy nie zobaczyć Camryn, może bym poszedł, znalazł pokój i wybykał obie. Jestem prawie pewien, że chętnie rozebrałyby się przede mną. Zdarzały mi się takie rzeczy i nigdy mi się nie nudzą.

– No nie wiem – mówię. – Czekam na kogoś.

Nie mam pojęcia, co mówię i dlaczego to mówię.

Brunetka pochyla się i kładzie dłoń na moim udzie.

– Będziemy lepszym towarzystwem – mówi zmysłowym szeptem, który oznacza, że przeżyła zbyt dużo numerków na jedną noc.

Odsuwam jej rękę i wstaję, wbijam ręce w kieszenie i odchodzę. Innym razem bym skorzystał, ale nie dzisiaj.

Muszę się wydostać z tego miasta.

Kiedy odchodzę bez słowa, słyszę, że dziewczyny psioczą na mnie. Nawet nie wsłuchuję się w to, co mówią; nie obchodzi mnie, że są urażone. Za godzinę będą ujeżdżać fiuta innego faceta i zapomną, że w ogóle ze mną rozmawiały.

Jest już po północy. Wstępuję do kafejki internetowej i kupuję dla Camryn bilet lotniczy do Karoliny Północnej, a potem zatrzymuję się przy bankomacie i wybieram z niego tyle gotówki, żeby miała na taksówki na lotnisko i z lotniska do domu.

Wchodzę do hotelu i proszę recepcjonistę o kopertę, papier i długopis, siadam na kanapie w holu i piszę liścik do Camryn:

Camryn,

Przykro mi, że odchodzę w taki sposób, ale wiem, że nie mógłbym się pożegnać twarzą w twarz. Liczę na to, że mnie zapamiętasz, ale jeśli zapomnienie o mnie będzie dla Ciebie łatwiejsze, też jakoś to zniosę.

Nigdy się nie powstrzymuj, Camryn Bennett, bądź pewna, czego chcesz od życia, mów, co czujesz, i nigdy nie obawiaj się być sobą. Pierdol to, co myślą inni. Żyjesz dla siebie, nie dla nich.

Kod na dole to dostęp do biletu na samolot do domu. Wszystko, czego potrzebujesz, to ten kod i dokument tożsamości. Samolot odlatuje rano. Kasa jest na taksówkę.

Dziękuję za najlepsze dwa tygodnie mojego życia i że byłaś przy mnie w chwili, kiedy Cię najbardziej potrzebowałem.

Andrew Parrish

KYYBPR

Pięć razy czytam liścik, zanim składam go i wkładam razem z kasą do koperty.

Idę do windy. Ostatnią trudnością jest wymknienie się, żeby Camryn mnie nie zauważyła. Mam nadzieję, że śpi. Proszę, niech śpi. Będę potrafił to zrobić, jeśli jej nie zobaczę, ale jeśli ona zobaczy mnie... Nie. Muszę być pewien, że mi się uda.

Bo się uda.

Na naszym piętrze wychodzę z windy i idę długim, jasno oświetlonym korytarzem. Widzę drzwi do naszych pokoi i ze zdenerwowania zaczyna mnie boleć żołądek. Stąпам na palcach z obawy, że szuranie butów zdradzi moją obecność. Na jej drzwiach wisi wywieszka „nie przeszkadzać” i nie wiem dlaczego, ale z tego powodu żołądek wiąże mi się w supeł. Być może dlatego, że wywieszałem takie informacje wyłączne wtedy, kiedy się pieprzyłem? Myśl o Camryn bzykanej przez innego faceta...

Zgrzytam zębami, przechodząc obok. Jak żalosna była ta myśl? Przecież ona nawet nie jest moja, żebym mógł szaleć z zazdrości.

Im szybciej wyjadę z Nowego Orleanu, tym lepiej.

Wkładam kartę w zamek i wślizguję się do pokoju. Patrzę na rzeczy, które leżą tak, jak je zostawiłem: ubrania porozrzucane wokół torby, gitara Aidana oparta o ścianę. Chodzę po pokoju i zbieram rzeczy, i uświadamiam sobie, że w gniazdku wisi ładowarka, której prawdopodobnie bym nie zauważył, gdybym obok niej nie przechodził. Odłączam ją i pakuję z ciuchami do torby. W końcu idę do łazienki po szczoteczkę do zębów.

Kiedy wracam do pokoju, w drzwiach stoi Camryn.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

CAMRYN

– Andrew? Wszystko w porządku? – Patrzę na niego, krzyżuję ramiona na piersiach, kiedy zamykają się za mną drzwi.

Tak się o niego martwiłam... martwiłam się, że opuści mnie bez pożegnania, ale bardziej martwiłam się, ponieważ był w podłym nastroju, kiedy wychodził. Bo właśnie umarł jego tata.

Wzdycham, a on przechodzi obok mnie i podchodzi do swoich toreb leżących na końcu łóżka.

Dlaczego na mnie nie patrzy?

Jeszcze raz spoglądam na torby i już wiem, co robi. Opadają mi ramiona, kiedy podchodzę do niego.

– Proszę, porozmawiaj ze mną – mówię delikatnie. – Andrew, cholernie mnie przerażasz...

Wsuwa szczoteczkę do torby i nadal stoi odwrócony do mnie plecami.

– Jeśli musisz jechać na pogrzeb, to dobrze. Mogę wrócić do domu. Ale moglibyśmy porozmawiać...

Andrew chodzi w kółko i zbiera rzeczy.

– Tu nie chodzi o pogrzeb ojca, Camryn – mówi, a jego słowa mnie ranią, nawet jeśli jeszcze nie rozumiem ich sensu.

– O co zatem chodzi?

Znów się ode mnie odwraca, udając, że grzebie w torbie, chociaż doskonale wiem, że robi to tylko po to, by zająć czymś ręce. Z tylnej kieszeni jego spodni wystaje koperta. Z przodu jest napisane „RYN” i wnioskuję, że to moje imię.

Sięgam i wrywam ją.

Andrew odwraca się, jest smutny.

– Camryn... – wzdycha przeciągle i patrzy w podłogę.

– Co to jest? – pytam, patrząc na własne imię na kopercie.

W tej samej chwili odrywam palcem jej wierzch.

Andrew nie odpowiada, tylko stoi i czeka, aż przeczytam list, bo wie, że i tak to zrobię.

Chce, żebym to zrobiła.

Widzę pieniądze, ale nawet ich nie wyjmuję, tylko rzucam kopertę na łóżko. Wszystko, na czym mi zależy, to ten liścik, którego jeszcze nie przeczytałam, a już łamie mi serce. Kilkakrotnie patrzę to na Andrew, to na kartkę papieru. W końcu ją rozkładam.

Ręce mi się trzęsą.

Dlaczego drżą mi dłonie?

W miarę czytania w gardle formuje mi się gula. Oczy zaczynają płonąć gniewem i bolą od gromadzących się łez.

– Maleńka, przecież wiedziałaś, że ta wycieczka musi się kiedyś skończyć.

– Nie nazywaj mnie „maleńka”. – Mocno mnę trzymaną w ręce kartkę. – Jeśli odchodzisz, nie masz do tego prawa.

– To sprawiedliwe.

Patrzę na niego, a moja twarz jest pełna bólu, pytań i zdumienia. Dlaczego jestem tak zła, zraniona? Andrew ma rację: kiedyś to musiało się skończyć, ale dlaczego mam pozwolić mu traktować się w ten sposób?

Łzy zaczynają płynąć strumieniem. Nie mogę ich powstrzymać, ale niech mnie szlag, jeśli rozplącę się jak dziecko. Po prostu na niego patrzę, a moja twarz wykrzywiona jest bólem i gniewem. Dłonie zaciskają się w pięści, w jednej z nich jest zmięty liścik Andrew.

– Gdybyś wyjeżdżał w ten sposób z powodu swojego ojca, gdybyś potrzebował czasu i samotności i gdyby numer pod spodem był numerem twojego telefonu, a nie rezerwacją lotniczą, zrozumiałabym. – Podnoszę kartkę, a potem opuszczam do boku. – Ale jeśli wyjeżdżasz przeze mnie i udajesz, że nic między nami nie było... Andrew, to boli, to kurewsko boli.

Zaciska zęby.

– Kto, do cholery, powiedział, że będę udawał, że to nigdy się nie zdarzyło? – syczy każde słowo, zraniony tym, co powiedziałam. Rzuca worek na łóżko i podchodzi do mnie. – Nigdy nie będę w stanie zapomnieć ani jednej chwili z tego, co się wydarzyło, Camryn! Właśnie dlatego nie umiałem spojrzeć ci w twarz! – Dłońmi tnie powietrze między nami.

Cofam się o krok, odsuwając się od niego. Nie umiem sobie z tym poradzić. Za bardzo boli mnie serce. I jestem wkurzona, że nie mogę przestać płakać. Smutno patrzę na liścik w opuszczonej dłoni, w końcu podchodzę do łóżka, gdzie leży koperta z pieniędzmi.

– Dobra. Jedź sobie. Ale sama zapłacę za powrót do domu.

Wycieram oczy i idę do drzwi.

– Nadal się boisz – woła za mną Andrew.

Odwracam się na pięcie.

– Gównu wiesz! – Szarpnięciem otwieram drzwi, rzucam jego kartę-klucz na podłogę i kieruję się do swojego pokoju.

Gnam, pędzę, lecę. Mam ochotę walnąć w ścianę albo czymś rzucić, ale kończę, łkając jak dziecko.

Andrew wpada za mną, drzwi otwiera tak mocno, że walą w ścianę. Łapie mnie za ramiona tak okrutnie, że jego palce wbijają się w moje mięśnie.

– Dlaczego nadal się boisz?! – Oczy ma pełne łez bólu i wściekłości. Potrząsa mną. – **POWIEDZ, CO CZUJESZ!**

Jego pełen emocji głos sprawia, że sztywnieję, ale w końcu odpycham jego ręce. Jestem zdezorientowana. Wiem, co chcę powiedzieć. Nie chcę, żeby odchodził, ale...

– Camryn! – Jego twarz jest pełna gniewu i desperacji. – Powiedz, cokolwiek czujesz! Mam w dupie, jak bardzo to niebezpieczne, głupie, żenujące lub jak bardzo rani... **POWIEDZ MI, CO CZUJESZ!** – Jego głos jest ostry. I nie przestaje wrzeszczeć. – Bądź ze mną szczerą. Bądź szczerą z sobą! – Jego ręce poruszają się nerwowo. – CAMR...

– Chcę ciebie, do cholery! – również wrzeszczę. – Na myśl, że odchodzisz i cię już nigdy nie zobaczę, pęka mi serce! – Pali mnie gardło. – Kurwa, nie mogę bez ciebie oddychać!

– **POWIEDZ TO!** Ja pierdolę! – woła zdenerwowany. – Po prostu to z siebie wyduś!

– Chcę się stać twoją własnością! – Trudno mi stać prosto. Szloch wstrząsa moim ciałem. Oczy kłują i bolą jak nigdy przedtem.

Andrew łapie mnie za ręce i wykręca nadgarstki, trzymając za plecami, przyciąga mocno do piersi.

– Powtórz to, Camryn. – Ciepły oddech owiewa mi szyję, wywołując dreszcze. Zębami skubie płatek mojego ucha. – Kurwa, powtórz to, maleńka. – Jego dłoń boleśnie zaciska się wokół moich nadgarstków.

– Należę do ciebie, Andrew Parrish... chcę ci się oddać...

Drugą ręką łapie mnie za włosy i ciągnie, muszę podnieść głowę i odsłonić szyję. Skubie

zębami moją brodę i schodzi niżej po szyi. Jego męskość pręży się i naciska na mnie przez ubrania.

– Proszę... – szepczę. – Nie odchodź ode mnie...

Nadal trzymając moje ręce i przyciskając się do mnie, wkłada dłoń w moje szorty i majtki i zdiera mi je. Pcha mnie na łóżko. Kolanami wbijam się w materac. Unosi mi ręce nad głowę i ściąga koszulkę.

Nie patrzę za siebie. Słyszę, że zrzuca buty i ściąga ciuchy. Poruszę się dopiero wtedy, gdy mi na to pozwoli.

Twardy jak skała brzuch przylega do moich pleców. Ciepłe ramiona obejmują mnie w talii, jedna ręka wędruje do przodu i zaciska się na piersi, a druga ześlizguje się w dół i łąduje pomiędzy nogami. Odchylam głowę i opieram na jego piersi, a on palcami przesuwa po moich dolnych wargach, drażniąc je. Dyszę, obracam głowę, żeby dosięgnąć jego ust. Wysuwa język i dotyka mojego, ta gorąca wilgoć doprowadza mnie do szaleństwa. Przyciska usta do moich i całuje łapczywie, aż do utraty tchu. A potem zmusza do opadnięcia na łóżko, moje dłonie łądują na pościeli, palce zaciskają się na materiale, przytula się do moich pleców, aż ramiona poddają się, bo nie mogą nas obojga utrzymać. Znów chwytą moje nadgarstki i ciągnie je do tyłu, równocześnie przytula mnie jeszcze mocniej.

– Cholera, Andrew, przeleć mnie... proszę... – błagam, mój głos drży. Tym razem bez zachęty mówię, co czuję. I to brzmi dobrze.

Andrew pochyła się nade mną; czuję jego wzwód. Tak bardzo pragnę go w sobie, ale on celowo zwleka. To potęguje rozkosz, sprawiając, że coraz bardziej niecierpliwie wyczekuję chwili, gdy we mnie wejdzie.

Znów wstrząsa mną dreszcz, gdy czuję na karku wędrujący czubek jego języka. Leżę na brzuchu z policzkiem wciśniętym w materac, przygwożdżona jego ciałem. Nie mogę się ruszyć. Przygryzam wargę, gdy Andrew zębami skubie skórę na moim kręgosłupie, wystarczająco, bym poczuła ból, ale na tyle delikatnie, by nie przerwać skóry. A po każdym ugryzieniu całuje i liże to miejsce, aby złagodzić ból.

Andrew przewraca mnie, łąduję na środku łóżka. Kładzie się pomiędzy moimi udami, rozsuwa mi kolana; jestem całkowicie odsłonięta. Wkłada dłonie pod moje uda, zmuszając, by pozostały otwarte.

Jego zielone spojrzenie krzyżuje się z moim, po czym łąduje niżej, na mojej obnażonej kobiecości. Drażni się ze mną, przeciągając palcem po fałdkach, a potem wodząc nim wokół łechtaczki. Dyszę i drzę pod wpływem tego elektryzującego dotyku. Patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek i wsuwa we mnie palec. Moja dłoń natychmiast podąża, by spotkać się z jego ręką, i Andrew pozwala mi dotykać się w ten sposób, ale po chwili zabrania. Porusza magicznymi palcami, a ja wije się, rzucając głową na obie strony. A on, wiedząc, że niedługo dojdę, zabiera dłoń.

Podnosi się i wargami rysuje ścieżkę do moich ust, całując, liżąc i skubiąc skórę od zbiegu ud, a ręce trzyma mi nad głową, tak że nie mogę nimi ruszyć. Jego namiętne spojrzenie studiuje moje usta, po czym on spogląda mi w oczy i mówi:

– Mam zamiar wypieprzyć cię dość mocno... Boże, nawet nie wiesz, jak cholernie tego pragnę. – Te słowa wywołują zmysłową rozkosz, sprawiając, że jeszcze bardziej wilgotnieję. Gryzie mój język, a potem całuje z taką pasją, że oboje tracimy dech, jęcząc w swoje usta.

Bez przerywania pocałunku jego prawa ręka wędruje w dół naszych ciał, odnajduje swoją męskość i prowadzi ku mojemu wnętrzu, wchodząc tylko odrobinę, co mnie doprowadza do szału. Wypycham ku niemu biodra, starając się wprowadzić go głębiej, całuję mocniej, aż w końcu uwalniam rękę i łapię go za kark. Chwytam za włosy i ciągnę tak mocno, iż boję się, że je wyrwę. On ma to gdzieś. Ja również. On lubi ból, tak samo jak ja.

A potem powoli, tak że dreszcz przechodzi boleśnie przez każdy mięsień mojego ciała, wsuwa się we mnie. Moja głowa opada z powrotem na poduszki, a usta otwierają się. Dyszę, jęczę i piszczę. Mam tak ciężkie powieki, że nie umiem ich podnieść. Czuję go w środku, jakby pęczniał, a moje uda drżą owinięte wokół jego pasa.

Na początku robi to powoli, zmuszając, bym otworzyła oczy, i patrzyła na niego. Łapie zębami moją dolną wargę, odciąga ją i wodzi po niej czubkiem języka. Dociskam usta do jego warg, wypycham biodra, by przyjąć go głębiej.

Moje nogi drżą. Nie mogę tego kontrolować. Andrew zaczyna pieprzyć mnie mocniej i już nie mogę go dłużej całować. Wyginam szyję, plecy zaczynają się unosić, a piersi podnoszą się tak, że Andrew liże zachłannie moje sutki. Owijam ramiona i nogi szczelnie wokół jego ciała, wbijam mu paznokcie w plecy, czując pod nimi pot. Drapię mu skórę. To sprawia, że bzyka mnie jeszcze mocniej.

– Dojdz ze mną – szepcze mi do ucha i ponownie całuje.

Sekundę później dochodzę, całe moje ciało drży jeszcze mocniej i czuję, że zaciskam się na nim.

– Nie wychodź – jęczę, gdy dochodzimy. Pozostaje. Głęboki jęk wydobywa się mu z piersi, a ja czuję wewnątrz ciepło jego uwolnienia. Rozluźniam nogi. Andrew nie przestaje się we mnie wciskać, aż w końcu jego ciało się odpręża.

Leży obok mnie, twarz opiera na mojej piersi, jedna moja noga wciąż jest przewieszona przez jego pas. I leżymy tak przez dłuższą chwilę, przytuleni do siebie, pozwalając oddechom się uspokoić, a ciałom dojść do siebie. Ale dwadzieścia minut później robimy to znowu. I zanim zaczyna świtać i zasypiamy w swoich ramionach, miał mnie na więcej sposobów niż ktokolwiek inny.

Następnego ranka, gdy słońce przedziera się przez zasłony, udowadnia mi, że nie zawsze jest brutalny i agresywny, ponieważ budzi mnie delikatnymi pocałunkami. Robi masaż pleców, po czym całuje żebra i uda, następnie kocha się ze mną delikatnie.

Mogłabym teraz umrzeć z nim w tym łóżku, w jego ramionach i nawet bym się nie zorientowała, że nie żyję.

Andrew przyciska mnie do siebie i całuje po linii szczęki.

– Teraz już nie możesz nigdzie iść – szepczę.

– Nigdy nie chciałem tego zrobić.

Odwracam się twarzą do niego, splatamy nogi. Opiera czoło o moje.

– Ale przecież wczoraj... – mówię cicho.

Przytakuje.

– Chciałem odejść, ponieważ... – Zamyśla się.

– Dlaczego? – pytam. – Bo za bardzo się bałam tego, co oczywiste? – Wiem, że to dlatego. Tak myślę. Taką mam nadzieję... Andrew ucieka wzrokiem. Unoszę dłoń i palcem przeciągam po jego brwi, a potem przechodzę na nos. Zabieram rękę i delikatnie całuję jego wargi. – Andrew, to dlatego?

Serce podpowiada mi, że to nie jest powód.

Jego oczy zaczynają się uśmiechać, przyciąga mnie bliżej, przytula mocniej i całuje z pasją.

– Na pewno tego chcesz? – pyta, jakby nie mógł uwierzyć, że chciałabym go w taki sposób, co jest dla mnie absurdem.

Staram się zrozumieć, co ma na myśli, i szybko na to wpadam.

– Dlaczego miałabym nie chcieć? – mówię. – Andrew, mówiłam poważnie, że nie umiem bez ciebie oddychać. Wczoraj, gdy nie było cię cały dzień, siedziałam na brzegu tego łóżka i nie mogłam złapać tchu. Myślałam, że odszedłeś na zawsze, i zastanawiałam się, dlaczego nawet nie wzięłam od ciebie numeru telefonu, bo nigdy nie będę mogła cię odnaleźć...

Kładzie palec na moich ustach, uspokajając mnie.

– Jestem tu i nigdzie się nie wybieram.

Uśmiecham się z nostalgią i przytulam głowę do jego piersi, a on opiera podbródek na mojej głowie. Słucham bicia serca i spokojnego oddechu. Leżymy bez słowa przez kilka godzin. Zdaję sobie sprawę, że jestem dokładnie tu, gdzie chcę być, od kiedy pierwszy raz odezwałam się do niego w autobusie.

Złamałam każdą regułę. Każdą. Nawet najmniejszą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ANDREW

Serce zawsze wygra z rozumem. Serce, chociaż lekkomyślne i samobójczo-masochistyczne, robiące wszystko po swojemu, zawsze utoruje sobie drogę. Umysł może podpowiadać to, co najlepsze, ale mam w dupie, co mówi mój. Po prostu pragnę żyć chwilą.

– Wstawaj, maleńka – mówię, klepiąc Camryn w tyłek.

Zasnęła ponownie w moich ramionach, po tym jak obudziliśmy się o świcie. Myślę, że w którymś momencie też przysnąłem, ale od ostatniej nocy mogę myśleć tylko o niej i nawet gdybym usnął, nigdy bym się nie zorientował.

Jęczy, protestując, i obraca się do mnie, zaplątana w białej pościeli, ze słonecznym bałaganem na głowie, ale jest seksowna jak cholera.

– Och, daj spokój, skarbie – mruczy, a moje serce potyka się kilka razy, gdy słyszę, że tak mnie nazywa – prześpijmy cały dzień.

Wkładam podkoszulek, wskakuję w szorty, siadam obok niej na łóżku i obejmuję ją.

Pochylam się i przyciskam usta do jej czoła.

– Chcę zrobić z tobą wszystko – mówię, uśmiechając się, potem orientuję się, jak niezręcznie to zabrzmiało, ale mam to gdzieś. – Możemy pojechać wszędzie, robić, cokolwiek wpadnie nam do głów.

Nigdy wcześniej nie byłem tak szczęśliwy. Nie wiedziałem, że takie szczęście istnieje.

Camryn uśmiecha się do mnie tak słodko, jej niebieskie oczy lśnią dopiero co obudzoną niewinnością. To tak, jakby mi się przyglądała, próbując zrozumieć, ale bawi ją ten proces.

Wyciąga do mnie rękę.

– Obawiam się, że będziesz musiał mnie wszędzie nosić – mówi.

Sięgam, łapię wyciągnięte dłonie i podciągam ją do pozycji siedzącej.

– Cóż, to żaden problem – śmieję się. – Mogę się poświęcić i cię nosić, będziemy wzbudzać sensację, ale mam to w dupie. Ale dlaczego w ogóle mam cię nosić?

Całuje mnie w nos.

– Bo nie sądzę, abym mogła chodzić.

Kiedy zdaję sobie sprawę ze znaczenia jej słów, nie mogę ukryć zadowolenia, a na twarzy pojawia mi się cwaniacki uśmieszek.

Camryn zaczyna wstawać, przerzuca nogi na jedną stronę łóżka, po czym się krzywi.

– O cholera, maleńka, przepraszam. – Naprawdę mi przykro, ale nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

Ona też nie.

– Nie mówię tego po to, by podbudować twoje ego – mówi – ale nigdy w życiu nikt mnie tak nie wypieprzył.

Śmieję się głośno, odrzucając głowę w tył.

– I taki tekst wychodzi z twoich ust! – wołam.

– Hej. – Naskakuje na mnie. – To wszystko twoja wina. To ty zmieniłeś mnie w przeklinającą, zбочzoną nimfomankę, która będzie śmiesznie chodzić przez dzień czy dwa. – Kiwa głową, by podkreślić wagę swoich słów.

Ostrożnie biorę ją na rękę, uważam, żeby być delikatnym, zważywszy na jej „stan”.

– Przepraszam, maleńka, ale klęłaś już, gdy się poznaliśmy – mówię i patrzę w dół na nią, a ona patrzy w górę i wydyma dolną wargę. – Zбочzoną? Może, ale to już było w tobie, ja tylko pomogłem się temu uwolnić. A nimfomanka oznaczałaby, że chcesz to robić cały czas, nawet jeśli miałabyś później śmiesznie chodzić przez kilka dni.

Wytrzeszcza oczy.

– Nie, zdecydowanie nie będę się upierać, że chcę jeszcze, a przynajmniej do jutrzejszego poranka.

Całuję ją w czoło i niosę do łazienki.

– Brzmi dobrze. Ale i tak bym ci dzisiaj nie pozwolił. Dzisiaj, Camryn Bennett, będziesz rozpieszczana. Pierwsza na liście jest długa, ciepła kąpiel.

– Z bąbelkami? – pyta, robiąc oczy łani.

Uśmiecham się.

– Tak, z bąbelkami.

Odkręcam kran, by nalać wody do wanny, podczas gdy ona, zupełnie naga siedzi na

blacie umywalki, gdzie ją posadziłem.

– Bąbelki mogą być problemem, maleńka – mówię, wyciskając resztki z buteleczki hotelowego szamponu.

– Wiesz co – rzuca, machając nogami i trzymając się blatu, żeby nie spaść – prawie wszystko mi się skończyło, pasta do zębów i płyn pod prysznic. – Nachyla się i maca gołe nogi. – I mam łuski – krzywi się.

Śmieję się pod nosem i mówię:

– Pójdę do sklepu. – Wyrzucam pustą buteleczkę i podchodzę, by przejrzeć rzeczy stojące na blacie. Potem idę do pokoju i wracam z malutkim hotelowym ołówkiem i notatnikiem. – Czego potrzebujesz?

Myśli, a ja zapisuję, co już powiedziała.

– Pasta do zębów, coś do mycia ciała... – Patrzę na nią. – Po prostu mydło w płynie, tak?

– Właściwie to nie – odpowiada, a ja staram się nie gapić na jej cycki. – Nie chodzi o mydło do rąk, cóż, coś wymyślisz.

Zapisuję: *nie mydło do rąk.*

Patrzę na nią.

– Dobra, to o czym jeszcze myślisz?

Wydyma usta w zamyśleniu.

– Szampon i odżywka, preferuję L'Oréal; jest w różowej butelce, ale to nieważne, byle nie było tym syfem dwa w jednym, w ostatnim motelu zostawiłam rzeczy, które poprzednio kupiłam. Och, i jeszcze weź buteleczkę oliwki dla dzieci.

Unoszę brwi dość wysoko.

– Oliwkę dla dzieci? Czy masz na myśli to samo co ja?

– Nie! – Uderza mnie w ramię, a ja zauważam, jak podskakują jej cycki, gdy to robi. – Zdecydowanie nie. Po prostu lubię się nią nasmarować, gdy wychodzę spod prysznic.

Notuję: *duża butelka oliwki dla dzieci (na wszelki wypadek).*

– I może jakieś przekąski, i sześciopak wody albo herbaty bez cytryny, byle co, tylko nie oranżada, i och! – Podnosi palec. – Suszona wołowina.

Uśmiecham się i to również notuję.

– Już wszystko?

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Cóż, jeśli wpadniesz na coś jeszcze – mówię, wyciągając telefon z kieszeni spodni – zadzwoń do mnie i daj znać. Jaki jest twój numer?

Recytuje z uśmiechem, a ja dzwonię. Odzywa się poczta, więc się nagrywam:

– Hej, maleńka, to ja. Wrócę niedługo, ale teraz jestem nieco zajęty patrzeniem na niezwykle seksowną blondynkę, która siedzi naga na blacie w łazience.

Camryn oblewa się rumieńcem, przyciąga mnie między swoje dyndające nogi i całuje z pasją.

– O cholera! Woda! – woła, wskazując na przepełniającą się wannę.

Szybko zakręcam kran. Odkładam na blat listę zakupów i biorę Camryn na rękę.

– Andrew, nie jestem kaleką – mówi, ale się nie opiera.

Pomagam jej wejść do wanny, gdzie siada, zanurzając ramiona i włosy.

– Niedługo wrócę – informuję, kierując się do wyjścia.

– Tym razem obiecujesz?

Zatrzymuję się i odwracam, by na nią spojrzeć. Widzę, że nie żartuje. Czuję się źle, że w ogóle musi pytać, nie dlatego, że to mnie obraża, tylko dlatego, że poprzednio dałem jej powód, by teraz o to pytała.

Patrzę na nią bardzo poważnie.

– Tak, obiecuję, maleńka. Jesteś na mnie skazana, wiesz o tym, prawda?

Uśmiecha się słodko, ale w oczach ma psotny błysk.

– Cholera, że też musiałam się w to wpakować.

Puszczam oko i wychodzę.

CAMRYN

Seks wszystko zmienia. To tak jakbyś do tej pory żył w bańce mydlanej, gdzie było bezpiecznie, komfortowo i przewidywalnie. Zainteresowanie konkretną osobą może trwać wieczność, ale w gdy idziesz z kimś do łóżka, bezpieczeństwo, komfort i przewidywalność

często biorą w łeb. Czy teraz zainteresowanie między nami umrze? Czy będziemy umieli siedzieć obok siebie jak przed tym, gdy uprawialiśmy seks? Czy może każde z nas myśli sobie, że popełniliśmy ogromny błąd, bo powinniśmy zostawić rzeczy takimi jakimi były? Nie. Tak. I nie. Wiem, bo to czuję. To nie nadmierna pewność siebie czy urojenia młodej, niedoświadczonej kobiety, której brakuje poczucia bezpieczeństwa. Ale fakt pozostaje faktem: Andrew Parrish i ja mieliśmy się spotkać w autobusie w Kansas.

Zbieg okoliczności jest wygodnym wytłumaczeniem dla przeznaczenia.

Przez chwilę jeszcze się moczę, ale postanawiam wyjść, zanim skóra stanie się pomarszczona. Nadal czuję lekki dyskomfort, ale zdecydowanie mogę już chodzić. Po prostu uważam, że to słodkie, iż Andrew uznał, że musi się o mnie zatroszczyć.

Wskakuję w szare spodenki i czarną bokserkę. Ścielę łóżko i trochę sprzątam w pokoju, a potem chwytam telefon leżący na parapecie i czytam wiadomości: wszystkie od Natalie. I nic od mamy. Zawsze ustawiam telefon na wibracje. Nie mogę znieść dźwięku dzwonka. Nie chodzi o konkretną melodię, dla mnie każdy sygnał jest jak zgrzytanie paznokci na tablicy. Podchodzę do okna i odsłaniam zasłony, aby słońce mogło zalać pokój, po czym opieram się o parapet i patrzę w dół na Nowy Orlean. Nigdy nie zapomnę tego miejsca.

Przez chwilę myślę o Andrew i jego tacie, ale szybko wyrzucam to z głowy. Dam mu jeszcze kilka dni spokoju, zanim spróbuję raz jeszcze porozmawiać. Przez chwilę będzie cierpiał, ale nie chcę, by podświadomie używał mnie jako odskoczni. W odpowiednim czasie sam musi sobie z tym poradzić.

Włączam muzykę w telefonie i odkładam go na parapet. Upłynęło trochę czasu, od kiedy słuchałam swoich ulubionych piosenek; zaskakujące jest to, że niespecjalnie za nimi tęskniłam. To tak jakby klasyczny rock Andrew zaczął nade mną dominować i teraz go uwielbiam.

Odnajduję „Barton Hollow” w wykonaniu The Civil Wars. To od jakiegoś czasu mój ulubiony kawałek. Podkręcam głośność i dźwięk zalewa pokój, jest to styl country-folk, przez to czuję grzeszną rozkosz. Niezbyt lubię ten rodzaj muzyki, ale ta piosenka jest wyjątkiem. Śpiewam z Johnem i Joy, pozwalając sobie na luz, ponieważ jestem sama w pokoju. Śpiewam na cały głos i podryguję, stojąc przed oknem. A wtedy zaczyna się solówka Joy, więc jak zwykle z nią śpiewam, starając się, aby mój głos brzmiał równie aksamitnie jak jej. Nigdy mi się to nie uda, ale i tak dobrze się bawię.

Zaciskam usta, a ciało zastyga, kiedy dostrzegam Andrew stojącego pod ścianą przy drzwiach i przyglądającego mi się. Szczerzy się, oczywiście.

Rumieniec spala mi policzki.

Teraz, kiedy wie, że został przyłapany na podglądaniu, wchodzi dalej i odstawia dwie torby na stolik pod telewizor.

– Jak na kogoś tak obolałego – drwi, a w policzkach ma dołeczki – sprawnie kręcisz bioderkami.

Nadal się rumieniąc, staram się odwrócić jego uwagę i zaczynam grzebać w torbach.

– No cóż, nie powinieneś się tak skradać.

– Nie skradałem się – odpowiada – po prostu napawam się, masz ładny głos.

Rumienię się jeszcze bardziej, odwracam plecami do niego i wysypuję zawartość toreb.

– Dzięki, skarbie, ale myślę, że jesteś nieobiektywny. – Patrzę na niego, a on uśmiecha się figlarnie.

– Nie. Mówię poważnie – rzuca i wygląda na to, że nie żartuje – nie jesteś taka zła, jak ci się zdaje.

– Nie jestem taka zła? – Odwracam się, trzymając w rękach wielką butelkę oliwki dla dzieci. – To znaczy, że jestem tylko trochę zła? – Szydę z niego, wymachując oliwką. – Mówiłam, że miała być mała butelka.

– Cóż, małe się skończyły.

– Aha. – Uśmiecham się, odkładając opakowanie na stolik.

– I nie, nie myślę, że jesteś zła – mówi i słyszę, jak łóżko skrzypi, gdy siada.

Patrzę na jego odbicie w lustrze.

– Dobrze wybrałaś szampon i odżywkę – zauważam, wyjmując butelki i stawiając je obok oliwki. – Ale płyn do mycia już nie tak bardzo.

– Co? – pyta naprawdę rozczerowany. – Mówiłaś, że miało nie być mydła. Tu z przodu wyraźnie jest napisane, że to do mycia ciała. – Wskazuje etykietę.

– Żartuję – mówię, uśmiechając się delikatnie z powodu jego reakcji. – Ten jest idealny.

Patrzy z ulgą, opadają mu ręce.

– Powinnaś wystąpić. Przynajmniej raz. Choćby po to, żeby zobaczyć, jak to jest.

Nie podoba mi się ta żarówka, zapalająca się właśnie nad jego głową. Ani trochę.

– Hmm, cóż... nie. – Kręcę głową do lustra. – To takie samo wyzwanie, jak jedzenie robaków czy zostanie astronautą w jeden dzień, a to się nie wydarzy.

Sięgam do torby i wyciągam... och nie, on tego... nie zrobił!

– Dlaczego nie? – pyta. – To byłoby doświadczenie, o którym nigdy nie myślałaś

wcześniej, że zrobisz coś takiego, ale potem będziesz czuła radość.

– Co to, do cholery, jest? – Odwracam się, trzymając w rękach pudełko vagisilu.

Wygląda na rozbitego.

– To jest... no wiesz... – krzywi się. – No na twoje kobiece części ciała. – Wskazuje na moje „kobiece części”.

Opada mi szczęka.

– Uważasz, że śmierdzę? Widziałeś, że bym się drapała? – Staram się nie śmiać.

Oczy Andrew robią się ogromne.

– Co...? Nie! Pomyślałem tylko, że to mogłoby pomóc na ból. – Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był aż tak zażenowany, a jednocześnie wstrząśnięty. – Hej, to niezbyt komfortowe, jak się jest facetem i trzeba tam stać, i czytać te wszystkie ulotki. – Zaczyna gestykulować rękoma. – Przeczytałem, że to do tych miejsc, więc wrzuciłem do koszyka.

Odkładam vagisil i podchodzę do Andrew.

– Cóż, ten środek nie pomaga za bardzo na ból spowodowany... – zaciskam usta – ...,„nadmiernym tarcie”, ale liczą się chęci. – Siadam mu na kolanach, obejmuję i pochylam się, by pocałować.

Otacza mnie ramionami.

– Cóż, można założyć, że nie potrzebujemy już osobnych pokoi – mówi, uśmiechając się do mnie.

Z rękami owiniętymi wokół jego karku pochylam się i ponownie go całuję.

– Właśnie byłem w trakcie realizowania pomysłu, aby spakować twoje rzeczy i przynieść do mnie, ale przypomniałam sobie, że zeszłej nocy wyrzuciłam twoją kartę-klucz na podłogę.

Zsuwa ręce w dół i łapie mnie za tyłek, po czym przysuwa bliżej. A potem całuje po szyi, wstaje i pociąga mnie za sobą.

– Pójdę po nie teraz – mówi, pozwalając mi wysunąć się delikatnie z uścisku. – Wymyśliłem, że zajmie mi kilka dni, zanim nauczę się tej piosenki, muzyki i słów, ale ty je chyba znasz.

Oho.

Mrużę oczy i patrzę spode łba.

– Dlaczego chcesz się jej uczyć? – pytam. Znów ma na policzkach dołeczki. – Jeśli dobrze pamiętam, wygrałam swoją wolność w bilard.

Jego twarz staje się czystym złem.

Kręcę głową, najpierw powoli, potem coraz szybciej, gdy orientuję się w rozwoju sytuacji.

– Powiedziałaś – kiwa raz głową – cytuję: nie chcę tej wolności, chyba że będzie chodziło o jedzenie robaków albo o wystawianie gołego tyłka z jadącego samochodu. Przykro mi, małeńka, ale powinnaś nauczyć się trzymać zamkniętą buzię.

– Nie... Andrew. – Odchodzę od niego i krzyżuję ramiona na piersi. – Nie możesz mnie zmusić, bym zaśpiewała przed ludźmi. To po prostu okrutne.

– Dla ciebie czy dla publiczności? – Szczerzy się.

Kopię go w kostkę.

– Żartowałem! Żartowałem! – Śmieje się głośno.

– Cóż, i tak mnie nie zmusisz.

Przechyla głowę, jego zielone spojrzenie sprawia, że nie umiem się oprzeć.

– Nie, nie będę cię do niczego zmuszał, ale... – Och, świetnie, teraz to on wydyma wargi. Ale co gorsza, to na mnie działa! – ...naprawdę, naprawdę, naprawdę chciałbym, żebyś to zrobiła. – Łapie mnie za łokcie i przyciąga do siebie.

Warczę na niego, ale szczerze zamyka mi usta swoimi.

Jedna sekunda, druga sekunda, trzecia sekunda...

Biorę głęboki oddech.

– Dobra.

Jego twarz się rozjaśnia.

– Ale tylko raz! – Unoszę palec. – I zamorduję każdego, kto będzie się ze mnie śmiał. I biada ci, jeśli zostawisz mnie w więzieniu.

Bierze w dłonie moją twarz, ściska policzki i całuje w dziubek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Andrew wraca, niosąc torby i gitarę brata. Jest podekscytowany.

Ogarnia mnie przerażenie i w myślach ganię się za przyznawanie się do tego. Ale jest też we mnie iskierka podniecenia. Nie boję się wyjść przed tłum – nie miałam problemu z wygłoszeniem referatu na temat zagrożonych gatunków w jedenastej klasie ani tremy, odgrywając rolę siostry Ratched w przedstawieniu *Lot nad kukulczym gniazdem*. Ale śpiewanie to co innego. Moje aktorstwo nie było tragiczne. Ale śpiewanie, zwłaszcza w duecie z kimś takim jak Andrew, który śpiewa blues-rocka niczym bóstwo, to zupełnie inna historia.

– A tak w ogóle to myślałam, że nie chcesz słuchać mojej muzyki?

Andrew odstawia tobołki na podłogę i z gitarą podchodzi do łóżka.

– Cóż, jakakolwiek to była piosenka, tak uroczo śpiewałaś i tańczyłaś, że nie chciałem przerywać.

– To była moja ostatnio ulubiona kapela: The Civil Wars – mówię, wychodząc z łazienki z mokrymi jeszcze włosami, wycierając końcówki ręcznikiem (ponieważ myłam się jeszcze raz, tymi kosmetykami, które mi przyniósł). – Piosenka nazywa się: „Barton Hollow”.

– Bardzo nowocześnie folkowa – mówi i brzdąka na gitarze kilka razy. – Podoba mi się. – Po chwili dodaje, patrząc na mnie: – Gdzie twój telefon?

Podchodzę i zabieram go z parapetu, przewijam muzykę, puszczam od początku i podaję mu telefon. Andrew kładzie go obok siebie na łóżku i dalej uderza w struny. Wracam do suszenia włosów, podczas gdy on uczy się grać ze słuchu, przerywa, po czym powraca do akordu, przesuwa palcami po gryfie gitary, testując dźwięk strun, aż znajduje właściwą i rozlega się melodia. W ciągu kilku minut po kilku nieudanych akordach z łatwością powtarza pierwszy riff.

Do wieczora wprawnie gra już całą piosenkę, z wyjątkiem krótkiego riffu, w którym się gubi. Chcąc się go nauczyć tak szybko, jak to możliwe, kończy, szukając nut w internecie, co znacznie przyspiesza naukę.

Ze słowami idzie łatwiej.

– Myślę, że już to prawie mam – mówi, siedząc na parapecie na ciemnym, chmurnym i deszczowym tle. Koło ósmej zaczęło padać.

Normalnie dołączyłabym do niego i zaśpiewała niektóre kawałki, dobrze się przy tym bawiąc, ale teraz bardzo się denerwuję. Nie wiem, jakim cudem uda mi się zrealizować ten wariacki pomysł, skoro denerwuję się, będąc z nim sam na sam. To tyle, jeśli chodzi o tremę w czasie występu przed publicznością. Przewiduję, że będzie niewyobrażalna.

– No dalej, maleńka – mówi, kiwa na mnie głową i zawija palce na gryfie gitary – to, że znasz słowa, nie znaczy, że możesz przestać ze mną ćwiczyć.

Opadam na brzeg łóżka.

– Obiecałeś, że nie będziesz robił głupich min ani śmiał się, ani uśmiechał...

– Nawet nie będę oddychał – mówi, śmiejąc się. – Przysięgam! No dalej.

Wzdycham, wstaję z łóżka i porywam z szafki nocnej kawałek suszonej wołowiny. Andrew poprawia gitarę, pije łyk mrożonej herbaty, zwilżając gardło, aby było gotowe do śpiewania.

– Nie przejmuj się – mówi, a ja powoli podchodzę – część, którą śpiewa facet, jest o wiele większa niż dziewczyny, ona ma tylko jedną solówkę, a resztę śpiewamy w duecie.

Nerwowo wzruszam ramionami.

– Prawda – przyznaję. – Przynajmniej mam nadzieję, że przez większość piosenki twój głos zagłuszy mój.

Wkłada kostkę gitarową między wargi i sięga po mnie.

– Maleńka, chodź tutaj.

Podchodzę, łapię jego dłoń, a on mnie przyciąga między swoje kolana, gitara jest między nami. Kiedy już jestem, gdzie chciał, żebym była, wyjmuję kostkę z ust.

– Uwielbiam twój głos, prawda? Ale nawet gdybym myślał, że nie potrafisz śpiewać, nadal chciałbym, żebyś to zrobiła. To, co myślą inni, nie ma znaczenia.

Moje usta unoszą się w skromnym i niepewnym uśmiechu.

– Dobrze – mówię. – Zrobię to dla ciebie, ale tylko dla ciebie i lepiej, żebyś o tym pamiętał – napominam surowo. – Będziesz mi wisiał przysługę.

Kręci głową.

– Po pierwsze, to nie chcę, żebyś robiła to dla mnie, ale ponieważ ćwiczenie jest ważniejsze niż spieranie się z tobą, poczekam, aż odśpiewasz piosenkę w Old Point, i wtedy zapytam, czy miałaś z tego cokolwiek, czy było to tylko dla mnie.

– Myślę, że to wystarczająco sprawiedliwe.

Przytakuje, po czym poprawia gitarę i przymierza się do grania.

– Czekaj... może gdybyś też stał, nie czułabym się taka wyróżniona?

Andrew śmieje się i wstaje z parapetu.

– Cholera, dziewczyno, zrobimy to, jak tylko chcesz. Jeśli będziesz chciała śpiewać z workiem na głowie, też się zgodzę.

Patrzę na niego, jakby to nie był wcale taki głupi pomysł.

– Nie, nawet o tym nie myśl, żadnych worków, Camryn. A teraz do dzieła?

Ćwiczymy, aż zapada noc, aż musimy przestać, ponieważ podobno zakłócamy spokój gości hotelowych, którzy mieszkają obok nas. I to właśnie wtedy, kiedy zaczynałam się wyluzowywać i przestawałam się przejmować, co pomyśli Andrew o moim śpiewie.

Myślę, że zaczęło wychodzić nam całkiem nieźle.

Wcześniej idziemy do łóżka, ponieważ nie mamy co robić. Kładziemy się obok siebie przytuleni i po prostu rozmawiamy.

– Cieszę się, że wpakowałeś się w moje życie – mówię, leżąc na jego ramieniu. – W przeciwnym wypadku mogłabym już być w Karolinie Północnej.

Dotyka ustami mojej skroni.

– Muszę ci coś powiedzieć – odzywa się.

Nadstawiam uszu.

– Tak?

– Tak – mówi, gapiąc się w sufit, gdzie tańczą światła aut. – Wracając do Wellington w Kansas, gdzie spaliśmy w pierwszym motelu. Następnego ranka, kiedy byłaś pod prysznicem, a ja dałem ci dwie minuty na zebranie się... – przerywa i czuję, że na mnie patrzy.

Odsuwam się od niego, żeby móc na niego spojrzeć.

– Tak, pamiętam; co zrobiłeś?

Uśmiecha się nerwowo.

– Telefonem zrobiłem zdjęcie twojego prawa jazdy.

Mrugam z powodu lekkiego szoku.

– Po co? – Podnoszę się na łokciach, żeby patrzeć na niego bez konieczności robienia zeza.

– Jesteś zła?

Wzdycham.

– Myślę, że to będzie zależało od tego, co chciałeś zrobić z tymi informacjami.

Patrzy w dal, ale i tak w ciemności jestem w stanie dostrzec jego rumieniec.

– Cóż, na pewno nie było to po to, aby cię później odnaleźć i pokroić na kawałeczki.

Opada mi szczęka.

– Co za pocieszenie! – Śmieję się. – A tak poważnie, po co ci to było?

Znów patrzy na sufit, jakby pogrążył się w myślach.

– Chciałem mieć pewność, że będę mógł cię odnaleźć – wyznaje. – No wiesz... w razie, gdybyśmy zdecydowali się rozdzielić.

Moje usta uśmiechają się do niego, ale oczy nie. Nie jestem zła, że zrobił zdjęcie z tego powodu – to mi się podoba – ale nie jestem pewna, czy podoba mi się część „na wszelki wypadek”. To brzmi, jakby planował pozostawienie mnie w pewnej chwili niezależnie od tego, co by się zdarzyło.

– Andrew?

– Tak, maleńka?

– Jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Chwilę milczy.

– Nie. Dlaczego pytasz?

Teraz też gapię się w sufit.

– Nie wiem, ale wyczuwam w tobie coś dziwnego... jakby niechęć.

– Niechęć? – pyta zaskoczony. – Czy z niechęcią zaproponowałem ci tę podróż? Czy z niechęcią zaoferowałem ci pieśczoły?

– Nie, chyba nie.

– Camryn, jedyną rzeczą, jaką niechętnie robiłem, było zastanawianie się, czy to właściwe, że jesteśmy razem.

Podnoszę się i obracam, by na niego patrzeć. Ciężko na jego twarzy sprawia, że spojrzenie jest ostre. Jest bez koszulki i leży z ramieniem założonym nad głowę.

– Myślisz, że „my” to nie jest w porządku?

Kurczy mi się żołądek.

Andrew unosi rękę, sięga przed siebie i łapie mnie za nadgarstek.

– Nie, maleńka. Uważam, że... to, co jest między nami, jest w porządku w każdy możliwy sposób... i właśnie dlatego myśl... właśnie dlatego pomyślałem, że byłoby lepiej, gdybyśmy się nie angażowali.

– Ale to przecież nie ma żadnego sensu.

Pociąga mnie na siebie, więc kładę się z dłońmi opartymi na jego piersi.

– Po prostu nie byłem pewien, czy powinniśmy się w to pakować – mówi, głaszcząc palcami moje włosy i zakładając je za ucho. – Ale, maleńka, ty sama nie byłaś pewna.

Kładę się obok niego. Ma trochę racji.

Jedyne, czego do końca nie rozumiem, to jakie właściwie są jego powody, żeby być tak ostrożnym w kwestii zaangażowania. On wie, dlaczego opuściłam dom, i zna wszystko, co jest związane ze śmiercią Iana. Moje kłopoty są przyczepione magnesem do lodówki i ogólnodostępne. Jego schowane w pudełku po butach gdzieś pod łóżkiem.

Myślę, że to coś więcej niż ojciec.

Przesuwa się, po czym mości na mnie, jego nogi są po moich bokach, zresztą tak samo jak łokcie, na których się podpiera.

– Cieszę się, że nie umiesz spać przy muzyce – mówi, najwyraźniej przypominając pierwszą rzecz, jaką do niego powiedziałam, a potem pochyla się i całuje mnie.

Unoszę dłonie i obejmuję jego twarz, przyciągając, żeby mnie jeszcze raz pocałował.

– A ja się cieszę, że Idaho słynie z ziemniaków.

Unosi brwi.

Uśmiecham i znów przyciągam go do siebie. Całuje mnie głęboko, nasze języki splatają się. A potem zaczyna pocałunkami wytyczać ścieżkę do mojego brzucha. Językiem kreśli kółeczka wokół pępka, po czym wsuwa palce za gumkę majtek.

– Nie sądzę, bym mogła... – mówię cicho, łypiąc na niego z góry.

Andrew liże mój brzuch, całuje palce, które wędrują po jego twarzy, a potem ku włosom.

– Nie będzie seksu – mówi. – I obiecuję, że będę lizał delikatnie. – Ściąga mi majteczki

i lekko unosi pośladki, by było mu wygodniej.

Całuje wewnętrzną stronę mojego uda. Potem przechodzi na drugie.

– Będę utrzymywał mokry język, żeby cię nie drażnił – mówi łagodnie i znów całuje moje udo, coraz bardziej zbliżając się do mojego centrum. Zaczynam dyszeć, gdy jego palce badają mnie od środka i rozdzielają fałdki. – Cholera, maleńka, rzeczywiście jest tu obrzęk. – Jego komentarz jest szczery i wcale mi nie przeszkadza.

Trochę piecze, ale... o mój Boże, tak bardzo go pragnę...

Między nogami czuję gorąco jego oddechu.

– Będę bardzo delikatny... – mówi, a oddech grzęźnie mi w gardle, kiedy jego bardzo mokry język decyduje się na powolne liźnięcie, jego place nadal trzymają moje płatki, ale nie wywierają nacisku na tę strefę.

Ciało rozplywa się na pościeli, kiedy tak liże w nieskończoność, dbając, bym nie czuła bólu, tylko pełną i nieskrępowaną ekstazę.

Ćwiczyliśmy „Barton Hollow” przez dwa dni, głównie w pokoju w hotelu Holiday Inn, ale też spacerowaliśmy nad Missisipi, skończyliśmy na Canal Street i tam też nieco ćwiczyliśmy. Myślę, że Andrew przeforsował ten pomysł, by mnie oswoić z publicznością. Nie było tu wielu przechodniów, jednakże denerwowałam się jak diabli. Większość ludzi przechodziła, nie zatrzymując się (właściwie nie był to prawdziwy występ, bo często przerywaliśmy, powtarzaliśmy albo zaczynaliśmy piosenkę od środka, więc naprawdę nie było czego słuchać), ale niektórzy uśmiechali się przyjaźnie, kiedy nas mijali. Do mnie uśmiechnęła się kobieta. Tylko nie wiem, czy był to uśmiech z żalu, ponieważ byłam okropna, czy spodobał jej się mój głos.

Myślę, że obie teorie byłyby prawdopodobne.

Trzeciego dnia Andrew uznaje, że jesteśmy dobrze przygotowani, i załatwia w Old Point Bar nasz występ.

Ja potrzebuję kolejnego dnia, tygodnia, miesiąca, roku albo dwóch.

– Poradzisz sobie – mówi, wiążąc buty. – Właściwie świetnie ci to wychodzi. Pod koniec piosenki będę musiał odganiać od ciebie facetów.

– Och, zamknij się – odpowiadam, zakładając czarny top z ramiączkami w kształcie łańcuszka. W życiu nie założę czegoś bez ramiączek w noc taką jak ta. – Widziałam, jak patrzyły na ciebie dziewczyny tamtego wieczoru. Myślę, że zgodziłam się z tobą wystąpić, bo wiem, że i tak wszyscy będą zajęci tobą i nikt nawet nie zauważy mojej porażki.

– Maleńka, znasz tę piosenkę lepiej niż ja – mówi. – Nie bądź pesymistką. – Zastłania brzuch czarnym podkoszulkiem. W ciemne jeansy wkłada czarno-srebrny pasek. Podkoszulek częściowo chowa do spodni, a reszta zwisa swobodnie nad wyrzeźbionymi biodrami. Jego włosy

są potargane w artystycznym nieładzie... *O czym on, do cholery, mówił?*

– Tylko zapamiętaj, by nie śpiewać każdej linijki tekstu – mówi, przyskajac się dezodorantem. – Mimo że mogłabyś przez chwilę odpocząć, nadal nucisz moje partie. – Unosi brew, patrząc na mnie. – Nie chcę cię pouczać, ale dzięki temu będziesz miała mniej do śpiewania.

– Wiem, ale przywykłam do śpiewania tej piosenki samotnie w całości i trudno mi zapamiętać, które fragmenty są teraz moje.

Kiwa głową.

Wsuwam stopy w nowe szpilki i podchodzę do wysokiego lustra wiszącego na ścianie obok szafki z telewizorem.

– Jesteś cholernie seksowna – mówi Andrew, stając za mną.

Kładzie mi ręce na talii i całuje w kark, a potem klepie w tyłek przez cienkie, opięte jeansy, a ja piszczę, bo to nieco szczypie.

– I jak zawsze, maleńka, uwielbiam twoje warkocze. – Sięga i bawi się nimi, a potem daje mi całusa w policzek.

Odwracam się i odpycham go.

– Rujnujesz mi makijaż – mówię żartobliwie.

Odchodzi, uśmiechając się, bierze z szafki nocnej portfel i wkłada do kieszeni.

– Cóż, chyba już czas – mówi.

Staje na środku pokoju, jedną rękę opuszcza, a drugą zakłada na plecy i kłania się z szerokim uśmiechem. Podchodzi do mnie, łapie za rękę i ciągnie za sobą w stronę drzwi.

– A gitara?

Zatrzymuje się tuż przed drzwiami i patrzy na mnie z wdzięcznością.

– Tak, może się przydać – rzuca, wieszając ją sobie na szyi. – Jeśli nie byłoby Eddiego, nie mielibyśmy na czym grać.

– Cholera, może nie powinnam o niej przypominać.

Kręci tylko głową i przeciąga mnie przez drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Tym razem jedziemy autem. Andrew wystarczył rzut oka na moje buty, by wiedzieć, że nie dam rady przejść w nich całej tej drogi, jednak najwyraźniej nie chce nieść mnie i gitary. Zamiast płynąć promem, jedziemy mostem na drugą stronę Missisipi i jesteśmy na miejscu przed zmrokiem. Wolałabym jednak, żebyśmy szli do Old Point pieszo, jak za pierwszym razem, bo nie dotarlibyśmy tak szybko.

Czuję nieprzyjemne ssanie w żołądku.

Parkujemy na Olivier Street i wysiadamy. Andrew obchodzi samochód i bierze mnie w ramiona, delikatnie ściskając.

– Nie chcę cię zmuszać – mówi z dobroci serca. Jestem pewna, że wyglądam, jakbym miała zwymiotować dzisiejszy obiad. Odsuwa mnie troszkę, obejmuje twarz dłońmi i patrzy w oczy. – Mówię poważnie, maleńka, pomijając te wszystkie żarty, jeśli nie chcesz tego robić, nie rób, nawet dla mnie.

Kiwam głową i wzdycham nerwowo z twarzą wtuloną w jego rękę.

– Nie. Dam radę – zapewniam, starając się pozbierać swoją odwagę. – Chcę to zrobić.

Kciukami przeciąga po moich policzkach.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Uśmiecha się do mnie tymi swoimi zielonymi oczami, zaczynam wierzyć, że to one mnie urzekły, a potem bierze za rękę. Zabiera gitarę z tylnego siedzenia i razem wchodzimy do Old Point Bar.

– Parrish! – woła Carla zza baru. Podnosi rękę i macha do nas.

Andrew prowadzi mnie do niej przez tłum. Na ekranie wiszącego za Carlą telewizora migają reklamy, tworząc błękitną poświatę.

– Hej, Carla – Andrew przechyla się przez bar, by ją uściskać. – Jest Eddie?

Carla kładzie rękę na biodrach i uśmiecha się do mnie.

– Z pewnością gdzieś tu się kręci. Cześć, Camryn, miło cię znowu widzieć.

– Ciebie też.

Andrew siada na wysokim stołku barowym i wskazuje głową, bym usiadła obok niego. Jestem zdenerwowana, wszystko, o czym mogę myśleć, to to, że jest tu tak wiele osób. Moje

oczy przeszukują pomieszczenie ponad ludzkimi głowami i skupiają spojrzenie na zespole, który zaczyna grać. Kiedy rozbrzmiewa muzyka, Andrew i Carla muszą do siebie krzyczeć poprzez bar.

– Będzie tam dla nas dzisiaj miejsce? – pyta Andrew.

Carla pochyla się jeszcze bardziej.

– „Nas”? – pyta patrząc na mnie. – Och, wow, będziecie razem śpiewać? – Jest podekscytowana.

Serce mi podskakuje.

Przełykam gulę w gardle, ale zaraz pojawia się kolejna.

Carla przechyla głowę, ogrzewając mnie swoim uśmiechem.

– Och, kochana, będzie świetnie, nie musisz się denerwować, wszyscy cię pokochają. – Sięga pod bar i wyjmuję kieliszek.

Obok mnie siada facet, najwyraźniej stały klient, bo Carla zaczyna nalewać, zanim złożył zamówienie.

Ale Carla skupia uwagę na mnie i Andrew.

– Właśnie to próbuję jej powiedzieć – mówi Andrew – ale to jej pierwszy raz i panikuje.

– Pierwszy i ostatni raz – poprawiam go.

Carla uśmiecha się po nosem do Andrew, po czym mówi do mnie:

– Cóż, nie lubię przemocy, ale jeśli będziesz miała kłopoty z jakimś typem, przyjdź do mnie, a wywalę go na zbity pysk, jak w filmach. – Mruga do mnie, po czym odwraca się ku Andrew. – Tam jest Eddie – mówi, kiwając głową w stronę sceny.

Eddie idzie poprzez tłum, ma na sobie to samo co wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy: białą zapinaną koszulę, czarne spodnie, błyszczące czarne buty i... olśniewający uśmiech na twarzy pełnej zmarszczek.

– Się masz, Parrish! – Łapie Andrew za rękę i zamyka w niedźwiedzim uścisku. A potem patrzy na mnie. – Ja cię! Wyglądasz jak lalunia z kolorowego magazynu. – A potem mnie też ściska. Choć pachnie tanią whisky i papierosami, o dziwo jest to kojące.

Andrew promienieje.

– Camryn będzie dzisiaj ze mną śpiewać – mówi z dumą.

Oczy Eddiego robią się naprawdę duże, wyglądają jak piłeczki pingpongowe na tle ciemnej skóry. Powinnam się bardziej denerwować, jak wtedy, gdy Carla się dowiedziała, ale obecność Eddiego uspokaja mnie. Może mogłabym go poprosić, by trzymał mnie za rękę podczas występu.

– Daj spokój – mówi Eddie, szczerząc zęby – założę się, że śpiewasz tak ładnie, jak wyglądasz.

Mocno się rumienię.

– Pakuj się tam – wskazuje scenę. – Kiedy tamci skończą, daj czadu.

Andrew łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie. Czuję, że Eddie jest dla Andrew jak ojciec i że Andrew cieszy się, że Eddie mnie lubi.

Eddie podchodzi do sceny i pokazuje trzy palce.

– Jeszcze trzy minuty.

– O mój Boże. Jestem tak cholernie zdenerwowana!

Tak, Eddie zdecydowanie powinien być blisko mnie.

Dłoń Andrew ściska mi dłoń. Pochyla się i szepcze:

– Pamiętaj, że ci wszyscy ludzie przyszli tu, by się dobrze bawić, a nie po to, by cię oceniać. To nie „Idol”.

Biorę głęboki oddech.

Słuchamy, jak zespół kończy swoją ostatnią piosenkę, po czym muzyka milknie i słychać dźwięki przenoszonych, wyłączanych albo pakowanych w nieodpowiedni sposób instrumentów. Głośniej słychać rozmowy toczące się wokół, właściwie jest to bardziej jak nieokreślone buczenie. Gruba warstwa dymu papierosowego unosi się w powietrzu, mieszając się z zapachem ciał, ich potu i perfum.

Kiedy Andrew prowadzi mnie ku scenie, zaciskam palce na jego dłoni i wbijam paznokcie w skórę.

– Dobrze wyglądam? – pytam szeptem.

Jeśli nie dostanę ataku paniki, będę bardzo zaskoczona.

– Maleńka, wyglądasz idealnie.

Całuje mnie w czoło, stawia swoją gitarę obok perkusji, aby poprawić mikrofon.

– Będziemy dzielić mikrofon, dobrze? – mówi. – Tylko nie walnij mnie z główki.

Mrużę oczy.

– To nie jest śmieszne.

– Nie żartuję – śmieje się.

Kilka osób już się nam przygląda, ale większość zajmuje się swoimi sprawami. Nie mogę zrobić nic innego, niż stać jak kołek i denerwować się. Przynajmniej Andrew przygotowuje się z gitarą. Ja po prostu mam burzę myśli w głowie.

– Gotowa? – pyta.

– Nie, ale miejmy to już za sobą.

Patrzymy na siebie przez chwilę, po czym Andrew się odzywa:

– Raz, dwa, trzy...

Razem śpiewamy:

– Ooo... ooo... ooo...! – Przerwa. – Ooo... ooo... ooo...!

Gra gitara.

Dziesiątki głów odwracają się do nas w tym samym czasie, a rozmowy cichną.

Kiedy Andrew gra pierwszy riff i szykuje się, by odśpiewać pierwszą zwrotkę, jestem tak przerażona, że mogę poruszać wyłącznie oczami. Ale im dłużej gra, tym trudniej mi zapanować nad ciałem, które zaczyna się kołysać w takt muzyki.

Publiczność też już się buja.

Andrew zaczyna śpiewać pierwszy wers.

Gdy kończy, znów razem intonujemy:

– Ooo...

Potem jest refren, razem śpiewamy słowa i wiem, że będę musiała ciągnąć wysoko...

Udało się.

Andrew uśmiecha się do mnie, kiedy zaczyna śpiewać kolejną linijkę, gra równo na gitarze, nie myśląc się w akordzie, jak gdyby grał tę piosenkę od zawsze.

Publiczność naprawdę dobrze się bawi. Kiwają do siebie głowami, jakby mówili: oni naprawdę są dobrzy. Unoszę kąciuki ust, gdy zaczynam śpiewać wraz z Andrew. Naturalniej poruszam się w rytm muzyki i zaczynam myśleć, że mój strach nieco wyblakł, ale kiedy przyjdzie czas na moją solówkę... O mój Boże, moje solo jest za moment...

Andrew czulej dotyka strun i patrzy mi w oczy, jakby chciał wymusić na mnie koncentrację i spokój.

Przestaje grać i uderza w pudło gitary, właśnie kiedy mam zacząć śpiewać pierwszą linijkę, po czym znów gra delikatnie, przestaje i po raz kolejny stuka w pudło i tak powtarza aż do mojej ostatniej linijki. Następnie w pełni zaczyna grać, uśmiecha się do mnie i szepcze:

– Idealnie.

Po czym znów zaczynamy śpiewać razem. Tak szeroko się uśmiecha. I ja też. Przysuwamy bliżej mikrofonu twarze i śpiewamy, wkładając w to całe serce:

– Uooo... ooo... ooo...!

Gitara zwalnia i ostatni refren śpiewamy razem, po czym Andrew całuje mnie w usta i piosenka się kończy.

Publiczność klaszcze, krzyczy i wiwatuje. Jakiś facet z tyłu krzyczy: „Bis”.

Andrew przyciąga mnie bliżej i ponownie całuje, przyciskając swoje usta do moich przed całą tą widownią.

– Cholera jasna, maleńka, byłaś niesamowita! – Jego oczy jaśnieją, cała jego twarz promienieje.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam! – praktycznie krzyczę do niego, ponieważ głosy wokół są naprawdę głośne.

Mam gęsią skórkę od stóp do głów.

– Chcesz zaśpiewać jeszcze raz? – pyta.

Przełykam.

– Nie, nie jestem gotowa! Cieszę się, że chociaż raz udało się to zrobić.

– Jestem z ciebie taki dumny!

Podchodzi do nas kilku starszych panów z piwami w dłoniach. Brodaty mówi:

– Musisz ze mną zatańczyć! – Wyciąga do mnie rękę i czeka. Twarz mi pąsowieje, ale dostrzegam, że zielone oczy Andrew się śmieją.

– Ale nie gra żadna muzyka – mówię do faceta.

– Ale zaraz będzie! – Wskazuje na kogoś po drugiej stronie sali, a kilka sekund później rozbrzmiewa muzyka z szafy grającej.

Jestem tak podekscytowana śpiewaniem na scenie, że czuję, iż odmówienie temu facetowi byłoby niestosowne, więc decyduję się z nim zatańczyć.

Spoglądam na Andrew, a on mruga do mnie jednym okiem.

Brodaty facet bierze mnie za rękę, unosi ją wysoko nad głowę, a ja instynktownie się obracam. Tańczę z nim przez dwie piosenki, zanim Andrew „ratuje” mnie, wcina się i przyciąga mnie do siebie, buja biodrami na boki. Jego ręce są na mojej talii. Tańczymy, rozmawiamy z ludźmi, nawet gramy w rzutki z Carlą, aż w końcu, koło północy wychodzimy z baru.

Podczas powrotu autem Andrew patrzy na mnie i zaczyna rozmowę:

– To jak się czujesz? – Jego usta układają się we wszytkowiedzący uśmiech.

– Miałaś rację – mówię. – Czuję się... no nie wiem... inaczej, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie myślałam, że zrobię coś w tym stylu.

– Cóż, cieszę się, że tak się stało. – Uśmiecha się ciepło.

Odpinam pas i przysuwam się do niego. Owija mnie ramieniem.

– A zatem co z jutrzejszym wieczorem?

– Co?

– Chcesz jutro śpiewać?

– Nie, nie sądzę, żebyśmy mogła...

– Dobra, w porządku – mówi, pocierając moje ramię. – I tak jeden raz to więcej, niż mógłbym oczekiwać, więc nie będę cię dręczył.

– Nie – mówię, podnosząc się i obracając ku niemu. – Wiesz co? Zaśpiewam. Chcę to zrobić jeszcze raz.

Jego podbródek cofa się pod wpływem zaskoczenia.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę. – Szczerzę się do niego.

On robi to samo.

– W porządku – mówi, lekko uderzając w kierownicę. – W takim razie zagramy jutro wieczorem.

Andrew zabiera mnie do hotelu, gdzie uprawiamy seks pod prysznicem, zanim lądujemy w łóżku.

Zostajemy w Nowym Orleanie przez dwa tygodnie, gramy w Old Point Bar, a potem włączymy się po miejscowych barach i klubach. Miesiąc temu śpiewanie na scenie było tak odległe na mojej liście rzeczy do zrobienia, że wykonanie czegoś takiego wydawałoby się niedorzeczne, ale nagle wkładam całe serce w śpiewanie „Barton Hollow” i kilku innych piosenek, towarzysząc Andrew i starając się nie być w centrum uwagi. Ale wszyscy nas uwielbiają. Tak wielu ludzi podchodzi do nas po występie, ściska nasze dłonie i prosi o zaśpiewanie tej czy innej piosenki, ale oczywiście Andrew odmawia. Nadal jestem zbyt spięta, by zaśpiewać coś na życzenie. I ku mojemu wielkiemu oszołomieniu kilka razy zostałam poproszona o autograf i o zdjęcie z jakimiś przypadkowymi ludźmi. Chyba musieli być mocno wstawieni. W to właśnie wierzę, bo nic innego nie ma sensu.

Pod koniec tych dwóch tygodni Andrew dodaje nowy zespół do listy swoich ulubionych. Teraz uwielbia The Civil Wars tak samo jak ja. A poprzedniej nocy, naszej ostatniej nocy w Nowym Orleanie, leżeliśmy w łóżku obok siebie i śpiewaliśmy „Poison & Wine” razem z telefonem leżącym gdzieś obok, i... sądzę, że dzięki słowom tej piosenki powiedzieliśmy sobie to, co chcieliśmy przekazać...

Myślę, że my...

Przed snem łkałam cichutko w jego ramionach.

Umarłam i poszłam do nieba. Tak... myślę, że w końcu umarłam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ANDREW

Musisz to zrobić, po prostu, by się upewnić – powiedział Marsters, siadając w swoim banalnym czarnym fotelu na kółkach, w swoim banalnym gabinecie, mając na sobie swoje banalne okrycie.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziałem, siadając po drugiej stronie biurka. – Co by można jeszcze stwierdzić? Co by można jeszcze znaleźć?

– Ale ty...

– Nie, wiesz co? Pierdol się! – Wstałem tak energicznie, że popchnąłem krzesło, które wpadło na roślinę stojącą z tyłu. – Nie będę pakował się w to gówno.

Wyszedłem z gabinetu, trzaskając drzwiami tak mocno, że zadrżała w nich szyba.

– Andrew, skarbie, obudź się! – Słyszę głos Camryn. Otwieram oczy. Nadal jestem w samochodzie, po stronie pasażera. Zastanawiam się, jak długo spałem.

Podnoszę się, kręcę głową, rozprostowując kark, po czym dłońmi przecieram twarz.

– Wszystko w porządku?

Jest noc. Spoglądam i widzę zainteresowane spojrzenie Camryn, które zaraz znów śledzi drogę.

– Tak – mówię, kiwając głową. – Nic mi nie jest. Chyba miałem koszmar, ale teraz nawet nie pamiętam, o co chodziło. – Znów kłamię.

– Walnąłeś w deskę rozdzielczą – wyjaśnia, śmiejąc się. – Twoja pięść po prostu wystrzeliła przed siebie, co trochę mnie przestraszyło.

– Przepraszam, maleńka. – Przysuwam się do niej i całuję w policzek. – Jak długo prowadzisz?

Patrzy na błyszczące cyfry zegara.

– Nie wiem, może kilka godzin.

Patrzę na następny znak na autostradzie, sprawdzając, czy posłuchała tego, co jej mówiłem, ale tak, jesteśmy na dziewięćdziesiątej.

– Zatrzymaj się tam. – Wskazuję miejsce obok drogi.

Hamuje delikatnie, zwalnia, skręca i parkuje. Zaczynam wysiadać, ale łapie mnie za rękę i zatrzymuje.

– Andrew... czekaj.

Patrzę na nią. Gasi silnik i odpina pas.

– Teraz ja będę prowadził, a ty się prześpisz.

– Wiem – mówi, patrząc na mnie ponuro.

– Co się dzieje?

Kładzie obie ręce na kierownicy i opiera się o siedzenie.

– Już nie jestem pewna co do Teksasu.

– Dlaczego nie?

Przysuwam się do niej.

W końcu na mnie patrzy.

– No bo, co wtedy? – pyta. – To ostatni przystanek. Ty tam mieszkasz. Co innego pozostanie?

Wiem, do czego ona zmierza, i od jakiegoś czasu też się tego boję.

– Zrobimy, cokolwiek będziemy chcieli – odpowiadam. Odwracam się i łapię ją za podbródek. – Popatrz na mnie.

W końcu to robi. Widzę w jej oczach tęsknotę, strach i udrękę. Wiem, bo czuję to samo.

Przełykam ślinę, a potem całuję ją delikatnie.

– Coś wymyślimy, gdy już tam dotrzemy, dobrze?

Niechętnie kiwa głową. Staram się zmusić do uśmiechu, ale trudno to zrobić, bo wiem, że nie potrafię zaofiarować jej odpowiedzi, jakich pragnie. Nie mogę dać tej, którą chciałbym dać.

Camryn przesuwa się na siedzeniu na miejsce pasażera, a ja wysiadam i obchodzę auto dookoła. Mijają nas dwa samochody, oślepiają mnie ich światła. Trzaskam drzwiami i siedzę przez chwilę w bezruchu. Camryn gapi się przez boczne okno, najprawdopodobniej myśli o tym samym co ja: jest zagubiona, niepewna, a może przestraszona. Nigdy z nikim nie czułem takiej więzi jak z nią i to mnie powoli zabija. Sięgam, by przekręcić kluczyk, ale zastygam z palcami na metalu. Wzdycham ciężko.

– Jeszcze kiedyś pojedziemy w długą podróż – mówię cicho, nie patrząc na nią, i uruchamiam silnik. Odwraca ku mnie głowę. Też na nią spoglądam. – Jeśli będziesz chciała.

Malutki uśmiech znów ożywia jej twarz. Kiwa głową.

Włączam odtwarzacz. Z głośników leci Bad Company. Pamiętając o naszej umowie, sięgam, by zmienić piosenkę, ale Camryn mówi:

– Nie, zostaw. – I jej uśmiech robi się coraz cieplejszy.

Zastanawiam się, czy pamięta, jak w pierwszą noc, kiedy się spotkaliśmy, spytałem, czy pamięta jakąś piosenkę Bad Company. Powiedziała: „Ready For Love”. Ja zaś zapytałem: „A jesteś?”. Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałem, ale teraz wydaje mi się, że się nie pomyliłem. Dziwne, że to właśnie ta piosenka leci teraz.

Jedziemy przez sporą część dolnej części stanu Luizjana i zatrzymujemy się na drodze numer osiemdziesiąt dwa, prowadzącej do Teksasu. Dzisiejszego ranka Camryn nieprzerwanie się uśmiecha – mimo iż zbliżamy się do Teksasu – a to sprawia, że mi też chce się śmiać. Okna są otwarte. Wystawia bosc stopy na zewnątrz, a gdy chcę zmienić pas, widzę w lusterku jedynie jej paznokcie.

– Nie jesteś w prawdziwej podróży, jeśli nie wystawisz stóp przez okno, jadąc autostradą! – woła, przekrzykując muzykę i wiatr. Zaplotła warkocz, ale wiatr rozwiewa jej kosmyki włosów wokół twarzy.

– Masz rację – mówię, dociskając gaz. – Ale w prawdziwej podróży powinnaś się zabawić z kierowcą ciężarówki.

Włosy uderzają ją w twarz, gdy obraca głowę.

– Co?

Uśmiecham się.

– Tak. – Wystukuję palcami na kierownicy rytm muzyki. – To obowiązkowe. Powinnaś zrobić jedną z trzech rzeczy... – Unoszę palec. – Musisz jakiemuś pokazać goły tyłek. – Oczy ma jak spodki. – Albo gdy będziemy blisko jakiegoś, musisz udawać, że się masturbujesz. – Tym razem opada jej szczęka. – Albo musisz unieść rękę w górę, by pokazać mu, żeby pociągnął sznurek klaksonu. – Podnoszę swoją, by jej to zademonstrować, zwijam palce w pięść i poruszam w górę i w dół. – Widzę na jej twarzy ulgę.

– Dobrze. – Unosi kąciki ust w tajemniczym uśmiechu. – Przy następnej ciężarówce przypieczętuujemy tę podróż, bawiąc się kosztem kierowcy tira – mówi z przekonaniem.

Dziesięć minut później znajdujemy ofiarę – cóż, lepszym określeniem byłoby „szczęśliwego bydlaka”. Jesteśmy na długiej, prostej drodze, płaski krajobraz rozciąga się po

bokach. Jedziemy sześćdziesiąt pięć mil na godzinę tuż za naczepą. Camryn ma na sobie małe, białe spodenki, które tak uwielbiam. Siedząc, opiera nogi na desce rozdzielczej i rozkłada je na boki. Uśmiecha się szelmowsko i mnie nakręca.

– Gotowa? – pytam, ścisząc nieco muzykę.

Camryn kiwa głową, a ja najpierw upewniam się, czy mogę wyprzedzić, zmieniam pas, przyspieszam i zrównuję się z kabiną.

Camryn wkłada prawą rękę w szorty.

Natychmiast robię się twardy.

Byłem pewny, że zdecyduje się na gest trąbienia!

Uśmiecham się do niej rubasznie, wszelakie perwersje płaczą mi się po głowie, a ona odwzajemnia mój uśmiech. Dociskam nieco pedał gazu, abyśmy jechali równo z bocznym okienkiem kierowcy ciężarówki.

O mój Boże...

Ręka Camryn porusza się delikatnie, ale jest dość wyraźnie widoczna pod cienkim materiałem spodenek. Lewą rękę zaklinowała pod gumką, tak że naciąga materiał, odsłaniając brzuch. Zsuwa się nieco na siedzeniu. Jestem bardzo rozkojarzony, niemal nie mogę patrzeć na drogę. Przygryza dolną wargę i szybciej porusza prawą ręką. Zaczynam myśleć, że nie udaje. Jestem teraz tak twardy, że mój fiut mógłby ciąć diamenty.

Tak mnie rozproszyła, że puściłem gaz i zaczęliśmy zwalniać, zrównując się z naczepą.

Przyspieszam i słyszę tubalny, szorstki głos dobiegający z ciężarówki:

– Cholera jasna! Masz zamiar przyprawić mnie o zawał, kotek?! Uou, hoo! – Pociąga klakson, który głośno trąbi.

Męski instynkt dominacji nakazuje mi zwolnić do czterdziestu pięciu mil na godzinę, więc chowam się za ciężarówką. Na czas, bo z przeciwnej strony jedzie van.

Patrzę na Camryn, wiedząc, że muszę mieć szaleństwo w oczach. Wyciąga rękę ze spodenek i śmieje się do mnie.

– Tego się nie spodziewałem!

– I właśnie dlatego to zrobiłam – mówi, znów układając stopy w oknie i zasłaniając boczne lusterko.

– Ty naprawdę... poważnie... dotykałaś się tam?

Czterdzieści pięć mil na godzinę zamienia się w czterdzieści. Serce kołacze mi się w klatce piersiowej.

– Tak – odpowiada – ale nie dla kierowcy ciężarówki.

Jej uśmiech się pogłębia, kiedy zakłada sobie za ucho kilka kosmyków włosów, które wiatr przylepił jej do warg. Jak zahipnotyzowany patrzę na jej usta, pragnąc je przygryźć i całować.

– Nie narzekam – staram się patrzeć na drogę, żeby nas nie zabić. – Ale teraz mam... tak jakby problem.

Wzrok Camryn wędruje na moje uda, po czym znów spogląda mi w oczy, przechyla głowę, w jej spojrzeniu widzę zarówno łobuzerstwo, jak i pożądanie. Przysuwa się i kładzie dłoń na moim kroczu. Tym razem serce mało nie wyskoczy mi z piersi. Ręce mocno zaciskam na kierownicy. Całuje mnie po szyi, po szczęce, kieruje się do ucha.

Mam gęsią skórkę.

Camryn zaczyna rozpinać mi szorty.

– Ty pomogłeś z moimi „problemami” – szepcze mi do ucha i gryzie w szyję – więc będzie sprawiedliwie, jeśli oddam przysługę.

Patrzy na mnie.

Tylko głupio potakuję, bo nie umiem myśleć, gdy ona jest tak blisko.

Wbijam plecy w siedzenie, kiedy Camryn łapie dłońią moje przyrodzenie, jednocześnie pochylając głowę, tak że teraz jest między moim brzuchem a kierownicą. Cały drzę, kiedy czuję, że jej język dociera do celu. *O mój Boże... O ja pierdołę... Och, nie wiem, jak mam kierować...*

Kiedy zasysa mnie w głąb gardła, drzę ponownie, moja głowa opada, mimo iż staram się patrzeć na drogę, a usta nieznacznie się otwierają. Teraz trzymam kierownicę tylko lewą ręką. Kiedy ssie mnie mocniej i szybciej, moja prawa ręka ląduje na jej głowie, a palce zaciskają się na jej blond włosach.

Czterdzieści mil na godzinę staje się pięćdziesięcioma.

Przy sześćdziesięciu trzęsą mi się nogi i nie umiem patrzeć przed siebie. Znów chwytam kierownicę obiema rękami, starając się mieć jakąkolwiek kontrolę, zwłaszcza nad tym cholernym samochodem, a potem jęczę i dyszę, gdy dochodzę.

Udało mi się nas nie zabić, gdy Camryn robiła mi laskę. Rano jesteśmy w Galveston, a ona śpi rozłożona na siedzeniu z nogami na desce rozdzielczej. Nie budzę jej jeszcze. Najpierw wolno przejeżdżam obok domu mamy, zauważam, że na podjeździe nie ma jej samochodu, co znaczy, że pojechała do banku do pracy. Aby zabić czas, wybieram dłuższą drogę do mojego

mieszkania, jadę pięćdziesiątą trzecią. Camryn niewiele spała tej nocy, ale najwyraźniej zwalnijające auto wybudza ją. Zaczyna się wiercić, kiedy parkuję przed kompleksem mieszkalnym przy Park at Cedar Lawn. Podnosi się, a kiedy widzę jej twarz, wybucham śmiechem.

Przechyla głowę z rozczochranymi włosami i burczy pod nosem:

– Co cię tak śmieszy?

– Och, maleńka, usiłowałam powstrzymać cię przed spaniem w takiej pozycji.

Pochyla się, aby się przejrzeć w lusterku, po czym przewraca oczami, widząc, że na policzku ma trzy wgniecenia od obicia fotela. Maca i naciąga policzek.

– Wow, to trochę boli – mówi.

– Nadal jesteś piękna, mimo tych wgnieceń. – Naśmiewam się i ona nic nie może na to poradzić, ale też się uśmiecha. – Cóż, no to jesteśmy na miejscu. – W końcu gaszę silnik i puszczam kierownicę.

Samochód nieprzyjemnie milknie. Chociaż żadne z nas nie powiedziało, że ta podróż zakończy się w Teksasie, ani też, że rzeczy między nami ulegną zmianie, obydwójce możemy to wyczuć. Jedyną różnicą jest to... że tylko ja wiem, dlaczego.

Camryn siedzi idealnie cicho, nadal po swojej stronie, jej dłonie spoczywają na kolanach.

– Wejźmy do środka – mówię, przerywając milczenie.

Posyła mi wymuszony uśmiech, po czym otwiera drzwi.

– Wow, to miejsce wygląda bardziej jak akademik, niż jak kompleks mieszkalny. – Zakłada na ramię plecak i łapie torebkę, patrząc na historyczny budynek oraz ogromne dęby rosnące obok niego.

– W latach trzydziestych był tu szpital wojskowy – mówię, wyjmując torby z bagażnika.

Camryn zabiera gitarę Aidana z tylnego siedzenia.

Idziemy chodnikiem do mojego mieszkania na parterze. Wkładam klucz w zamek i otwieram drzwi na dość spory salon. Gdy wchodzimy, czuję stęchliznę. Trzeba będzie przewietrzyć chatę. Upuszczam torby na podłogę.

Camryn stoi i się rozgląda.

– Połóż swoje rzeczy, gdzie chcesz, maleńka.

Podchodzę do kanapy i zabieram jeansy, po czym to samo robię z bokserkami rzuconymi

na krzesło i podkoszulkiem leżącym na pufie.

– To naprawdę ładne mieszkanie – mówi, nadal się rozglądając.

W końcu zostawia swoje rzeczy na podłodze i opiera gitarę Aidana o kanapę.

– To niewiele więcej niż kawalerka – rzucam, idąc do jadalni – ale lubię je. Chciałem mieszkać blisko plaży.

– Nie masz współlokatorów? – pyta, idąc za mną.

Kręcę głową, wchodzę do kuchni i otwieram lodówkę; brzęczą butelki i słoiki ustawione na drzwiczkach.

– Już nie, mój przyjaciel Heath mieszkał ze mną przez trzy miesiące, kiedy się tu sprowadziłem, ale przeprowadził się do Dallas do swojej narzeczonej. – Wyciągam z lodówki dwie butelki piwa imbirowego. – Chcesz? – Podaję jej napój.

Uśmiecha się słodko i mówi:

– Dzięki, ale nie chce mi się pić. A właściwie po co to kupiłeś: na kaca, na problemy z żołądkiem?

Uśmiecham się i pociągam łyk z butelki. Nie marudzi, jak się tego spodziewałem.

– Tak, przyłapałaś mnie – odpowiadam, zakręcając kapsel. – Jeśli chcesz wziąć prysznic – mówię, wychodząc z kuchni i wskazując na koniec korytarza – łazienka jest tam, a ja zadzwonię do mamy, żeby się nie martwiła, a potem posprzątam trochę i też bym z chęcią się wykapał. Moja roślina prawdopodobnie jest martwa.

Camryn wygląda na nieco zaskoczoną.

– Masz roślinkę?

Uśmiecham się.

– Ma na imię Georgia.

Unosi lekko brwi.

Śmieję się i delikatnie całuję ją w usta.

Podczas gdy Camryn jest w łazience, przeszukuję każdy cal mieszkania w poszukiwaniu czegoś obciążającego: starych skarpet (jedna pod łóżkiem), nieotwartych paczek prezerwatyw (jedna w szafce nocnej, wrzucam do najniższej szuflady), opakowania po zużytych prezerwatywach (dwa w koszu na śmieci w sypialni), brudnej bielizny i czasopism pornograficznych (cholera, jedna gazeta jest w łazience obok toalety, pewnie już ją widziała).

Potem znajduję kilka brudnych naczyń, które zostawiłem w zlewie przed wyjazdem, po czym siadam w salonie i dzwonię do mamy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

CAMRYN

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, gdy dostrzegam gazetkę pornograficzną wetkniętą za kibelek, w miejscu, gdzie zwykle faceci trzymają magazyny motoryzacyjne. Zastanawiam się, czy istnieją faceci, którzy nie oglądają pornografii, a potem uświadamiam sobie, jak głupie jest to pytanie. Cóż mogę powiedzieć... sama oglądałam strony porno w internecie.

Biorę długi, gorący prysznic, wycieram się ręcznikiem, który dał mi Andrew, po czym się ubieram.

Nie podoba mi się tutaj. W jego mieszkaniu. W Teksasie.

Może w innym czasie i w innych okolicznościach byłoby inaczej, ale to, co mu powiedziałam w nocy, kiedy staliśmy na poboczu, nadal jest aktualne. To miejsce, wszystko w nim, sprawia, że czuję, jakby to był koniec. Magia czasu spędzonego wspólnie w podróży wyparowuje z wczorajszym deszczem. Ale nie nasze uczucia... nie, one są na tyle silne, że sprawiają, iż myślenie, że to... koniec, powala mnie na kolana. To, co czujemy do siebie, jest... cóż, jest wszystkim, co nam pozostało. Nie ma już szerokiej drogi. Nie ma spontanicznych postojów, tak samo jak tego, że nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nie ma już moteli i takich pierdoł jak suszona wołowina czy oliwka dla dzieci. Ścieżka dźwiękowa naszej podróży, naszego miniżycia we dwoje przemija jak ostatnia piosenka. Pozostaje tylko szum z głośników. Wszystko, czego chcę, to włączyć odtwarzanie od nowa, ale ręka odmawia wciśnięcia przycisku.

I nie mogę zrozumieć, dlaczego.

Ocieram samotną łzę, próbuję się uspokoić, biorąc głęboki wdech i otwieram drzwi łazienki.

Kiedy wchodzę do jadalni, słyszę, że Andrew rozmawia przez telefon.

– Kurwa, nie drażnij mnie teraz, Aidan. Nie potrzebuję tego gówna. Tak, i co z tego? Kim jesteś, żeby mi mówić, co mam zrobić ze swoim życiem, co? Odwal się, stary, pogrzeby nie są obowiązkowe. Właściwie to nigdy nie chcę iść na żaden, no chyba że własny. Po drugie, nie wiem, po co ludziom pogrzeby... chyba tylko po to, by iść zobaczyć, jak ktoś, na kim ci zależało, leży bez pieprzonego życia w cholernej trumnie. To już wolę zapamiętać ostatni raz, gdy ten ktoś był żywy. Nie karm mnie tym gównem, Aidan! Wiesz, że to do dupy.

Nie chcę się kryć, jakbym podsłuchiwała, ale nie wydaje się właściwe tak po prostu wejść, przerywając mu rozmowę.

Ale i tak to robię. Jest coraz bardziej zirytowany, a ja chcę go uspokoić. Gdy mnie dostrzeża, przestaje się kłócić z bratem i podnosi się z kanapy.

– Słuchaj, muszę kończyć – mówi. – Tak, już dzwoniłem do mamy. Tak, tak, dobrze, słyszałem. Nara. – Rozłącza się i odkłada telefon na brązową ławę, na której trzyma nagie stopy.

Siadam obok niego.

– Przepraszam za to – mówi, głaszcząc mnie po udzie. – On mi tego nie odpuści.

Przysuwam się i siadam mu na kolanach, a on przyciąga mnie do piersi, jakbym była tym, czego potrzebuje, by się uspokoić. Zarzucam mu ręce na kark, zaciskając palce na ramionach. Pochyliłam się i całuję go w usta.

– Camryn. – Patrzy mi prosto w oczy. – Ja też nie chcę, żeby to był koniec – mówi, jakby czytał mi w myślach. Nagle podnosi mnie, teraz siedzę na jego kolanach, nogi mam po obu jego stronach, stopy oparte na kanapie. Bierze moje dłonie w swoje i patrzy na mnie z powagą w oczach. – A co, jeśli byśmy... – Patrzy w dal, głęboko rozważając słowa, choć chciałabym, żeby robił to dlatego, żeby być pewnym, iż zrobi to właściwie, a nie, czy w ogóle powinien je mówić.

– Jeśli byśmy co? – Próbuję go wypytywać. Nie chcę, żeby się wycofał, bez względu na to, co to jest; chcę, żeby to z siebie wydusił. Ponownie czuję nieco nadziei i nie mogę pozwolić jej umknąć. – Andrew?

Wyrywam go z zamyślenia. Spogląda na mnie swoimi błyszczącymi, zielonymi oczami.

– A co, jeśli razem byśmy gdzieś pojechali? – mówi, a serce zaczyna mi bić szybciej. – Nie chcę tu być. Nie mówię tego ze względu na ojca ani brata, oni nie mają z tym nic wspólnego. Chodzi o to, co czuję do ciebie od dnia, w którym zobaczyłem cię siedzącą samotnie w autobusie w Kansas. – Ścisną mocniej moje dłonie. – Wiem, że straciłaś towarzysza broni i ci go nie zastąpię, ale... Chcę spróbować. Może moglibyśmy razem zwiedzać świat, Camryn...

Łzy płyną mi strumieniem.

Nie zrozumiał mojej reakcji. Cofa ręce i już nie patrzy mi w oczy. Sięgam i obejmuję dłońmi jego twarz, zmuszając, by znów na mnie spojrział.

– Andrew... – kręcę głową, a łzy płyną mi po policzkach – ...to zawsze byłeś ty – szepczę. – Nawet gdy byłam z Ianem, czułam, że czegoś brakowało. Mówiłam ci o tym, tej nocy na polu, mówiłam ci... – Łamie mi się głos. Uśmiecham się i ciągnę dalej: – Ty jesteś moim towarzyszem broni. Wiem to już od dłuższego czasu. – Całuję go w usta. – Nie umiem wyobrazić sobie niczego lepszego niż zwiedzanie świata z tobą. Naszym przeznaczeniem jest być w drodze. Razem. To właśnie tam chcę być.

Ma wilgotne oczy, ale na twarzy szybko pojawia się szeroki uśmiech, który nie pozwala łzom popłynąć. A potem miażdży mi usta namiętym pocałunkiem, ujmując w dłoń moją twarz, ja zaś unoszę ręce i głaszczę jego policzki. Jego pocałunek jest tak oszałamiający, że tracę dech, ale odwzajemniam pieśczętę z pasją. Opuszcza ręce i owija wokół mojego ciała, podnosi mnie i stawia.

– Musisz dzisiaj poznać moją mamę – mówi, głęboko spoglądając mi w oczy.

Pociągam nosem i kiwam głową.

– Bardzo miło mi będzie poznać twoją mamę.

– Świetnie. – Odsuwa mnie. – Wezmę szybki prysznic, a potem pójdziemy położyć po mieście, żeby poczekać, aż skończy pracę.

– Dobrze – mówię, niewielki uśmiech błąka się na mojej twarzy. Nie umiem sprawić, by zniknął całkowicie, nawet gdy bardzo się staram.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jakby nie chciał mnie zostawić nawet na czas kąpieli, jego oczy błyszczą tak samo jak po naszym występie w Old Point Bar. Z jego twarzy mogę wyczytać różne rzeczy, przede wszystkim to, że jest szczęśliwy, ale nic nie mówi.

Nie musi nic mówić.

Andrew w końcu wychodzi z pokoju, a ja sprawdzam wiadomości w telefonie. W końcu dzwoniła mama. Nagrała się, opowiadając o ośmiodniowym rejsie na Bahamy. Mówiła, jakby była zakochana w Rogerze. I myślę, że może powinnam wrócić do domu, by sprawdzić tego gościa na wypadek, gdyby mama radośnie o tym zapomniała, zachwycona, że ma on więcej pieniędzy niż tata, ciało bardziej seksowne niż Andrew – cóż, to mało prawdopodobne – albo jego duży... chociaż nie wiem, jak miałabym się tego dowiedzieć, chyba musiałabym spytać mamę. A to się nie stanie.

Tata też dzwonił. Powiedział, że na miesiąc wyjeżdża służbowo do Grecji, i pytał, czy nie miałabym ochoty jechać z nim. Chciałabym, ale przykro mi, tato, jeśli kiedykolwiek pojedę do Grecji, to tylko z Andrew. Zawsze byłam córeczką tatusia, ale w końcu trzeba dorosnąć i teraz... teraz jestem dziewczyną Andrew.

Otrząsam się z marzeń i wracam do przeglądania SMS-ów. Natalie w końcu dzwoniła, zamiast pisać kilometrowe wiadomości. Teraz wiem, że zaczyna wariować, bo chce się dowiedzieć, co robię i z kim. Myślę, że już wystarczająco długo trzymałam ją w niepewności.

Hmmm... może rzucę jej jakiś apetyczny kąsek?

Szelmowski uśmiech rozciąga mi usta. Kąsek może być gorszą torturą, ale lepsze to niż nic.

Kiedy Andrew wraca z łazienki z ręcznikiem na karku, wołam go do salonu. Stoi półnagi w drzwiach: jest najseksowniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam, kiedy woda z włosów kapie mu na brzuch. Chciałabym ją zlizać, ale się powstrzymuję, żeby zachować ten obraz dla Natalie.

– Skarbie, podejdź tutaj – mówię, kiwając na niego palcem. – Chciałabym wysłać Natalie

nasze zdjęcie. Od Nowego Orleanu wypytuje o ciebie, ale nic jej jeszcze nie powiedziałam, nie zdradziłam nawet twojego imienia. Zostawiła mi wiadomość na poczcie. – Zaczynam wciskać klawisze telefonu.

Śmieje się, wycierając włosy ręcznikiem.

– I co powiedziała?

– Skręca ją z ciekawości. Chcę namieszać jej w głowie.

Dołączki Andrew pogłębiają się.

– Dobra, wchodzę w to. – Opada na kanapę, pociągając mnie za sobą.

Pstrykam kilka fotek: gdy patrzymy w aparat, gdy Andrew całuje mnie w policzek i gdy wyciąga język i liże mnie po twarzy.

– To jest idealne – mówię, wskazując ostatnie zdjęcie. – Odleci, gdy je zobaczy. Przygotuj się, Teksasie, może huragan Natalie rozwali to miejsce, kiedy fotka dotrze do celu.

Andrew śmieje się i zostawia mnie na kanapie z telefonem.

– Będę gotowy za kilka minut – rzuca, wychodząc z salonu.

Dołączam zdjęcie do wiadomości i piszę:

„Nat, jesteśmy w Galveston w Teksasie ;)”

I wysyłam. Słyszę, jak Andrew chodzi po mieszkaniu. Zaczynam wstawać z kanapy, by zobaczyć, co robi, ale dostaję wiadomość zwrotną od Natalie.

„OMFG! Sypiasz z Kellanem Lutzem?!?!?!”

Wybucham śmiechem. Zza rogu wygląda Andrew, tym razem, niestety, w koszulce, którą wciska w spodnie. Na nogach ma jeansy.

– Co, odpisała? – pyta rozbawiony.

– Tak – śmieję się. – Wiedziałam, że tak będzie.

Zaczyna się pojawiać coraz więcej SMS-ów, jakby pisała je maszynowo.

„Cam, OMFG, on jest cholernym ciachem. Co jest, do diabła?”

„Zadzwoń do mnie. Teraz!!!!”

„CAMRYN MARYBETH BENNETT, lepiej do mnie zadzwoń!”

„Ja tu upieram!!”

„To znaczy ucieram. Wrrr...”

„Cholerna autokorekta, nienawidzę tego telefonu, miało być umieram!”

Nie mogę przestać się śmiać. Andrew podchodzi do mnie od tyłu i zabiera mi z palców telefon. Też się śmieje, przewijając wiadomości.

– Dużo tego, co? – mówi. – Kim, do diabła, jest Kellan Lutz? Jest brzydki? – Patrzy na mnie ze strachem w oczach.

Nie, hmmm... zdecydowanie nie jest brzydki.

– To aktor – próbuję wyjaśnić. – I nie, nie jest. Nie wnikaj, Natalie zawsze... to znaczy ona każdego porównuje do znanej osoby. – Zabieram telefon i odkładam na kanapę. – Chodziłyśmy do szkoły z Shay Mitchell i Hayden Panettiere, a Megan Fox była królową balu, kiedy Chris Hemsworth był jego królem. – Cmokam z niezadowoleniem. – A potem najgorszym wrogiem Natalie została cheerleaderka, która chciała odebrać jej Damona. Wtedy Natalie powiedziała, że tamta to dziwkarska wersja Niny Dobrev. Właściwie żadna z tych osób nie jest podobna do pierwowzoru, nie tak naprawdę. Natalie jest po prostu... dziwna.

Andrew kręci głową, śmiejąc się.

– Cóż, ma charakterek, muszę jej to oddać.

Telefon wibruje na kanapie, ale postanawiam go zignorować, podchodzę do Andrew i chwytam go w pasie.

– Jesteś pewien, że chcesz to ze mną zrobić?

Patrzy mi w oczy, dłońmi obejmuje moje policzki.

– Nigdy w życiu niczego nie byłem bardziej pewien, Camryn. – A potem ciągnie dalej: – Zawsze czułem tę... tę... – Jego spojrzenie jest intensywne, skoncentrowane. – ...tę pustkę, to znaczy, to nie była pusta dziura, zawsze coś w niej było, ale nigdy nie to, co trzeba. Nigdy nie pasowało. Przez krótki czas studiowałem, aż pewnego dnia usiadłem i zapytałem samego siebie: Andrew, co ty tu, do chuja, robisz? I zapaliła mi się w głowie lampka, że nie byłem tam, bo chciałem, tylko dlatego, iż wymagali tego ode mnie ludzie, i nawet nie znajomi, tylko społeczeństwo. Bo wszyscy tak postępują. Dorastają, idą na studia, znajdują pracę, i robią ten sam syf każdego dnia aż do końca życia, po czym umierają. Dokładnie tak jak mówiłaś, kiedy opowiadałaś o planach, jakie miałaś ze swoim byłym. – Unosi prawą rękę i energicznie nią macha. – Większość ludzi nie wyjeżdża z miejsca, w którym się wychowała. – Chodzi po pokoju, zatrzymując się tylko wtedy, gdy chce podkreślić coś ważnego. Patrzy wprost na mnie, przez to wydaje mi się, że to, co mówi, jest bardziej intensywne, tak jakby rzeka odpowiedzi, których szukał całe życie, w końcu zalała jego umysł, a on próbuje zrozumieć je wszystkie naraz. –

Nigdy, cokolwiek robiłem, nie byłem naprawdę szczęśliwy... – Wreszcie staje i skupia się całkowicie na mnie. – A wtedy poznałem ciebie... I to było, jakbyś weszła do mojej głowy albo jakbym się obudził, nie wiem, ale... – Przysuwa się do mnie. Chce mi się płakać, ale nie mogę. – ...wiem tylko, że cokolwiek to jest, jest właściwe. Pasuje. Ty pasujesz.

Staję na palcach i całuję go w usta. Jest tyle rzeczy, które chciałabym powiedzieć, ale jestem nimi przytłoczona i nie umiem wybrać.

– Myślę, że muszę zadać ci to samo pytanie – mówi. – Jesteś pewna, że tego chcesz?

Przesyłam mu ciepły uśmiech.

– Andrew, to nawet nie jest pytanie – mówię. – Tak!

Andrew uśmiecha się do mnie tak bardzo, że jego zielone oczy błyszczą.

– W takim razie to oficjalne – potwierdza. – Wyjeżdżamy jutro. Mam w banku trochę pieniędzy, na jakiś czas wystarczą.

Przytakuję, uśmiecham się i mówię:

– Nie zarobiłam pieniędzy, które mam na koncie, dlatego wydaję je z umiarem, ale na ten cel zużyję każdego centa, jaki tam jest, a kiedy się skończą...

– Zanim pieniądze zaczną się kończyć – przerywa mi – będziemy pracować gdzieś po drodze, jak kiedyś planowałaś. Możemy też grać w pubach, klubach albo na targowiskach. – Śmieje się z tego pomysłu, a potem poważnie. – Możemy też pracować w barach albo restauracjach, gotować, podawać, zmywać... nie wiem, coś wymyślimy.

To wszystko brzmi jak szalony sen, ale nas to nie obchodzi. Żyjemy chwilą.

– Tak, zanim się skończą, lepiej mieć plan – mówię, rumieniąc się. – Nie chcę skończyć jako żebrak grzebiący po śmietnikach ani stać na rogu z tabliczką „zbieram na jedzenie”.

Andrew śmieje się i ściska moje ramiona.

– Nie, nigdy tak nie skończymy. Będziemy pracować, ale nigdy długo w jednym miejscu i nigdy w kółko robiąc to samo.

Przez chwilę patrzę mu w oczy, a potem zarzucam mu ręce na szyję i całuję namiętnie.

Andrew łapie kluczyki.

– Chodź – mówi, przechylając głowę i wyciągając do mnie rękę. – Pierwsza i najważniejsza rzecz: muszę zobaczyć, co z samochodem. Ona musi za mną tęsknić!

Nie tylko gazetki porno, ale i samochód czczony jak kobieta!

Kręcę głową, śmiejąc się pod nosem, kiedy przeciąga mnie przez drzwi. Łapię torebkę leżącą na podłodze i wychodzimy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Najpierw zatrzymujemy się w warsztacie, w którym Andrew zostawił swoje zabytkowe camaro z 1969 roku. Tu poznaję mojego pierwszego prawdziwego Teksasńczyka, byłego szefa Andrew. Stoi w otwartej bramie, rozmawiając z mężczyzną ubranym w kombinezon mechanika.

– Wiesz, że wywaliłem twój tyłek z roboty, co? – mówi wysoki mężczyzna w kapeluszu i czarnych kowbojskich butach, wychodząc, by się z nami przywitać.

Potrząsa dłonią Andrew, a potem klepie go po plecach.

– Tak, wiem – odpowiada Andrew, również go klepiąc. – Ale musiałem zrobić, co trzeba. – Andrew odwraca się do mnie. – Billy, to moja dziewczyna, Camryn. Camryn, to mój były szef, Billy Frank.

Serce mi podskakuje, kiedy nazywa mnie swoją dziewczyną. Te słowa robią na mnie większe wrażenie, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Billy wyciąga do mnie ubrudzoną olejem dłoń, a ja bez wahania nią potrząsam.

– Miło mi poznać. – Uśmiecham się.

On też się uśmiecha. Ma krzywe i pożółkłe zęby, prawdopodobnie od zbyt dużej ilości kawy i papierosów.

– Czyż nie jest śliczna? – Billy uśmiecha się i mówi do Andrew: – Ja bym też rzucił robotę dla takiej dziewczyny. – Żartobliwie uderza Andrew w ramię, po czym odwraca się do mnie. – Dobrze cię traktuje? Bo chłopcy tacy jak on mają niewyparzone gęby.

Śmieję się delikatnie i mówię:

– On też ma niewyparzoną, ale traktuje mnie bardzo dobrze.

Dostrzegam błysk rozbawienia w oczach Andrew.

– Cóż, jeśli kiedyś zalezie ci za skórę, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Nie ma nikogo, kto lepiej niż ja umiałby go ustawić do pionu. – Uśmiecha się, patrząc na Andrew.

– Dzięki, zapamiętam.

Zostawiamy Billy'ego Franka i wychodzimy przez bramę, wprost na warsztatowy parking. Od razu wiem, który samochód jest Andrew, choć nigdy wcześniej nie widziałam go na oczy, nie licząc szkicu na ciele. Oczywiście jest najładniejszy na parkingu. Grafitowy, z dwoma białymi pasami na masce. W sumie jest bardzo podobny do chevelle jego ojca. Przedzieramy się przez labirynt aut, po czym Andrew otwiera drzwi od strony kierowcy, najpierw oczywiście oglądając samochód ze wszystkich stron.

– Gdyby była na chodzie, gdy wybierałem się do Wyoming – przeciąga palcami po drzwiach – pojechałbym nią zamiast autobusem.

– Nie mam nic do twojej dziewczynki – uśmiecham się i klepię maskę – ale cieszę się, że nie mogła cię dowieźć osobiście.

Andrew patrzy na mnie, jego twarz się rozjaśnia.

– Ja też się cieszę – mówi.

Przez chwilę myślę o tym, gdzie każde z nas by się znalazło, gdybyśmy się nie spotkali. Ale szybko daję sobie spokój, bo skręca mi się żołądek. Nie umiem sobie wyobrazić, że go nie poznałam. I nie chcę.

– Pojedziemy nią czy chevelle?

Andrew przygryza wargę, zastanawiając się nad tym. Stoi w otwartych drzwiach z ręką opartą na dachu. Delikatnie klepie auto, po czym patrzy na mnie.

– A które byś wybrała, maleńka?

Tym razem moja kolej na przygryzanie wargi w zamyśleniu. Właściwie nie myślałam, że decyzja będzie należała do mnie. Podchodzę do auta i zaglądam do środka, sprawdzając skórzane siedzenia i... cóż, to właściwie jedyna rzecz, jakiej się przyglądam.

– Szczerze? – pytam, krzyżując ramiona na piersiach. Andrew przytakuje. Ponownie patrzę na camaro. – Polubiłam chevelle – mówię. – Wprawdzie twoja dziewczynka robi na mnie duże wrażenie, ma charakter, ale przyzwyczaiałam się do auta twojego ojca. – *I bardziej podoba mi się w tamtym przednia kanapa.* – No bo jak w camaro, na pojedynczych siedzeniach, miałabym trzymać głowę na twoich kolanach lub się porządnie wyspać?

Andrew uśmiecha się delikatnie, pociera dach samochodu, jakby chciał ją zapewnić, że to nic osobistego. Klepie ją jeszcze raz, a potem zamyka drzwi.

– W takim razie jedziemy chevelle – mówi. – Później odprowadzę camaro, by zaparkować przed domem.

Andrew zabiera mnie na obiad i jeszcze w kilka swoich ulubionych miejsc na Galveston Island. A potem, gdy mijają godziny szczytu, dzwoni jego mama.

– Denerwuję się – mówię z siedzenia pasażera, kiedy jedziemy do domu jego matki.

Marszczy brwi, kiedy na mnie patrzy, i mówi:

– Niepotrzebnie, mama cię pokocha. – Ponownie patrzy na drogę. – Ona nie jest jedną z tych wrednych suk, które uważają, że żadna nie jest wystarczająco dobra dla jej syna.

– Co za ulga.

– A nawet gdyby była – kontynuuje z uśmiechem – i tak by cię pokochała.

Składam dłonie na kolanach i uśmiecham się. Mimo iż on mówi o niej w samych superlatywach, i tak mam supeł w żołądku.

– Masz zamiar jej powiedzieć? – pytam.

Spogląda na mnie.

– O wyjeździe?

– Tak.

Kiwa głową.

– Muszę jej powiedzieć, inaczej martwiłaby się o mnie, aż wylądowałaby na terapii.

– A jak myślisz, co na to powie?

Andrew chichocze.

– Maleńka, mam dwadzieścia pięć lat. Nie mieszkałem w domu, odkąd skończyłem dziewiętnaście. Nic jej nie będzie.

– Cóż, to znaczy... no wiesz... zważając na to, dlaczego wyjeżdżasz, i na to, jakie mamy plany... – Znów patrzę przez okno. – Tu nie chodzi o to, aby spakować swoje rzeczy i przeprowadzić się do innego miasta; z czymś takim nawet moja mama by sobie poradziła. Ale gdybym powiedziała, że mam zamiar podróżować bez celu po świecie z facetem, którego poznałam w autobusie, prawdopodobnie by ześwirowała.

– Prawdopodobnie? – pyta Andrew. – Więc nie masz zamiaru jej powiedzieć?

Patrzę mu w oczy.

– Zdecydowanie będę musiała jej powiedzieć. Tak samo jak ty. Sądzę, że powinna wiedzieć... ale dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Tak, wiem, maleńka – odpowiada, wrzuca lewy kierunkowskaz i staje przy znaku stopu. – Ale masz rację, to nie do końca normalne. – A potem się uśmiecha i tym samym prowokuje uśmiech u mnie. – Ale czy to właśnie nie dlatego to robimy? Ponieważ nie jest normalne?

– Tak, właśnie dlatego.

– Oczywiście ważniejszym powodem jest towarzystwo – dodaje.

Rumienię się.

Dwie przecznice dalej, za chodnikiem, na którym bawią się dzieci, parkujemy na podjeździe domu jego matki. Jest parterowy, z ogródkiem i zielonymi krzewami po obu stronach ścieżki prowadzącej do drzwi.

Chevelle z mrukiem zatrzymuje się za białym samochodem stojącym za otwartą bramą garażową. Robię szybki rzut oka w lusterko, w osłonie przeciwsłonecznej, na to, czy nic nie wystaje mi z nosa albo czy nie mam między zębami resztek kurczaka z kanapki, którą jadłam wcześniej, w tym czasie Andrew obchodzi auto dookoła i otwiera mi drzwi.

– Och, już wiem, o co chodzi – zaczynam się z nim drażnić. – Otwierasz mi drzwi, tylko kiedy twoja matka może patrzeć.

Wyciąga ku mnie dłoń i pochyla się w teatralnym geście.

– Od teraz będę zawsze otwierał przed tobą drzwi, jeśli lubisz takie rzeczy, milady... – podaję mu dłoń i uśmiecham się do niego – ...jednakże nie sądziłem, że jesteś jedną z tych.

– Och, jakże to? – pytam z tym okropnym angielskim akcentem i unoszę wyżej podbródek. – A za kogo dokładnie mnie uważasz, panie Parrish?

Wysiadam, a Andrew zamyka drzwi, po czym podaje mi swoje zgięte ramię, trzymając proste plecy i uniesiony podbródek.

– Cóż, sądziłem, że masz w dupie takie gesty, przynajmniej dopóki drzwi są otwarte, gdy chcesz wysiąść.

Chichoczę.

– Cóż, racja – odpowiadam, po czym wtulam się w niego i tak idziemy do domu.

Kiedy otwieramy drzwi, czuję zapach pieczeni. Zastanawiam się, kiedy miała czas, by zrobić pieczeń. A potem widzę wolnowar na blacie. Andrew wprowadza mnie do kuchni, a z korytarza wychodzi kobieta o piaskowym kolorze włosów.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś do domu – mówi, porywając Andrew w objęcia i ściskając go niemal na śmierć swoimi szczupłymi rękami. Andrew jest od niej przynajmniej dziesięć centymetrów wyższy. Ale już wiem, po kim ma zielone oczy i dołeczki.

Potem uśmiecha się do mnie, witając ciepło, a następnie – ku mojemu zdziwieniu – również porywa w ramiona. Idę na całość i przytulam ją.

– Ty musisz być Camryn – mówi. – Czuję, jakbym już cię znała.

To wydaje mi się dziwne. Byłam przekonana, że nie wie o moim istnieniu. Kątem oka patrzę na Andrew, a on się uśmiecha. Myślę, że miał wiele możliwości, by z nią o mnie

rozmawiać, gdy byliśmy w podróży, zwłaszcza nim zaczęliśmy dzielić pokój, ale najbardziej mnie zaskakuje, że w ogóle o mnie opowiadał.

– Miło mi panią poznać, pani... – Wielkimi oczami patrzę na Andrew w oczekiwaniu na imię. Jeśli mi go szybko nie poda, to mu nakopię. Zaciskam usta w irytacji, ale on się tylko uśmiecha.

– Mów mi Marna – odpowiada, puszczając mnie. Chwyta moje dłonie, cały czas mi się przyglądając i uśmiechając się. – Jedliście już? – Patrzy na Andrew, a potem znów na mnie.

– Tak, mammo, jedliśmy.

– Och, ale i tak powinniście coś przekąsić. Przygotowałam pieczeń i zapiekankę z zieloną fasolą. – Puszczą jedną z moich dłoni, a za drugą ciągnie delikatnie, prowadząc do salonu, w którym nad kominkiem wisi ogromny telewizor. – Siadajcie, podam wam talerze.

– Mammo, ona nie jest głodna, zaufaj mi. – Andrew idzie za nami.

Już mi się kręci w głowie. Ona najwyraźniej wie o mnie wystarczająco dużo, aby czuła się tak, jakby już mnie znała. Jest tak miła i serdeczna, jakby już mnie kochała. Nie wspominając o tym, że to mnie, a nie Andrew trzyma za rękę, przeciągając po domu. Coś mi umknęło, czy też ona jest najmilszą i najśłodsza istotą na tej planecie? Cóż, bez względu na to, moje uczucia do niej są wzajemne.

Patrzy na mnie, przechyla głowę na jedną stronę, czekając, aż coś powiem. Krzywię się delikatnie, bo nie chcę jej zranić, i mówię:

– Naprawdę doceniam propozycję, ale nie sądzę, żebym w tym momencie mogła coś przełknąć.

Uśmiecha się miękko.

– To może chociaż coś do picia?

– Byłoby super, ma pani herbatę?

– Oczywiście – odpowiada. – Słodka, niesłodka, cytrynowa, brzoskwińowa, malinowa?

– Słodka będzie dobra.

Siadam pośrodku bordowej kanapy.

– Kochanie, a ty co chcesz?

– To samo co Camryn.

Andrew siada obok mnie na kanapie, a jego mama zanim wraca do kuchni, przystaje

i patrzy na nas przez chwilę, uśmiechając się, jakby o czymś myślała. A potem znika za rogiem.

Odwracam się szybko do Andrew i szepczę:

– Co jej o mnie naopowiadałeś?

Andrew się szczyrzy.

– Naprawdę nic. – Stara się wyglądać zwyczajnie, ale mu się to nie udaje. – Tylko to, że poznałem cudownie słodką i niewyobrażalnie seksowną dziewczynę, która ma niewyparzoną buzię i małe znamię na wewnętrznej stronie lewego uda. – Dźgam go łokciem w bok. Ale on uśmiecha się coraz szerzej. – Nie, maleńka – mówi teraz całkiem poważnie. – Powiedziałem jej tylko, że poznaliśmy się w autobusie i od tamtej pory jesteśmy razem. – Pocieszająco pociera moje udo.

– Za bardzo mnie lubi, biorąc pod uwagę to, jak mało jej o mnie powiedziałaś.

Andrew wzrusza ramionami, a wtedy jego mama wraca do pokoju z dwiema filiżankami herbaty. Stawia je przed nami na stoliku. Mają namalowane malutkie słoneczniki po bokach.

– Dzięki – mówię i upijam łyk, po czym delikatnie odstawiam filiżankę. Patrzę na stół w poszukiwaniu podkładki, ale żadnej nie widzę.

Marna siada na krześle naprzeciw nas.

– Andrew mówił, że pochodzisz z Karoliny Północnej.

Aha, na pewno tylko tyle jej powiedział... jasna dupa. Czuję, jak trzęsie się obok mnie ze śmiechu. Wiem, że teraz nie mogę go walnąć ani uszczypnąć, ani zrobić niczego, co bym normalnie zrobiła. Uśmiecham się tylko, jakby wcale nie siedział obok.

– Tak – odpowiadam. – Urodziłam się w New Bern, ale przez większość życia mieszkałam w Raleigh. – Biorę kolejny łyk.

Marna krzyżuje nogi i kładzie ozdobione pierścionkami dłonie na kolanach. Jej biżuteria jest prosta, ma po jednym małym pierścionku na każdej dłoni, natomiast w uszach kolczyki, a na szyi pasujący do nich łańcuszek, który niknie pod dekoltem białej bluzki.

– Moja starsza siostra mieszkała w Raleigh przez szesnaście lat, zanim wróciła do Teksasu. Północna Karolina to piękny stan.

Kiwam głową i uśmiecham się. Czuję, że to był temat na przełamanie lodów, tylko po to, by rozproszyć niezręczną ciszę, a teraz widzę, jak spogląda na Andrew. A on się nie odzywa. Z powodu tej ciszy czuję się dziwnie, mam wrażenie, że tylko ja nie znam myśli, które krążą w powietrzu.

– Zatem, Camryn – mówi Marna – dokąd zmierzałaś, kiedy poznałaś Andrew?

O, super, tego się nie spodziewałam. Nie chciałabym kłamać, ale nie chcę też powiedzieć prawdy komuś, kogo dopiero poznałam.

Andrew upija spory łyk herbaty i odstawia filiżankę.

– Jechała na tym samym koniu co ja – odpowiada za mnie, a jego odpowiedź nieco mnie szokuje. – Miałem do przebycia długą drogę, a Camryn zmierzała donikąd, i tak się stało, że nasze ścieżki się zbiegły.

Oczy Marny błyszczą ciekawością. Przechyla głowę, patrzy to na mnie, to na Andrew. Jest coś ciepłego w jej twarzy, ale też jest sceptycyzm, jakiego się nie spodziewałam.

– Cóż, Camryn, chcę, żebyś wiedziała, iż cieszę się, że się poznaliście. Wydaje się, że twoja obecność pomaga Andrew w trudnym okresie.

Jej jasny uśmiech zanika nieco po tym komentarzu, a kąciem oka widzę, że Andrew patrzy na nią ostrożnie. Przypuszczam, że powiedziała wystarczająco dużo albo on się martwi, że ona powie coś, co go zawstydzi.

Czuję się niezręcznie, bo najwyraźniej o czymś nie wiem, ale zmuszam się do uśmiechu.

– Cóż, prawdę mówiąc, oboje sobie bardzo pomagamy. – Uśmiecham się szerzej, ponieważ to, o czym wspomniałam, jest prawdą.

Marna głaszcze swoje uda, unosi kąciki ust i wstaje.

– Przepraszam, muszę zadzwonić – mówi, machając ręką. – Zapomniałam powiedzieć Asherowi o motocyklu, który chciał kupić od pana Sandersa. Lepiej do niego zadzwonię, zanim znów zapomnę... przepraszam na chwilę.

Przesyła Andrew porozumiewawcze spojrzenie, zanim wychodzi z pokoju. Najwyraźniej chcę coś przede mną ukryć i nie zdają sobie sprawy, że to zauważyłam. Nie wiem, czy ona mnie nie lubi, ale stara się nie zrobić Andrew przykrości, czy może jest to coś innego. To doprowadza mnie do szału i już nie jestem tak zrelaksowana jak w chwili, gdy ją poznałam.

I rzeczywiście, kilka sekund po wyjściu Marny Andrew podnosi się z kanapy.

– Co się dzieje? – pytam lekko.

Spogląda na mnie, zrozumiawszy, że nie mam zamiaru w nieskończoność udawać, że nic się nie dzieje. Już wie, że jestem lepszym obserwatorem, niż sądził.

Patrzy na mnie z uwagą, bez uśmiechu, jakby chciał powiedzieć coś ważnego. A potem pochyla się i całuje mnie.

– Nic się nie dzieje, maleńka – odpowiada, decydując się na uśmiech i wchodząc w rolę

zabawnego Andrew, jakiego znam, ale tego nie kupuję.

Wiem, że kłamie, i nie mam zamiaru mu tego darować.

– Za sekundkę wracam – mówi, a potem idzie w ślad za matką.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ANDREW

Prawdopodobnie nie powinienem przyprować tutaj Camryn, ponieważ jest dość bystra i szybko wyłapuje nawet najmniejsze wahanie w rozmowie. Mama właściwie też tego nie ułatwia. Ale to ważne spotkanie i wiem, że musiało się odbyć.

Idę korytarzem do sypialni matki. Stoi w drzwiach i czeka na mnie. Ma łzy w oczach.

– Mamo, proszę, nie płacz. – Przytulam ją, delikatnie klepiąc po plecach.

Pociąga nosem i próbuje powstrzymać łzy.

– Andrew, proszę, po prostu jedź na tę wizytę...

– Nie, mamo. Posłuchaj. – Delikatnie ją odsuwam, patrzę na nią, trzymając za ramiona. – Jest za późno. Czekałem zbyt długo i wiesz o tym. Przyznaję, że powinienem zrobić to osiem miesięcy temu, ale tego nie zrobiłem i jest już za późno.

– Tego nie wiesz. – Łzy znów płyną po jej policzkach.

Patrzę na nią z czułością, ale i tak wiem, że jej nie przekonam, bez względu na to, jakich argumentów użyję.

– Jest coraz gorzej – mówię. – Słuchaj, po prostu chciałem, żebyś ją poznała. Jest dla mnie bardzo ważna. Obie jesteście i pomyślałem, że powinnyście się poznać...

Mama macha mi ręką przed twarzą.

– Nie mogę o tym rozmawiać – przerywa mi. – Po prostu nie mogę. Zrobię wszystko, czego ode mnie oczekujesz, i synku, już ją uwielbiam. Jest wspaniała. Inna niż te wszystkie dziewczyny, z którymi się zadawałeś. I dla mnie jest ważna nie tylko dlatego, że tyle dla ciebie znaczy, ale też dlatego, że tyle tobie daje.

– Dziękuję – mówię, starając się powstrzymać łzy.

Puszczam ją.

Sięgam do tylnej kieszeni, wyciągam kopertę, po czym wkładam ją w niechętnie ręce matki i całuję ją w czoło.

Nie ma siły, by na nią spojrzeć. Dla niej ten skrawek papieru to ostateczność. Dla mnie – sposób na powiedzenie wszystkich rzeczy, których nie będę mógł powiedzieć.

Mama przytakuje i jeszcze więcej łez spływa jej po policzkach. Odkłada kopertę na komodę i sięga po chusteczki leżące na nocnej szafce. Ociera twarz i wydmuchuje nos, starając się przybrać spokojny wyraz twarzy, zanim wróci do salonu, gdzie siedzi Camryn.

– Dlaczego jej po prostu nie powiesz, Andrew? – Przed wyjściem z sypialni ponownie na mnie patrzy. – Należałoby jej powiedzieć, że możecie zrobić, co tylko chcecie, zanim...

– Nie mogę. – Pod wpływem własnych słów pęka mi serce. – Chcę, żeby wszystko działo się normalnie, żeby nie było wymuszone. Nie chcę niczego przyspieszać.

Nie podoba jej się moja odpowiedź, ale rozumie ją.

Wracamy do salonu i mama stara się uśmiechać. Camryn też stara się być pogodna, ale jej mina sugeruje, że wie, iż moja matka płakała.

Mama podchodzi do Camryn, a ona instynktownie wstaje.

– Przykro mi, że tak szybko muszę zakończyć nasze spotkanie – mówi mama, tuląc Camryn – ale kiedy rozmawiałam przez telefon z Asherem, dostałam złe wieści na temat jednego z członków rodziny. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

– Oczywiście. – Przejęta Camryn rzuca mi ulotne spojrzenie. – Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że będzie dobrze.

Mama przytakuje i uśmiecha się przez łzy.

– Dziękuję, kochana. Mam nadzieję, że mnie jeszcze odwiedzisz. Jesteś tu zawsze mile widziana.

– Dziękuję – mówi Camryn cicho i ponownie przytula moją mamę.

– Andrew, o co w tym wszystkim chodziło? – pyta Camryn, jeszcze zanim trzaskamy drzwiami samochodu.

Wzdycham i wkładam kluczyk do stacyjki.

– To tylko rywalizacja między rodzeństwem – odpowiadam, starając się nie patrzeć na nią. Zapalam silnik, wrzucam bieg i cofam. – Mama się denerwuje, kiedy kłócimy się z Aidanem.

– Kłamiesz.

Tak, ale brnę w to dalej. Zerkam na nią przelotnie, a potem odwracam się i patrzę na drogę.

– Po prostu nie chciała cię w to mieszać – zaczynam, a potem reszta kłamstwa zaczyna się układać. – To jest związane z pogrzebem ojca. Nie chciała o tym przy tobie wspominać. To, że poprosiła mnie na stronę, świadczy o tym, że chciała ci tego oszczędzić.

Nadal mi nie wierzy, ale widzę, że zaczynam ją przekonywać.

– Co to za wiadomości dotyczące członka rodziny?

– Nie było żadnych. Chciała tylko ze mną porozmawiać. Powiedziałem jej to samo, co Aidanowi, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, zanim wyszliśmy z mieszkania, a to ją zmartwiło – mówię. Camryn wzdycha i patrzy w okno. – Mama bardzo cię polubiła – dodaję.

Patrzy na mnie. Mam wrażenie, że chciałaby drążyć temat Aidana, ale w końcu się poddaje.

– Cóż, jest bardzo miła – mówi Camryn. – Może ty i Aidan – podkreśla jego imię, jakby nadal nie wierzyła w moje kłamstwo – powinniście spróbować się dogadać, żeby jej nie denerwować?

Mimo że chybiona, to i tak bardzo dobra rada.

– Maleńka, przepraszam, może za wcześnie cię tu przywiozłem.

– W porządku. – Poprawia się na siedzeniu. – Cieszę się, że to zrobiłeś. Przez to czuję się... wyjątkowo.

Myślę, że teraz mi wierzy albo przynajmniej bardzo stara się uwierzyć, bo wie, że i tak w najbliższej przyszłości nie powiem jej prawdy.

Otaczam ją ramieniem.

– Bo jesteś wyjątkowa.

Opiera mi głowę na piersi.

– Nie powiedziałeś jej o jutrzejszym wyjeździe.

– No tak, ale zrobię to. Może zadzwonię do niej wieczorem i powiem. – Delikatnie ją ściskam. – Teraz, kiedy cię poznała i pokochała, myślę, że nie będzie tak bardzo się martwić, jeśli zrobię coś nieoczekiwanego.

Camryn kładzie mi rękę na udzie i uśmiecha się.

– Teraz tylko pozostaje powiedzieć mojej mamie. – Wzdryga się, jakby ta myśl ją otrzeźwiła. – Mogłabym poczekać do czasu, aż będziemy przejeżdżać przez Karolinę Północną, i zaciągnąć cię do niej, by cię poznała.

Te piękne, zielone oczy śmieją się do mnie.

Uśmiecham się w odpowiedzi i kiwam głową.

– Chciałabyś kogoś takiego jak ja przyprowadzić do domu i przedstawić matce? Co będzie, jeśli rzuci okiem na moje tatuaże i zakaże ci się ze mną spotykać? – żartuję.

– Nie ma mowy – mówi, śmiejąc się. – Jeśli już, to się w tobie zakocha.

– Aha, znaczy rzuci się na mnie jak kocica? – pytam, a Camryn przewraca oczami, odrzuca głowę do tyłu i się śmieje. – Maleńka, nabijam się z ciebie!

Prycha, po czym bierze głęboki wdech, próbując ukryć rozbawienie, ale jej nie wychodzi.

– A czy ty kiedyś... no wiesz... – Nie może się zmusić, by powiedzieć to na głos, a ja uważam, że to zabawne.

– Byłem ze starszą kobietą? – pytam.

Ten temat jest krępujący dla Camryn, ale to ona zapytała, a ja postanowiłem ją potorturować tak długo, jak to tylko możliwe.

– Tak, byłem.

Patrzy na mnie, a jej oczy są coraz większe.

– Wcale nie!

Śmieję się i mówię:

– Byłem!

– A ile miała lat? Albo... ile one miały lat? – Przechyliła głowę, nie spuszczać ze mnie oczu.

Nagle prawda staje się dla mnie bardzo niewygodna, ale chciałbym być z nią szczery. Cóż, przynajmniej w tych kwestiach...

Kładę rękę na jej nodze.

– Było ich kilka. Jedna miała trzydzieści osiem lat. Spałem też z kobietą, która miała czterdzieści trzy...

Twarz Camryn jest czerwona, ale nie z zazdrości czy wkurzenia. Myślę, że jest... zmartwiona.

– A z którą ci się bardziej podobało? – pyta ostrożnie.

Staram się nie śmiać.

– Maleńka, nie chodzi o wiek – mówię. – Nie to, że lecę na babcię, ale uważam, że można się pieprzyć z każdą zadbaną kobietą bez względu na to, ile ma lat.

– O mój Boże! – Camryn się śmieje. – A według ciebie to ja mam niewyparzony język. – Kręci głową poruszona moimi słowami, a potem mówi: – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Właściwie odpowiedziałem – drażnię się z nią. – Pytałaś, z którą było mi lepiej, a na to pytanie nie można dać jednoznacznej odpowiedzi.

Zdaję sobie sprawę, co chciałaby usłyszeć. I wiem też, że ona o tym wie. Ale uwielbiam się z nią droczyć.

Mruży oczy, patrząc na mnie.

Śmieję się i w końcu poddaję.

– Maleńka, z tobą jest mi najlepiej – mówię, a ona wydyma usta, jakby chciała powiedzieć: *Jasne, musisz tak mówić, bo siedzę obok.* – Naprawdę, Camryn. Nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś przy mnie, a ja cenię swoje jaja. – Śmieje się i przewraca oczami, ale teraz już mi wierzy. Przyciągam ją jeszcze bliżej, a ona jest zadowolona, że może oprzeć głowę na mojej piersi. – To był najlepszy seks w moim życiu, bo oddałaś mi się cała, jak żadna dziewczyna przed tobą. – Odchyła głowę, by na mnie popatrzeć, czekając, aż wyjaśnię, o co dokładnie mi chodziło. Uśmiecham się w odpowiedzi i mówię: – Pozbawiłem cię niewinności, sprawiłem, że zaakceptowałaś swoją seksualność i poczułaś się ze mną komfortowo. To dla mnie bardzo seksowne.

Camryn wyciąga się i całuje mnie w szczękę.

– Nie, po prostu lubisz mnie za to, że na autostradzie zrobiłam ci loda.

Patrzę na nią i uśmiecham się.

– Cóż, tamto bardzo, bardzo, bardzo mi się podobało, ale nie, nie dlatego cię lubię.

Myślę, że w końcu czuje się dobrze. Ponownie przyciska twarz do mojej klatki piersiowej i przytula, obejmując ramionami w pasie.

Przez resztę drogi do mojego mieszkania jedziemy w ciszy. Jej milczenie jest jednak mniej ponure niż moje. Ale nie chcę sprawić, by miała złamane serce. Nie teraz. Nigdy. To jednak nieuniknione, ale chcę to powstrzymać tak długo, jak będę mógł.

Spędzamy cztery godziny na oglądaniu telewizji w salonie, oboje rozwaleni na kanapie. Przytulam ją i całuję, kiedy zwraca mi uwagę na ważne sceny, albo liżę po policzku tylko po to, aby usłyszeć, że to ohydne. Jest taka słodka, kiedy się krzywi, więc to jej wina, że tak mnie to bawi. Rzucamy w siebie popcornem. W końcu przestajemy się nim bawić i zaczynamy jeść. I przedstawiam ją mojej roślince, Georgii, która jednak nie umarła w czasie, kiedy mnie nie było. Camryn opowiada mi o kundelku, którego przygarnęła ze schroniska i nazwała BeeBop, a ja

mówię jej, jak żał mi tego psiaka, że musiał nosić takie głupie imię. Jej pies zdechł z powodu takiej samej niewydolności serca co mój wierny towarzysz Maximus. Pokazuję jego zdjęcie, a ona swojego BeeBopa, który był tak brzydki, że aż ładny.

Rozmawiamy godzinami, dopóki nie podciąga się, by usiąść mi na kolanach. Przytula się do mnie i słodkim głosem szepcze:

– Chodźmy do łóżka...

Wstaję z kanapy. Jej nogi nadal oplatają moje biodra, dłońmi przytrzymuję jej pośladki i tak niosę do sypialni. Kładę ją, rozbieram się i rozkładam się na plecach pośrodku łóżka. Byłem twardy jak kamień, zanim ją tu przyniosłem. Patrzę, jak powoli się przede mną rozbiera, pozbywając się nie tylko ubrań, ale także nieśmiałości. Wdrapuje się na łóżko, powoli pełźnie po mnie jak kocica, nieruchomiejąc na moich biodrach i przyciskając do nich swoje wilgotne dolne wargi. Nie spuszcza ze mnie spojrzenia, tylko pochyla się, by całować moją pierś, językiem krąży wokół sutków. Ręce trzymam na jej udach, ale potem sięgam i wypełniam dłonie jej piersiami.

– Czuję się z tobą tak wspaniale – szepczę tuż przy jej ustach, a ona spija oddech z moich warg.

Unoszę delikatnie biodra, a ona wyczuwając to, przyciska się do mnie mocniej, drażniąc mnie i sprawiając, że natychmiast chcę wejść w nią głęboko. Ale ona to kontroluje, a ja jestem z tego zadowolony.

Przerywa pocałunek, a potem schodzi ustami po jednej stronie mojej szyi, następnie przechodzi na drugą, poruszając biodrami tak wolno, że pragnę jej jeszcze bardziej.

– Pozwól, że najpierw sprawię, byś stała się mokra – szepczę, dłońmi ściskając jej biodra. Już jest wilgotna, ale nie o to mi chodzi. – Chodź do mnie, maleńka – mówię, kiwając brodą.

Całuje mnie w usta, a potem zaczyna pełznąć, w tym czasie przesuwam się nieco niżej, by zrobić jej miejsce.

Nie marnuję czasu, gdy jej uda zaciskają się wokół mojej głowy, i zaczynam lizać ją wściekle, zasysając guziczek tak mocno, że porusza biodrami na mojej twarzy. Palce ma zaciśnięte na ramie łóżka. Jest tak cholernie mokra. Kiedy zaczyna jęczeć, przestaję. I dokładnie wie dlaczego, bo chcę, żeby wzięła mnie w siebie.

Pełźnie z powrotem na dół, siada na moich biodrach, ocierając się kilkakrotnie o mój wzwód, sięga w dół i łapie go w dłoń.

Kiedy zsuwa się po nim powoli, oboje jęczymy i drżymy.

Po całej nocy uprawiania miłości w końcu zasypia w moich ramionach, a ja tulę ją do siebie, nigdy nie chcąc wypuścić z objęć. Łkam cichutko w jej włosy, aż w końcu też odpływam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

CAMRYN

– Andrew? – pytam, przewracając się w łóżku. Budzę się, podnoszę głowę i stwierdzam, że wcale go tu nie ma.

Czuję bekon.

Myślę o nocy, jaką spędziliśmy, i nie mogę pozbyć się uśmiechu z twarzy. Wyplątuje się z pościeli, wychodzę z łóżka, zakładam majtki i podkoszulek.

Kiedy wchodzę do kuchni, zastaję Andrew przy kuchence.

– Skarbie, dlaczego nie śpisz? Jest jeszcze wcześnie.

Podchodzę do lodówki, otwieram ją w poszukiwaniu czegośkolwiek, co zwilży mi gardło. Muszę umyć zęby, ale jeśli on już robi śniadanie, to nie chcę mieszać smaku bekonu ze smakiem pasty do zębów.

– Pomyślałem, że przyniosę ci śniadanie do łóżka.

Odpowiedź zajmuje mu kilka dodatkowych sekund. Coś tu nie gra. Spoglądam na niego znad otwartych drzwi lodówki. Po prostu stoi, wpatrując się w smażący się tłuszcz.

– Skarbie, wszystko w porządku?

Zamykam lodówkę, bez wyciągania z niej czegośkolwiek.

Andrew z trudem podnosi głowę, by na mnie popatrzeć.

– Andrew?

Serce bije coraz szybciej, choć nie wiem dlaczego.

Podchodzę do niego i kładę rękę na jego ramieniu. Powoli unosi wzrok z patelni i patrzy mi w oczy.

– Andrew...

W okrutnie zwolnionym tempie nogi Andrew poddają się i jego ciało ląduje na białej posadzce. Łyżka, którą trzymał w ręce, uderza o podłogę, rozpryskując gorący tłuszcz. Pochylam się, by go złapać, ale nie udaje mi się. Wszystko nadal nienaturalnie długo rozciąga się w czasie: mój krzyk, moje dłonie łapiące jego ramiona, jego głowa odbijająca się od płytek. A potem Andrew zaczyna się trząść i skręcać w niekontrolowany sposób, tempo przestaje być zwolnione,

staje się szybkie i przerażające.

– ANDREW! O MÓJ BOŻE, ANDREW!

Chcę mu pomóc, ale nie przestaje drzeć. Widzę białka jego oczu i kurczowo zaciśniętą szczękę. Ma sztywne kończyny.

Znów krzyczę. Łzy przesłaniają mi widok.

– Niech mi ktoś pomoże! – Odzyskuję zdrowy rozsądek i pędzę po telefon. Jego komórka jest bliżej. Wybieram numer pogotowia, ale dwie sekundy później muszę ugasić ogień, który wybuchł na kuchence.

– Proszę, on ma jakiś napad! Proszę, niech mi ktoś pomoże!

– Proszę pani, po pierwsze, musi się pani uspokoić. Czy nadal ma ten atak?

– Tak!

Patrzę z przerażeniem na Andrew trzęsącego się na podłodze. Jestem cholernie przestraszona i jest mi niedobrze.

– Proszę odsunąć od niego wszystkie niebezpieczne przedmioty. Nosi okulary? Czy może uderzyć głową w jakiś mebel albo coś innego?

– Nie! Ale uderzył głową o podłogę, kiedy upadł.

– Proszę mu włożyć pod głowę poduszkę lub coś miękkiego, co uchroni głowę przed kolejnymi urazami.

Rozglądam się po kuchni, ale nic tu nie ma, więc biegnę do salonu i łapię małą poduszkę leżącą na kanapie, pędzę z nią z powrotem. Odkładam telefon i wsuwam ją pod kołyszącą się na boki głowę.

O Boże, nie... och, nie, co się z nim dzieje?

Znów przykładam telefon do ucha.

– Dobra, włożyłam mu pod głowę poduszkę.

– W porządku, proszę pani – mówi spokojnie operatorka pogotowia – teraz proszę powiedzieć, jak długo ma ten atak? Czy wie pani, co go wywołało?

– Nie... nie wiem, około dwóch minut, może więcej. I nie, nigdy go w takim stanie nie widziałam. Nigdy nic mi nie mówił... – Zaczyna do mnie docierać, że nigdy mi o tym nie powiedział. Myśli kłębią mi się w głowie, powodując, że denerwuję się coraz bardziej. – Proszę, przyślijcie karetkę! Proszę! Szybko! – Dławię się własnymi łzami. Ciało Andrew przestaje się

szarpać. Zanim operatorka zadała kolejne pytanie, mówię: – Przestał się trząść. Co mam robić?

– Musi go pani obrócić na bok, wysyłamy karetkę. Jaki adres?

Podczas przekręcania go na bok zastygam z powodu tego pytania.

Nie wiem... Kurwa, nie wiem! Niech to szlag!

– Nie znam adre... – Wstaję, podbiegam do stołu w kuchni, gdzie leży sterta korespondencji, znajduję adres na jednym z listów i czytam na głos.

– Karetka już jedzie. Czy chce pani pozostać na linii?

Nie rozumiem, co mówi i czy w ogóle mówi, czy tylko to sobie wyobrażam, ale nie odpowiadam. Nie mogę przestać płakać, patrząc na nieprzytomnego Andrew na podłodze.

– On jest nieprzytomny! O mój Boże, dlaczego on się nie budzi?! – Przyciskam rękę do ust.

– Tak się zdarza. – W końcu dociera do mnie głos operatorki. – Czy mam pozostać na linii, dopóki karetka nie przyjedzie?

– ...tak, proszę się nie rozłączać, proszę.

– Dobrze, jestem z panią – mówi, a jej głos jest jedynym pocieszeniem. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Nie mogę mówić. Wszystko, co mogę, to patrzeć na niego. Jestem nawet zbyt przerażona, by usiąść obok niego na podłodze, boję się, że znów dostanie drgawek.

Kilka minut później słyszę sygnał karetki.

– Myślę, że przyjechała – mówię do telefonu.

Nadal wszystko, na czym mogę się skupić, to Andrew.

Dlaczego to się dzieje?

Z odrętwienia wyrywa mnie pukanie do drzwi, więc idę otworzyć sanitariuszom. Nawet nie pamiętam, że upuszczam telefon Andrew z operatorką po drugiej stronie linii. Następnie, co pamiętam, to Andrew wkładany na nosze i przywiązywany do nich.

– Jak on się nazywa? – Słyszę głos, wiem, że to jeden z sanitariuszy, ale nie widzę jego twarzy. Widzę tylko Andrew wywożonego przez drzwi.

– Andrew Parrish – odpowiadam cicho.

Jak przez mgłę słyszę nazwę szpitala, po czym sanitariusze zabierają go. A kiedy już ich nie ma, po prostu stoję, gapiąc się na drzwi. Zajmuje mi kilka długich minut, by się pozbierać, po

czym chwytam jego komórkę i szukam numeru do jego mamy. Kiedy mówię jej, co się stało, słyszę tylko, że płacze i że upuszcza telefon.

– Pani Parrish? – Łzy więzną mi w gardle. – Pani Parrish?

Ale się nie odzywa.

W końcu wrzucam na siebie jakieś ciuchy, właściwie to nie wiem, co mam na sobie, łapię kluczyki od samochodu Andrew, torebkę i ruszam ku drzwiom. Przez chwilę jeżdżę w kółko bez celu, aż uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie jestem ani gdzie mam jechać. Na stacji benzynowej pytam, jak dojechać do szpitala, ale i tak ledwo trafiam. Nie potrafię jasno myśleć.

Trzaskam drzwiami i biegnę na izbę przyjęć, torebka obija mi się o biodro. Mogłabym ją zgubić i nawet bym nie zauważyła. Pielęgniarka sprawdza coś w komputerze i w końcu wskazuje mi kierunek, gdzie, jak się później okazuje, jest poczekalnia. Siadam i jestem całkiem sama.

Myślę, że mija około godziny, ale mogę się mylić. Godzina. Pięć minut. A może tydzień. Bez różnicy. Czuję je tak samo. Boli mnie w klatce piersiowej z płaczu. Nie mogę siedzieć. Chodzę w kółko, liczę plamy na wykładzinie.

Kolejna godzina.

Ta poczekalnia ma strasznie mdłe, brązowe ściany i brązowe krzesła ustawione w dwóch rzędach na środku. Zegar nad drzwiami tyka nieprzerwanie, a mnie jest trudno słuchać jego odliczania, ale moje myśli ciągle do niego wracają. Jest też ekspres z kawą i mała umywalka, i chyba zauważyłam je dopiero, gdy wszedł facet i nalał sobie kawy.

Następna godzina.

Boli mnie głowa. Mam popękane usta. Zwilżam je językiem, ale to tylko pogarsza sprawę. Nie widziałam, żeby przechodziła jakaś pielęgniarka. Zaczynam żałować, że nie zatrzymałam ostatniej, która wyszła na długi, oświetlony korytarz.

Co zajmuje tak dużo czasu? Co się dzieje?

Walę się dłonią w czoło, bo przecież mam w torebce telefon Andrew. W tej samej chwili słyszę znajomy głos:

– Camryn?

Błyskawicznie się odwracam.

Młodszy brat Andrew, Asher, wchodzi do pomieszczenia.

Chciałabym poczuć ulgę, że w końcu przyszedł ktoś, by ze mną porozmawiać, by przegonić nieznośne uczucie pustki, ale denerwuję się jeszcze bardziej, bo myślę, że powie mi coś potwornego na temat Andrew. Z tego, co wiem, Ashera nawet nie było w Teksasie, a jeśli

teraz nagle się pojawił, to znaczy, że złapał pierwszy samolot, a ludzie robią tak tylko wtedy, gdy dzieje się coś bardzo złego.

– Asher? – mówię przez łzy. Nawet się nie waham, by wpaść w jego otwarte ramiona. Tuli mnie mocno. – Proszę, powiedz mi, co się dzieje. – Nie mogę powstrzymać łez. – Czy z Andrew wszystko dobrze?

Asher bierze mnie za rękę i prowadzi do krzeseł. Siadam obok niego, ściskając torebkę, tylko po to, by mieć się czego trzymać.

Asher jest tak podobny do Andrew, że serce mi pęka.

Uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Teraz jest dobrze. – To jedno krótkie zdanie przywraca mi energię. – Ale prawdopodobnie długo tak nie pozostanie.

I tak samo szybko cała energia uchodzi ze mnie, zabierając z sobą moje serce, duszę i nadzieję, jaka mi jeszcze pozostała. *Co on mówi... co on stara się mi powiedzieć?*

Wstrząsa mną szloch.

– Co to znaczy? – Ledwo udaje mi się sformułować te słowa.

Wzdycha głęboko.

– Około ośmiu miesięcy temu – mówi ostrożnie – mój brat dowiedział się, że ma guz mózgu.

Nie ma już mojego serca. Ani oddechu.

Torebka spada na podłogę, wszystko się z niej wysypuje, ale nie jestem w stanie się schylić, by to pozbierać. W ogóle nie mogę się ruszyć...

Czuję, że dłoń Ashera dotyka mojej.

– Z powodu stanu naszego ojca Andrew odmówił dalszych badań. Powinien zobaczyć się z doktorem Marstersem, ale się nie zjawił. Mama i Aidan za wszelką cenę starali się zmusić go do wizyty. Z tego, co wiem, w końcu zgodził się na badania. Ale nigdy na nie nie dotarł, ponieważ stan ojca się pogorszył.

– Nie... – Kręcę głową bez końca, nie chcę uwierzyć w to, co mówi. – Nie... – Po prostu chcę wyprzeć jego słowa.

– To właśnie dlatego Aidan i Andrew skakali sobie do gardeł – ciągnie Asher. – Aidan chciał, żeby Andrew zrobił, co musiał, ale Andrew, uparty jak zawsze, na każdym kroku z nim walczył.

Patrzę na ścianę i mówię:

– To dlatego nie chciał oglądać ojca w szpitalu...

– Tak – przyznaje Asher cicho – dlatego też nie chciał iść na pogrzeb.

Sparaliżowana bólem patrzę Asherowi w oczy, przyciskam palce do ust.

– On się bał. Bał się, że jemu przytrafi się to samo. Że jego guz okaże się nieoperacyjny.

– Tak.

Natychmiast wstaję z krzesła. Butem miażdżę błyszczak.

– A co, jeśli wcale nie jest tak źle? – pytam gorączkowo. – Teraz jest w szpitalu, mogą zrobić wszystko, co konieczne. – Zaczynam iść ku drzwiom. – Poproszę go, żeby poddał się badaniom. Zmuszę go! Mnie posłucha!

Asher łapie mnie za rękę i odwraca.

– Z tego, co są w stanie teraz powiedzieć, jego szanse są bardzo małe, Camryn.

Jest mi niedobrze. Czuję, że w policzki, po których płynie coraz więcej łez, wbijają mi się miliony szpileczek. I drżą mi ręce. Teraz całe moje cholerne ciało się trzęsie!

Asher dodaje po chwili:

– Nie zostało mu zbyt wiele czasu.

Ręce pędzą w górę, by zakryć twarz, ciało drga niekontrolowanie. Czuję wokół siebie ramiona Ashera.

– Chce cię zobaczyć. – Jego słowa powodują, że patrzę w górę. – Już ma pokój. Zabiorę cię do niego, tylko poczekamy, aż mama wyjdzie od niego. – Nie odpowiadam. Po prostu stoję, bez słów... wewnątrz umieram, to najgorszy ból, jaki kiedykolwiek czułam! Asher ponownie patrzy na mnie, żeby się upewnić, że go słyszałam, a potem mówi cicho: – Zaraz po ciebie wrócę. Czekał tu na mnie.

Asher wychodzi, a ja bojąc się, że zemdleję, siadam na pierwszym lepszym krześle. Nic nie widzę, łzy zalewają mi oczy, płyną po policzkach. Czuję się, jakby ktoś rozerwał mi klatkę piersiową i wyrwał serce.

Nie wiem, czy nie oszaleję z rozpacz, kiedy go zobaczę.

Dlaczego on to zrobił?!

Dlaczego to się stało?!

Upadam na kolana, chcąc pozbiierać zawartość torebki, by się na czymś skupić i nie poddać się szaleństwu, krzywdząc siebie lub kogoś innego. Nawet nie zauważyłam, że Asher spakował moje rzeczy i odstawił torebkę na krzesło. Grzebię w niej w poszukiwaniu komórki i dzwonię do Natalie.

– Halo?

– Natalie, chcę, byś coś dla mnie zrobiła.

– Cam, czy ty płaczesz?

– Natalie, proszę, posłuchaj.

– Dobra, jestem, mów, co się stało.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – mówię. – I musisz przyjechać do Galveston. Tak szybko, jak możesz. Przyjedziesz? Potrzebuję cię. Proszę.

– O mój Boże, Camryn, co się dzieje? Co się stało? Wszystko z tobą w porządku?

– Mnie nic nie jest, ale potrzebuję cię tutaj. Potrzebuję kogoś, a ty jesteś wszystkim, co mam. Mama nie, um... Natalie, proszę.

– Dobrze – w jej głosie słyszę troskę. – Złapię pierwszy samolot. Przylecę niedługo. Tylko miej przy sobie telefon.

Opadają mi ręce. Ściskam kurczowo komórkę i gapię się na ścianę przez całą wieczność, aż głos Ashera wrywa mnie z odrętwienia. Idzie do mnie, wyciąga rękę, wiedząc, że go potrzebuję. Nogi się pode mną uginają. Asher trzyma mnie mocno. Wychodzimy na jasno oświetlony korytarz i kierujemy do windy.

– Muszę się uspokoić – mówię na głos, ale bardziej do siebie niż do Ashera. Wysuwam dłoń z jego ręki i wycieram sobie twarz, po czym palcami przeczesuję włosy. – Nie chcę, żeby widział moją historię. Ma wystarczająco dużo problemów, nie powinnam mu przysparzać kolejnych.

Asher nic nie odpowiada. Nie patrzę na niego. Widzę refleksy w drzwiach windy, rozmazane i pozbawione koloru. Widzę, że na wyświetlaczu przeskakują dwa piętra, po czym winda się zatrzymuje. Drzwi się otwierają. A ja stoję, bojąc się wyjść, a potem biorę głęboki oddech i znów wycieram oczy.

Idziemy szerokim korytarzem do uchylonych drewnianych drzwi. Asher otwiera je pchnięciem, ale patrzę na podłogę, na tę niewidzialną linię, która oddziela korytarz od pokoju, w którym leży Andrew, i jestem zbyt przerażona, by przez nią przejść. Czuję, że kiedy już to zrobię, zobaczę, że to wszystko jest prawdziwe i naprawdę nieodwracalne. Zaciskam powieki,

starając się odgonić nowy potok łez, oddycham głęboko, palce zaciskam na torebce.

A potem otwieram oczy i widzę wychodzącą z pokoju mamę Andrew.

Jej łagodna twarz jest wyczerpana z powodu emocji, wiem, że ja też muszę tak wyglądać. Ma potargane włosy, rozmazany makijaż. Ale udaje jej się uśmiechnąć do mnie z miłością, łagodnie położyć palce na moim ramieniu.

– Cieszę się, że tu jesteś, Camryn.

A potem łapie Ashera za rękę i razem odchodzą korytarzem.

Patrę przez moment, jak idą obok siebie, po chwili postacie robią się niewyraźne.

Spoglądam na drzwi sali i widzę koniec łóżka, na którym leży Andrew.

Wchodzę do środka.

– Maleńka, chodź do mnie – mówi Andrew, kiedy mnie spostrzega.

Na początku zamieram w miejscu, ale kiedy patrzę w jego oczy, te nieprawdopodobnie zielone oczy, które wpatrują się w moje, upuszczam torebkę na podłogę i biegnę do jego łóżka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Upadam na niego i ściskam mocno. On też mnie ściska, choć nie tak bardzo, jak bym tego chciała. Chciałabym, żeby zmiażdżył mnie na śmierć i nigdy nie puścił, by zabrał mnie z sobą. Ale jest słaby. Mogę powiedzieć, że to, co go dręczy, szybko pozbawia go sił.

Andrew trzyma moją twarz w dłoniach, odsuwa kosmyki włosów sprzed oczu, po czym scałowuje łyzy, które tak bardzo staram się powstrzymywać, żeby go nie martwić. Ale serce ma własny rozum i robi, co chce, zwłaszcza kiedy umiera.

– Tak bardzo mi przykro – mówi bolesnym, pełnym rozpaczny głosem. Ręce nadal trzyma na mojej twarzy. – Nie mogłem ci powiedzieć, Camryn... Nie chciałem, żeby nasz czas razem był przez to zdeterminowany, ale niestety tak się stało. – Łzy wylewają się z moich oczu, spływając po jego palcach i dalej w dół na nadgarstki. – Mam nadzieję, że ty nie...

– Nie, Andrew... – dławię się – ...rozumiem, nie musisz się tłumaczyć. Cieszę się, że mi nie powiedziałeś. – Wydaje się zaskoczony, ale jednocześnie zadowolony. Przyciąga mnie i całuje w usta. – Masz rację – mówię. – Gdybyś mi powiedział, nasz czas byłby beznadziejny i... nie wiem, ale byłabym inna. Nie umiem powiedzieć, jak inna... jednak, Andrew, żałuję, że mi nie powiedziałeś, z jednego poważnego powodu: zrobiłabym wszystko, dosłownie wszystko, żebyś trafił szybciej do szpitala. – Zaczynam podnosić głos i prawda moich słów rani nawet mnie: – Mogłeś...

Andrew kręci głową.

– Maleńka, już i tak jest za późno.

– Nie mów tak! Teraz nie jest za późno! Nadal tu jesteś, ciągle jest nadzieja.

Uśmiecha się do mnie i w końcu zabiera dłonie z moich policzków, po czym kładzie po bokach na szpitalnym kocu, którym jest przykryty. Jakies rurki są przypięte do jego dłoni i biegną do maszyny.

– Jestem realistą, Camryn. I tak już mi powiedzieli, że szanse nie są za wielkie.

– Ale nadal są – argumentuję, połykając łyzy i żałując, że nie ma przycisku, którym można je wyłączyć. – Małe są lepsze niż żadne.

– Jeśli pozwolę się im zoperować.

Czuję, jakbym dostała w twarz.

– Co masz na myśli, mówiąc „jeśli”?

Jego wzrok odpływa w dal.

Sięgam i łapię go za podbródek, zmuszając, by na mnie patrzył.

– Tu nie ma żadnego „jeśli”, Andrew... no, chyba że sobie jaja robisz.

Andrew wyciąga do mnie ręce i przesuwa się na łóżku. Robi miejsce, bym się obok niego położyła, a kiedy już to robię, obejmuje mnie i przytula.

– Gdybym cię nie poznał – mówi, patrząc mi w oczy, które są kilka centymetrów od jego – nigdy bym przez to nie przeszedł. Gdyby cię tu teraz ze mną nie było, nie zgodziłbym się. Myślałem, że to strata czasu, pieniędzy, dawanie mojej rodzinie złudnej nadziei, przeciąganie nieuniknionego.

– Ale teraz masz zamiar pozwolić im na operację – mówię, chociaż brzmi to bardziej jak pytanie.

Przeciąga wierzchem palców po moim policzku.

– Dla ciebie zrobię wszystko, Camryn Bennett. Mam gdzieś, co to ma być, nie dbam o to... Wszystko, o co tylko poprosisz, zrobię dla ciebie. Bez wyjątków.

Nie mogę powstrzymać szloch. Zanim mam szansę odpowiedzieć, Andrew zakłada mi kosmyk włosów za ucho. Patrzy mi głęboko w oczy.

– Pozwolę im.

Przykładam usta do jego warg i całujemy się pospiesznie.

– Nie mogę cię stracić – mówię. – Mamy jechać w długą podróż. Jesteś moim towarzyszem broni. – Zmuszam się do uśmiechu przez łzy.

Całuje mnie w czoło.

Leżymy obok siebie przez kilka chwil, rozmawiając o operacji i niezbędnych badaniach, po czym mówię mu, że go nie opuszczę. Zostanę przy nim tak długo, jak będzie trzeba. A potem rozmawiamy o miejscach, jakie chcielibyśmy zobaczyć, a on zaczyna wybierać piosenki, których powinnam się nauczyć, abyśmy mogli wspólnie śpiewać podczas podróży. Nigdy bardziej mi nie zależało na tym, by śpiewać z nim, niż teraz. Mogę dorównać Celine Dion albo być śpiewaczką operową, mam to gdzieś. I tak chciałabym zaśpiewać. Z pewnością wszyscy uciekną z krzykiem, ale i tak to zrobię.

Wreszcie wchodzi pielęgniarka, a Andrew odzyskuje nieco wigoru i pyta, czy nie chciałaby wziąć udziału w trójkątku. Pielęgniarka się śmieje, przewraca oczami i rumieni się. To sprawia, że czuję się dobrze i wszystko wraca do normy.

W czasie gdy tak leżę w łóżku z Andrew, czuję się jak wtedy, gdy byliśmy w drodze. Nie myśleliśmy wtedy o chorobach czy śmierci i nie płakaliśmy. Teraz też rozmawiamy i śmiejemy się, a potem on stara się mnie dotknąć we wszystkich właściwych miejscach. Chichoczę z powodu niestosowności sytuacji i odsuwam jego ręce, bo czuję, że robimy coś złego. Ponieważ

powinien odpoczywać.

Ostatecznie poddaję się i pozwalam mu, bo jest uparty. I, oczywiście, nie mogę mu się oprzeć. Pozwalam mu na palcówkę pod szpitalnym kocem, a potem odwzajemniam się robieniem mu dobrze ręką.

Po kolejnej godzinie wstaję z łóżka.

– Maleńka, co się stało?

– Nic – uśmiecham się ciepło, a potem ściągam spodenki i koszulkę.

Szczerzy się od ucha do ucha. Wiem, że zboczone myśli wypełniają jego umysł.

– Mimo że najbardziej na świecie chcę się z tobą kochać w szpitalnym łóżku – mówię, kiedy wracam do niego i kładę się obok – to się nie wydarzy; musisz mieć siłę, by przetrwać operację. – Chciałabym tu, w tym łóżku uprawiać miłość, ale nie o to chodzi.

Patrzy na mnie z ciekawością, układam się obok niego, ubrana jedynie w majtki i stanik. Ma na sobie tylko cienkie bawełniane spodnie. Przyciskam się do niego, splatam z nim nogi. Nasze ciała są idealnie dopasowane, nasze żebra się stykają.

– Co robisz? – pyta, coraz bardziej ciekawy, a zarazem niecierpliwy.

Wolną ręką przesuwam po tatuażu Eurydyki. Patrzy na mnie uważnie. A kiedy mój palec trafia w miejsce, w którym tatuaż się urywa, przesuwam dłoń na moją skórę, gdzie powinna być reszta.

– Gdybyś mi pozwolił, chciałabym być twoją Eurydyką. – Jego twarz się rozjaśnia, a dołeczki pogłębiają. – Chciałabym zrobić drugą połowę – kontynuuję, tym razem gładząc palcami jego usta. – Chciałabym mieć Orfeusza na żebrach, żeby mogli się połączyć.

Andrew jest zachwycony. Widzę to w jego błyszczących oczach.

– Och, maleńka, nie musisz tego robić, na żebrach boli jak cholera.

– Ale ja chcę i mam gdzieś, jak bardzo będzie bolało.

Jego oczy zaczynają wypełniać się wilgocią, kiedy patrzy w moje, po czym jego wargi stykają się z moimi i nasze języki tańczą razem, przez długi, czuły moment.

– Bardzo by mi się to podobało – szepcze mi w usta.

Całuję go delikatnie, potem mówię cichutko:

– Po operacji, kiedy już wydobrzejesz, pojedziemy go zrobić.

Kiwa głową.

– Tak, Gus z pewnością będzie mnie potrzebował, aby idealnie zgrać nasze tatuaże. Nabijał się ze mnie, kiedy robił mój.

Uśmiecham się.

– Śmiał się, co?

– Tak – chichocze. – Kpił, że jestem niepoprawnym romantykiem, i zagroził, że powie o tym moim kumplom. Powiedziałem mu, że mówi jak mój ojciec i żeby się zamknął. Gus jest spoko gościem i dobrym tatuażystą.

– To dobrze.

Andrew przesuwa dłonią po moich włosach, mierzwiąc je na czubku głowy. A kiedy patrzy na mnie, uważnie przygląda się mojej twarzy, zastanawiam się, co mu chodzi po głowie. Jego cudowny uśmiech znika i twarz ma bardziej ostrożny wygląd.

– Camryn, chciałbym, żebyś była przygotowana.

– Nie zaczynaj z tym...

– Nie, maleńka, musisz to dla mnie zrobić – mówi z niepokojem w spojrzeniu. – Nie możesz myśleć, że na sto procent wyjdę z tego żywy. Po prostu nie możesz.

– Andrew, proszę. Po prostu przestań.

Kładzie mi palce na ustach, uciszając. Znowu chce mi się płakać. Stara się być tak delikatny, jak tylko może, powstrzymując własne łzy i emocje, nawet lepiej mu to wychodzi niż mnie. To on ma umrzeć, a to ja nie mam siły. To mnie wkurza, ale nie mogę zrobić niczego oprócz płaczu i bycia wkurwioną na samą siebie.

– Obiecuj, że uświadomisz sobie, że mogę umrzeć.

– Nie mogę wmawiać sobie czegoś takiego!

Ściska mnie mocniej.

– Obiecuj mi.

Zaciskam zęby, czując, że nimi zgrzytam. Znowu płoną mi oczy. W końcu wyduszam z siebie:

– ...obiecuję. – I to łamie mi serce. – Ale ty w zamian musisz mi obiecać, że przez to przejdiesz – mówię, dociskając głowę do jego brody. – Nie mogę zostać bez ciebie, Andrew. Musisz wiedzieć, że nie mogę.

– Wiem, maleńka... wiem.

Następuje chwila ciszy.

– Zaśpiewasz dla mnie? – pyta.

– A co chcesz, żebym ci zaśpiewała?

– „Dust in the Wind” – odpowiada.

– Nie. Nie będę tego śpiewać. Nigdy mnie o to nie proś. Nigdy.

Oplata mnie ciasno ramionami.

– Zaśpiewaj więc cokolwiek – szepcze. – Po prostu chcę usłyszeć twój głos.

Zaczynam śpiewać „Poison & Wine”, tę samą piosenkę, którą śpiewaliśmy w Nowym Orleanie, gdy leżeliśmy przytuleni do siebie w nocy. Andrew śpiewa ze mną kilka wersów, ale jest bardzo słaby, bo ledwie trzyma się tempa melodii.

Zasypiamy wtuleni w siebie.

– Mamy kilka badań do zrobienia. – Słyszę głos nad łóżkiem. Otwieram oczy i widzę pielęgniarkę stojącą przy nas. Andrew też się budzi. Jest późne popołudnie i po aurze za oknem mogę powiedzieć, że wkrótce zrobi się ciemno. – Sądzę, że powinnaś się ubrać. – Pielęgniarka uśmiecha się.

Pewnie myśli, że Andrew i ja mieliśmy tu niezłą akcję, jeżeli można wnioskować po tym, że on też jest półnagi. Wyłażę z łóżka i wskakuję w ciuchy, podczas gdy pielęgniarka sprawdza stan Andrew i prawdopodobnie szykuje go do wyjścia. Obok łóżka czeka wózek na kółkach.

– Co to za badania? – pyta Andrew słabo.

Ta słabość sprawia, że patrzę na niego. Nie wygląda dobrze. Wygląda na... zdezorientowanego.

– Andrew? – Podchodzę do łóżka.

Ostrożnie podnosi rękę, by mnie powstrzymać.

– Nie, maleńka, nic mi nie jest. Troszkę tylko kręci mi się w głowie. Próbuję się obudzić.

Pielęgniarka odwraca się do mnie i chociaż są szkolone do tego, by być spokojnymi i nie pokazywać emocji, mogę zobaczyć to w jej oczach. Ona wie, że coś jest nie w porządku.

Wymusza uśmiech i podchodzi, by pomóc mu usiąść, przesuwając kabelki od maszyny

monitorującej.

– Nie będzie go z godzinę, dwie, może więcej – mówi do mnie. – Powinnaś coś zjeść, rozprostować nogi i wrócić tu za dobrą chwilę.

– Ale ja nie chcę go zostawiać samego.

– Rób, co mówi siostra – prosi Andrew, a ja czuję, że coraz bardziej się boję. – Chcę, żebyś coś zjadła – rozkazuje, patrzy na mnie i wyciąga palec. – Ale żadnych steków – dodaje żartobliwie. – Nadal wiesz mi obiad ze stekiem, pamiętasz? Kiedy stąd wyjdę, to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobimy. – Uśmiecha się, choć bardzo słabo.

– Dobra – zgadzam się, kiwając niechętnie głową. – Wrócę za kilka godzin i będę na ciebie czekać.

Przysuwam się i całuję go miękko. Kiedy się odsuwam, patrzy mi głęboko w oczy. Wszystko, co widzę w jego spojrzeniu, to ból, cierpienie i wyczerpanie. Ale stara się być silny i mały uśmiech błąka się w kącikach jego ust. Podchodzi do wózka i patrzy na mnie raz jeszcze, zanim pielęgniarka wywozi go z sali.

Mój oddech gdzieś utyka.

Czuję się tak, jakbym chciała krzyknąć, że go kocham, ale nie robię tego. Kocham go całym sercem, ale gdzieś tam głęboko w środku czuję, że jeśli to powiem, że jeśli w końcu przyznam to głośno, to wszystko weźmie w łeb i się rozleci. Może gdy będę to trzymała w swoim wnętrzu i nigdy nie wypowiem tych słów, to nasza historia będzie trwać. Te dwa słówka mogą być początkiem, ale ja czuję, że dla Andrew mogą stać się końcem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie byłabym w stanie niczego przelknąć, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Powiedziałam Andrew, że pójdę coś zjeść, tylko po to, żeby się nie martwił. Ale zamiast na stołówkę, wychodzę przed szpital, by posiedzieć przez chwilę na ławce. Nie chcę odchodzić daleko, gdy on tam jest. Wiele mnie kosztowało to, abym pozwoliła pielęgniarce zabrać go ode mnie.

Przychodzi SMS od Natalie: „Wylądowałam. Łapię taksówkę. Będę niedługo. Kocham cię”.

Siedzę i czekam, a gdy zauważam podjeżdżającą taksówkę, chwilę zajmuje mi, aby wstać. Minęło trochę czasu od ostatniego spotkania, kiedy miałyśmy sprzeczkę o Damona.

Ale to już nie ma znaczenia. Już od jakiegoś czasu. Najlepsi przyjaciele – bez względu na to, jacy są albo jak bardzo nas ranią – i tak nimi zawsze będą. Nikt nie jest doskonały. Błędy przyjaciół są do wybaczenia; to właśnie sprawia, że przyjaźń jest prawdziwa. Nie wyobrażam sobie życia bez Natalie. A teraz potrzebuję jej bardziej niż kiedykolwiek.

Biegnie ku mnie przez deptak, jej czekoladowe włosy swobodnie podskakują.

– O mój Boże, tak tęskniłam, Cam! – Ściska mnie tak mocno, że nie mogę oddychać.

Wystarcza mi jej obecność, tulę ją i szlocham. Po prostu nie umiem powstrzymać już łez. Nigdy w życiu tyle nie płakałam co przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

– Och, Cam, co się dzieje? – Czuję, jak palcami odgarnia mi włosy z twarzy, kiedy nie przestaję płakać w jej pierś. – Chodź, usiądziemy.

Natalie prowadzi mnie na ławkę pod dębem, na której siadamy obok siebie. Mówię jej o wszystkim. Zaczynam od tego, jak wyjechałam z Karoliny Północnej i jak spotkałam Andrew w autobusie w Kansas. Opowiadam całą naszą drogę do momentu, w którym znajdujemy się na tej ławce. Ona płacze, śmieje się i drży razem ze mną, kiedy opowiadam o czasie spędzonym z Andrew. Rzadko wcześniej widywałam ją tak poważną jak teraz. Może tylko kiedy zamknęli mojego brata Cole’a w więzieniu albo kiedy rozwodzili się moi rodzice. No i po śmierci Iana. Natalie może i jest szaloną, szczerą do bólu imprezowniczką, która przeważnie nie wie, kiedy się zamknąć, ale też można na nią liczyć, że w takim momencie jak ten odda całe swoje serce.

– Nie mogę uwierzyć, że przechodzisz przez coś takiego, po tym co przeszłaś z Ianem. To tak, jakby los rządził cię jakimś popierdolonym żartem. – To rzeczywiście tak wygląda, ale czuję, że z Andrew jest to dużo, dużo gorsze niż jakiś żart. – Dziewczyno – mówi, kładąc mi rękę na udzie – pomyśl o tym: jakie są szanse na to, że wszystko, co się stało, jest zbiegiem okoliczności? – Kręci głową. – Przykro mi, Cam, ale to zbyt wielki przypadek, wam dwojgu jest przeznaczone bycie razem. To jakiś popieprzony dramat miłosny, a ty po prostu nie możesz się poddać, wiesz?

Nic nie mówię, tylko rozważam jej słowa. Normalnie wypowiedziałabym się na temat jej osądu sytuacji, ale tym razem nie umiem znaleźć słów. Natalie zmusza mnie, bym na nią

popatrzyła.

– Poważnie uważasz, że przeszłaś przez to wszystko, by teraz patrzeć, jak on umiera?

To słowo mnie żądli, ale ukrywam to.

– Nie wiem. – Patrzę na drzewa po drugiej stronie trawnika, ale w rzeczywistości nie widzę ich. Wszystko, co widzę, to twarz Andrew.

– On wydobrzej. – Natalie obejmuje dłońmi moją twarz i patrzy mi głęboko w oczy. – Wyjdzie z tego, ty po prostu musisz powiedzieć śmierci, żeby się odpierdoliła, wiesz?

Nat czasami mnie zadziwia. To właśnie jedna z tych sytuacji. Uśmiecham się słabo, a ona ociera mi łzy z policzków i mówi:

– Chodź, znajdziemy Starbucksa.

Wstaje, gigantyczna czarna torebka zwisa z jej ramienia, wyciąga do mnie dłoń.

Ale jestem niechętna.

– Natalie... naprawdę chciałabym tu zostać.

– Nie, musisz na chwilę odejść od tej złej energii, szpitale wysysają nadzieję ze wszystkich, przyjdziemy, kiedy on wróci na swoją salę, a wtedy przedstawisz mnie temu sobowtórowi Kellana, o którego tak bardzo jestem zazdrosna.

Zawsze umie poprawić mi humor. Biorę ją za rękę.

– Dobrze. – Poddaję się.

Jedziemy chevelle do najbliższego Starbucksa. Natalie przez całą drogę zachwyca się autem.

– Rany, Cam, naprawdę trafiłaś w dziesiątkę. – Siedzi naprzeciwko mnie, siorbiąc mrożoną latte. – Tak idealnych facetów nie spotyka się co dzień.

– Cóż, on nie jest idealny – mówię, mieszając słomką w kubku. – Bawi go, że się peszę, gdy bywa sprośny, jest uparty, zmusza mnie do robienia rzeczy, których nie chcę robić, i zawsze wszystko wie lepiej.

Natalie uśmiecha się, ssie napój przez słomkę, po czym zwraca się do mnie:

– Widzisz, tak jak mówiłam, ideał. – Śmieje się, a potem przewraca swoimi brązowymi oczami. – I proszę cię, robisz coś tylko dlatego, że on ci każe? Kurczę. Coś mi mówi, że uwielbiasz te rzeczy, które on każe ci robić. – Uderza dłońią w blat stolika. – Och, jest nieokiełznany w łóżku, prawda? – Trzęsie się z podekscytowania.

Powiedziałam jej, że uprawialiśmy seks, ale nie zdradziłam jej pikantnych szczegółów. Gapię się w stół. Natalie znów wali dłonią w blat, a facet siedzący obok patrzy na nas.

– O mój Boże, oczywiście, że jest!

– Tak, jest! – syczę, starając się nie śmiać. – A teraz przymkniesz się?

– No weź, musisz mi zdradzić chociaż maleńki kąsek. – Kciukiem i palcem wskazującym pokazuje, jak mały, i mruży oczy.

A co mi tam, rozglądam się wokół, czy nikt nie podsłuchuje.

– Podczas pierwszego razu – zaczynam mówić, a ona zastyga w bezruchu, ma wytrzeszczone oczy i otwartą buzię – on praktycznie wziął mnie siłą... to znaczy, wiesz, o co mi chodzi... oczywiście tego chciałam, ale wiesz... – Kiwa głową, ale się nie odzywa, ponieważ chce, żebym kontynuowała. – Mogę powiedzieć, że dominację ma we krwi i nie robił tego tylko dlatego, że powiedziałam mu, że to lubię. Mogę też powiedzieć, że mimo to był ostrożny, nie przesadzał, bo chciał mieć pewność, że jest mi dobrze.

– A potem kiedykolwiek posunął się dalej?

– Nie, ale wiem, że to zrobi.

Natalie uśmiecha się.

– Jesteś pieprzoną seksualną dewiantką – mówi, a ja rumienię się tak bardzo, że nie mogę na nią przez chwilę patrzeć. – Wygląda na to, że on jest dokładnie tym, kogo potrzebujesz. Wyciągnął z ciebie to gównno, a Ian i Christian tego nie potrafili. – Patrzy w górę, w niebo, i szybko dodaje: – Wiesz, Ian, że cię kocham. – Całuje dwa palce i macha nimi w górę. Potem wraca do mnie spojrzeniem.

– To nie dlatego kocham Andrew.

Usta Natalie zaciskają się. Tak samo jak moje. Myślę, że powietrze z całego pomieszczenia właśnie gdzieś wyparowało. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to powiedziałam. Dlaczego powiedziałam to na głos?

– Jesteś w nim zakochana? – pyta, chociaż nie jest zaskoczona. Nic nie odpowiadam. Po prostu przetykam kolejne słowa cisnące mi się na usta. – Gdybyś się w nim nie zakochała, po tym wszystkim, co przeszliście, to ty byłabyś tą z guzem mózgu.

Chociaż strasznie nie podoba mi się, że użyła tych dwóch paskudnych słów, wiem, że nie miała nic złego na myśli.

Ale pomimo jej przekomarzania się i tego, w jak łatwy sposób szybko zapomniałam, że nie jest cudownie w tej chwili, nie jestem w stanie dalej w to brnąć. Jestem wdzięczna, że

pomaga mojemu umysłowi odprężyć się i nie martwić o Andrew, nawet jeśli to chwila rozmowy o seksie. Ale teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Chcę tylko wrócić do szpitala i być przy nim.

Natalie i ja wracamy po zachodzie słońca, razem przechodzimy przez frontowe drzwi i kierujemy się do windy.

– Mam nadzieję, że już skończyli badania – mówię, nerwowo wpatrując się w swoje niewyraźne odbicie w drzwiach windy.

Czuję, jak palce Natalie splatają się z moimi. Patrzę na nią i widzę, że uśmiecha się do mnie łagodnie.

Drzwi windy otwierają się i wychodzimy na korytarz. Asher i Marna idą ku nam z naprzeciwka. Wyraz na ich twarzach sprawia, że serce opada mi na dno żołądka. Ściskam dłoń Natalie tak mocno, że niemal ją miażdżę.

Kiedy Asher i Marna stają naprzeciw nas, widzę, że łzy płyną po policzkach matki. Wciąga mnie w ramiona i mówi:

– Andrew zapadł w śpiączkę... lekarze nie dają mu wielkich szans.

Odsuwam się od niej.

Słyszę tylko brzęczenie wentylatora na korytarzu, wszystko inne zastygło w tej chwili. Czuję, że Natalie sięga po mnie, ale odsuwam się od niej, ręce przyciskam do piersi. Nie mogę oddychać... nie mogę oddychać. Widzę łzy w oczach Ashera, ale odwracam wzrok. Nie patrzę, ponieważ on ma oczy Andrew, a ja nie jestem w stanie tego znieść.

Marna sięga do torebki i wyciąga kopertę. Podchodzi do mnie ostrożnie i łapie za obie dłonie, wkładając mi w nie papier.

– Andrew chciał, żebym ci to dała, gdyby coś mu się stało. – Zaciska moje palce na liście. Nie patrzę w dół; patrzę wprost na nią, łzy płyną mi po twarzy. Nie mogę oddychać. – Przepraszam... – mówi Marna drżącym głosem. – Muszę już iść. – Klepie moje dłonie po matczyemu. – Zawsze będziesz mile widziana w moim domu i w mojej rodzinie. Proszę, pamiętaj o tym.

Mało nie mdleje, więc Asher podtrzymuje ją i prowadzi korytarzem.

Ja po prostu stoję. Kilka pielęgniarek przechodzi obok, ale idą dalej. Czuję lekki podmuch wiatru na twarzy, kiedy mnie mijają. Wieczność zajmuje mi zebranie się na odwagę, by spojrzeć na kopertę. Mam dreszcze. Moje palce dosłownie trzęsą się, gdy ją otwieram.

– Pomogę ci. – Słyszę głos Natalie, ale jestem zbyt porażona, by protestować. Delikatnie odbiera mi kopertę, otwiera ją, powoli rozkłada znajdujący się wewnątrz list. – Mam ci to przeczytać?

Patrzę na nią, moje wargi drżą niekontrolowanie, aż w końcu, gdy dociera do mnie sens jej pytania, kręcę głową.

– Nie... daj mi...

Wręcza mi list, rozkładam do końca kartkę, łyżę kapię mi na papier, kiedy czytam:

Droga Camryn,

Nie chciałem, żeby odbyło się to w ten sposób. Chciałem powiedzieć ci te wszystkie rzeczy osobiście, ale bałem się. Obawiałem się, że jeśli przyznam na głos, że cię kocham, to, co było między nami, umrze wraz ze mną. Ale prawda jest taka, iż już w Kansas wiedziałem, że jesteś tą jedyną. Kochałem cię od dnia, kiedy pierwszy raz spojrzałem w twoje oczy, gdy patrzyłaś na mnie przechylona przez oparcie autobusowego siedzenia. Może wtedy tego nie wiedziałem, ale przypuszczałem, że coś się stało w tamtym momencie i że nie będę mógł cię opuścić.

Nigdy nie żyłem w ten sposób, w jaki spędziłem ten krótki czas, gdy byłem z tobą. Po raz pierwszy w życiu czułem się kompletny, wolny i żywy. Byłaś brakującym fragmentem mojej duszy, powietrzem w moich płucach, krwią w moich żyłach. Myślę, że przeszłe życia są realne i w nich wszystkich byliśmy kochankami. Znałem cię przez krótką chwilę, ale czułem, jakbym znał od zawsze.

Chcę, żebyś wiedziała, że nawet po śmierci będę cię pamiętał. Zawsze będę cię kochał. Żałuję, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Myślałem o tobie przez wiele nocy, kiedy byliśmy w drodze. Gapilem się w motelowo sufity i wyobrażałem sobie, jak mogłoby wyglądać nasze wspólne życie, gdybym miał żyć. Miałem nawet te bzurdne marzenia, jak byś wyglądała w sukni ślubnej czy z małym mną w brzuchu. Wiesz, słyszałem, że seks w ciąży jest zajebisty ;)

Ale przykro mi, że musiałem cię opuścić, Camryn. Tak bardzo cię przepraszam... Żałuję, że historia Orfeusza i Eurydyki nie była prawdziwa, ponieważ w innym wypadku mogłabyś zejść do Podziemi i wyśpiewać mnie do życia. Nie obejrzałabyś się za siebie. Nie spieprzyłabyś tego jak Orfeusz.

Przepraszam, maleńka...

Chcę, żebyś mi obiecała, że będziesz silna, piękna, słodka i kochająca. Chcę, żebyś była szczęśliwa i znalazła kogoś, kto będzie cię kochał, jak ja cię kochałem. Chcę, żebyś wyszła za mąż, miała dzieci i żyła prawdziwie. Tylko pamiętaj, by zawsze być sobą i nie bać się mówić tego, co myślisz, albo tego, by głośno marzyć.

Mam nadzieję, że nigdy o mnie nie zapomnisz.

I jeszcze jedno: nie czuj się źle, iż nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Nie musiałaś tego mówić. I tak od początku wiedziałem, że tak jest.

Kochający

Andrew Parrish

Padam na kolana na srodku korytarza, palce zaciskam na liście od Andrew.

I to jest ostatnia rzecz, jaką pamiętam z tego dnia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Dwa miesiące później.

Słońce świeci, a na niebie nie ma ani jednej chmurki. Słyszę nawet śpiew ptaków. Myślę, że to jeden z tych naprawdę pięknych dni. Szpilki mi grzęzną w miękkiej trawie. Jestem ubrana w ładną, biało-żółtą letnią sukienkę do kolan. Włosy splotłam w warkocz, który leży na ramieniu, co zawsze lubił Andrew. Stoję ze splecionymi dłońmi i patrzę na nagrobek, na którym wygrawerowano dużymi literami napis: PARRISH. Trudno było tu przyjść, ale należało to zrobić.

Patrzę na ziemię na grobie. Wydaje się nadal świeża, chociaż minęły dwa miesiące od pogrzebu. Nawet deszcz jej nie ubił. Patrzę na inne groby, większość z nich pokrywa trawa, ale nie czuję smutku, raczej pocieszenie, bo wszyscy, którzy tu spoczywają, mają wokół siebie innych.

Para rąk wślizguje się na moją talię od tyłu i obejmuje mnie.

– Dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś, maleńka – szepcze mi do ucha Andrew, po czym całuje w policzek.

Łapię go za rękę, pociągam, by stanął przy mnie i wspólnie po raz ostatni patrzymy na grób jego ojca.

Tego samego wieczora opuszczamy Wyoming, ale tym razem lecimy samolotem. Musieliśmy odłożyć plany zwiedzania świata. Po wyjściu ze szpitala i po operacji Andrew przez trzy tygodnie musiał przechodzić rekonwalescencję. Lekarze byli zaskoczeni, że tak szybko zdrowiał, tak samo jak my wszyscy, ale i tak musiał mieć czas, aby w pełni wyzdoroczyć, a ja byłam przy nim, mieszkając w Galveston. Chodził na rehabilitację raz w tygodniu, ale teraz już tego nie potrzebuje.

Andrew chciał, żebyśmy ruszyli tyłki, aby zwiedzać świat, jak planowaliśmy – zachłysnął się życiem, gdy dostał od niego drugą szansę, i teraz ma więcej energii niż kiedykolwiek wcześniej. Cholera, nawet chętnie zmywa naczynia i robi pranie. Ale jego mama i ja staramy się pohamować jego zapał, bo nie może się przemęczać. Andrew się to nie podoba, ale dobrze wie, że nie wolno mu zaczynać z nami dwiema. Bo, dosłownie, skopałybyśmy mu tyłek.

Mimo to Andrew i ja nadal planujemy podróż i nadal pamiętamy o obietnicy, by nigdzie nie pozostawać zbyt długo i nie wieść monotonnego życia. Nic się nie zmieniło i się nie zmienia.

Natalie wróciła do Karoliny Północnej, ale i tak gadamy z sobą każdego dnia. Teraz spotyka się z Blakiem, gościem, którego pobił Damon na dachu tamtej nocy. Bawi mnie to. Rozmawiałam z nimi na Skype i wiem, że są dla siebie stworzeni. Chociaż z Natalie nigdy nic nie wiadomo. Damon skończył w więzieniu za posiadanie narkotyków. To jego druga wpadka i tym razem posiedzi rok czy dwa. Może zacznie się uczyć na błędach, chociaż szczerze w to wątpię.

Jeśli chodzi o mojego brata, Cole'a, sędzę, że Andrew miał rację. Razem z Andrew poleciliśmy do Karoliny Północnej, by odwiedzić moją mamę, a gdy już tam byliśmy, poszliśmy do więzienia do mojego brata. Wydawał się inny, szczerze skruszony. Widziałam to w jego oczach. Miałam wrażenie, że on i Andrew polubili się. Być może gdy Cole wyjdzie, w końcu będzie dla mnie starszym bratem. I z pomocą Andrew może wybaczę mu to, co zrobił. Zawsze będzie mi przykro z powodu tragedii, do jakiej doprowadził Cole, zabijając tamtego mężczyznę, ale zdałam sobie sprawę z uzdrawiającej mocy przebaczenia.

Mama nadal spotyka się z Rogerem. Planują w lutym ślub na Bahamach. Jestem z tego powodu szczęśliwa. Udało mi się poznać Rogera i muszę powiedzieć, że z wyróżnieniem zdał moje testy. Mama rzadko bywa w domu, bo on ciągle ją gdzieś zabiera. A ona na to wszystko zasługuje.

Mama Andrew i jego bracia powitali mnie w rodzinie z otwartymi ramionami. Bardzo lubimy się z Asherem. I niezależnie od tego, jak źle myślałam o Aidanie, jego też uwielbiam. Nigdy tak naprawdę nie był dupkiem, Andrew zasługiwał na takie traktowanie. Aidan i jego żona Michelle traktują mnie tak, jakbym była żoną Andrew. To mnie peszy. Ale, co ważniejsze, Aidan i Andrew w końcu się dogadują. Zanim Aidan i Michelle wrócili do Chicago (byli u nas z wizytą w zeszłym tygodniu), po prostu promieniałam, patrząc, jak się przekomarzają i uprawiają zapasy w salonie. Prawie połamali telewizor, ale my z Michelle siedziałyśmy, śmiałyśmy się i pozwoliłyśmy dokończyć tę samczą testosteronową rywalizację.

A dzisiaj... cóż, dzisiaj będzie inaczej niż zwykle.

Wchodzę do salonu, gdzie Andrew leży rozwalony na kanapie i ogląda Prometeusza. Sięga ku mnie, kiedy do niego podchodzę.

– Nie – kręcę głową – musisz wstać.

– Co jest, maleńka? – Podnosi się z kanapy i drapie po głowie. Zaczynają mu odrastać włosy, ale jeszcze nie są takie jak kiedyś, zwłaszcza nie przy bliźnie po operacji.

Opuszcza nogi na podłogę, siada wyprostowany, a ja wchodzę między nie, głaszcząc go po głowie. Łapie mnie za ręce, całuje jeden nadgarstek, potem drugi.

– Chodź ze mną. – Kiwam głową, łapię go za palec i ciągnę w kierunku sypialni.

Za każdym razem, kiedy zaciągam go do sypialni, myśli, że chodzi o igraszki, i jego zielone oczy zaczynają psotnie błyszczeć.

– Chciałabym, żebyś po prostu poleżał tu ze mną przez chwilę – mówię, ściągając ubranie.

Jest nieco zdezorientowany, ale to urocze.

– Dobra – mówi z uśmiechem. – Też mam się rozebrać? Zdecydowanie wolę być nago. Po co, u diabła, pytam? – Zaczyna się rozbierać.

Kładzie się obok mnie tak, że jesteśmy do siebie zwrócenii twarzami, przysuwamy się i splatamy razem nogi. Przerzuca przeze mnie ramię, a potem palcami wodzi po tatuażu Orfeusza, który zrobiłam dwa tygodnie temu. Jest piękny, idealnie dopasowany do Eurydyki Andrew. Kiedy leżymy obok siebie jak teraz, dwa kawałki stają się jednością.

– Wszystko w porządku, małeńka? – Andrew patrzy na mnie z ciekawością, jego palce głaszczą skórę na moich żebrach.

Uśmiecham się i całuję go.

A potem odsuwam się troszeczkę, biorę go za rękę, przeciągam po moim tatuażu i kieruję w stronę brzucha.

– Uwielbiam mój nowy tatuaż, skarbie – szepczę w niewielką przestrzeń pomiędzy naszymi twarzami – ale myślę, że za jakieś siedem miesięcy Orfeusz może być nieco rozciągnięty.

Andrew mruga zdezorientowany i kilka sekund zajmuje mu pojęcie znaczenia moich słów.

Cofa głowę w oszołomieniu, po czym szybko się podnosi.

– Mam termin na maj.

Najpierw jego oczy stają się wielkie jak talerze; jest oszołomiony i brak mu słów, ale zaraz potem pyta:

– Jesteś w ciąży? – Jego dłoń natychmiast ląduje na moim brzuchu.

Jego reakcja sprawia, że śmieję się jeszcze bardziej.

Dołeczki pogłębiają się, kiedy patrzy na mnie, a potem całuje głęboko. Całuje mnie tak, że zapiera mi dech w piersi, po czym porywa w ramiona na środku łóżka.

– Wyjdź za mnie – mówi i tym razem ja jestem oszołomiona i brakuje mi słów. – Miałem zamiar poprosić cię o rękę jutro wieczorem na randce, ale teraz nie mogę czekać. Wyjdź za mnie.

Zaczynam lkać, a on tuli mnie, całuje. W końcu, gdy odsuwamy się od siebie, patrzy mi w oczy, a ja odpowiadam:

– Tak, wyjdę za ciebie, Andrew Parrish.

– Tak cholernie cię kocham – mówi, znów mnie całując. Obejmuje dłońmi moją twarz. – A teraz sprawdzimy, czy seks w ciąży rzeczywiście jest taki zajebisty.

Cóż mogę powiedzieć? Oto cały Andrew i nie chciałabym, żeby był inny.

MATERIAŁ BONUSOWY

Moi drodzy,

Na krawędzi nigdy kończy się wzruszająco i bardzo emocjonalnie, i muszę przyznać, że kiedy to pisałam, byłam tak samo poruszona jak wszyscy inni. Czułam, że nie powinnam dodawać ani słowa więcej, by nie tego nie zniszczyć. Z pewnością nie chciałam zrobić czegoś takiego. Kiedy jednak książka została wydana, dostałam bardzo wiele e-maili i komentarzy od ludzi z całego świata proszących mnie o to samo: żebym napisała scenę szpitalną z punktu widzenia Andrew.

Jak mogłabym odmówić?

Rzuciłam się zatem w wir pracy i ukończyłam ją w dzień. A potem dopracowywałam. Przez długi czas. Chciałam umieścić ją na blogu, żeby wszyscy mogli tam ją znaleźć, ale miałam również nadzieję, że wydawca zainteresuje się tą sceną. Zaczęłam ją sobie wyobrażać w papierowym wydaniu, nie jako część historii, ale jako coś specjalnego, dodanego na końcu dla wszystkich tych, którzy o to prosili.

I wtedy moje marzenie się spełniło, wydawca okazał zainteresowanie i możecie przeczytać dodatkowy rozdział z punktu widzenia Andrew. Czytelnicy mogą się dostać do jego głowy i poznać jego myśli, gdy leży w szpitalnym łóżku z Camryn zwiniętą obok niego. I możecie przeczytać, co się z nim działo, kiedy ich ścieżki się rozeszły, a pielęgniarka wywiozła go z sali.

Chciałabym również skorzystać z okazji i podziękować wszystkim fanom, którzy przeczytali opowieść o Camryn i Andrew, za wsparcie i polecenie na całym świecie, co sprawiło, że książka stała się bestsellerem „New York Timesa”! Bez was wszystkich to nie byłoby możliwe! Ogromne podziękowania dla mojej superagentki, Jane Dystel, która wyciągała mnie z kilku poważnych kłopotów, i dla mojej agentki praw zagranicznych, Lauren Abramo, która każdego dnia zmagą się z zagranicznym prawem wydawniczym. I oczywiście dla Grand Central Publishing/Forever Romance i ich redaktorki Megha Parekh, która pokochała Na krawędzi nigdy i uwierzyła, że ta książka jest na tyle dobra, by wydać ją w Forever Romance.

Przedstawiam wam zatem scenę szpitalną z punktu widzenia Andrew. Jak również chciałabym poznać wasze zdanie na temat książki, możecie pisać komentarze na mojej stronie Facebooka [[Facebook.com/J.A.Redmerski](https://www.facebook.com/J.A.Redmerski)], na Twitterze [[@Jredmerski](https://twitter.com/Jredmerski)], na Goodreads albo na mojej stronie: www.jessicaredmerski.com.

Jeszcze raz dziękuję i życzę dobrej zabawy!

J. A. Redmerski

SZPITALNA SCENA Z PUNKTU WIDZENIA ANDREW

Naprawdę sądziłem, że mam więcej czasu. Nie minął nawet rok, odkąd Marsters zrzucił na moje barki ciężar, mówiąc mi mniej więcej coś takiego, że skończę jak mój ojciec. No dobrze, właściwie tak nie powiedział, ale takie odniosłem wrażenie po tych kilku słowach, jakie powiedział. Wiem, że byłem idiotą; doktor Marsters i moja rodzina próbowali przekonać mnie, bym wrócił, zrobił więcej badań, dowiedział się, jak poważna jest sytuacja, ale co więcej mógł mi powiedzieć, czego jeszcze nie wiedziałem? Dla taty nie było nadziei. Zrobił wszystkie badania. Poszedł na wszystkie wizyty lekarskie. Podjął kurację, którą mu zalecili, i leczył się. Przez chwilę. Do czasu, aż zdał sobie sprawę, że i tak umrze, i wtedy odmówił przedłużania nieuniknionego. Przełał zawartość swoich kont wszystkim, ale nie rodzinie. Jednak jestem jego synem i zakładam, że takie rzeczy są dziedziczne. Dlatego nigdy nie wróciłem do Marstersa. Ponieważ tak jak mój ojciec nie chciałem tego przeciągać. Dopiero sześć miesięcy po tym, gdy zostałem zdiagnozowany, w końcu się przełamałem i zacząłem szukać czegoś na ten temat. Dowiedziałem się, że guzy mózgu nie są dziedziczne jedynie w jakichś pięciu procentach. Czytałem coś o rzadkich syndromach. Nie mam żadnych syndromów i tata też ich nie miał. Ale do tego czasu bóle głowy stały się gorsze. O wiele gorsze. I wtedy zacząłem mieć drgawki. To gównie mnie wystraszyło.

Wtedy uświadomiłem sobie, że jest za późno. Nie chciałem stanąć przed Marstersem, oczekując magicznego rozwiązania, bo wiedziałem, że nie może mi tego dać. Ponieważ czekałem zbyt długo.

Ale dość tego.

W tej chwili ważna jest tylko Camryn. Jestem dupkiem, bo wciągnąłem ją w to wszystko, zwłaszcza po... Cholera, co ja sobie myślałem? Jej ostatni chłopak umarł i oto ja robię jej to znowu.

Jestem samolubem. Ponieważ kocham ją i od chwili, gdy odezwała się do mnie w autobusie w Kansas, wiedziałem, że jest tą jedyną.

Przeznaczenie jest jednak okrutne i gdybym spotkał Los teraz, to kopnąłbym go w pieprzone jaja.

Mam po prostu nadzieję, że Camryn mi wybaczy...

Otwierają się drzwi do mojej szpitalnej sali i widzę ją po raz pierwszy od chwili, gdy kochaliśmy się wczoraj wieczorem. Patrzy na mnie, a jej twarz jest pełna żalu i udreki, cholera, to mnie zabija. Następnie podchodzi i pada mi w ramiona. Trzymam ją mocno. Nigdy nie chcę jej puścić.

Boże... Nigdy nie chcę jej puścić...

Obejmuję jej policzki, odsuwam kosmyki włosów z jej oczu i scałowuję łzy spływające po jej twarzy. Powstrzymuję przy tym własne, wiedząc, że jeśli pozwolę im płynąć, Camryn poczuje się jeszcze gorzej.

– Tak bardzo mi przykro – mówię bolesnym, pełnym rozpaczyny głosem. – Nie mogłem ci powiedzieć, Camryn... Nie chciałem, żeby nasz czas razem był przez to zdeterminowany, ale niestety, tak się stało.

Więcej łez wylewa się z jej oczu.

– Mam nadzieję, że ty nie...

– Nie, Andrew... rozumiem, nie musisz się tłumaczyć. Cieszę się, że mi nie powiedziałaś...

Teraz czuję się bardziej winny. Zasluguję na to, by mnie spoliczkowała. *Proszę, kochanie, spoliczkuj mnie! Nakrzycz na mnie! Zrób coś innego poza powiedzeniem mi, że wszystko jest OK...*

Przyciągam delikatnie jej twarz i całuję w usta.

– Masz rację – mówi. – Gdybyś mi powiedział, nasz czas byłby beznadziejny i... nie wiem, ale byłabym inna. Nie umiem powiedzieć, jak inna... jednak, Andrew, żałuję, że mi nie powiedziałaś, z jednego poważnego powodu: zrobiłabym wszystko, dosłownie wszystko, żebyś trafił szybciej do szpitala. – Jej głos zaczyna się podnosić. – Mogłeś...

Kręcę głową.

– Maleńka, już i tak jest za późno.

– Nie mów tak! Teraz nie jest za późno! Nadal tu jesteś, ciągle jest nadzieja.

Uśmiecham się do niej delikatnie i w końcu cofam dłonie, i kładę je po obu stronach na szpitalnym kocu, którym jestem przykryty. Denerwuje mnie wenflon na ręce.

– Jestem realistą, Camryn. I tak już mi powiedzieli, że szanse nie są za wielkie.

– Ale nadal są – boleśnie argumentuje. – Małe są lepsze niż żadne.

– Jeśli pozwolę się im zoperować.

Wygląda, jakby właśnie dostała w twarz.

– Co masz na myśli, mówiąc „jeśli”?

Odwracam wzrok.

Sięga i łapie mnie za brodę, zmuszając, bym na nią spojrział.

– Tu nie ma żadnego „jeśli”, Andrew... no, chyba że sobie jaja robisz.

Przesuwam się, robiąc jej miejsce, by się położyła obok mnie. Przyciągam ją bliżej.

– Gdybym cię nigdy nie poznał – mówię, patrząc w jej oczy. – Nigdy bym przez to nie przeszedł. Gdyby cię tu teraz ze mną nie było, nie zgodziłbym się. Myślałem, że to strata czasu, pieniędzy, dawanie mojej rodzinie złudnej nadziei, przeciąganie nieuniknionego.

– Ale teraz masz zamiar pozwolić im na operację – mówi podejrzliwie.

Przeciągam palcem po jej policzku.

– Dla ciebie zrobię wszystko, Camryn Bennett. Mam gdzieś, co to ma być, nie dbam o to... Wszystko, o co tylko poprosisz, zrobię dla ciebie. Bez wyjątków.

Jej piersią wstrząsa szloch.

Poruszam dłonią po jej policzku, zakładam kosmyk włosów za ucho i patrzę głęboko w oczy.

– Pozwolę im.

Przyciska swoje usta do moich i całujemy się gorączkowo.

– Nie mogę cię stracić – mówi. – Mamy jechać w długą podróż. Jesteś moim towarzyszem broni. – Zmusza się do uśmiechu przez łzy.

Całuję ją w czoło.

Leżymy razem dłuższy czas i rozmawiamy o operacji i badaniach, które muszą zostać wykonane. Mówi mi, że będzie przy mnie tak długo, jak będzie trzeba. Potem rozmawiamy o miejscach, jakie chcielibyśmy zobaczyć, i zaczynam wybierać piosenki, jakie chcę, by się nauczyła, byśmy mogli śpiewać je w podróży. Oczywiście, utknęła przy The Civil Wars, ale nie przeszkadza mi to ani trochę.

– Musisz się nauczyć „Tip of My Tongue”, Andrew – mówi z radosnym podnieceniem w oczach. – To taka fajna piosenka i już nas widzę, jak ją śpiewamy. Już wszystko poukładałam sobie w głowie!

Nie mogę się zmusić, by powiedzieć jej coś negatywnego lub złowrogiego i zaryzykować, że ten uśmiech zniknie z jej twarzy. W głębi serca czuję, że nigdy nie dojdziemy do tego punktu i prędzej umrę i zniknę, niż kiedykolwiek ponownie z nią wystąpię.

Ciągle jednak mam na twarzy uśmiech. Nie pozwolę, by zobaczyła, że się poddaję.

– Moglibyśmy być zespołem grającym covery – dodaje, promieniejąc. Na jej twarzy pojawia się również rumieniec, jakby ta sugestia ją zawstydziała.

Myślę o tym przez sekundę i mówię, kiwając głową:

– To nie jest zły pomysł. Grałem w wielu barach i klubach stąd po Luizjanę. Znam właścicieli. Cholera, moglibyśmy nawet pojechać do Chicago i zagrać w barze Aidana.

Jej twarz rozświetla się. Kładzie głowę obok mojej. Całuję delikatnie jej włosy.

– W takim razie oto, co zrobimy – mówi. – Ty i ja, w drodze, robiący to, co kochamy. To nie do końca podróż z plecakiem, ale... – przerywa, rozważając znaczenie tego wszystkiego, a następnie mówi z entuzjazmem. – To jej nowa wersja.

Lekko się śmieję i opuszkami gładzę jej skroń i policzek. Serce mi krwawi, gdy słyszę, jak mówi, że jest na tyle silna, iż pozwala sobie wierzyć, że cokolwiek z tego się w ogóle wydarzy. To tak cholernie boli, że nie będzie mi dane być z nią. Nie miałyby dla mnie znaczenia, jak potoczy się nasze życie, dopóki bylibyśmy razem.

Gdy leżymy razem w łóżku, czuję się tak jak w podróży. Nie mówimy o chorobie i o śmierci. Po prostu rozmawiamy i się śmiejemy, i zaczynam wsuwać palce to tu, to tam, drażniąc ją. Chichocze i odpycha moją rękę, ale ostatecznie poddaje się i pozwala mi robić, co chcę. I odwzajemnia się pieścizotą.

A potem po prostu leżymy, czasem patrząc sobie w oczy, czasem patrząc wprost przez siebie, oboje pogrążeni w głębokich, rozdzierających serce myślach.

Camryn wstaje z łóżka.

– Maleńka, co się stało?

– Nic – mówi, uśmiechając się ciepło.

Zdejmuje spodenki i koszulkę.

Szczerzę się jak dzieciak. Nigdy wcześniej nie robiłem tego na szpitalnym łóżku.

– Tak bardzo chciałabym kochać się z tobą w szpitalnym łóżku – mówi, wracając do mnie do łóżka – ale to się nie wydarzy. Musisz mieć siłę do przejścia operacji.

Patrzę zaciekawiony, jak układa się obok mnie ubrana jedynie w stanik i majtki. Przytula delikatnie swoje piersi do mnie i splata nogi z moimi. Nasze ciała są idealnie dopasowane, nasze żebra się stykają.

– Co robisz? – pytam z zaciekawionym uśmiechem.

Wolną ręką przesuwa po tatuażu Eurydyki. Patrzę na nią uważnie. Kocham jej ruchy, jej dotyk, jej ciepło. Jej palec wskazujący zatrzymuje się na łokciu Eurydyki, gdzie kończy się rysunek, a następnie przenosi go na swoją skórę.

– Gdybyś mi pozwolił, chciałabym być twoją Eurydyką.

Moje serce na sekundę się zatrzymuje i wyrywa mi się westchnienie. Tymi słowami właśnie popieściła moją duszę. Chcę płakać, ale jedyne, co mi wychodzi, to ogromny, pieprzony uśmiech.

– Chciałabym zrobić drugą połowę – kontynuuje, dotykając moich ust palcami. – Chciałabym mieć Orfeusza na żebrach, żeby mogli się połączyć.

Zanim mogę się odezwać, mija chwila.

– Och, maleńka, nie musisz tego robić, na żebrach boli jak cholera.

– Ale ja chcę i mam gdzieś, jak bardzo będzie bolało.

Czuję, że oczy mi wilgotnieją, pochylam się i obejmuję ustami jej wargi.

– Bardzo by mi się to podobało – szepczę jej w usta.

Całuje mnie delikatnie i mówi również szeptem:

– Po operacji, kiedy już wydobrzejesz, pojedziemy go zrobić.

Kiwam głową.

– Tak, Gus z pewnością będzie mnie potrzebował, aby idealnie zgrać nasze tatuaże. Nabijał się ze mnie, kiedy robił mój.

Uśmiecha się.

– Śmiał się, co?

– Tak – chichoczę. – Kpił, że jestem niepoprawnym romantykiem, i zagroził, że powie o tym moim kumplom. Powiedziałem mu, że mówi jak mój ojciec i żeby się zamknął. Gus jest spoko gościem i dobrym tatuażystą.

– To dobrze.

Wbijam palce w jej włosy, mierzwiąc je na czubku głowy. Ale wtedy zimna, twarda i okrutna rzeczywistość wślizguje się między nas i budzi mnie. Prawie pozwoliłem dać się ponieść złudzeniom.

– Camryn, chciałbym, żebyś była przygotowana.

– Nie zaczynaj...

– Nie, maleńka, musisz to dla mnie zrobić – mówię. – Nie możesz myśleć, że na sto

procent wyjdę z tego żywy. Po prostu nie możesz.

– Andrew, proszę. Po prostu przestań.

Kładę palce na jej wargach, uciszając ją. Znowu płacze. Boli mnie, gdy widzę jej płacz, ale jest coś, co musi zostać powiedziane.

– Obiecuj, że uświadomisz sobie, że mogę umrzeć.

– Nie mogę wmawiać sobie czegoś takiego!

Ściskam ją mocniej.

– Obiecuj mi.

Zaciska zęby. W końcu poddaje się i zmusza do powiedzenia:

– ...obiecuję. – Mówi to tylko dla mojego spokoju. Wiem, że i tak tego nie zrobi. – Ale ty w zamian musisz mi obiecać, że przez to przejdiesz – mówi, dociskając głowę do mojej brody. – Nie mogę zostać bez ciebie, Andrew. Musisz wiedzieć, że nie mogę.

– Wiem, maleńka... wiem.

Następuje chwila ciszy.

– Zaśpiewasz dla mnie? – pytam.

– A co chcesz, żebym ci zaśpiewała?

– „Dust in the Wind” – odpowiadam.

– Nie. Nie będę tego śpiewać. Nigdy mnie o to nie proś. Nigdy.

Ciaśniej oplatom ją ramionami.

– Zaśpiewaj więc cokolwiek – szepczę. – Po prostu chcę usłyszeć twój głos.

I zaczyna śpiewać „Poison & Wine”, tę samą piosenkę, którą śpiewaliśmy w Nowym Orleanie, leżąc w swoich ramionach tamtej nocy. Śpiewam z nią kilka wersów, ale jestem słaby. Słaby ze wzruszenia. Słaby z powodu choroby i stresu. Słaby z powodu złamanego serca. Słaby z powodu nieuchronności.

Zasypiamy wtuleni w siebie.

– Mamy kilka badań do zrobienia – mówi głos nad łóżkiem.

Budzę się i widzę pielęgniarkę stojącą po mojej stronie łóżka. Czuję się dziwnie, mam

zawroty głowy. Czuję się podobnie jak minutę przed tym, zanim zemdlałem w mieszkaniu. Kiedy obudziłem się w tym łóżku, wszystko, co pamiętałem, to zapach bekonu. Potem godzinami wciąż czułem jego zapach. Ciągle pytałem pielęgniarki, czy w pobliżu jest bufet, ponieważ zapach był tak silny.

– Sądzę, że powinnaś się ubrać. – Pielęgniarka uśmiecha się.

Zgaduję, że mówi do Camryn, i myśli, że robiliśmy coś więcej poza leżeniem, zwłaszcza że jesteśmy półnaczy.

Camryn wstaje i ubiera się, podczas gdy pielęgniarka sprawdza moje wyniki. Obok łóżka stoi wózek inwalidzki.

– Co to za badania? – pytam słabo.

Jestem trochę zdezorientowany. Cholera. Proszę, niech Camryn wyjdzie, zanim coś mi się stanie...

– Andrew? – Camryn podchodzi do łóżka. Wie, że coś jest nie tak.

Podnoszę rękę, by ją powstrzymać.

– Nie, maleńka, nic mi nie jest. Troszkę tylko kręci mi się w głowie. Próbuje się obudzić.

Pielęgniarka podchodzi bliżej i pomaga mi usiąść, przesuając razem ze mną kropłówkę.

– Nie będzie go z godzinę, dwie, może więcej – mówi. – Powinnaś coś zjeść, rozprostować nogi i wrócić tu za dobrą chwilę.

– Ale ja nie chcę go zostawiać samego.

– Rób, co mówi siostra – domagam się najmiłszym głosem, na jaki mogę się zdobyć. – Chcę, żebyś coś zjadła. – Odwracam głowę i wskazuję na nią palcem. – Ale żadnych steków – mówię żartobliwie. – Nadal wiesz mi obiad ze stekiem, pamiętasz? Kiedy stąd wyjdę, to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobimy.

W zamian otrzymuję uśmiech, na jaki długo czekałem, choć nie jest tak radosny, jaki bym chciał, żeby był.

– Dobra – zgadza się, kiwając niechętnie głową. – Wrócę za kilka godzin i będę na ciebie czekać.

Przysuwa się i całuje mnie miękko, dzieląc ze mną chwilę ciszy.

W końcu siadam na wózku i pielęgniarka wywozi mnie z pokoju. Oglądam się tylko raz i odrywam od niej spojrzenie. Ponieważ czuję się, jakbym miał już jej nigdy nie zobaczyć. Gdy przemierzam korytarz w wózku, porażająco biała podłoga przesuwa się pode mną niczym woda.

Błyszczące wzory płytek zaczynają się zlewać, kiedy sztywno wpatruję się w nie, ponieważ nie mogę unieść wzroku. Na początku myślę, że to po prostu słaba wola, ale powoli dociera do mnie, że to coś innego. Skracamy w prawo. Słyszę głosy zbliżające się ku nam, ale nie podnoszę głowy. Czuję podmuchy wiatru na odsłoniętych plecach i wydaje mi się, że wózek zwiększa prędkość. Głowa tak bardzo mi ciąży, jakby była bryłą betonu.

Słyszę głos Camryn i wydaje mi się, że podnoszę głowę, by ją zobaczyć, ale tak naprawdę w ogóle się nie poruszam. To nie głos Camryn. To głos pielęgniarki. Pyta, ile palców widzę...

To ostatnia rzecz, jaką pamiętam, nim wszystko staje się czarne.

Śmierć. To dziwna rzecz. Nigdy nie wyobrażałem sobie jej w taki sposób. Wydaje się, że wszystko jest w stanie nieważkości. Moje ciało. Mój umysł. Ręka, którą próbuję przesunąć, by ją zobaczyć. Cały czas słyszę wokół głosy, ale nie rozumiem, o czym mówią.

Naprawdę jestem martwy? Jak długo tak trwam? I gdzie ja, do cholery, jestem?

Czuję się, jakbym spał przez wieczność. Ale martwi mnie to, że jestem tego świadomy.

– Andrew? Proszę, obudź się...

– Andrew...



J.A. Redmerski

Jest autorką bestsellera New York Timesa, USA Today i Wall Street Journal

– *The Edge of Never/ Na krawędzi nigdy.*

Powstała także drugą część historii Camryn i Andrew, która zdobyła serca czytelników na całym świecie

– *The Edge of Always.*

Niebawem ukaze się kolejna książka autorki

– *Song of the Fireflies.*

Autorka mieszka w North Little Rock (Arkansas) wraz z trójką dzieci i psem maltańczykiem. Lubi programy telewizyjne i książki, które przekraczają granice, jest też wielką fanką serialu *The Walking Dead*.